

**Amy Tan**

# **Sto tajemnych zmysłów**

*(The hundred secret senses)*

*Przełożyła Zofia Kierszys*

## Część pierwsza

## **Dziewczyna o oczach *yin***

Moja siostra ma oczy *yin*. Widzi tych, którzy umarli i mieszkają w Świecie Yin. Ich duchy wychodzą z tamtejszych mgieł i składają wizyty w jej kuchni na Balboa Street w San Francisco.

– Libbi-ja – oznajmia mi – zgadnij, kogo wczoraj widziałam, no zgadnij.

A ja bez zgadywania wiem, że mówi o kimś zmarłym.

Właściwie Kwan jest moją siostrą przyrodnią, ale o tym się nie mówi. To byłaby zniewaga, jak gdyby ona zasługiwała zaledwie na pięćdziesiąt procent miłości naszej rodziny. Ściśle jednak mówiąc, Kwan i ja mamy tylko wspólnego ojca. Ona urodziła się w Chinach. Moi bracia, Kevin i Tommy, i ja urodziliśmy się w San Francisco, kiedy ojciec już przyemigrował tutaj i ożenił się z naszą matką, Louise Kenfield.

Mama mówi o sobie: „Amerykańska mieszanka z grilla, po trochu wszystkiego, co białe; tłusta, przypieczona”. Urodziła się w Moscow w stanie Idaho, gdzie była mistrzynią kręcenia batutą w defiladach i raz zdobyła na wystawie okręgowej nagrodę za wyhodowanie kartofla przypominającego profil Jima Durante. Opowiadała mi, jak marzyła, że kiedyś wyrośnie na zupełnie inną – szczupłą, egzotyczną i nobliwą jak Luise Rainier, która dostała Oscara za rolę Olan w „Dobrej Ziemi”. Kiedy przeniosła się do San Francisco i jednak nie stała się egzotyczna, powetowała to sobie czymś prawie nie mniej interesującym, czyli wyszła za naszego ojca. Uważa, że poślubienie nie-Anglosasa uczyniło z niej liberalkę. „Kiedy Jack i ja się poznaliśmy – wciąż jeszcze mówi ludziom – ustawy zabraniały małżeństw mieszanych. My z miłości pogwałciliśmy prawo”. Ale zapomina dodać, że te ustawy nie obowiązywały w Kalifornii.

Nikt z nas, mama również, nie znał Kwan do jej osiemnastego roku życia. Mama dowiedziała się o jej istnieniu dopiero przed samą śmiercią ojca. Miałam niecałe cztery lata, kiedy ojciec umarł na niewydolność nerek. Ale trochę go pamiętam – turlałam się w jego objęciach, brodziłam w sadzawce, on wrzucał do wody groszaki, żebym je wyłowiła. I pamiętam ostatni dzień, kiedy go widziałam w szpitalu i usłyszałam coś, co powiedział, a co potem przez długie lata mnie przerażało.

Był przy tym Kevin, wówczas pięcioletni. Tommy'ego, jeszcze bobaska, mama zostawiła w szpitalnej poczekalni pod opieką swojej kuzynki, Betty Dupree, która tak jak mama przeniosła się ze stanu Idaho i do której musieliśmy mówić „ciociu Betty”.

Ja siedziałam na lepkim wiklinowym krześle i jadłam z firmowej miseczki pokrajaną w kostkę galaretkę truskawkową, szpitalny deser przyniesiony ojcu z obiadem na tacy. Ojciec siedział w łóżku, podparty poduszkami, i ciężko oddychał. Mama już to płakała, już to udawała wesołą, a ja usiłowałam zrozumieć, co się dzieje. Poza tym pamiętam, że ojciec zaczął szeptać, a mama pochylała się nad nim, żeby słyszeć. Potem nagle odwróciła głowę do mnie, wyraźnie zdjeta zgrozą, więc się przestraszyłam. Skąd on wie? Skąd tatuś się dowiedział, że spuściłam z wodą moje żółwie, Mruka i Trajkotkę. Chciałam zobaczyć je bez skorupki i skończyło się tym, że oderwałam im łebki.

– Twoja córka? – usłyszałam głos mamy. – Sprowadzić ją?

Nie byłam pewna, czy ojciec nie kazał mamie sprowadzić mnie do komórki, tak jak to było z naszym psem Guzikiem, kiedy zaczął obgryzać kanapę.

Miseczka z galaretką stuknęła, spadając na podłogę. Mama wpatrywała się w jakąś fotografię. Kevin wyrwał jej ją z ręki, śmiał się do rozpuku i wtedy zobaczyłam to małe czarno-białe migawkowe zdjęcie chudego niemowlaka, prawie łysego. W pewnej chwili usłyszałam krzyk mamy:

– Olivia, nie sprzeciwiaj się! Masz zaraz stąd wyjść!

Więc się rozplakałam:

– Ale ja będę grzeczna!

Wkrótce potem mama oznajmiła:

– Tatuś odszedł od nas.

I powiedziała, że sprowadzi z Chin drugą córeczkę tatusia, żeby u nas mieszkała. Nie powiedziała, że mnie zamknie w komórce, ale płakałam dalej, bo byłam pewna, że to wszystko jakoś się łączy – żółwki bez łebków wirujące z wodą w klozecie, odejście ojca od nas, rychły przyjazd tamtej córeczki, która ma zająć moje miejsce. Bałam się Kwan, jeszcze zanim ją zobaczyłam.

Kiedy miałam dziesięć lat, dowiedziałam się, że ojca zabiły jego nerki. Mama powiedziała, że urodził się z czterema nerkami zamiast zwykłych dwóch i że wszystkie cztery źle pracowały. Ciocia Betty uzupełniła to swoją teorią. Teorii nigdy jej nie brakowało, a czerpała je z takich źródeł jak „Weekly World News”. Otóż, powiedziała, tatuś miał być jednym z braci syjamskich. Ale w matczynym łonie, będąc bratem silniejszym, zjadł tego drugiego, słabszego i tak przeszczepiły mu się dwie nerki dodatkowe.

– Może miał także dwa serca, dwa żołądki, kto wie.

Ciocia Betty wystąpiła z tym scenariuszem mniej więcej wtedy, gdy w magazynie „Life” zamieszczono fotoreportaż o bliźniakach syjamskich z Rosji. Widziałam te fotografie: dwie dziewczynki, Tasza i Sasza, połączone biodrem, zbyt piękne, żeby być dziwadłami natury. To chyba było w połowie lat sześćdziesiątych, mniej więcej wtedy, gdy uczyłam się ułamków. Pamiętam, jak żałowałam, że nie możemy wymienić Kwan na te syjamskie bliźniaczki. Wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa – tak sobie wyobrażałam – starałyby się z nami zaprzyjaźnić, żebyśmy tylko pozwoliły im patrzeć, jak skaczemy przez skakankę albo gramy w klasy.

Ciocia Betty ponadto odsłoniła historię narodzin Kwan – wcale nie przejmującą,

raczej kłopotliwą. W czasie wojny, powiedziała ciocia, wasz ojciec był studentem uniwersytetu w Guilin. Na kolację kupował sobie na targowisku żywe żaby u niejakiej Li Chen. Później się z nią ożenił i w 1944 roku ona urodziła mu córkę, właśnie to chucherko na fotografii, Kwan.

Ciocia Betty miała również teorię o tym małżeństwie.

– Wasz tata był przystojny jak na Chińczyka. I był po wyższych studiach. I mówił po angielsku tak dobrze, jak ja i wasza mama. No to dlaczego miałyby się ożenić z jakąś wiejską dziewczyną? Dlatego, że musiał, wyłącznie dlatego.

Ja wtedy już dosyć podrosłam, więc zrozumiałam, co kryje się za tym „musiał”.

W każdym razie pierwsza żona mojego ojca zmarła na chorobę płuc, może na gruźlicę, w 1948 roku. Ojciec pojechał do Hongkongu szukać pracy. Zostawił Kwan pod opieką starszej siostry swojej żony, Li Bin-bin, która mieszkała w małej górskiej wiosce Changmian. Oczywiście przysyłał pieniądze na utrzymanie – jakież ojciec by nie przysyłał? Ale w 1949 roku Chinami zawładnęli komuniści, więc w żaden sposób on nie mógł tam wrócić po swoją pięcioletnią córkę. Cóż mu pozostało? Z ciężkim sercem przyjechał do Ameryki, żeby zacząć nowe życie, zapomnieć o smutnej przeszłości. W jedenaście lat później, kiedy umierał w szpitalu, u nóg łóżka stanął duch jego pierwszej żony.

„Wyreklamuj swoją córkę – upomniął go ten duch – bo inaczej będziesz ponosił konsekwencje po śmierci”.

Tak ojciec to opowiedział, zanim umarł – a raczej tak nam po latach opowiadała ciocia Betty.

Patrząc wstecz, potrafię sobie wyobrazić, jak mama się czuła, kiedy o tym się dowiedziała. Jakaś inna żona? Jakaś córka w Chinach? Byliśmy nowoczesną rodziną amerykańską. Naszym językiem był angielski. Pewnie, że jadalśmy chińskie potrawy, ale z garmazerii, jak wszyscy. Ojciec pracował w księgowości rządowej. Mama bywała na zebraniach PTA. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby ojciec mówił o

chińskich przesądach. Chodzili do kościoła i wykupili polisę ubezpieczeniową na życie.

Po śmierci ojca mama wciąż wszystkim mówiła, że traktował ją po prostu jak „chińską cesarzową”. Wszelkimi sposobami demonstrowała żalobę. Ślubowała Bogu i nagrobkowi ojca. Jak wiedzieliśmy od cioci Betty, przysięgła na pogrzebie, że nie wyjdzie powtórnie za mąż. Przysięgła, że będzie w nas, dzieci, wpajając szacunek dla nazwiska Yee. Przysięgła, że odnajdzie Kwan, pierworodne dziecko męża, i sprowadzi ją do Stanów Zjednoczonych.

Dotrzymała tylko tej ostatniej przysięgi.

Mama zawsze cierpiała na dobroć serca, który to stan pogarsza chroniczna wysypka dobrych chęci. Pewnego lata zastępowała matkę szczeniętom terierkom – w domu wciąż jeszcze pachnie psimi siuškami. Przez dwa Boże Narodzenia wydawała posiłki bezdomnym w Jadłodajni Świętego Antoniego; teraz spędza te święta zwykle na Hawajach ze swoim aktualnym przyjacielem. Zbiera podpisy pod petycjami i składki na fundusze, zasiada w zarządach stowarzyszeń propagujących zdrowy tryb życia. Jej entuzjazm, chociaż szczery, zawsze w końcu gaśnie i natychmiast nęci ją coś innego. Podejrzewam, że myślała o Kwan jak o studentce cudzoziemce na wymianę, studentce mającej gościć u niej przez rok, chińskim Kopciuszku samowystarczalnym, który potem urządzi sobie cudowne amerykańskie życie.

Przed przyjazdem Kwan jak przywódca kibiców przed meczem piłki nożnej zagrzewała moich braci i mnie do gorącego przyjęcia starszej siostry. Tommy był za mały, żeby reagować inaczej niż przytakiwaniem, ilekroć mama mówiła:

– Nie cieszysz się, że masz jeszcze jedną starszą siostrę?

A Kevin wruszał ramionami i udawał znudzonego. Tylko ja rzeczywiście podskakiwałam jak rekrut, uradowana przede wszystkim informacją, że Kwan nie

zajmie mojego miejsca, bo będzie dodatkiem do mnie.

Chociaż byłam samotną dziewczynką, wołałabym nowego żółwia czy nawet lalkę niż kogoś współzawodniczącego w ubieganiu się o uwagę mamy i bez tego dość rozproszoną, bym musiała wciąż dzielić się skąpych dowodami jej miłości. Wspominając to wiem, że moja matka mnie kochała – ale nie bez reszty. Kiedy się zastanawiałam, ile czasu mama poświęca mnie, a ile innym – osobom nawet zupełnie obcym – wydawało mi się, że osuwam się w szeregach jej faworytów coraz niżej i niżej, aż spadam i nabijam sobie guza. Mama zawsze miała mnóstwo czasu na randki z mężczyznami czy obiady ze swymi tak zwanymi kumpelkami. Wobec mnie była niesłowna. Obietnice, że zabierze mnie do kina czy na basen, odwoływała pod byle pretekstem albo o nich zapominała, albo, co najgorsze, chytrze je przekręcała.

– Nie cierpię twoich dąsów, Olivio – oświadczyła mi kiedyś. – Ja ci nie przyrzekłam, że pójdę z tobą do klubu pływackiego. Tylko powiedziałam, że chętnie bym poszła.

I jakże mogłabym wtedy potrzebę swojego serca przeciwstawić jej chęciom?

Nauczyłam się wszystko bagatelizować, stawiać krzyżyk na moich nadziejach, niejako zarzucać je na najwyższą półkę, do której nie mogę dosięgnąć. I wmawiając sobie, że ich spełnienie nic by mi nie dało, unikałam zbyt przykrych rozczarowań. Cierpienie było wtedy nie większe niż przy zastrzyku uodporniającym. A jednak teraz myśl o tym znowu mnie boli. Skąd ja, dziecko, wiedziałam, że powinnam być bardziej kochana? Czy każdy rodzi się z bezdennym zbiornikiem na serdeczności?

Więc oczywiście nie chciałam Kwan! Za nic nie chciałam. I właśnie dlatego usilnie starałam się wydawać matce pełna entuzjazmu. To była logika na opak. Skoro nadzieje nigdy się nie spełniają, ma się nadzieję na to, czego się nie chce.

Mama powiedziała, że starsza siostra jest mną w starszym wydaniu: miła i piękna, trochę tylko bardziej chińska, i będzie mi pomagała we wszystkim, co przyjemne. Toteż wyobrażałam sobie nie siostrę, tylko drugą siebie, starszą, która



tańczy i ma sukienki bardziej dopasowane i prowadzi smutne, ale urzekające życie – zupełnie jak Nathalie Wood (poza tym, że skośnooka) w „West Side Story”. A widziałam ten film mając pięć lat. Dopiero teraz przychodzi mi na myśl, że my obie, mama i ja, wzorowałyśmy nasze nadzieje na aktorkach, które mówiły z wyuczonym akcentem.

Kiedyś wieczorem mama, zanim mnie otuliła kołdrą, zapytała, czy chcę się pomodlić. Wiedziałam, że modlitwa to wyrecytowanie próśb, jakie dorośli chcą usłyszeć. Czyli tego, co chce usłyszeć mama. „Panie Boże i Jezu, pomóżcie mi, żebym była grzeczna”. Po czym dodałam, że spodziewam się szybkiego przyjazdu mojej siostry, ponieważ mama właśnie o tym przed chwilą mówiła.

Kiedy powiedziałam: „Amen”, zobaczyłam, że mama płacze i uśmiecha się z dumą.

Pod okiem mamy zaczęłam zbierać powitalne prezenty dla Kwan – szalik, który ciocia Betty dała mi na urodziny, pachnącą kwiatem pomarańczy wodę kolońską, którą dostałam na gwiazdkę, rozmiękły lizak pozostały z wigilii Wszystkich Świętych.

Z lubością wkładałam te niedobre, nieświeże drobiazgi do pudełka, na którym mama napisała: *Dla starszej siostry Olivii*. Przekonywałam samą siebie, że stałam się bardzo dobra, więc mama zrozumie, że niepotrzebna nam żadna siostra.

Później mama opowiadała moim braciom i mnie, jak trudno było odnaleźć Kwan.

– W tamtych czasach – mówiła – nie mogłam po prostu napisać listu, przykleić znaczka na kopercie i wysłać do Changmian. Musiałam przedzierać się przez dżungłę biurokracji, wypełniać dziesiątki formularzy. I mało kto był gotów specjalnie się wysilać, żeby pomóc komuś z kraju komunistycznego. Ciocia Betty uważała, że jestem wariatką. Powiedziała mi: „Jak możesz brać sobie na głowę prawie dorosłą dziewczynę, która nie mówi ani słowa po angielsku. Ona tu będzie

jak głupia, nie odróżni lewej strony od prawej".

Papierkowa robota nie była jedyną przeszkodą, którą Kwan – nie wiedząc o tym – pokonała. W dwa lata po śmierci ojca mama wyszła za Boba Laguni – „fuksa, który się mamie trafił w historii amantów z importu", jak go teraz nazywa Kevin – i to tylko dlatego, że włoskie nazwisko Laguni wydawało się jej meksykańskie. Mama przyjęła nazwisko Boba. W ten sposób bracia i ja także staliśmy się Laguni, co chętnie zmieniałam na Bishop, wychodząc za Simona. Otóż Bob nie chciał słyszeć o przyjeździe Kwan, a mama zwykle jego życzenia stawiała na pierwszym miejscu. Po rozwodzie z nim – wtedy byłam już w college'u – opowiadała, jaki wywierał, zanim się pobrali, nacisk, żeby odwołała starania o przyjazd Kwan. Myślę, że zamierzała odwołać, ale po prostu o tym zapomniała. Mnie jednak wyjaśniła:

– Patrzyłam, jak się modliłaś. Taka słodka i smutna prosiłaś Boga: „Błagam, ześlij mi, Boże, moją starszą siostrę z Chin".

Miałam prawie sześć lat, kiedy Kwan przyjechała. Czekaliśmy na nią przed komorą celną w porcie lotniczym San Francisco. Ciocia Betty też tam była. Mamie – zdenerwowanej, podnieconej – usta się nie zamykały:

– No dzieci, słuchajcie, ona pewnie będzie onieśmielona, więc nie rzucajcie się do niej... I pewnie chuda jak tyka, więc mi się z niej nie wyśmiewajcie...

Kiedy celnik w końcu wyprowadził Kwan z hali, ciocia Betty wskazała ją i powiedziała:

– To ona. Ręczę wam, że to ona.

Mama potrząsnęła głową. Ta osoba wyglądała jak jakaś staruszka, niska i puciołowata, wcale nie jak zagłodzona sierota, jaką mama sobie wyobrażała, ani też jak wspaniała siostra nastolatka z moich urojeń. Była w szaroburej pizamie, miała brązową szeroką twarz i grube warkocze.

Wcale nie onieśmielona, upuściła torbę, zatrzepotała rękami i ryknęła:

– Hal-uu, hal-uu!

Śmiejąc się podskakiwała i piszczała jak nasz nowy pies, kiedy wypuszczaliśmy go z garażu. Nie знаła nikogo, a nieomal rzuciła się w objęcia naszej mamy, a potem taty Boba. Chwyciła Kevina i Tommy'ego za ramiona i potrząsała nimi. Kiedy zobaczyła mnie, ucichła, przykucnęła na podłodze, wyciągnęła ręce.

Skubnęłam spódniczkę mamy.

– To moja starsza siostra?

A mama odpowiedziała:

– Przecież widzisz. Ma włosy waszego ojca, takie gęste i czarne.

Jeszcze jest ta fotografia, którą pstryknęła ciocia Betty. Mama z loczkami, w moherowym kostiumie, błyskająca krzywym uśmiechem; nasz włosko-amerykański ojczym Bob, wyraźnie osłupiały; Kevin i Tommy w kapeluszach kowbojskich; roześmiana od ucha do ucha Kwan z ręką na moim ramieniu i ja w falbaniastej, odświeżonej sukience, zapłakana, ssąca palec.

Płakałam, bo właśnie dostałam od Kwan prezent. Była to mała, upleciona ze słomy klatka, którą ona dumnie wyciągnęła ze swego szerokiego rękawa. Kiedy podniosłam tę plecionkę na poziom oczu i zajrzałam w otwory, zobaczyłam sześciopiętowego potwora trawiastozielonego, z wybałuszonymi oczami, brwiami jak bicze i szczękami jak ostre piły. Wrzasnęłam i cisnęłam klatkę jak najdalej na podłogę.

W domu, w sypialni odtąd już naszej wspólnej, Kwan powiesiła na ścianie klatkę z tym pasikonikiem – teraz bez jednej nóżki. Ledwie mrok zapadł, pasikonik zaczął cykać głośno niczym dzwonek roweru ostrzegający ludzi, żeby schodzili z drogi.

Od tamtego dnia życie już nigdy nie było takie jak przedtem. Kwan stała się dla mamy wyręką w opiece nad dziećmi; była chętna, sprawna i swobodna. Wychodząc na całe popołudnie do salonu kosmetycznego czy do sklepów ze swymi przyjaciółkami, mama polecała mi nie odstępować Kwan.

– Bądź grzeczną siostrzyczką, wyjaśnij jej wszystko, czego ona nie rozumie.

Przyrzekasz?

Więc co dzień po szkole Kwan ciągnęła się za mną wszędzie, dokądkolwiek szłam. W pierwszej klasie nabrałam ogromnego doświadczenia w zakresie upokorzeń publicznych i wstydu. Kwan zadawała mnóstwo głupich pytań, aż wszystkie dzieciaki z okolicy myślały, że spadła z Marsa. Pytała:

– Co to M i M?

– Co to guma dabucia?

– Kto to Jednooki Żeglarz?

– Dlaczego drugie oko zginęło?

– On bandyta?

Nawet Kevin i Tommy się śmieli.

Przy Kwan mama mogła bez poczucia winy unosić się na fali swych miodowych czasów z Bobem. Kiedy nauczycielka zadzwoniła do niej z wiadomością, że mam gorączkę, to Kwan zjawiała się w szkolnym ambulatorium, żeby mnie zabrać do domu. Kiedy jeżdżąc na wrotkach przewróciłam się, to Kwan zabandażowała mi łokcie. Ona też zaplatała mi warkoczyk. Ona pakowała drugie śniadanie dla Kevina, Tommy'ego i dla mnie. Ona usiłowała mnie nauczyć chińskich piosenek dziecięcych. I uspokajała mnie, kiedy mi wypadł pierwszy ząb. I myjką szorowała mi kark, kiedy się kąpałam.

Powinnam być wdzięczna Kwan. Zawsze mogłam na niej polegać. Najbardziej lubiła być ze mną. Ale ja przeważnie czułam do niej urazę o to, że zastępuje matkę.

Pamiętam dzień, w którym przyszło mi na myśl pozbyć się Kwan. Było lato parę miesięcy po jej przyjeździe. Siedzieliśmy z nią – Kevin, Tommy i ja – na naszym frontowym trawniku i czekaliśmy, żeby coś się zdarzyło. Dwaj koledzy Kevina zakradli się z boku domu i włączyli instalację nawadniającą ogród. Bracia i ja usłyszeliśmy plucie i gulgot wody w rurach, więc odbiegliśmy, zanim lunęła z

dziesięciu wodotrysków. Kwan jednak stała tam jak wryta i mokła, dziwiąc się, że tyle źródeł jednocześnie tryska z ziemi.

Kevin i jego koledzy pokładali się ze śmiechu. Ja zawołałam:

– To nieładnie!

Wtedy jeden z tych kolegów Kevina, pyszałkowaty drugoklasista, w którym wszystkie dziewczynki się durzyły, zapytał mnie:

– Czy ta głupia żółtka to twoja siostra? Hej, Olivia, czy to znaczy, że ty też jesteś głupią żółtką?

Tak się zdenerwowałam, że wrzasnęłam:

– Jaka tam moja siostra! Nienawidzę jej! Niech jedzie z powrotem do Chin!

Tommy później powtórzył to tacie Bobowi i tata Bob zwrócił się do mamy:

– Louise, powinnaś ukrócić swoją córkę.

Mama potrząsnęła głową i spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Olivio – powiedziała. – Nigdy do nikogo nie czujemy nienawiści. „Nienawiść” to straszne słowo, krzywdzi tak samo ciebie jak innych.

Oczywiście, w rezultacie znienawidziłam Kwan jeszcze bardziej.

Najgorsze było dzielenie z nią sypialni. Wieczorem lubiła rozsuwać zasłony, żeby łuna ulicznej latarni oświetlała pokój, kiedy leżałyśmy w zsuniętych bliźniaczych łóżkach. I pod tym pięknym amerykańskim księżycem, jak nazywała to światło, trajkotała po chińsku. Mówiła i mówiła, chociaż udawałam, że śpię. I dalej jazgotała, kiedy się budziłam. W taki to sposób ja jedna w naszej rodzinie nauczyłam się chińskiego. Kwan zaraziła mnie chińszczyzną, którą wchłaniałam porami w czasie snu. Wbijała mi swoje chińskie sekrety do głowy, aż zmieniła moje pojęcie o świecie. Wkrótce po chińsku śniły mi się koszmary.

W zamian Kwan uczyła się angielskiego ode mnie i pewnie dlatego – tak myślę teraz – nie mówi po angielsku dobrze. Nie byłam nauczycielką pełną zapału. Kiedyś – miałam wówczas siedem lat – spletałam jej paskudnego figla. Leżałyśmy w

łózkach po ciemku.

– Libbi-ja – zaczęła Kwan – ta pyszna gruszka, którą zjadłyśmy dziś wieczorem, jak się nazywa po amerykańsku?

– Wyrzygana – odpowiedziałam i zakryłam usta, żeby nie usłyszała mojego chichotu.

– Wy-rzyy-gana... Fe! – zaopiniowała. – Ciężkie słowo na taki delikatny smak. Nigdy nie jadłam takiego dobrego owocu. Libbi-ja, jesteś szczęśliwą dziewczynką. Gdyby tylko moja matka nie umarła...

Potrafiła zjechać z prawie każdego tematu na tragedie swego dawnego życia, o którym wszystko mi opowiadała w naszym potajemnym języku chińskim.

Innym razem patrzyła, jak przebieram wśród pocztówek na Dzień Świętego Walentego, rozrzuconych po moim łóżku. Podeszła, wzięła jedną.

– Co to obrazuje?

– To jest serce. Czyli miłość. Rozumiesz, wszystkie te karty są z sercami. Muszę dać taką każdemu w mojej klasie. Ale to nie znaczy, że naprawdę ich wszystkich kocham.

Wróciła do swojego łóżka i położyła się.

– Libbi-ja – powiedziała. – Gdyby tylko moja matka nie umarła na chorobę serca. Westchnęłam, ale nie spojrzałam na nią. Znowu to samo.

Milczała przez chwilę, po czym zapytała:

– Czy wiesz, co to jest choroba serca?

– Co?

– To jest jak ogrzewasz się przy swojej rodzinie, a potem słomiany dach odlatuje i gdzieś cię porywa.

– Aha.

– Rozumiesz, moja matka umarła nie na chorobę płuc, nic takiego.

I wtedy mi opowiedziała, jak nasz ojciec zaraził się chorobą nadmiaru dobrych

snów. Nie mógł przestać myśleć o bogactwach i łatwiejszym życiu, więc przepadł, dał się ponieść z życia Kwan i jej matki i zmył wspomnienia o żonie i dziecku, które zostawił.

– Nie mówię, że nasz ojciec był złym człowiekiem – szeptała Kwan ochryple. – Nie. Ale jego wierność nie była silna. Libbi-ja, czy wiesz, co to jest wierność?

– Co?

– To jest, jak poprosisz kogoś: „Odetnij sobie rękę, bo mnie tym uratujesz i nie odleczę z dachem”, a ten ktoś zaraz sobie odcina obie ręce, na dowód, że bardzo chce cię uratować.

– Aha.

– Ale nasz ojciec tak nie zrobił. Odszedł, kiedy moja matka miała urodzić następne dziecko. Ja ci nie kłamię, Libbi-ja, tak się stało, miałam wtedy cztery lata mojego chińskiego wieku i nigdy nie zapomnę. Leżałam przy matce i rozcierałam jej brzuch. Była jak arbuz, taka napęczniała. – Rozciągnęła szeroko ręce. – Potem woda z jej brzucha popłynęła jak łzy i ona się smuciła. – Ręce Kwan opadły do boków. – To biedne głodujące dziecko w brzuchu wyjadło jej środek serca i dlatego ona i dziecko umarły.

Na pewno w opowiadaniach Kwan zawsze jest sporo metafor. Ale w dzieciństwie przyjmowałam to wszystko dosłownie – odrąbane ręce, wylatujące z domu bez dachu, ojciec na falach Morza Chińskiego, dzieciątko, które ssie serce swojej matki. Te obrazy stały się fantomami. Widziałam je tak, jakbym patrzyła na filmowy horror, zasłaniając sobie oczy, ale wlepiając wzrok przez szpary między palcami. Oddawałam się w niewolę, Kwan stawała się moją panią. Na końcu swoich opowiadań zawsze mówiła:

– Tylko ty jedna wiesz. Nie mów nikomu. Nigdy. Przyrzekasz, Libbi-ja?

A ja najpierw potrząsałam, a potem kiwałam głową poddańczo – zarówno ze strachu, jak w poczuciu uprzywilejowania.

Pewnego wieczoru, kiedy oczy mi się już kleiły, Kwan znów zaczęła trajkotać po chińsku:

– Libbi-ja, muszę ci coś powiedzieć, zakazany sekret. To za duży ciężar, żebym go w sobie trzymała choć trochę dłużej.

Ziewnęłam, mając nadzieję, że zrozumie i umilknie.

– Ja mam oczy *yin*.

– Jakie?

– Naprawdę. Mam oczy *yin*. Mogą widzieć ludzi *yin*.

– Co to znaczy?

– Dobrze, powiem ci. Ale przedtem musisz przyrzec, że nigdy nikomu nie powiesz. Nigdy. Przyrzekasz?

– Dobrze. Przyrzekam.

– Ludzie *yin* to ci, którzy już umarli.

Zaparło mi dech.

– Tu teraz są duchy? – wyszeptałam.

– Och tak, dużo. Dużo, dużo dobrych przyjaciół.

Naciągnęłam kołdrę na głowę.

– Wyproś ich stąd.

– Nie bój się, Libbi-ja, nie chowaj się. To także twoi przyjaciele. Och, widzisz, śmieją się z ciebie takiej przestraszonej.

Rozpłakałam się. Po chwili Kwan westchnęła i powiedziała rozczarowana:

– W porządku. Już nie płacz. Już ich nie ma.

Tak to zaczęła się sprawa duchów. Kiedy w końcu wyrzałam spod kołdry, Kwan siedziała wyprostowana, w sztucznej poświacie swojego amerykańskiego księżyca odwrócona do okna, jak gdyby patrzyła na gości uchodzących w mrok nocy.

Rano poszłam do mamy i zrobiłam to, czego przyrzekłam nie robić: powiedziałam, że Kwan ma oczy *yin*.



Teraz, kiedy jestem dorosła, zdaję sobie sprawę, że nie z mojej winy Kwan znalazła się w szpitalu dla psychicznie chorych. Ona sama to na siebie ściągnęła. Ostatecznie ja byłam dzieckiem zaledwie siedmioletnim, przerażonym nieprzytomnie. Musiałam powiedzieć matce, co Kwan mówi. Myślałam, że mama po prostu każe jej przestać. Ale tata Bob, kiedy dowiedział się o duchach Kwan, wpadł we wściekłość. Mama zaproponowała, że pójdzie z nią do starego kościoła St. Mary na rozmowę z księdzem, ale tata Bob powiedział, że nie, spowiedź nie wystarczy. Zamiast tego zapisał Kwan na oddział psychiatryczny w Pomocy Maryjnej. Odwiedziłam ją tam w następnym tygodniu. Szepnęła:

– Libbi-ja, posłuchaj. Mam sekret. Nie mów nikomu. – I dalej po chińsku. – Kiedy ci doktorzy i pielęgniarki mnie wypytują, ja ich uważam za amerykańskie duchy... Nie widzę ich, nie słyszę ich, nie rozmawiam z nimi. Wkrótce będą wiedzieli, że nie mogą mnie zmienić, więc muszą mnie puścić.

Pamiętam, że wydawała się nie do poruszenia, jak kamienny pałacowy pies.

Niestety, chiński milczący opór Kwan nie poskutkował. Lekarze orzekli, że jest katatoniczka. Jej chińskie duchy były dla tych lekarzy na początku lat sześćdziesiątych objawem poważnych zaburzeń umysłowych. Zaaplikowano jej elektrowstrząsy.

– Raz – powiedziała.

– Dwa razy – wyszlochała, a potem sama już nie wiedziała, ile razy.

W czasie moich odwiedzin w następnym tygodniu znów się zwierzyła:

– Ta cała elektryczność rozwiązała mi język i już nie mogłam być niema jak ryba. Stałam się wiejską kaczką, kwakałam kwa kwa kwa... Chwaliłam się Światem Yin. Wtedy cztery złe duchy wrzasnęły: „Jak możesz mówić nasze sekrety?” Dały mi *yin-yang-tou*... Zmusiły mnie, żebym sobie wyrwała połowę włosów. Dlatego pielęgniarka zgoliła mi wszystkie. Bo nie mogłam przestać ich ciągnąć, aż jedną

stronę głowy miałam łysą jak melon, a drugą owłosioną jak kokos. Duchy mnie napiętnowały za to, że mam dwie twarze: jedną wierną, drugą zdrajczyni. Ale ja nie jestem zdrajczynią! Popatrz na mnie Libbi-ja. Czy moja twarz jest wierna? Co widzisz?

To, co widziałam, sprawiło, że ogarnął mnie paraliżujący lęk. Ona wyglądała, jakby ją ostrzyżono na jeża ręczną kosiarką. To było tak straszne jak widok zabląkanego zwierzęcia, biegającego bezradnie po ulicy. A wiedziałam, jakie miała włosy – piękne, długie do pasa. Palce wprost mi pływały w ich jedwabistych czarnych falach. Nieraz też szarpałam tą jej grzywą jak lejcami muła, wykrzykując: „Wio, Kwan, zarzyj!”

Sięgnęła po moją rękę i przeciągnęła ją sobie po głowie szorstkiej niczym papier ścierny. Zaczęła szeptać o przyjaciółach i wrogach w Chinach. Szeptala i szeptala, jak gdyby wskutek elektrowstrząsów wyleciały jej zawiasy szczęki, tym samym już nie dającej się zamknąć. Bałam się, że mnie zarazi chorobą swojej obłądnej szeptaniny.

Po dziś dzień nie wiem, dlaczego Kwan nigdy nie miała do mnie pretensji o to, co się stało. Na pewno wiedziała, że znalazła się w szpitalu przeze mnie. Kiedy wróciła z Pomocy Maryjnej, podarowała mi swoją plastikową bransoletkę identyfikacyjną na pamiątkę. Opowiadała, jak dzieci ze szkoły niedzielnej śpiewały dla chorych „Cichą noc” i jak się rozkrzyczały, kiedy jakiś starzec wrzasnął: „Zamknijcie jadaczki!” Opowiadała o pacjentach opętanych przez duchy wcale nie takie, jak ci mili ludzie *yin*, których ona zna, i to naprawdę szkoda, wzdychała, że nie takie. Ani razu nie powiedziała: „Libbi-ja, jak mogłaś wygadać mój sekret?”

A przecież pamiętam, że zawsze czułam się winna – zdradziłam ją i dlatego zwariowała. Byłam przekonana, że także z mojej winy aplikowano jej elektrowstrząsy, które wyzwoliły wszystkie jej duchy.

To było ponad trzydzieści lat temu, a Kwan wciąż jeszcze ubolewa.

– Miałam włosy takie piękne, lśniące gładko jak wodospad, chłodno śliskie jak węgorz. A teraz patrz. Ta cała wstrząsowa kuracja... Tak jak bym sobie zrobiła złą wieczną ondulację w domu, jak bym za długo zostawiła na głowie jakieś tanie paskudztwo. Ten mój wspaniały kolor... spalony. Ta miękkość się poskręcała. Mam teraz włosy jak druty, kłują mnie w mózg, aż przestał mówić w mowie *yin*! To właśnie mi zrobili, ha, jednak ja się nie zmieniam! Rozumiesz? Nadal jestem mocna.

Kwan ma rację. Włosy jej odrosły, ale szorstkie jak sierść teriera. I kiedy je szczotkuje, całe pasma trzeszczą, jeżą się gniewnie, trzaskają jak włókna w przepalającej się żarówce. Wyjaśniła kiedyś:

– Cała ta elektryczność, jaką doktor mi władował w mózg, teraz przebiega we mnie całej w kółko jak koń po torze wyścigowym.

Jeszcze teraz twierdzi, że dlatego nie może stanąć w odległości trzech stóp od telewizora, żeby nie syczał. Nie korzysta z walkmana, którego dostała od George'a, swego męża; musi uziemiać go, przykładając do uda, bo inaczej jakikolwiek program nastroi, słyszy tylko „straszna muzykę, bum-pach-pach-bum-pach-pach”. Nie może nosić zegarka żadnego rodzaju. W bingo wygrała zegarek elektroniczny i kiedy go włożyła na rękę, cyfry zaczęły ulegać mutacji jak owoce w automacie do gry. Po dwóch godzinach zegarek stanął.

– Miałam najwyższą wygraną – opowiadała. – Osiem-osiem-osiem-osiem-osiem. Szczęśliwe liczby, niedobry zegarek.

Bez żadnego przeszkolenia technicznego Kwan może w ciągu sekundy ustalić przyczynę czy to krótkiego spięcia w elektrycznym gniazdku, czy to uszkodzenia w aparacie fotograficznym. Nieraz to robiła z moim sprzętem. A ja przecież fotografuję zawodowo, podczas gdy ona ledwie pstryknie zdjęcie. Jednak znajduje tę część aparatu, kabla czy baterii, gdzie jest defekt, a później, kiedy posyłam zepsuty aparat do serwisu w Sacramento, dowiaduję się, że miała całkowitą rację. Widziałam

również, jak Kwan podłącza głuchy telefon, bez sznura, tylko przyciśnięciem palców do tylnego akumulatora. Sama nie potrafi tego wytłumaczyć, ja też nie. Mogę tylko zaświadczyć jej niezawodność pod tym względem.

Ale chyba najbardziej niesamowitą jej zdolnością jest rozpoznawanie chorób. Podając komuś rękę, ona od razu wie, że ów ktoś miał kiedyś złamaną kość, choćby już dawno zrosła się należycie. Wie od razu, że ktoś cierpi na artretyzm, ma kłopoty ze ścięgnami, zapalenie torebki stawowej, ischias. Naprawdę świetnie rozpoznaje wszystkie choroby, które nazywa „kości piekące”, „gorączka rąk”, „skwaszone stawy”, „noga jak wąż” i które według niej są spowodowane jedzeniem rzeczy zimnych i gorących naraz albo wyliczaniem rozczarowań na palcach, albo za częstym ubolewającym potrząsaniem głową, albo też magazynowaniem zmartwień pomiędzy szczęką i pięściami. Nie potrafi nikogo natychmiast wyleczyć. Nie jest chodzącą Grotą z Lourdes, ale sporo osób twierdzi, że jej dotknięcie dobrze działa. Na przykład jej klienci w drogerii Spencera w okolicy Castro, gdzie ona pracuje. Większość ludzi, którzy tam przychodzą po przepisane leki to geje – „kawalerowie”, jak ich nazywa. Pracując tam od dwudziestu z górą lat wie, że niektórzy z jej klientów chorują na AIDS. Tym szybko pociera ramiona i służy medyczną radą.

– Pan ciągle jeszcze pije piwo, je ostre potrawy? Razem, jednocześnie? Haa! A co ja panu mówię? Uuu! Jak pan może wydobrzeć, kiedy pan to robi? No jak!

Aż można by myśleć, że mówi do małych dzieci domagających się, żeby je rozpieszczać.

Niejeden klient, chociaż może mieć gratis dostawę do domu, wstępuje tam codziennie. Wiem, dlaczego.

Kiedy Kwan przykładła ręce do miejsca, które boli, czuje się mrowienie, tysiąc elfików płasza pod skórą, a potem krew krąży tak, jakby się miało w żyłach ciepłą wodę. Nie jest się wyleczonym, ale następuje uspokojenie, uczucie fali spokojnego morza.

Kwan kiedyś mi powiedziała:

– Po śmierci ci kawalerowie *yin* jeszcze przychodzą do mnie. Nazywają mnie doktor Kwan. Żartem, oczywiście. – I dodała nieśmiało po angielsku: – Może też i z szacunku. Jak myślisz, Libbi-ja?

Nikt w naszej rodzinie nie mówi o niezwykłych zdolnościach Kwan. To by tylko skierowało uwagę na znany nam fakt, że Kwan jest dziwna nawet według kryteriów chińskich, nawet według kryteriów San Francisco. Wiele z tego, co mówi i robi, byłoby ciężką próbą dla łatwowierności ludzi – tych, którzy nie są umyślowo chorzy ani nie mieszkają na farmach sekciarskich.

Ja już nie uważam, że moja siostra jest pomyłona. A nawet gdyby była, to dosyć nieszkodliwie, oczywiście jeżeli ludzie nie traktują jej poważnie. Ona nie skanduje na chodniku tak jak ten facet na Market Street, głoszący, że skazana Kalifornia osunie się w ocean niczym półmisek z krewetkami. I nie spekuluje na nadchodzeniu Nowej Ery, i nikt nie musi jej płacić stu pięćdziesięciu dolarów za godzinę, żeby mu powiedziała, co było nie tak jak trzeba w jego przeszłości. Ona powie za darmo, nawet nie proszona.

Przeważnie Kwan jest jak każda inna osoba, która stoi w ogonku, kupuje przeceniony towar i zaoszczędzenie na tym bodaj kilku centów uważa za sukces.

– Libbi-ja – oznajmiła dziś rano przez telefon – kupiłam wczoraj za pół ceny pantofle na wyprzedaży, Emporium Capwell. Zgadnij, ile zapłaciłam. Zgadnij.

Ale Kwan jest dziwaczką, co tu dużo mówić. Czasami mnie to bawi. Czasami drażni. Najczęściej denerwuję się, a nawet gniewam – nie na Kwan, tylko na obrót rzeczy zawsze inny niż ma się nadzieję. Dlaczego wzięłam sobie Kwan za siostrę? Dlaczego ona wzięła sobie mnie?

Od czasu do czasu zastanawiam się, jak by się układało pomiędzy Kwan i mną, gdyby ona była bardziej normalna. No, ale kto naprawdę wie, co jest normalne? Może w jakimś innym kraju Kwan wcale by nie odbiegała od normy. Może w jakiejś

części Chin, w Hongkongu czy na Tajwanie otaczano by ją czcią. Może jest miejsce na świecie, gdzie każdy ma siostrę o oczach *yin*.

Kwan wkrótce ukończy pięćdziesiąt lat. Ja jestem o całe dwanaście lat młodsza, co ona zaznacza z dumą, ilekroć ktoś grzecznie zapyta, która z nas jest starsza. Przy ludziach Kwan lubi szczypać mnie w policzek i upominać, że skóra mi wiotczeje, bo palę papierosy i piję za dużo wina i kawy – złe nawyki, w jakie ona nie popadła.

– Ale muszę się powstrzymać – mówi z upodobaniem.

Kwan nie jest ani głęboka, ani subtelna – wszystko uzewnętrznia, tak żeby wszyscy wiedzieli. Nikt by się nie domyślił, że jesteśmy siostrami.

Kiedyś Kevin zażartował, że może komuniści przysłali nam nie tę dziewczynę, o którą nam chodziło, bo są przekonani, że dla Amerykanów Chinki wyglądają jednakowo. Kiedy to usłyszałam, zaczęłam sobie wyobrażać, że pewnego dnia dostaniemy list z Chin z przeprosinami: „Przykro nam, proszę państwa. Zaszła pomyłka”.

Pod tyłoma względami Kwan zawsze odróżniała się od naszej rodziny. Nasze rodzinne fotografie gwiazdkowe były jak zagadka dla dzieci „Co na tym obrazku jest nie tak jak trzeba?” Zawsze pośrodku w pierwszym rzędzie stała Kwan – w jaskrawej letniej sukience, z plastikowymi kokardkami przy skroniach i wariackim uśmiechem tak szerokim, że policzki prawie jej pękały. W końcu mama znalazła dla niej posadę pomocnicy kelnera w chińsko-amerykańskiej restauracji. Dopiero po miesiącu Kwan pojęła, że potrawy, które podaje, rzekomo są chińskie. Czas nie pomógł, żeby się zamerykanizowała, ani nie wydobył z niej podobieństwa w czymkolwiek do naszego ojca.

Natomiast ja wciąż słyszę, że najwięcej wzięłam po ojcu cech zarówno fizycznych, jak i osobowości.

– Patrzcie, ile Olivia może zjeść i ani trochę nie przybywa jej na wadze – mówi ciocia Betty. – Zupełnie jak Jack.

Mama kiedyś powiedziała:

– Olivia zawsze rozszczępia włos na czworo. Ma buchalterską mentalność swojego ojca. Nic dziwnego, że została fotografką.

Takie uwagi sprawiają, że zastanawiam się, co jeszcze przeniosły na mnie ojcowskie geny. Czy po nim odziedziczyłam moje czarne nastroje i to, że lubię solić owoce i strasznie boję się zarazków?

Kwan wprost przeciwnie, jest maleńkim dynamem – ledwie pięć stóp wzrostu – miniaturowym słoniem w składzie porcelany. Głośna i jaskrawa. Chodzi w fioletowym zakiecie w szachownicę i turkusowych spodniach. Szepcze donośnie, tak ochryple, jakby miała chroniczne zapalenie krtani, chociaż rzeczywiście nigdy nie choruje. Nie szczędzi zdrowotnych ostrzeżeń, przepisów na ziółka i dobrych rad prawie na wszystko, poczynając od rozbitych kubków i na rozbitym małżeństwie kończąc. Przeskakuje z tematu na temat, każdy urozmaica informacjami, gdzie co można kupić najtaniej. Tommy kiedyś powiedział, że Kwan jest zwolenniczką wolnych wypowiedzi, wolnego zrzeszania się, wolnego – tu ona ma na myśli nie wolność i nie powolność, tylko bezpłatność – mycia samochodów i napełniania baku benzyną. Jedyną zmianą, jaka w jej angielszczyźnie nastąpiła w ciągu tych trzydziestu lat, jest wartkość potoku słów. Ona jednak uważa, że mówi po angielsku wspaniale. Często poprawia swojego męża.

– Nie ukradnięty – poucza George'a. – Ukradniony.

Pomimo wszystkich wyraźnych różnic pomiędzy nami Kwan twierdzi, że jesteśmy identyczne. W jej przekonaniu łączy nas jakaś chińska kosmiczna pępowina i stąd te same cechy wrodzone, osobiste pobudki, los i szczęście.

– Ja i Libbi-ja – wyjaśnia Kwan nowym znajomym – jesteśmy takie same tutaj. – I stuka się w bok głowy. – Obie urodziłyśmy się w Roku Małpy. Która starsza? Zgadnijcie. Która? – I przyciska policzek do mojego policzka.

Kwan nigdy nie potrafiła poprawnie wymówić mojego imienia. Zawsze będę dla

niej Libbi-ja, nie Libby, jak ten sok pomidorowy, tylko Libbi-ja, jak kraj Muammara Kadafiego. W rezultacie jej mąż George Lew, jego dwaj synowie z pierwszego małżeństwa, i cała ta strona rodziny nazywają mnie także Libbi-ja. To „ja” zwłaszcza mnie irytuje. To jest chiński odpowiednik „hej”, więc to tak jakby „Libbi hej chodź tu”. Zapytałam kiedyś Kwan, czy chciałaby, żebym ją przedstawiała wszystkim „Kwan-hej!” Klepnęła mnie po ręce, uśmieła się do utraty tchu, po czym powiedziała ochryple:

– Chciałabym, chciałabym.

Tyle, jeśli chodzi o kulturowe paralele. Jest Libbi-ja, zawsze i wszędzie.

Nie mówię, że nie kocham Kwan. Jak mogę nie kochać mojej siostry? Pod wieloma względami ona jest dla mnie bardziej matką niż prawdziwa mama. Ale często z przykrością stwierdzam, że nic mnie do niej nie ciągnie. To znaczy, jesteśmy sobie bliskie w pewnym tego słowa znaczeniu. Wiemy o sobie dużo, głównie z historii, z tego, że miałyśmy przez dwanaście lat wspólną szafę, wspólną pastę do zębów, jadłyśmy te same płatki owsiane na śniadanie i w ogóle z całej powszedniości przebywania w jednej rodzinie. Rzeczywiście Kwan jest miła, a także wierna, nadzwyczaj wierna. Urwałaby ucho każdemu, kto by powiedział złe słowo o mnie. To bardzo się liczy. Tylko że nie chciałabym się z nią przyjaźnić tak jak nieraz serdecznie przyjaźnią się ze sobą dwie siostry. Toteż nie zwierzam się jej ze wszystkiego, chociaż ona wyjawia mi najbardziej osobiste szczegóły swojego życia. Na przykład powiedziała w zeszłym tygodniu o swoim mężu:

– Libbi-ja, znalazłam pieprzyk duży jak dziurka w moim nosie na... Jak wy nazywacie to, co mężczyzna ma między nogami – po chińsku my mówimy *yinnang* – krągłe takie i pomarszczone jak dwa włoskie orzechy.

– Moszna.

– Tak, tak. Znalazłam wielki pieprzyk na moszniach. Teraz codziennie powinnam oglądać, ach, mosznia George'a i sprawdzać, czy ten pieprzyk nie



zaczyna rosnać.

Dla Kwan nie ma żadnego tabu w rodzinie. Wszystko można wyczerpująco, okropnie roztrząsać. Ile wydałaś na urlop? Co ci zaszkodziło na cerę? Dlaczego masz grobową minę jak ryba w akwarium w restauracji?

A potem ona się dziwi, że odmawiam jej stałego miejsca w moim życiu, nawet towarzyskim. Jednak zaprasza mnie na kolację co tydzień, a także na każde nudne zebranie rodzinne – w zeszłym tygodniu przyjęcie z racji faktu, że ciotka George'a wreszcie, po pięćdziesięciu latach, otrzymała obywatelstwo Stanów Zjednoczonych; taka sprawa. W pojęciu Kwan tylko jakaś katastrofa mogłaby być powodem mojej nieobecności u niej. Będzie martwiła się głośno:

– Dlaczego nie przyszedł wczoraj wieczorem? Coś się stało?

– Nic się nie stało.

– Źle się czujesz?

– Nie.

– Chcesz, żebym przysłała do ciebie? Pomarańcze ci przyniosła? Mam za dużo, dobra cena, sześć za dolara.

– Naprawdę czuję się świetnie.

Jest jak osierocony kociak, przymila się do mojego serca. Zawsze tak było; obierała mi pomarańcze, kupowała cukierki i mówiła, jaka jestem mądra, o wiele, o wiele mądrzejsza od niej. A przecież ja nigdy nie starałam się być dla niej miła. W dzieciństwie często nie chciałam się z nią bawić. Od lat krzyczę na nią, uskarżam się, że mnie kompromituje. Nie pamiętam, ile razy kłamałam, żeby się z nią nie zobaczyć.

A ona jak zawsze sobie tłumaczy, że moje wybuchy to pomocne rady, moje słabe wykrety są pełne dobrych chęci, moje niemrawe serdeczne gesty dowodzą miłości siostrzanej. Kiedy nie mogę znieść tego ani chwili dłużej, tracę panowanie nad sobą i mówię jej, że jest pomyłona. A ona, zanim zdążę się zmitygować, klepie mnie po

ręce i śmieje się. I rana, którą jej zadałam, goi się natychmiast. A ja wciąż czuję się winna.

W ostatnich miesiącach Kwan stała się jeszcze bardziej kłopotliwa. Zwykle kiedy za trzecim razem nie chcę o czymś słyszeć, rezygnuje. Teraz jednak jej myśl jakby się zacięła. Irytuję się, ale też i obawiam, że może ona znów jest bliska załamania nerwowego. Kevin powiedział, że prawdopodobnie będzie przechodziła menopauzę. Ale ja widzę, że to coś więcej. Kwan, opętana bardziej niż zwykle, mówi coraz więcej o duchach. Wspomina Chiny w prawie każdej rozmowie ze mną – że powinna tam pojechać, zanim wszystko się zmieni i będzie za późno. Za późno na co? Ona nie wie.

I dochodzi sprawa mojego małżeństwa. Kwan po prostu nie przyjmuje do wiadomości faktu, że Simon i ja się rozeszliśmy. W istocie usilnie się stara sabotować nasz rozwód. W zeszłym tygodniu wydałam przyjęcie urodzinowe dla Kevina i zaprosiłam Bena Apfelbauma, mężczyznę, z którym się widuję. Kiedy przedstawiłam go Kwan, dodając, że on jest głosem w reklamach radiowych i ma do tego talent, powiedziała:

– Ach, Libbi-ja i ja, my obie mamy talent, żeby wyjść z trudnej sytuacji, a także wielki talent, żeby postawić na swoim. Prawda, że tak, Libbi-ja? – Brwi jej zadrgały.

– Simon, twój mąż, chyba zgadza się ze mną, co?

– Mój wkrótce były mąż – sprostowałam, po czym musiałam wyjaśnić Benowi: – Nasz rozwód będzie ostateczny za pięć miesięcy. Piętnastego grudnia.

– Może nie, może nie – powiedziała Kwan. Roześmiała się i uszczypnęła mnie w rękę. – Pan zna Simona?

Ben potrząsnął głową i zaczął:

– Olivia i ja poznaliśmy się u...

– Och, bardzo ładnie – zaczęła Kwan. Przysłoniła dłonią usta i szepnęła

poważnie: – Simon wygląda jak bliźniak Olivii. Pół-Chińczyk.

– Pół-Hawajczyk – poprawiłam ją. – I wcale nie jesteśmy do siebie podobni.

– Co robią pana matka i ojciec? – Kwan przyjrzała się kaszmirowej marynarce Bena.

– Oboje są na emeryturze, mieszkają w Missouri – odpowiedział.

– Niedola! Oj, oj! – Spojrzała na mnie. – To zbyt smutne.

Ilekroć Kwan mówi o Simonie, mam wrażenie, że mózg mi w głowie eksploduje, tak się staram nie wrzasnąć na nią. Ona myśli, że ponieważ ja zapoczątkowałam kroki rozwodowe, ja również mogę rozwód odwołać.

– Dlaczego nie przebaczyć? – powiedziała po przyjęciu. Oskubywała zwiędłe kwiatki z orchidei. – Upartość i gniew to bardzo złe dla ciebie. – Milczałam, więc spróbowała z innej beczki. – Chyba ty nadal masz silne uczucie do niego... mmhm! Bardzo, bardzo silne. Ach... zobacz! Popatrz na swoją twarz. Taka czerwona! To miłość napływa ci z serca. Mam rację? Odpowiedz. Mam rację?

A ja, przerzucając poranną pocztę, na każdej kopercie adresowanej do Simona Bishopa bazgrałam: *Wyprowadził się.*

Nigdy nie omawiałam z Kwan przyczyny naszego rozstania. Ona by nie zrozumiała. To jest zanadto skomplikowane. Nie było żadnego wydarzenia, żadnej kłótni, niczego, co można by wskazać i powiedzieć: „Oto powód”. Zerwanie nastąpiło wskutek wielu spraw: niewłaściwego początku, nieodpowiednich momentów, wielu lat przeżytych w przekonaniu, że nawyk i milczenie to to samo co zażyłość. Po siedemnastu latach, które przeżyłam z Simonem, wreszcie pojęłam, że potrzebuję w życiu czegoś więcej. Simon potrzebował mniej. Oczywiście, kochałam go – za bardzo. A on kochał mnie niedostatecznie. Po prostu potrzebny mi jest ktoś, kto stawia mnie na pierwszym miejscu. Już nie chcę przyjmować ochłapów uczucia.

Ale Kwan by tego nie rozumiała. Nie wie, jak ludzie potrafią zadawać rany, których nie da się wyleczyć. Wierzy w przeprosiny. Należy do tych naiwnych,

ufnych, wierzących też we wszystko, co słyszą w reklamach telewizyjnych. Wystarczy popatrzeć na jej dom przepełniony zabawkami dla dorosłych: są tam noże Ginsa, maszynki do krajania chleba i frytek, kratkownice, sokowirówki... O czymkolwiek mowa w reklamach, ona to kupuje: „Tylko dziewiętnaście dziewięćdziesiąt pięć, zamów zaraz, dostawa jeszcze dzisiaj”.

– Libbi-ja – powiedziała dziś Kwan przez telefon – mam ci coś do powiedzenia, bardzo ważna wiadomość. Dziś rano rozmawiałam z Lao Lu. Zdecydowaliśmy, że ty i Simon nie powinniście się rozwieść.

– To miło – powiedziałam. – Wyście zdecydowali.

Właśnie sprawdzałam moją książeczkę czekową, dodawałam i odejmowałam, ale udawałam, że słucham.

– Ja i Lao Lu. Pamiętasz go?

– Kuzyn George'a.

Wydawało mi się, że mąż Kwan jest spokrewniony z każdą osobą narodowości chińskiej w San Francisco.

– Nie, nie, Lao Lu nie kuzyn. Jak mogłaś zapomnieć? Mnóstwo razy już ci o nim opowiadałam. Stary, łysy. Mocna ręka, mocna noga, mocne panowanie nad sobą. Raz stracił panowanie, stracił głowę też. Odrąbali mu. Lao Lu mówi...

– Zaczekaj! Ktoś bez głowy teraz mówi mi, co mam zrobić ze swoim małżeństwem?

– Oj! Odrąbali mu sto lat temu, teraz wygląda świetnie, nie ma sprawy. Lao Lu mówi, że jeżeli ty, ja i Simon, my we troje pojedziemy do Chin, wszystko będzie dobrze. No jak, Libbi-ja?

Westchnęłam.

– Kwan. Naprawdę nie mam czasu rozmawiać o tym teraz. Jestem zajęta.

– Lao Lu mówi, że nie można podliczyć tylko książeczki czekowej, żeby

zobaczyć, ile zostało. Trzeba podliczyć życie także.

Skąd, na Boga, Kwan wiedziała, że ja siedzę nad moją książeczką czekową?

Tak to właśnie jest z Kwan i ze mną. W chwili kiedy nie daję jej wiary, ona trafia w dziesiątkę i bierze mnie, przerażoną, znów w niewolę. Dopóki jest w pobliżu, nigdy nie będę miała własnego życia. Zawsze będzie rościła sobie pretensję do większej jego części.

Dlaczego wciąż pozostaję jej kochaną siostrzyczką? Dlaczego uważa mnie za najważniejszą osobę w swoim życiu? Najważniejszą! Dlaczego powtarza raz po raz, że nawet gdybyśmy nie byli siostrami, ona by tak uważała?

– Libbi-ja – mówi – nigdy ciebie nie opuszczę.

Nie – chcę wrzasnąć – ja dla ciebie nic nie zrobiłam, już mi tego nie mów.

Bo mówiąc to, za każdym razem zmienia wszystkie moje zdrady w dług miłości. Zawsze będziemy wiedziały: ona jest wierna, ja będę musiała być wierna kiedyś.

Ale nawet gdybym odcięła sobie ręce, nie zdałoby się to na nic. Jak już powiedziała, nigdy mnie nie zwolni. Kiedyś wiatr będzie wył, a ona, trzymając się kępki strzechy, będzie miała odlecieć do Świata Yin. „Lećmy już! Prędej! – szepnie do mnie poprzez wycie wichury. – Tylko nie mów nikomu. Przyrzeknij mi, Libbi-ja”.

### **Ta, która łowiła ludzi**

Przed siódmą rano dzwoni telefon. Tylko Kwan telefonowałaby o takiej nieludzkiej godzinie. Włączam automatyczną sekretarkę.

– Libbi-ja – szepcze Kwan – Libbi-ja, jesteś? Mówi twoja starsza siostra... Kwan. Mam ci coś ważnego do powiedzenia... Chcesz słyszeć?... Tej nocy śniłaś mi się. I Simon także. Dziwny sen. Poszłaś do banku, sprawdzałaś, ile masz oszczędności. Nagle bankowy złodziej wbiega w drzwi. Prędko! Chowasz swoją torebkę. Więc bankowy złodziej kradnie pieniądze wszystkim, ale tobie nie. Później poszłaś do domu, wkładasz rękę do torebki, ach! Gdzie jest? Nie ma! Nie pieniędzy, tylko twojego serca! Teraz nie masz serca, jak możesz żyć? Bez energii, bez rumieńca na policzkach, blada, smutna, zmęczona. Prezes banku, gdzie są wszystkie twoje oszczędności, mówi: „Pożyczę ci moje serce. Nie na procent. Zwrócisz wszystko jedno kiedy”. Podnosisz wzrok, widzisz jego twarz... Czy wiesz, kto to jest, Libbi-ja? Zgadnij... Simon! Tak, tak, on daje swoje serce. Rozumiesz! Wciąż jeszcze cię kocha, Libbi-ja, nie wierzysz? To nie tylko sen... Libbi-ja, czy ty mnie słuchasz?

Kwan sprawiła, że potrafię zapamiętywać sny. Jeszcze teraz mogę sobie po nocy przypomnieć osiem, czasami dwanaście snów. Nauczyłam się tego, kiedy Kwan już wróciła do domu ze szpitala.

Ledwie zaczynałam się budzić, ona pytała:

– Tej nocy, Libbi-ja, kogo spotkałaś? Co widziałaś?

Na pół senna chwytalam się mgielek jakiegoś zanikającego świata i wciągałam się tam z powrotem. Stamtąd, z pogranicza, podawałam Kwan szczegóły tamtego

mojego życia: że miałam zniszczone stare pantofle, że przesunęłam kamień, spod którego wołała do mnie twarz jakiejś mojej matki. Kiedy milkłam, Kwan pytała:

– A przedtem dokąd poszłaś?

Ponaglana, odtwarzałam poprzedni sen, a potem poprzedzający ten poprzedni, niejedno życie i czasami śmierć. Właśnie momentów przed śmiercią w snach nigdy nie zapominam.

Przez lata życia we śnie stąпам po zimnych popiołach w parującą noc. Widuję tysiące włóczy, ich płomienne błyskanie na grzbiecie wzgórza. Czuję chropowatość kamiennego muru i czekam: zaraz mnie zabiją. Czuję piżmowy zapach własnego lęku, kiedy sznur zaciska mi się na szyi. Czuję wagę latania w nieważkim powietrzu. Słyszę swój charczący oddech, zanim życie się urwie.

– Co widziałaś po śmierci? – pytała zawsze Kwan.

Potrząsałam głową.

– Nie wiem. Oczy miałam zamknięte.

– Następnym razem otwórz oczy.

Przez większą część dzieciństwa myślałam, że wszyscy pamiętają sny, w których żyją innym życiem. Są kimś innym. Kwan tak pamiętała.

Kiedy wróciła do domu z oddziału psychiatrycznego, opowiadała mi do poduszki swoje sny. O ludziach *yin*, o kobiecie zwanej Wstęga, o mężczyźnie zwanym Peleryna, o jednookiej dziewczynie, rozbójniczce będącej na pół mężczyzną. Tak opowiadała, jak gdyby duchy były jej przyjaciółmi. Nie mówiłam mamie ani Bobowi, co Kwan opowiada. No bo jaki był skutek tego, że raz wygadałam!

Kiedy poszłam do college'u i mogłam ostatecznie uciec ze świata Kwan, już było na to za późno. Kwan zaszczepiła swoją wyobraźnię w mojej. Jej duchy nie dawały się wygnać z moich snów. Wciąż jeszcze słyszę te opowiadania Kwan po chińsku:

– Libbi-ja, czy ja ci mówiłam, co panna Wstęga obiecała, zanim umarliśmy?

Pamiętam, jak udawałam, że śpię.

A ona ciągnęła:

– Oczywiście, nie potrafię powiedzieć, jak dawno to się stało. Czas nie jest zawsze taki sam pomiędzy jednym życiem i następnym. Ale myślę, że to było w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym. Czy to był chiński rok księżycowy, czy data według zachodniego kalendarza, nie jestem pewna.

Aż w końcu zasypiałam, ale co ona w tym momencie mówiła, zawsze zapomniałam. Która więc część opowiadania była jej snem, a która moim? Gdzie te części się przecinały? Często Kwan mi opowiadała takie historie. A ja leżałam bezradna, pragnąc, żeby umilkła.

– Tak, tak, jestem pewna, że to był rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty, pamiętam teraz, bo ten rok wydawał się bardzo dziwny. Libbi-ja, tylko posłuchaj: *Yi-ba-liu-si*. Panna Wstęga powiedziała, że to znaczy utracić nadzieję, zsunąć się w śmierć. A ja powiedziałam: Nie, to znaczy mieć nadzieję, zmarli pozostają. Chińskie słowa są dobre i złe jednocześnie. W ten sposób znaczenie wielu zależy od tego, co ma się w sercu.

W każdym razie to był rok, w którym dałam pannie Wstędze herbatę. A ona mi dała szkatułkę z muzyką, którą kiedyś jej ukradłam, a potem zwróciłam. Pamiętam tamtą noc, jak miałyśmy tę szkatułkę pomiędzy sobą, a w niej te wszystkie rzeczy, których nie chciałyśmy zapomnieć. Byłyśmy chwilowo tylko my dwie same w Domu Ducha Kupca, gdzie mieszkaliśmy od sześciu lat z Czcicielami Jezusa. Stałyśmy tuż przy uświęconym krzaku... To był taki krzak z dziwnymi liśćmi, takimi samymi, z jakich zrobiłam dla panny Wstęgi herbatę. Tylko że teraz ten krzak leżał ścięty i panna Wstęga właśnie mówiła, że żałuje, że pozwoliła generałowi Pelerynie zabić ten krzak. Taka smutna upalna noc, woda spływała nam po twarzach, pot i łzy, cykady cykały coraz głośniejsze i cichsze. A później stałyśmy pod łukowym sklepieniem przejścia, śmiertelnie przerażone. Ale byłyśmy też szczęśliwe. Szczęśliwe, bo się



dowiedziałyśmy, że jesteśmy, nieszczęśliwe z tego samego powodu. To był rok, w którym oba nasze nieba się spaliły.

Poznałam ją sześć lat przedtem. Miałam wtedy czternaście lat, a ona dwadzieścia sześć, czy może mniej, czy może więcej – nigdy nie potrafiłam określić wieku cudzoziemców. Przywędrowałam z małej wioski na Górze Ostów na południe od Changmian. Nie byliśmy Punti, tymi Chińczykami, którzy twierdzą, że mają w żyłach dużo krwi Han znad Żółtej Rzeki, więc wszystko powinno należeć do nich. I nie byliśmy żadnym z plemion Zhuang, zawsze ze sobą walczących, wieś z wsią, klan z klanem. My byliśmy Hakka, goście – hrm! – to znaczy goście nie proszeni, tacy, co ich się nie prosi, żeby pozostawali w dobrym miejscu za długo. Więc mieszkaliśmy w jednej z wielu osad Hakka w biednej części gór, gdzie żeby uprawiać ziemię na urwiskach, trzeba stać na krawędzi jak koza i wykopać dwie taczki kamieni, zanim będzie się miało garść ryżu.

Kobiety tam pracowały tak samo ciężko jak mężczyźni – bez różnicy, kto dźwiga kamienie, kto robi węgiel drzewny, kto pilnuje zbiorów przed rozbójnikami nocą. Dlatego wszystkie kobiety Hakka były silne. Nie obwiązywałyśmy stóp jak dziewczęta Hau, które skakały na kikutach szerniałych i zgniłych niczym stare banany. Musiałyśmy chodzić po górach, wykonywać nasze prace bez krępującej odzieży, bez obuwia. Boso stąpałyśmy na osty, właśnie od ostów nasza góra wzięła swoją nazwę.

Przeciętna młoda Hakka z gór miała grube stwardnienia na stopach i piękną twarz z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi. Inne rodziny Hakka mieszkały blisko dużych miast; Yongan w górach i Jintian nad rzeką. Matki z tamtejszych biedniejszych rodzin chciały, żeby ich synowie żenili się z pracowitymi ładnymi dziewczętami z Góry Ostów. Na zaręczyny ci kawalerowie wspinali się wysoko do naszych wiosek, a nasze dziewczyny śpiewały stare góralskie pieśni, z którymi przyszliśmy z północy przed tysiącem lat. Kawaler musiał śpiewać w odpowiedzi

dla swojej wybranki, znajdować pasujące słowa. Jeżeli miał cichy głos albo słowa składał niezdarnie, och, to źle, nie nadawał się i już. Dlatego ludzie Hakka są nie tylko szalenie silni, ale mają dobre głosy i mądre głowy, żeby zdobyć wszystko, czego chcą.

Mówiło się u nas: „Kiedy się żenisz z dziewczyną z Gór Ostów, dostajesz w jednej żonie trzy woły: jednego do rozmnażania się, drugiego do orki, trzeciego do noszenia twojej starej matki”. Taka twarda była dziewczyna Hakka. Nigdy się nie uskarżała, nawet jeżeli kamień staczający się ze zbocza wybił jej oko.

To zdarzyło się mnie, kiedy miałam siedem lat. Byłam bardzo dumna z tej rany, płakałam tylko trochę. Babcia mi zaszyła dziurę po oku, a ja mówiłam, że ten kamień osunął się spod kopyt ducha konia, na którym jechał słynny duch dziewicy Nunumu; *nu* znaczy „dziewczyna”, *numu* znaczy „spojrzenie jak sztylet”. Nunumu, Dziewczyna Ze Wzrokiem Jak Sztylet. Ona straciła oko w młodości. Zobaczyła jak jeden Punti kradnie innemu Punti sól, i zanim zdążyła uciec, ten złodziej dźgnął ją sztyletem w twarz. Potem nasuwała róg chustki na swoje ślepe oko. A jej drugie oko powiększyło się, pociemniało i miało wzrok sokoli. Obrabowywała tylko samych Punti i kiedy oni widzieli jej oko jak sztylet, trzęśli się ze strachu.

Wszyscy Hakka z Góry Ostów podziwiali ją nie tylko dlatego, że obrabowywała Punti. Ona pierwsza z rozbójników Hakka przystąpiła do walki o Wielki Pokój, kiedy Niebiański Król zwrócił się do nas o pomoc. Wiosną zebrała zastęp dziewic Hakka i poprowadziła je do Guilin. Tam pojмали ją Manchu. Kiedy jej ścięli głowę, usta jeszcze się poruszały, zaklinały się, że ona wróci i będzie niszczyć ich rodziny przez sto pokoleń. Właśnie tamtego lata ja straciłam oko. Więc kiedy mówiłam wszystkim o Nunumu galopującej na duchu swego konia, ludzie powiedzieli, że to znak i że Nunumu wybrała mnie na swojego posłańca. Zupełnie tak jak Bóg chrześcijański wybrał jednego Hakka, żeby był Niebiańskim Królem. I czasami późną nocą myślałam, że naprawdę widzę Dziewicę Rozbójniczkę, niezbyt wyraźnie

oczywiście, bo w tamtym czasie miałam tylko jedno oko *yin*.

Wkrótce potem spotkałam mojego pierwszego cudzoziemca. Ilekroć cudzoziemcy przybywali do naszej prowincji, wszyscy wszędzie – od Nanning do Guilin – mówili o nich. Wielu z zachodu przyjeżdżało, żeby handlować cudzoziemskim błotem – opium – sprawiającym, że wariacko marzyły im się Chiny. I niektórzy przyjeżdżali sprzedawać broń: armaty, proch, karabiny – nie te prędkie, nowe, tylko powolne, takie, które się zapala zapalką, resztki z cudzoziemskich bitew już przegranych. Misjonarze przyjeżdżali do naszej prowincji, bo słyszeli, że Hakka są Czciicielami Boga. Chcieli zadbać o to, by więcej nas szło do ich nieba. Nie wiedzieli, że Czciiciel Boga to nie to samo, co Czciiciel Jezusa. Później wszyscy pojęliśmy, że nasze niebiosa nie są takie same.

Ale ten cudzoziemiec, którego ja spotkałam, nie był misjonarzem. To był amerykański generał. Ludzie Hakka nazywali go Peleryna, bo zawsze chodził w pelerynie. Bez kapelusza, ale w rękawiczkach czarnych i w czarnych butach z cholewami, i w krótkim szarym surducie zapinanym na guziki – och! jak błyszczące monety! – od pasa aż po szyję. I miał długą laskę z drewna palmowego ze srebrnym okuciem i z rączką: wyrzeźbioną z kości słoniowej nagą kobietą.

Kiedy przybył na Górę Ostów, ludzie ze wszystkich wiosek zeszli na dół i zebrali się w szerokiej zielonej niecce. Wjechał tam na płaszącym koniu, a za nim wjechało na kucach jego wojsko: pięćdziesięciu kantońskich żołnierzy, dawniej wioślarzy i żebraków, teraz ubranych w kolorowe mundury, które, jak słyszeliśmy, nie były chińskie ani Manchu, tylko pozostały z wojen we francuskiej Afryce. Ci żołnierze wołali:

– Czcietle Boga! My także jesteśmy Czciicielami Boga!

Niektórzy z nas myśleli, że Peleryna to Jezus albo, tak jak Niebiański Król, któryś z młodszych braci Jezusa. Był bardzo wysoki, miał duże wąsy, krótką brodę i falujące czarne włosy, które opadały mu na ramiona. Mężczyźni Hakka też

rozpuszczali swoje długie włosy – przestali wiązać je w ogon, bo Niebiański Król powiedział, że nasi ludzie już nie powinni słuchać praw Manchu. Ja nigdy przedtem nie widziałam żadnych cudzoziemców, więc w żaden sposób nie potrafiłam poznać, w jakim on naprawdę jest wieku. Ale wydawał mi się stary. Miał cerę koloru rzepy, oczy mroczne jak woda. I miał na twarzy zapadnięte miejsca i ostre rysy jak ktoś chory na niszczącą chorobę. Rzadko się uśmiechał, ale często się śmiał. I mówił szorstkie słowa, jakby ryczał osioł. U jego boku wciąż stał jakiś mężczyzna, służył mu za pośrednika, tłumaczył dwornym tonem to, co on mówił.

Kiedy zobaczyłam tego pośrednika, w pierwszej chwili pomyślałam, że to Chińczyk. W następnej chwili wydawało mi się, że to cudzoziemiec, a potem, że ani to, ani to. Był jak te jaszczurki, które nabierają koloru patyków i liści. Dowiedziałam się później, że jest z matki Chinki i ojca amerykańskiego handlarza. Splamiony na obie strony. Generał Peleryna nazywał go *yiban ren* – pół-człowiek.

Yiban nam powiedział, że Peleryna przyjechał prosto z Kantonu, gdzie zaprzyjaźnił się z Niebiańskim Królem Rewolucji Wielkiego Pokoju. Wszystkich ogarnęło zdumienie. Ten Niebiański Król był świątobliwym człowiekiem, urodzonym Hakka i wybranym przez Boga, żeby być Jego ukochanym młodszym synem, bratem Jezusa. Słuchaliśmy uważnie.

– Peleryna – mówił Yiban – jest amerykańskim przywódcą wojskowym, najważniejszym generałem, najwyższej rangi.

Ludzie aż zaszemrali.

– Przyjechał do Chin z za morza, żeby pomóc Czycielom Boga, zwolennikom Wielkiego Pokoju.

Ludzie zaczęli wołać:

– To dobrze! To dobrze!

– Peleryna sam jest Czycielem Boga i podziwia nas i nasze prawa zabraniające opium, złodziejstwa, rozkoszowania się sekretnymi częściami ciała kobiet.

Ludzie przytakiwali, a ja wpatrywałam się moim jedynym okiem w tę nagą panią na rączce laski Peleryny.

– On przybył – mówił Yiban – na pomoc nam w wygraniu bitwy z Manchu; taki jest plan Boga, napisany ponad tysiąc lat temu w Biblii, którą on trzyma.

Ludzie się pchali, żeby go widzieć. Zналиśmy podobny plan: Niebiański Król głosił, że Hakka odziedziczą Świat i będą rządzić w Królestwie Chińskim Boga. Yiban, czyli Peleryna, powiedział, że żołnierze Wielkiego Pokoju już zdobyli wiele miast, zebrali dużo pieniędzy i ziemi. A teraz walka ma się posunąć na północ – jeżeli tylko reszta Czcieli Boga na Górze Ostów przyłączy się do żołnierzy.

– Ci, którzy walczą – dodał – będą mieli swój udział w dostatkach: ciepłą odzież, mnóstwo żywności, broni, a później ziemię na własność, nową godność jako ludzie wyższego stanu, szkoły i przytułki dla mężczyzn i dla kobiet oddzielnie. I rodzinom pozostawionym na czas walki Niebiański Król będzie przysyłał żywność.

Wszyscy już wrzeszczeli:

– Wielki Pokój! Wielki Pokój!

Generał Peleryna stuknął laską. Wszyscy znów ucichli. Poleciał Yibanowi pokazać prezenty, które na prośbę Niebiańskiego Króla przywiózł dla nas. Beczki prochu! Wiązki karabinów! Kosze pełne mundurów z francuskiej Afryki, podartych i poplamionych krwią. Ale wszyscy się zgodzili, że te mundury nadal są bardzo piękne. Wszyscy mówili:

– Hej, patrzcie na te guziki, dotknijcie tego sukna.

Tamtego dnia wiele, wiele ludzi – mężczyzn i kobiet wstąpiło do wojska Niebiańskiego Króla. Ja nie mogłam. Za młoda, miałam tylko siedem lat, więc smuciłam się w sercu. Ale potem ci żołnierze kantońscy zaczęli rozdawać mundury tylko mężczyznom, wcale nie kobietom. Kiedy to zobaczyłam, już mi nie było tak smutno.

Mężczyźni wkładali tę swoją nową odzież. Kobiety oglądały karabiny i zapalki

do ich zapalania. Potem generał Peleryna znów stuknął laską i polecił Yibanowi przynieść prezent, który przywiózł dla nas od siebie. Napieraliśmy wszyscy do przodu, ciekawi tej jeszcze jednej niespodzianki. Yiban przyniósł klatkę z łożyny z dwoma białymi gołębiami. Generał Peleryna powiedział swoją dziwną chińszczyzną, że poprosił Boga o znak, czy będziemy armią zawsze zwycięską, i Bóg zesłał te właśnie gołębie. One – powiedział generał Peleryna – znaczą, że my, biedni Hakka, dostaniemy w nagrodę Wielki Pokój, którego łąkniemy od ponad tysiąca lat. Potem otworzył klatkę i wyciągnął oba ptaki. Rzucił je w powietrze, a ludzie ryczeli. Podbiegali, pchali się, podskakiwali, żeby złapać gołębie, zanim odlecą. Jeden z mężczyzn przewrócił się. Uderzył głową o kamień. Głowa mu pękła, zaczął się wylewać mózg. Ale ludzie dalej skakali po nim, usiłując schwytać te rzadkie, drogocenne ptaki. Jeden gołąb odleciał, ale drugi dał się złapać. Więc ktoś zjadł mięso tamtej nocy.

Moi rodzice przyłączyli się do walki. Moi wujowie, ciotki, moi starsi bracia, prawie wszyscy powyżej trzynastu lat na Górze Ostów, a także z miast poniżej. Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Chłopi i ziemianie, sprzedawcy zupy i nauczyciele, rozbójnicy i żebracy; i nie tylko Hakka, ale też plemiona Yao i Miao, i Zhuang, i nawet Punti, ci, którzy byli biedni. W tej wielkiej dla Chińczyków chwili wszyscy tak się zjednoczyliśmy.

Mnie pozostawili na Górze Ostów, u babci. Byliśmy żalosną wioską odpadków: niemowląt i dzieci, starców i kulawych, tchórzów i idiotów. A przecież byliśmy szczęśliwi, bo Niebiański Król, tak jak obiecał, przysyłał swoich żołnierzy z żywnością dla nas bardziej różnorodną niż mogliśmy sobie wyobrazić od stu lat. I ci żołnierze przynosili nam także opowieści o wielkich zwycięstwach. O tym, jak Niebiański Król ustanowił swoje nowe królestwo w Nankinie, gdzie uncji srebra jest więcej niż ryżu. I w jakich pięknych domach tam mieszkają mężczyźni i kobiety w oddzielnych obejściach. I jakie spokojne tam życie – kościół w niedzielę, żadnej

pracy tylko wypoczynek i zadowolenie. Miło nam było słyszeć, że teraz żyjemy w czasach Wielkiego Pokoju.

W drugim roku żołnierze przybywali z ryżem i solonymi rybami. W trzecim to był tylko ryż. Minęło jeszcze kilka lat. Pewnego dnia wrócił z Nankinu człowiek, który kiedyś mieszkał w naszej wiosce. Powiedział, że ma śmiertelnie dosyć Wielkiego Pokoju. Kiedy jest wielkie cierpienie, powiedział, wszyscy borykają się tak samo. Ale kiedy jest pokój, nikt nie chce być taki sam. Bogaci już się bogactwem nie dzielą. Mniej bogaci zazdroszczą i kradną. W Nankinie, powiedział, wszystkim chodzi o życie w zbytku, o przyjemności, o rozkosz sekretnych miejsc kobiet. Powiedział, że Niebiański Król mieszka teraz w pięknym pałacu i ma dużo konkubin. Pozwala, żeby jego królestwem rządził pewien człowiek przepojony Duchem Świętym. A generał Peleryna, chociaż wezwał wszystkich Hakka do boju, przyłączył się do Manchu i teraz jest zdrajcą, dał się kupić za złoto pewnego chińskiego bankiera i małżeństwo z jego córką. Zbyt dużo szczęścia, powiedział ten, który wrócił, zawsze się przelewa w łzy smutku.

Tę prawdę czuliśmy do głębi brzuchów. Byliśmy głodni. Niebiański Król zapomniał o nas. Zachodni przyjaciele nas zdradzili. Już nie dostawaliśmy żywności, nie słyszeliśmy opowiadań o zwycięstwie. Byliśmy biedni. Nie mieliśmy matek, ojców, śpiewających dziewcząt i chłopców. Bardzo marzliśmy zimą.

Nazajutrz rano wywędrowałam z wioski i z Góry Ostów. Miałam czternaście lat; dosyć, żeby sama torować sobie drogę w życiu. Moja babka zmarła rok przedtem, jej duch mnie nie zatrzymywał. Był dziewiąty dzień dziewiątego miesiąca, pamiętam, dzień, kiedy Chińczycy mają wspinać się na wysokie wzniesienie, a nie schodzić w dół, dzień hołdowania przodkom, dzień, kiedy Czciciele Boga przestawali udawać, że przestrzegają pięćdziesięciu dwóch niedziel zachodniego kalendarza, a nie uświęconych dni chińskiego almanachu. Szłam w dół, a potem przez doliny pomiędzy górami.

Już nie wiedziałam, w co wierzyć, komu ufać. Postanowiłam czekać na znak, zobaczyć, co się stanie.

Przyszłam do miasta nad rzeką, miasta zwanego Jin-tian. Ludziom Hakka, których spotykałam, mówiłam, że jestem Nunumu. Ale oni nie wiedzieli, kto to jest Dziewica Rozbójniczka. W Jintian nie była sławna. Więc tamtejsi Hakka nie podziwiali mojego oka, wybitego przez ducha kona. Litowali się nade mną, włożyli mi w dłoń kulkę starego ryżu, próbowali zrobić ze mnie na pół ślepą żebraczkę. Ale ja nie chciałam stać się tym, za co ludzie chcieli mnie uważać.

Dalej więc chodziłam po tym mieście i zastanawiałam się, jaką pracą mogłabym zarobić na jedzenie. Widziałam Kantończyków, którzy wycinali odciski z palców nóg, Yao, którzy wyrywali zęby, Punti, którzy wbijali igły w spuchnięte nogi. Ale nie umiałabym wyciągać pieniędzy z zepsutych części cudzych ciał. Szłam dalej, aż doszłam na niski brzeg szerokiej rzeki. Zobaczyłam, jak rybacy Hakka z łódek zarzucają w wodę duże sieci. Ale nie miałam ani sieci, ani łódki. I nie umiałam zgadywać, co sobie myślą chyże i chytne ryby.

Jeszcze się na nic nie zdecydowałam, kiedy usłyszałam okrzyki ludzi nad rzeką. Cudzoziemcy przyплыnęli! Pobiegnęłam do przystani. Dwaj chińscy *kuli* – jeden młody, jeden stary – schodzili wąską kładką z dużej łodzi, nieśli pudła, skrzynki i kufry. Potem zobaczyłam samych tych cudzoziemców stojących w łodzi – troje, czworo, pięcioro w ponurej czarnej odzieży, tylko ta najmniejsza z nich cudzoziemka w stroju połyskliwie brązowym i z włosami też połyskliwie brązowymi jak żuk, który zjada drzewo. To była panna Wstęga, ale oczywiście wtedy tego nie wiedziałam. Moje jedyne oko patrzyło na nich wszystkich. Pięć par cudzoziemskich oczu patrzyło, jak ci kulisi, młody i stary, schodzą chwiejnie długą, wąską kładką. Na ramionach mieli dwie tyki z wiszącym na skręconych sznurach dużym kufrem. Nagle połyskliwie brązowa cudzoziemka zbiegła do nich – kto wie, dlaczego? – może chciała im powiedzieć, żeby byli ostrożniejsi. I wtedy kładka



nagle podskoczyła, kufer się zachybotał, obaj kulisi się zachwiali, pięcioro cudzoziemców wypłynęło. W tył i w przód, w górę i w dół nasze oczy skakały z kładką, kulisi wytężali mięśnie, a ta połyskliwa cudzoziemka trzepotała się jak pisklę. Starszy kulis na dolnym końcu kładki zaskomlał głośno – usłyszałam trzask, patrzę, a z ramienia wybiła mu się łopatką. I już zaraz dwaj kulisi, jeden kufer i jedna połyskliwa cudzoziemka wpadli ze strasznym chlupnięciem w wodę rzeki.

Podbiegłam bliżej. Młodszy kulis już płynął do brzegu. Dwaj rybacy w łódce próbowali łowić rzeczy, które wyleciały z kufra: jasne stroje, ciągnące się jak wstęgi, pieniające się jak żagle, kapelusze z piórami, płynące jak kaczki, długie rękawiczki, grabiące wodę jak palce ducha. Ale nie próbowali pomóc ani kulisowi, chociaż miał złamane ramię, ani połyskliwej cudzoziemce. Inni cudzoziemcy też nie, bo bali się zejść na kładkę. Punt na brzegu nie chcieli, bo gdyby się wtrącili w wyroki losu, byłiby odpowiedzialni za życie dwojga uratowanych topielców. Ja nie myślałam w ten sposób. Ja byłam Hakka. A ludzie Hakka to Czyciele Boga. A Czyciele Boga to ci, którzy łowią ludzi. Więc sięgnęłam do wody po jedną z tych bambusowych tyk. Biegiem wzdłuż brzegu i tak trzymałam tę tykę, żeby sznury z niej płynęły z prądem. Stary kulis i cudzoziemka złapali się sznurów. Z całych sił przyciągnęłam ich do brzegu.

Natychmiast Punt odepchnęli mnie od nich. Starym kulisem wcale się nie zajęli. Leżał na brzegu, dyszał i klął. To był Lao Lu, który później został stróżem, bo ze złamanym ramieniem już nie mógł pracować jako kulis. A co do panny Wstęgi, to Punt przenieśli ją dalej od brzegu, gdzie zwymiotowała i rozplakała się. Kiedy cudzoziemcy w końcu zeszli z łodzi, Punt stłoczyli się wokół nich.

– Dajcie nam pieniądze! – krzyczeli.

Któryś z cudzoziemców cisnął garść małych monet na ziemię. Rzucili się jak ptaki na ziarno, a potem się rozbiegli.

Cudzoziemcy położyli pannę Wstęgę w jednym wozie, a połamanego kulisa w

drugim. Jeszcze trzy załadowali swoimi pudłami, skrzynkami i kuframi. I kiedy jechali do domu misji w Changmian, ja biegłam za nimi. I tak to się stało, że we troje – panna Wstęga, Lao Lu i ja – zamieszkaliśmy w jednym domu. I nasze trzy przeznaczenia spotkały się w tej rzece i splątały się, i skręciły jak włosy topielicy.

Gdyby panna Wstęga nie zeskoczyła na kładkę, Lao Lu wcale by nie złamał ramienia. Gdyby ramię mu się nie złamało, panna Wstęga nie zaczęłaby tonąć. Gdybym ja nie uratowała panny Wstęgi, jej by nie było przykro, że z jej winy Lao Lu złamał ramię. Gdybym nie uratowała Lao Lu, on by nie powiedział panie Wstędze, co ja zrobiłam. Gdyby panna Wstęga tego nie wiedziała, wcale nie poprosiłaby mnie, żebym została jej towarzyszką. Gdybym nie została jej towarzyszką, ona by nie utraciła mężczyzny, którego kochała.

Dom Ducha Kupca był w Changmian, a wieś Chang-mian była też na Górze Ostów, tylko że na północ od mojej wioski. Z Jintian wędrowało się tam pół dnia. Ale z tyloma kuframi i jęczącymi ludźmi w wozach droga stała się dwa razy dłuższa. Dowiedziałam się później, że Changmian znaczy „nie kończąca się pieśń”. Za tą wsią wyżej w górach jest wiele jaskiń. I kiedy wiatr wieje, z jaskiń słychać śpiew: Uu! Uuu! zupełnie jak głosy smutnych pań, które utraciły synów.

Tam właśnie mieszkałam przez ostatnie sześć lat mojego życia – w tym domu. Mieszkałam z panną Wstęgą, Lao Lu i misjonarzami – dwiema paniami i dwoma panami, Czciicielami Jezusa z Anglii. Wówczas tego nie wiedziałam. Panna Wstęga mi powiedziała wiele miesięcy później, kiedy już mogliśmy rozmawiać ze sobą jednym językiem. Powiedziała, że ci misjonarze przyłynęli do Macao, wygłosili tam trochę kazań, a potem popłynęli do Kantonu i znów wygłosili trochę kazań. Właśnie w Kantonie spotkali pannę Wstęgę. Mniej więcej wtedy nowo zawarty traktat pozwolił, żeby cudzoziemcy mieszkali w Chinach wszędzie, gdzie chcą. Więc ci misjonarze popłynęli zachodnią rzeką w głąb lądu do Jintian. A panna Wstęga z nimi.

Misja była obszernym obejściem z jednym dużym dziedzińcem pośrodku i czterema mniejszymi, z jednym dużym głównym domem i trzema mniejszymi. Kryte przejścia pomiędzy domami łączyły wszystko razem. A to wszystko razem otaczał wysoki mur. Nikt tam nie mieszkał już od ponad stu lat. Tylko cudzoziemcy by się zdecydowali mieszkać w domu przeklętym. Ci misjonarze powiedzieli, że nie wierzą w chińskie duchy.

Miejscowi ludzie mówili Lao Lu:

– Nie mieszka tam. Tam są duchy lisów.

Ale Lao Lu powiedział, że niczego się nie boi. Był kulisem kantońskim z dziada pradziada, od dziesięciu pokoleń kulisów! Miał dość siły, żeby się zapracować na śmierć i dość rozumu, żeby znaleźć odpowiedź na to, co chciał wiedzieć. Na przykład, gdyby się go zapytało, ile sztuk odzieży mają te cudzoziemskie panie, on by nie zgadywał, nie domyślałby się, że może po dwa tuziny każda. On by poszedł do pokoi tych pań w czasie, kiedy jadły w jadalni i policzyłby sztuka po sztuce, niczego nie kradnąc, oczywiście.

Powiedział mi, że panna Wstęga ma dwie pary trzewików, sześć par rękawiczek, pięć kapeluszy, trzy długie kostiumy, dwie pary czarnych pończoch, dwie pary białych pończoch, dwie pary białych pantalonów, jedną parasolkę i siedem innych rzeczy, może też do noszenia, ale on nie wie, na której części ciała.

Od Lao Lu dowiedziałam się sporo o tych cudzoziemcach. Dopiero później mi wyjaśnił, dlaczego miejscowi myślą, że ten dom jest przeklęty. Wiele lat przedtem to była letnia siedziba pewnego kupca, który zmarł w tajemniczy i straszny sposób. Potem jego żony poumierały, wszystkie cztery, jedna po drugiej, też w tajemniczy i straszny sposób – najmłodsza najpierw, najstarsza ostatnia – i wszystkie w czasie od pełni do pełni księżyca.

Jak Lao Lu, mnie też niełatwo było przestraszyć. Ale muszę ci powiedzieć, Libbi-ja: to, co tam się stało w pięć lat później, niezbitnie mnie przekonało, że Duch

Kupca wrócił.

### **Pies i boa**

Odkąd się rozstaliśmy, kłócę się z Simonem o opiekę nad Bubbą, moim psem. Simon czuje się upoważniony do wizytacji i spacerów z nim w weekend, i proszę bardzo, niech ma przywilej zbierania psich kupek. Ale niech nie będzie wobec psów taki rycerski. Lubi wyprowadzać Bubbę bez smyczy. Pozwala jej uganiać się po alejkach Presidio, po piaszczystym wybiegu dla psów przy Crissy Field, gdzie pitbull, rottweiler czy nawet rozzłoszczony cocker spaniel mógłby jednym kłapięciem szczęk rozgryźć trzyfuntowego yorkie na pół.

Dziś wieczorem w mieszkaniu Simona obliczaliśmy roczne dochody naszej pracującej na zlecenia domowej spółki, której jeszcze nie rozwiązaliśmy. Biorąc pod uwagę ulgi podatkowe, zdecydowaliśmy trwać na razie przy: małżeństwo składa wspólne zeznanie.

– Bubba to pies – powiedział Simon. – Ma prawo od czasu do czasu pobiegać swobodnie.

– Owszem, i dać się zabić. Nie pamiętasz, jak było z Sierżantem?

Simon przewrócił oczami, co miało znaczyć: „Znow to wywleka”. Sierżant, piesek Kwan, czupurny pekińczyk-maltańczyk rzucał się na każdego spotkanego psa. Mniej więcej pięć lat temu na spacerze z Simonem – bez smyczy – rozdarł nozdrza bokserowi.

Właściciel boksera przekazał Kwan rachunek weterynarza – do zapłacenia 800 dolarów. Upierałam się, żeby Simon zapłacił. Simon powiedział, że powinien zapłacić właściciel boksera, ponieważ bokser sprowokował atak. Kwan targowała się z kliniką zwierząt o każdą podaną w rachunku pozycję.

– A jeżeli Bubba rzuci się na jakiegoś psa tak jak Sierżant?

– Ten bokser zaczął – oświadczył Simon stanowczo.

– Sierżant był złośliwy, a ty jednak spuściłeś go ze smyczy i skończyło się na tym, że Kwan musiała zapłacić weterynarzowi.

– Jak to? Właściciel boksera zapłacił.

– O nie, wcale nie. Tylko Kwan tak powiedziała, żeby ci nie było głupio. Ja ci to już mówiłam, nie pamiętasz?

Simon skrzywił usta jak zawsze przed wyrażeniem powątpiewania.

– Nie pamiętam – mruknął.

– Pewnie, że nie. Pamiętasz tylko to, co chcesz pamiętać.

– Ach tak, a ty? – Uniósł dłoń, nie dopuszczając mnie do głosu. – Wiem, wiem. Ty masz pamięć niezawodną! Ty nigdy niczego nie zapominasz! No więc powiem ci: wypominanie każdego najdrobniejszego szczegółu nie ma nic wspólnego z pamięcią. To się nazywa cholerna pamiętliwość.

Te słowa Simona dręczyły mnie przez całą noc. Czy rzeczywiście długo zachowuję urazę? Nie, Simon po prostu się bronił, docinkiem za docinek. Cóż mogę poradzić na to, że urodziłam się z iskrą do zapamiętywania wszystkiego?

Ciocia Betty pierwsza mi powiedziała, że mam pamięć fotograficzną; właściwie jej zawdzięczam przekonanie, że wyrosnę na fotografkę. Powiedziała to przy ludziach, kiedy ją poprawiłam, bo niedokładnie opowiadała film, który razem widziałyśmy. Teraz, od piętnastu już lat zarabiając na życie aparatem fotograficznym, nadal nie wiem, co się rozumie przez fotograficzną pamięć. Przecież przypominam sobie przeszłość wcale nie tak, jak bym przeglądała stertę pomieszanych zdjęć, tylko raczej wybiórczo.

Gdyby mnie ktoś zapytał, jaki był mój adres, kiedy miałam siedem lat, numer domu nie mignąłby mi przed oczami. Musiałabym odtworzyć jakiś szczególny

moment: upalny dzień, zapach strzyżonego trawnika, szur-szur-szur gumowych pasków sandałów, moje pięty. Znow wchodziłabym po dwóch betonowych schodkach ganku, z łomoczącym sercem sięgając do czarnej skrzynki na listy. Gdzie jest? Gdzie ten głupi list od Arta Linklettera, zaproszenie do jego programu telewizyjnego? Listu nie było, ale jeszcze nie traciłam nadziei, mówiłam sobie: Może jestem nie pod tym adresem. Ale nie, to ten adres, te cyfry mosiężne powyżej: 3-6-2-4; są wszystkie – zmatowiały, zardzewiały przy śrubkach.

To właśnie pamiętam najlepiej – nie adresy, tylko ból, tę dawną kulę w gardle, przeświadczenie, że świat wybrał mnie sobie do ubliżania i lekceważenia. Czy w tym jest uraza? Tak bardzo pragnęłam być gościem w programie „Dzieci mówią najdziwniejsze rzeczy”. To była dla smarkaczy droga do sławy, a ja znow chciałam udowodnić matce, że jestem kimś specjalnym. I chciałam dać po nosie dzieciakom z sąsiedztwa: niech się wściekają, że ja mam uciechę, jakiej one nigdy nie będą miały. Jeżdżąc rowerem w kółko po naszej ulicy, obmyślałam, co powiem, kiedy w końcu zostanę zaproszona do tego programu. Powiem panu Linkletterowi o Kwan – same zabawne rzeczy – na przykład, jak mówiła, że kocha film „Południ Pacyfik”. Pan Linkletter wtedy uniesie brwi i ściągnie usta. „Olivio – zapyta – czy twoja siostra miała na myśli «Południowy Pacyfik»?” Publiczność zacznie się klepać po kolanach i pękać ze śmiechu, a ja będę promieniała dziecięcym zadziwieniem i inteligencją bijącą z mojej twarzy.

Stary Art zawsze sobie wyobrażał, że dzieci są miłe i naiwne, więc nie zdają sobie sprawy, jak kłopotliwe bywa to, co mówią. Ale te wszystkie dzieci, które występowały w jego programie, dobrze wiedziały, co robią. Bo czy kiedykolwiek wyjawiały prawdziwe sekrety – że nocą bawią się w pielęgniarkę i doktora, kradną gumę do żucia, petardy i magazyny kulturystów w sklepie meksykańskim na rogu? Znałam dzieciaki, które to robiły. To właśnie te kiedyś trzymały mnie za ręce na ziemi, żeby mnie sponiewierać, śmiały się i wrzeszczały:

– Siostra Olivii jest opóźniona!

Siedziały na mnie, aż się rozpląkałam – nienawidząc Kwan, nienawidząc siebie.

Kwan usiłowała mnie uspokoić. Zabrała mnie do Sklepiku Słodkich Marzeń. Siedziałyśmy na zewnątrz i lizałyśmy lody z orzechami w rożkach. Kapitan, nazwany tak przez Kwan najnowszy kundel, którego mama uratowała przed schroniskiem, leżał u naszych stóp i patrzył, czy trochę lodów mu nie skapnie.

– Libbi-ja, co to za słowo: o-paź-miona?

– Opóźniona – poprawiłam przeciągle. Jeszcze gniewałam się i na nią, i na te dzieciaki z sąsiedztwa. Liznęłam znów lody, myśląc o wszelkich jej opóźnieniach. – To znaczy *fantou* – powiedziałam. – Wiesz, głupia osoba, która nic nie rozumie.

Przytaknęła.

– I mówi bzdury, i zawsze wyrywa się z czymś nie w porę – dodałam.

Znów przytaknęła.

– I kiedy chłopaki się śmieją, ona nie wie, dlaczego.

Milczała bardzo długo, aż poczułam łaskotanie w piersi i zrobiło mi się nieswojo.

W końcu powiedziała po chińsku:

– Libbi-ja, myślisz, że to słowo to ja, opóźniona? Bądź szczerą.

Dalej lizałam lody ściekające po rożku i unikałam jej wzroku. Zauważyłam, że Kapitan też patrzy na mnie uważnie. Łaskotanie w piersi nie ustawało, dopóki nie westchnęłam głęboko.

– Właściwie nie – burknęłam.

Kwan uśmiechnęła się od ucha do ucha i pogłaskała mnie po ręce, co już po prostu przepełniło miarę.

– Kapitan! – wrzasnęłam. – Paskudny psie! Przestań żebrać!

Pies się skulił.

– Och, on nie żebra – powiedziała Kwan radośnie. – On tylko ma nadzieję. – Pogłaskała go po zadku, przytrzymała rożek z lodami nad jego łbem. – Mów po



angielsku!

Kapitan kichnął dwa razy, po czym warknął:

– Łauhiuff!!

Dała mu polizać lody.

– *Jang Zbongwe!* Mów po chińsku.

Nastąpiły dwa piskliwe skowyty.

Jeszcze raz dała mu polizać lody i jeszcze raz przymilnie zagadnęła go po chińsku. Zirytowałam się. Byle co może natychmiast ją i tego psa uszczęśliwić!

Później, wieczorem, Kwan znowu mnie zapytała, jak te dzieci się wyraziły. Tak mnie przybiła, że uznałam ją za rzeczywiście opóźnioną.

– Libbi-ja, śpisz? Dobrze, przepraszam, przepraszam, śpij dalej, to nieważne... tylko chciałam znowu się zapytać o to słowo opóźniona. Ach, ale ty już śpisz, więc może jutro, kiedy wrócisz ze szkoły... Wiesz, dziwne, kiedyś myślałam, że panna Wstęga jest taka... opóźniona. Niczego nie rozumiała... Libbi-ja, wiesz, to ja nauczyłam pannę Wstęgę mówić. Libbi-ja? Przepraszam, przepraszam, śpij dalej.

Ale naprawdę. Byłam jej nauczycielką. Kiedy ją poznałam, z początku mówiła jak małe dziecko. Nieraz śmiałam się, nie mogłam się powstrzymać. Ale ona nie miała mi za złe. Obie dobrze się bawiłyśmy, kiedy wciąż mówiłyśmy nie tak jak trzeba. Byłyśmy jak dwie aktorki w świątyni, używałyśmy rąk i brwi, i prędko kręciłyśmy stopami, żeby pokazać, co chcemy powiedzieć. W taki właśnie sposób ona mi opowiadała o swoim życiu przed przyjazdem do Chin.

I to, co opowiadała, ja zrozumiałam tak:

Urodziła się w rodzinie, która mieszkała w wiosce daleko, daleko na zachód od Góry Ostów, po drugiej stronie jakiegoś rozhuśtanego morza. To było za krajem, gdzie żyją czarni i za ziemią angielskich żołnierzy i portugalskich marynarzy. Jej rodzinna wioska była większa niż te wszystkie ziemie razem wzięte. Jej ojciec miał dużo statków, które przepływały przez to morze do innych krajów. Tam w tych

krajach zbierał pieniądze, które rosły jak kwiaty i zapach tych pieniędzy radował wielu ludzi.

Kiedy panna Wstęga miała pięć lat, jej dwóch młodszych braciszków zapędziło kurę do ciemnej dziury. I przy tym obaj tam wpadli i przelecieli aż na drugą stronę świata. Naturalnie matka chciała ich odnaleźć. Przed wschodem słońca i po zachodzie słońca wyciągała szyję jak kogut i pianiem wołała swoich zaginionych synów. Po wielu latach znalazła tę właśnie dziurę w ziemi i weszła tam, i też przeleciała na drugą stronę świata.

Ojciec powiedział pannie Wstędze: Musimy szukać naszej zaginionej rodziny.

Więc popłynęli przez rozhuśtane morze. Najpierw zatrzymali się na jednej hałaśliwej wyspie. Ojciec umieścił pannę Wstęgę w dużym pałacu, gdzie rządzą maleńcy ludzie, którzy wyglądali jak Jezus. Kiedy ojciec na polach zbierał kwiaty-pieniądze, te Jezusiki rzucały w pannę Wstęgę kamieniami i ścięły jej długie włosy. W dwa lata później ojciec wrócił i zabrał pannę Wstęgę na inną wyspę, gdzie rządziły wściekłe psy. Znowu umieścił ją w dużym pałacu i odszedł, żeby nazbierać jeszcze więcej kwiatów-pieniędzy. Kiedy jego nie było, te psy ganiały pannę Wstęgę i rozdzierały na niej sukienkę. Biegała po całej wyspie i szukała ojca. Zamiast niego spotkała wuja. Z tym wujem popłynęła do takiego miejsca w Chinach, gdzie mieszkali cudzoziemcy. Nie znalazła tam swojej rodziny. Pewnego dnia, kiedy leżała z wujem w łóżku, wuj stał się gorący i jednocześnie zimny, uniósł się w powietrze, a potem wpadł w morze. Na szczęście panna Wstęga spotkała innego wuja, mężczyznę z wieloma karabinami. Ten drugi wuj zabrał ją do Kantonu, gdzie także mieszkali cudzoziemcy. Co noc kładł swoje karabiny na łóżku i kazał pannie Wstędze je czyścić. Pewnego dnia odciął kawałek Chin, taki kawałek z wieloma pięknymi świątyniami. I popłynął do domu na tej pływającej wyspie, świątynie dał swojej żonie, a wyspę swojemu królowi. Ale panna Wstęga spotkała trzeciego wuja, także Jankesa, który też miał wiele karabinów. Ten był lepszy, cesał jej włosy.

Karmił ją brzoskwiniami. Tego wuja ona bardzo kochała. Pewnej nocy wielu Hakka wtargnęło do ich pokoju i zabrali wuja. Panna Wstęga pobiegła do Czcieli Jezusa prosić o pomoc. A oni powiedzieli: Padnij na kolana. Więc padła na kolana. Powiedzieli: Módl się. Więc się modliła. Zabrali ją w głąb lądu do Jintian, gdzie wpadła do rzeki i modliła się o ratunek. I właśnie wtedy ja ją wyratowałam.

Później panna Wstęga nauczyła się więcej chińskich słów i opowiedziała mi swoje życie na nowo. To, co mówiła, było już inne, więc ułożyłam to sobie w głowie też inaczej. Ona się urodziła w Ameryce, w kraju za Afryką, za Anglią i Portugalią. Jej rodzinna wioska była raczej wielkim miastem zwanym *Nu Ye*, tak jakby Krowi Księżyc. Może to był Nowy Jork. Jakaś spółka zwana *Russia* czy *Russo* miała te statki, a nie jej ojciec. On był urzędnikiem. Ta spółka kupowała w Indiach opium... – to właśnie były te kwiaty – a potem sprzedawała w Chinach, szerzyła chorobę marzeń wśród Chińczyków.

Kiedy panna Wstęga miała pięć lat, jej młodszy brat nie zapędził kury do dziury, tylko umarł na kurzą wysypkę czyli na wietrzną ospę. A jej matka nie wyciągała szyi jak kogut. Tylko gardło jej spuchło i umarła na chorobę dużego wola i została pochowana obok synów. Po tej tragedii ojciec zabrał pannę Wstęgę do Indii, gdzie nie rządzili Jezusikowie. Oddał ją tam do szkoły dla dzieci Czcieli Jezusa z Anglii i te dzieci były niegrzeczne i rozchukane, wcale nie świątobliwe. Później ojciec ją zabrał do Malakki, gdzie nie rządziły psy. Ona opowiadała o innej szkole, gdzie dzieci były także angielskie i jeszcze bardziej nieposłuszne niż te w Indiach. Ojciec odpłynął, żeby kupić jeszcze więcej opium w Indiach, ale w ogóle nie wrócił – dlatego, nie wiedziała, i smutków wciąż przybywało w jej sercu. Już nie miała ojca ani pieniędzy, ani domu. W młodziutkim wieku spotkała mężczyznę, ten mężczyzna zabrał ją do Macao. Tam było mnóstwo moskitów, więc umarł na malarię i pochowali go w morzu. Potem mieszkała z innym mężczyzną, angielskim kapitanem, który pomagał Manchu, pokonał Czcieli Boga i dostał duże pieniądze

za każde zdobyte miasto. I w końcu popłynął z powrotem do swojego kraju z mnóstwem zagrabionych skarbów świątynnych dla Anglii i swojej żony, a panna Wstęga zamieszkała z innym wojskowym, Jankesem. Ten pomagał Czciicielom Boga, walczył z Manchu, także zarobił pieniądze na łupach z miast, które on i Czciiele Boga palili doszczętnie. Ci trzej mężczyźni, powiedziała mi panna Wstęga, wcale nie byli jej wujami.

Ucieszyłam się.

– Panno Wstęgo – powiedziałam – to dobra wiadomość. Spanie w jednym łóżku z wujami nie jest przysługą dla ciotek.

Śmiała się. Więc widzisz, wtedy już mogliśmy śmiać się razem, bo rozumiałyśmy się bardzo dobrze. I ja już na swoich stwardniałych stopach miałam stare ciasne pantofle skórzane panny Wstęgi. Ale przedtem musiałam ją uczyć, żeby umiała mówić.

Na początek powiedziałam jej, że nazywam się Nunu-mu. Zaczęła nazywać mnie Panną Mu. Siedziałyśmy na dziedzińcu i uczyłam ją nazw wszystkich rzeczy, jakby była małym dzieckiem. A ona, jak dziecko, zapamiętywała ochoczo. Nie miała głowy zamkniętej na zardzewiałe zasuwki przed nowymi pojęciami. Nie była jak Czciiele Jezusa, których języki to skrzypiące stare koła wciąż na tych samych koleinach. Miała niezwykłą pamięć, nadzwyczajnie dobrą. Wszystko, co mówiłam, wchodziło jej w ucho, a potem wychodziło ustami.

Nauczyłam ją wskazywać i nazywać pięć pierwiastków, z których składa się świat materialny: metal, drzewo, woda, ogień, ziemia.

Nauczyłam ją, co sprawia, że świat jest miejscem do życia: wschód słońca i zachód słońca, upał, zimno, kurz i upał, kurz i wiatr, kurz i deszcz.

Nauczyłam ją, czego warto słuchać na tym świecie: wiatru, grzmotów, koni galopujących w kurzu, kamyków wpadających w wodę.

Nauczyłam ją, co przeraża: kiedy daje się słyszeć szybkie kroki w nocy, cichy

odgłos powolnego rozdzierania tkaniny, szczekanie psów, milczenie świerszczy.

Nauczyłam ją, że dwie rzeczy połączone mogą stać się trzecią rzeczą – woda i ziemia stają się błotem, gorąco i woda herbatą, cudzoziemcy i opium zmartwieniem.

Nauczyłam ją, że wspomnienia życia mają dla nas pięć smaków: słodki, kwaśny, gorzki, ostry i słony.

Pewnego dnia przyłożyła dłoń do piersi i zapytała, jak to jest po chińsku. Kiedy jej powiedziałam, poprosiła po chińsku:

– Panno Mu, chciałabym znać dużo słów, żeby mówić o moich piersiach!

Dopiero wtedy zrozumiałam, że chodzi jej o uczucia serca. Nazajutrz wzięłam ją na przechadzkę po wsi. Zobaczyłyśmy, jak ludzie się kłócą.

– To gniew – powiedziałam.

Zobaczyłyśmy, jak kobieta kładzie żywność na ołtarzu.

– Szacunek – powiedziałam.

Zobaczyłyśmy złodzieja z głową w drewnianym jarzmie.

– Wstyd – powiedziałam.

Zobaczyłyśmy, jak młoda dziewczyna nad rzeką zarzuca podartą starą sieć w płytką wodę.

– Nadzieja – powiedziałam.

Potem panna Wstęga wskazała mężczyznę, który usiłował przepchnąć za dużą beczkę przez za mały otwór drzwiowy.

– Nadzieja – powiedziała.

Ale dla mnie to nie była nadzieja – to była głupota, w głowie ryż zamiast mózgu. Więc się zastanowiłam, jak panna Wstęga nazwałaby po swojemu tamte uczucia, które jej pokazywałam. Czy uczucia cudzoziemców są zupełnie inne niż uczucia Chińczyków? Czy cudzoziemcy myślą, że wszystkie nasze nadzieje są głupie?

Ale z czasem panna Wstęga nauczyła się ode mnie widzieć świat prawie tak jak Chinka. O cykadach mówiła, że wyglądają jak martwe liście w podmuchu wiatru,

pod dotknięciem są jak trzeszczący papier, ich cykanie jest jak ryk ognia, pachną jak wzbijany kurz, a smakują jak diabeł smażący się w oleju. Nie cierpiały ich. Uważały, że są niepotrzebne na tym świecie. Ale rozumiesz, już potrafiła pięcioma zmysłami odczuwać świat jak Chinka. Tylko że zawsze był ten jej szósty zmysł, jej wycucie ważności po amerykańsku i to później powodowało kłopoty między nami. Bo jej wycucia prowadziły do orzeczeń, a orzeczenia do wyciągania wniosków czasami innych niż moje.

W dzieciństwie musiałam walczyć, żeby nie widzieć świata tak jak Kwan. Na przykład jej opowiadania o duchach. Kiedy przeszła kurację wstrząsową, doradziłam jej, żeby udawała, że nie widuje duchów, inaczej lekarze nie wypuszczą jej ze szpitala.

– Och, nie zdradź sekretu – powiedziała przytakując. – Tylko ty mnie znasz.

Wobec tego kiedy wróciła do domu, musiałam ze swojej strony udawać, że duchy są, bo bez tego nie byłoby naszego sekretu.

Staralam się zachowywać dwa przeciwległe punkty widzenia tak usilnie, że wkrótce już widziałam to, czego powinnam nie widzieć. Nieuniknione? Większość dzieci nie mając takich sióstr jak Kwan wyobraża sobie, że duchy czają się pod łóżkiem, gotowe złapać za nogi. Natomiast duchy Kwan siedziały na łóżku, oparte o wezłowie. Ja je widziałam.

Nie mówię o mglistych białych prześcieradłach wyjących „Oooo!” Jej duchy nie były też niewidzialne jak te sympatyczne duszki w telewizyjnym serialu, które podnoszą długopis czy kubek w powietrze. Jej duchy wyglądały tak, jakby były z krwi i kości. Gawędziły o dawnych dobrych czasach. Martwiły się i uskarżały. Nawet widziałam, jak jeden drapie w kark naszego psa, a Kapitan wtedy grzmoci łapą w podłogę i merda ogonem. Poza Kwan nikomu nie mówiłam, co widzę. Bałam się, że jak ją wysłaliby mnie do szpitala na elektrowstrząsy. To, co widziałam, było realne, nie miało w sobie nic ze snu. Jak gdyby moje oczy były projektorem

filmowym i wyświetlały film, dając postać i życie uczuciom, które z kogoś uciekły.

Pamiętam pewien szczególny dzień – miałam wtedy chyba osiem lat – sama w pokoju siedziałam na łóżku i ubierałam moją Barbie w najładniejszą toaletę balową. Nagle usłyszałam dziecięcy głos:

– *Gei wo kan.*

Podniosłam wzrok znad Barbie. Na łóżku Kwan siedziała ponura mała Chinka mniej więcej w moim wieku i wyraźnie chciała obejrzeć tę lalkę. Nie zlekłam się. To był drugi aspekt widywania duchów: widząc je, zawsze czułam się zupełnie spokojna, jak gdybym cała nasiąknęła jakimś łagodnym środkiem uspokajającym. Grzecznie zapytałam dziewczynkę, kim jest. Odpowiedziała piskliwie:

– *Lili-lili, lili-lili.*

Rzuciłam Barbie na łóżko Kwan i *lili-lili* wzięła ją w rękę.

Zdjęła z Barbie różowe boa, zajrzała pod różową obcisłą sukienkę z satyny. Gwałtownie okręciła rękami i nogami lalki.

– Uważaj, żeby nie połamać – upomniałam. Wyczuwałam jej ciekawość, jej zadziwienie, jej obawę, że ta lalka nie żyje. A przecież nie zastanawiałam się, skąd taka emocjonalna symbioza. Za bardzo się martwiłam, że ona zabierze Barbie ze sobą. Powiedziałam:

– Wystarczy. Oddaj.

Dziewczynka udawała, że nie słyszy. Podeszłam, wyrwałam jej lalkę z rąk i z powrotem usiadłam na swoim łóżku.

Od razu zauważyłam brak boa z różowych piórek.

– Oddaj! – krzyknęłam.

Ale dziewczynki już nie było – ku mojemu przerażeniu, bo dopiero wtedy odzyskałam zdrowe zmysły i pojęłam, że to duch. Zaczęłam szukać boa pod kołdrą, pod materacem i przy ścianie, pod bliźniaczymi łóżkami. Nie mogłam uwierzyć, że duch może wziąć coś rzeczywistego, sprawić, żeby zniknęło. Przez cały tydzień

potem szukałam boa Barbie, przetrząsałam kieszenie, szuflady, wszystkie kąty. I nie znalazłam. Uznałam, że duch dziewczynki naprawdę mi je ukradł.

Teraz nasuwają się logiczniejsze wyjaśnienia. Może Kapitan je porwał, zakopał za domem. Może wessał je odkurzacz mamy. Prawdopodobnie tak się stało. Ale kiedy byłam dzieckiem, słabo rozgraniczałam rzeczywistość i wyobraźnię. Kwan widziała to, w co wierzyła, ja widziałam to, w co nie chciałam wierzyć.

Kiedy byłam trochę starsza, duchy Kwan poszły sobie drogą innych dziecięcych wierzeń, jak Święty Mikołaj czy wielkanocny zajaczek. Nie mówiłam tego Kwan. Bo może by jej znowu, jak się to mówi, odbiło? Prywatnie przesunęłam jej duchy i Świat Yin do rzędu świętych zatwierdzonych przez Watykan i do koncepcji życia przysłego w zależności od zasług w życiu doczesnym. Podobało mi się zbieranie punktów za dobre uczynki, tak jak się zbiera znaczki na opakowaniach różnych artykułów, żeby wlepić je do książeczki, po czym zgłosić się po nagrodę: opiekacz czy wagę kuchenną. Tylko że zamiast takiego sprzętu otrzymuje się bilet w jedną stronę do nieba albo do piekła, albo do czyśćca – zależnie od ilości swoich dobrych i złych uczynków i od opinii, jaką wystawiają bliźni. Ale kiedy już się zdoła dostać do nieba, to nie wraca się stamtąd na ziemię jako duch, bo mogą wracać tylko święci. A ja raczej nie miałam zostać świętą.

Kiedyś zapytałam mamę, co to jest niebo, a mama powiedziała, że to jest miejsce wiecznych wakacji, gdzie wszystkie istoty ludzkie są sobie równe – królowie, królowe, włóczędzy, nauczyciele, małe dzieci.

– A gwiazdy filmowe? – zapytałam.

Mama powiedziała, że spotykają się tam ludzie wszelkiego rodzaju, jeżeli tylko byli dostateczni przyzwoici, żeby na niebo zasłużyć.

Nocą, kiedy Kwan trajkotała ze swoimi chińskimi duchami, wyliczałam na palcach tych, których chciałam spotkać w niebie. Próbowalam przy tym ustalić jakąś kolejność, gdybym musiała się ograniczyć do spotkania, powiedzmy, pięciu osób



tygodniowo. A więc Bóg, Jezus i Maryja – wiedziałam, że Ich powinnam wymienić przede wszystkim. I chciałam spotkać ojca i wszystkich innych bliskich z rodziny, którzy może już tam będą – tylko nie tatę Boba. Gdyby niebo było balem, wolałabym sto lat czekać pod ścianą, niż wpisać go do mojego karnetu balowego. Tak więc pierwszy tydzień w niebie był już kompletny, poniekąd nudny, ale konieczny. Za to w następnym tygodniu – ho! ho! Miałam spotkać sławnych, jeżeli już nie będą żyli. Beatlesów, Hayley Mills, Shirley Tempie, Dwayne'a Hickmana – i może Arta Linklettera, tego drania, który w końcu zrozumie, dlaczego powinien był mnie gościć w swoim głupim programie.

W pierwszej klasie szkoły średniej moja wersja życia po śmierci była trochę poważniejsza. Wyobrażałam sobie, że jest to przybytek bezgranicznej wiedzy, gdzie wszystko zostaje objawione – coś w rodzaju naszej biblioteki w śródmieściu, tylko że większej – i pobożne glosy mówią tam przez megafony, co wolno i czego nie wolno. Ten, kto był w życiu trochę, ale nie beznadziejnie zły, nie idzie do piekła, musi jednak zapłacić ogromną grzywnę. I może, jeżeli się zrobiło w życiu coś gorszego, idzie się do miejsca będącego dalszym ciągiem szkoły dla wszystkich złych dzieci, które palą papierosy, uciekają z domu, kradną w sklepach albo mają nieślubne dzieci. Ale jeśli się przestrzegało zasad i nie zostało się ciężarem dla społeczeństwa, można mieć wstęp od razu do nieba. A w niebie znajdzie się odpowiedź na to wszystko, o co katecheci nas pytają – na przykład:

- Czego powinniśmy się uczyć jako istoty ludzkie?
- Dlaczego powinniśmy pomagać mniej szczęśliwym?
- Jak możemy nie dopuszczać do wojen?

Miałam też nadzieję, że po śmierci dowiem się, co się stało z pewnymi rzeczami, które mi zginęły – jak boa Barbie i bardziej niedawno naszyjnik niby brylantowy. Podejrzywałam, że zwędził mi go mój brat Tommy, chociaż powiedział: „Ja go nie wzięłam, przysięgam na Boga”.

Ponadto chciałam wejrzeć w kilka nie wyjaśnionych tajemnic: Czy Lizzie Borden zabiła swoich rodziców? Kim był ten w Żelaznej Masce? Co właściwie się stało z Amelią Earhart? I kto spośród wszystkich skazanych na śmierć, którzy zostali straceni, był rzeczywiście winny, a kto niewinny? I jeśli już o to chodzi, jaka egzekucja jest najgorsza: powieszenie, zagazowanie czy krzesło elektryczne? Poza wyjaśnieniem tych kwestii miałam również znaleźć dowód, że to mój ojciec, a nie Kwan, powiedział prawdę, na co umarła jej matka.

Potem po college'u już nie wierzyłam w niebo i piekło, w żadną z tych metafor o nagrodzie i karze opartych na istnieniu absolutnego dobra i absolutnego zła. Poznałam Simona. On i ja paliliśmy z naszymi przyjaciółmi marihuanę i rozmawialiśmy o życiu po śmierci.

– To po prostu się nie klei, człowieku... To znaczy, żyje się mniej niż sto lat i raptem wszystko jest podsumowane i zwyczajka, bytuje się dalej przez miliardy lat albo leżąc na przysłowiowej plaży, albo piekąc się na rożnie jak *hot dogi*.

Nie mogliśmy też przyjąć logiki, że jedyna droga to Jezus. Czyli buddyści i Hindusi, i Żydzi, i Afrykanie, którzy nigdy nie słyszeli o Wszechmocnym Chrystusie, są skazani na piekło, podczas gdy członkowie Ku Klux Klanu nie. Pomiędzy jednym sztachnięciem a drugim, starając się nie wydychać dymu mówiliśmy:

– Auu, cóż za sens w takiej sprawiedliwości? I czego na przykład wszechświat się z tego nauczy?

Większość naszych przyjaciół wierzyła, że po śmierci nie ma nic – światła zgaszone, żadnego bólu, żadnej nagrody, żadnej kary.

Jeden z nich, Dave, powiedział, że nieśmiertelność trwa tylko dopóki ludzie pamiętają nieboszczyka. Tak więc Platon, Konfucjusz, Budda, Jezus są nieśmiertelni. Powiedział to, kiedy Simon i ja wróciliśmy z nabożeństwa żałobnego za naszego kolegę, Erika, który został wylosowany do poboru i poległ w Wietnamie.

– Czy choćby nawet nie byli naprawdę tacy, jak teraz się o nich pamięta? – zapytał Simon.

Dave się zawahał, po czym odpowiedział.

– Tak.

– A co z Erikiem? – zapytałam. – Jeżeli ludzie będą pamiętać dłużej Hitlera niż Erika, czy to znaczy, że Hitler jest nieśmiertelny, a Erie nie jest?

Dave znów się zawahał. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, Simon rzekł stanowczo:

– Erie był wspaniały. Nikt nigdy nie zapomni Erika. I jeżeli istnieje jakiś raj, to właśnie tam on jest teraz.

Pamiętam, że pokochałam Simona za tę wypowiedź. Bo ja też tak myślałam.

Jak te poglądy zniknęły? Czy nie inaczej niż boa, wtedy gdy nie patrzyłam? Czy powinnam dołożyć więcej starań, żeby je odnaleźć?

To nie urazy ja zachowuję. Pamiętam chińską dziewczynkę na łóżku Kwan. Pamiętam Erika. Pamiętam moc nienaruszalnej miłości. Wciąż jeszcze mam w pamięci miejsce, w którym trzymam te wszystkie duchy.

## Dom Ducha Kupca

Nowy przyjaciel mojej matki nazywa się Jaime Jofre.

Nie muszę go poznawać, żeby wiedzieć, że ma wdzięk, ciemne włosy i prawo do pracy w Stanach. Mówi z akcentem i mama, kiedy mi go już przedstawi, później zapyta: „Prawda, że on jest namiętny?” W jej przekonaniu słowa są tym płomienniejsze, z im większym trudem mężczyzna je znajduje, aż wreszcie rozedrganym głosem mówi raczej „amor” niż zwyczajnie „miłość”.

Ale mama, chociaż romantyczka, jest także praktyczna. Wymaga dowodów miłości. Dawaj, to dostaniesz. Bukiet kwiatów, lekcje tańca towarzyskiego. I oczywiście musi to być miłość w myśl jej, Louise, kryteriów: koniec z paleniem, tygodniowa kuracja w uzdrowisku. Najlepiej kąpiele błotne w Calistoga albo w Gospodzie Misyjnej w Sonoma. Mama uważa, że taką wymianę rozumieją przede wszystkim mężczyźni z krajów rozwijających się – nigdy nie powie „z trzeciego świata”. Kiedy kraj rozwijający się nie jest do wzięcia, niech będą Indie, Irlandia, Iran. Bo z pewnością ten, kto ucierpiał wskutek ucisku czy gospodarki czarnorynkowej, bardziej docenia to, co może zdobyć. Usilniej więc zabiega o względy kobiety. Chętnie pertraktuje. Z taką myślą przewodnią mama często znajduje na swojej drodze prawdziwe miłości i tym samym równie często przestaje raz na zawsze palić.

Do diabła, tak, jestem wściekła na moją matkę. Dziś przed południem zapytała, czy może do mnie wpaść, żeby mnie podnieść na duchu. I wpadła – przez dwie godziny porównywała moje nieudane małżeństwo z małżeństwem jej i Boba. Brak zaangażowania, niechęć do składania ofiar, nic nie dawać, wszystko brać –

jednakowo fatalni mężowie, Bob i Simon. A my obie „dawałyśmy, dawałyśmy i dawały z głębi serc”. Wycygała ode mnie papierosa, a potem zapalki.

– Przewidywałam to – powiedziała, z lubością się zaciągając. – Dziesięć lat temu. Pamiętasz, jak Simon poleciał na Hawaje? Zostawił cię w domu z grypą.

– Sama go namówiłam. Mieliśmy dwa bezzwrotne bilety na samolot. Udało mi się sprzedać tylko jeden.

Dlaczego ja broniłam Simona?

– Byłaś chora. Powinien podawać ci rosół z kury, a nie byczyć się na plaży.

– On się byczył ze swoją babcią. Miała wylew.

Zaczynałam już kwilić jak dziecko. Mama uśmiechnęła się współczująco.

– Kotku, nie musisz być taka na nie. Wiem, co czujesz. Jestem twoją matką, nie zapominaj. – Zdusiła niedopałek w popielniczce i przybrała rzeczowy ton pracownicy pomocy społecznej. – Simon nie kochał ciebie dostatecznie, to on ma niedobór, a nie ty.

Sztywno skinęłam głową.

– Mamo, naprawdę powinnam już zabrać się do pracy.

– Zabieraj się. Tylko wypiję jeszcze jedną filiżankę kawy. – Spojrzała na zegarek. – Odpchlili mi mieszkanie o dziesiątej. Na wszelki wypadek chciałabym poczekać jeszcze godzinkę, zanim tam wrócę.

Teraz siedzę przy biurku jak wyżęta, nie mogę pracować. Co mama wie, do diabła, o mojej zdolności do kochania? Czy ma bodaj najśłabsze pojęcie, ile razy mnie zraniła? Ubolewa, że cały czas, który spędziła z Bobem, był zupełnie stracony. A co ze mną? Co z czasem, którego ze mną nie spędziła? I dlaczego ja zużywam energię na rozpamiętywanie? Oto znów stałam się smarkulą. Ja dwunastoletnia leżę na moim bliźniaczym łóżku twarzą w poduszce i jej rogiem zatykam sobie usta, żeby Kwan nie słyszała moich szlochów.

– Libbi-ja – szepcze Kwan – o co chodzi? Jesteś chora? Zjadłaś za dużo

gwiazdkowych ciastek? Następnym razem nie upiekę takich słodkich... Libbi-ja, podoba ci się mój prezent? Nie podoba ci się, to powiedz, dobrze? Zrobię ci inny sweter. Tylko jakiego chcesz koloru? Będzie gotowy już za tydzień. Wykończę go, zapakuję jak znowu niespodziankę... Libbi-ja, chcesz? Tata i mamusia wrócą z Yosemite Park z pięknym prezentem dla ciebie, i pocztówkami także. Ładny śnieg, czubek góry... Nie płacz! Nie! Nie! Wcale tak nie myślisz. To nieprawda. Nienawidzisz rodzoną matkę?... Co? Tatę Boba także? Ach *zemma zaogao*...

– Libbi-ja, Libbi-ja? Mogę zapalić światło? Chcę ci coś pokazać... Dobrze, nie złość się. Przepraszam, już gaszę. Widzisz? Znowu jest ciemno. Śpij... Chciałam ci pokazać pióro. Wysunięte z kieszeni spodni taty Boba... Przechyla się w jedną stronę i jest pani w niebieskiej sukni. Przechyla się w drugą stronę, aj! suknia cała opada. Nie kłamie. Sama zobacz. Zapalę światło. Mogę już?... Och, Libbi-ja, masz oczy jak śliwki, takie opuchnięte. Przyłożę ci mokry ręcznik. Jutro nie będą tak bardzo piekły... Pióro? Widziałam to jego wysuwanie z kieszeni na mszy w niedzielę. Nie zauważył, bo udawał, że się modli. Wiem, tylko udawał, aha... I głowa mu się kiwnęła – uup! – i już chrapał. Hrrmm! Naprawdę! Trąciłam go lekko. Nie obudził się, ale jego nos ucichł. Och, dla ciebie to zabawne? Nie? To dlaczego się śmiejesz?

Wszystko jedno, więc już nie chrapał, a ja znów patrzyłam na te gwiazdkowe kwiaty, świece, kolorowe szkło. I patrzyłam, jak ten kapłan macha dymiącą latarnią. Nagle zobaczyłam Jezusa idącego w tym dymie! Tak, Jezusa! Myślałam, że On przyszedł zdmuchnąć swoje świece urodzinowe. Powiedziałam sobie: Wreszcie mogę Go zobaczyć, teraz jestem katoliczką! Och, tak się przejęłam. To dlatego tata Bob się obudził i pociągnął mnie, żebym usiadła z powrotem. Uśmiechałam się dalej do Jezusa, ale potem zdałam sobie sprawę – że co? – że to nie Jezus, tylko mój dawny przyjaciel Lao Lu! Wskazywał mnie palcem i śmiał się ze mnie.

– Nabrałem cię – powiedział. – Nie jestem Jezus! Hej, myślisz, że On ma łysą

głowę jak ja?

I podszedł do mnie. Pomachał ręką przed nosem taty Boba. I nic. Dotknął czoła taty Boba palcem zwiewnie jak mucha. Tata Bob klepnął się w czoło. A Lao Lu powoli wysunął to nieprzyzwoite pióro z jego kieszeni i wturlał je w fałdę mojej spódnicy.

– Hej – powiedział – dlaczego jeszcze chodzisz do cudzoziemskiego kościoła? Myślisz, że jak ci się porobią odciski na tyłku, zobaczysz Jezusa?

Nie śmieję się, Libbi-ja. To, co Lao Lu powiedział, nie było grzeczne. Myślę, że sobie przypominał nasze ostatnie życie razem, kiedy musieliśmy co niedziela siedzieć na twardej ławce przez dwie godziny. Co niedziela. Panna Wstęga też. Chodziliśmy do kościoła przez tyle lat i nigdy nie widzieliśmy Boga ani Jezusa, ani Maryji, chociaż zobaczenie Maryji wtedy nie byłoby takie ważne. W tamtych czasach Maryja była co prawda matką Dzieciątka Jezus, ale tylko konkubina Jego ojca. Teraz tutaj wszystko jest, to i tamto, i Stary Kościół Maryji Panny, Pomoc Maryjna, Matka Boska wybacząca mi moje grzechy! Cieszę się, że awansowała. Ale w tamtych czasach Czyciele Boga nie mówili o Niej aż tyle. Więc musiałam się martwić, że nie widzę tylko Boga i Jezusa. Co niedziela Czyciele Boga pytali mnie: „Czy wierzysz?”

Musiałam odpowiadać: „Jeszcze nie”. Chciałam odpowiadać „tak”, żeby być uprzejma. Ale wtedy bym kłamała i po mojej śmierci może oni by przyszli za mną i załatwili, żebym zapłaciła cudzoziemskiemu diabłu dwie grzywny; jedną za to, że nie wierzyłam, a drugą za to, że udawałam, że wierzę. Myślałam: Nie mogę zobaczyć Jezusa, bo mam chińskie oko. Ale później się dowiedziałam, że panna Wstęga też nigdy nie widziała ani Jezusa, ani Boga. Wyznała mi, że nie jest religijną osobą.

Zapytałam:

– Dlaczego, panno Wstęgo?

Odpowiedziała:

– Modliłam się do Boga, żeby moi bracia nie umarli, modliłam się do Niego, żeby nie umarła moja matka. Modliłam się, żeby ojciec wrócił do mnie. Religia uczy, że wiara daje spełnienie nadziei. A moje nadzieje wszystkie się rozwiały, więc czy wiara jeszcze jest mi potrzebna?

– Aj! – powiedziałam. – To aż za smutne. Nie masz, panno Wstęgo, żadnych nadziei?

– Bardzo mało – odpowiedziała. – I żadna z nich nie jest warta modlitwy.

– A twój ukochany?

Westchnęła.

– Doszłam do wniosku, że też nie jest wart modlitwy. Porzucił mnie, wiesz. Pisałam listy do oficera amerykańskiej Marynarki Wojennej w Szanghaju. Mój ukochany był tam. Był w Kantonie. Był nawet w Guilin i wie, gdzie jestem. Więc dlaczego nie przyjeżdża?

Zmartwiło mnie to. Wtedy nie wiedziałam, że jej ukochany to generał Peleryna.

– Ja mam wciąż dużo nadziei, że odnajdę moją rodzinę – powiedziałam. – Może powinnam zostać Czcicielką Jezusa.

– Żeby być prawdziwą czcicielką – powiedziała panna Wstęga – trzeba oddać Jezusowi całą siebie.

– A ile z siebie, panno Wstęgo, ty oddajesz?

Pokazała na kciuku ile. Zdumiałam się, bo w niedzielę właśnie ona mówiła kazanie. Myślałabym, że to najmniej tyle, co dwie nogi. Ale oczywiście kazania ona musiała mówić. Nikt nie rozumiał tamtych cudzoziemców, a oni nie rozumieli nas. Ich chiński był tak niedobry, że brzmiał jak ich angielski. Więc panna Wstęga musiała służyć za tłumaczkę. Pastor Amen nie zapytał jej. Powiedział, że musi, inaczej nie ma dla niej miejsca w Domu Ducha Kupca.

Więc co niedziela rano panna Wstęga z pastorem stała przy drzwiach kościoła.



Pastor krzyczał po angielsku: – Witajcie, witajcie! – a panna Wstęga tłumaczyła na chiński: – Śpieszcie do Domu Bożego! Potem będzie ryż dla was!

Domem Bożym była dawna świątynia rodzinna Ducha Kupca. Należała do jego zmarłych przodków i ich bogów. Lao Lu uważał, że ci cudzoziemcy okazują bardzo złe obyczaje, skoro wybrali tę świątynię na Dom Boży.

– To jak trzepnięcie w twarz – powiedział. – Bóg Wojny upuści z nieba końskie łajno, zobaczysz.

Lao Lu był taki – jeżeli się go rozzłościło, on się odpłacał. Misjonarze zawsze wchodzili pierwsi, panna Wstęga za nimi, a potem Lao Lu i ja, i inni Chińczycy, którzy pracowali w Domu Ducha Kupca: kucharz, dwie pokojówki, stajenny, stolarz i nie pamiętam, kto jeszcze. Goście wchodzili do Domu Boga na końcu. To byli przeważnie żebracy, kilku Hakka, Czcicieli Boga, a także jedna staruszka, która składała ręce i kłaniała się trzy razy ołtarzowi, chociaż za każdym razem jej mówiono, żeby tego już nie robiła. Ci goście siadali na tylnych ławkach – pewnie żeby łatwiej było uciekać, gdyby Duch Kupca wrócił. Lao Lu i ja musieliśmy siedzieć na przodzie z misjonarzami i wołać: „Amen!”, ilekroć pastor unosił brwi. To dlatego nazywaliśmy go pastor Amen – a także dlatego, że jego nazwisko brzmiało jak amen: Hammond czy Halliman, coś w tym rodzaju.

Kiedyśmy już klapnęli tyłkami na te ławki, nie wolno nam było się poruszać. Pani Amen często się podrywała, ale tylko żeby pogrozić palcem tym, którzy źle się zachowywali. W ten sposób nauczyłam się, co jest zabronione. Nie drapać się w głowę z powodu wszy. Nie wycierać nosa w dłoń. Nie kłąć, kiedy roje moskitów bzykają w ucho; Lao Lu powiedział, że to mu najbardziej przeszkadza w Domu Boga spać.

I właśnie – było jeszcze jedno „nie wolno”: spać. Ale kiedy pastor Amen mówił do Boga długie nudne modlitwy, Czciciele Jezusa zamykali oczy i to bardzo cieszyło Lao Lu. Ponieważ on także mógł mieć oczy zamknięte, więc ucinał sobie długą

drzemkę. Ja wciąż miałam moje jedyne oko otwarte. Wpatrywałam się w pastora Amena, żeby zobaczyć, czy Bóg albo Jezus schodzi w niego z Niebios. Widziałam, jak się to zdarzyło jednemu Czcielowi Boga na świątynnym jarmarku. Bóg wszedł w ciało zwyczajnego człowieka i rzucił go na ziemię. Ten człowiek, kiedy już wstał, miał w sobie wielką moc. Sztylety, którymi go dźgano w brzuch, zginały się we dwoje. Ale nic takiego nigdy nie zdarzyło się pastorowi Amenowi. Chociaż pewnego razu, kiedy się modlił, zobaczyłam żebraka stojącego w drzwiach. Pamiętałam, że chińscy bogowie czasami to robią: przychodzą przebrani za żebraków sprawdzić, co się dzieje, kto jest wierny, kto się z nimi liczy. Zastanawiałam się, czy ten żebrak jest jakimś bogiem, rozgniewanym, bo przed jego dawnym ołtarzem stoją cudzoziemcy. Kiedy spojrzałam po chwili, żebrak już zniknął. Więc kto wie, czy nie on spowodował nieszczęścia, które spadły w pięć lat później.

Po modlitwie zaczynało się kazanie. W pierwszą niedzielę pastor Amen mówił przez pięć minut – mówił, mówił i mówił! – mnóstwo dźwięków, które tylko misjonarze mogli zrozumieć. Potem panna Wstęga tłumaczyła to przez następne pięć minut. Ostrzeżenie przed diabłem. Amen! Przepisy, jak pójść do niebios. Amen! Zabierz tam ze sobą swoich przyjaciół. Amen! I w kółko tak, jakby panna Wstęga i pastor się kłócili. Takie nudne! Przez dwie godziny musieliśmy siedzieć, aż nam tyłki i rozумы drętwiały.

Po kazaniu było krótkie przedstawienie przy muzyce ze szkatułki panny Wstęgi. Wszyscy bardzo lubili tę część nabożeństwa. Śpiew nie był zbyt ładny, ale kiedy ta muzyka się zaczynała, wiedzieliśmy, że nasza udręka już prawie się kończy. Pastor Amen podnosił obie ręce, żebyśmy wstali. Pani Amen szła na przód. I na przód szła niespokojna zawsze misjonarka nazwiskiem Lasher jak *laoshu*, mysz, więc nazywaliśmy ją panna Mysz. I z nimi cudzoziemski lekarz nazwiskiem Swan, co brzmiało jak *suan-le* – „za późno”, więc nic dziwnego, że chorzy bali się do niego przychodzić. Doktor Za Późno otwierał i nakręcał korbką muzyczną szkatułkę panny

Wstęgi. Muzyka się zaczynała, one trzy śpiewały. Pani Amen przy tym łzy płynęły z oczu. Niektórzy starzy wieśniacy pytali głośno, czy w tej skrzynce są jacyś maleńcy cudzoziemcy.

Panna Wstęga kiedyś mi powiedziała, że ta szkatułka to prezent od ojca, jedyna jej pamiątka po rodzinie. W szkatułce miała mały albumik do zapisywania myśli. Ta muzyka, jak mi panna Wstęga powiedziała, to była niemiecka piosenka o picciu piwa i ruszaniu w tany, i całowaniu ładnych dziewcząt. Pani Amen napisała nowe słowa do śpiewania, słyszałam je setki razy, ale tylko jako dźwięki:

*Idziemy z Jezusem, nie szczędzimy nóg,*

*Gdy śmierć spotkamy, będzie z nami Bóg.*

Widzisz, Libbi-ja, pamiętam tę dawną piosenkę, ale teraz te słowa mają inne znaczenie. W każdym razie była ta muzyka co tydzień i mówiła nam wszystkim, że już można wyjść i zjeść miseczkę ryżu, dar od Jezusa. Wielu żebraków myślało, że Jezus to możny pan, który ma pola ryżowe.

W drugą niedzielę pastor Amen mówił przez pięć minut, panna Wstęga przez trzy. Potem pastor znów przez pięć minut, a panna Wstęga przez jedną. Wszystko, co po chińsku, w trzecią niedzielę stawało się coraz krótsze, tak że muchy piły nasz pot tylko przez półtorej godziny. W czwartą niedzielę już tylko przez godzinę. Ale potem pastor Amen odbył długą rozmowę z panną Wstęgą. I w następną niedzielę, kiedy mówił przez pięć minut, panna Wstęga mówiła przez tyle samo. I znowu pastor pięć minut i panna Wstęga tyle samo.

Ale ona już nie o tym, co trzeba robić, żeby pójść do niebios. Opowiadała:

– Kiedyś, dawno, dawno temu, w jednym królestwie daleko stąd żyli sobie olbrzym i córka biednego cieśli, który w rzeczywistości był królem...

I na końcu każdych pięciu minut przerywała w bardzo ciekawym miejscu mniej więcej tak:

– Teraz muszę pozwolić pastorowi mówić przez pięć minut. Ale kiedy będziecie

czekać, zastanawiajcie się, czy ta małeńka królewna umrze, czy ocali olbrzyma?

Po kazaniu i tej opowieści podpowiadała ludziom, żeby na pytanie, czy są gotowi zjeść miseczkę ryżu za darmo, zawołali „Amen”. Ach, to „Amen” było bardzo głośne.

Takie kazania niedzielne wszyscy zaczęli lubić. Wielu żebraków przychodziło słuchać opowiadań panny Wstęgi z jej dzieciństwa. Czczyciele Jezusa byli szczęśliwi. Ci, którzy jedli ryż, byli szczęśliwi. Panna Wstęga była szczęśliwa. Tylko ja jedna się martwiłam. Co będzie, jeżeli pastor Amen się dowie, jak ona tłumaczy jego kazania? Czy ją zbije? Czy Czczyciele Boga nie zasypią mnie rozżarzoną węglą za to, że nauczyłam cudzoziemkę mieć nieposłuszny chiński język? Czy pastor Amen straci twarz i będzie musiał się powiesić? Czy ludzie, którzy przychodzą na ryż i opowieści, a nie do Jezusa, pójdą do cudzoziemskiego piekła?

Panna Wstęga, kiedy jej powiedziałam o moich obawach, śmiała się i zapewniła, że nic takiego się nie stanie. Zapytałam, skąd ona wie. Wyjaśniła:

– Jeżeli wszyscy są szczęśliwi, cóż złego może nastąpić?

Ale ja pamiętałam, co powiedział człowiek, który wrócił na Górę Ostów: „Zbyt dużo szczęścia zawsze się przelewa w łzy smutku”.

Mieliśmy pięć lat szczęścia. Panna Wstęga i ja zostałyśmy wielkimi wiernymi przyjaciółkami. Inni misjonarze nadal byli mi obcy. Ale widziałam w nich co dzień małe zmiany i znałam dobrze ich sekrety. Lao Lu opowiadał mi o wstydlivych rzeczach, które widział zza ich okien. Jak panna Mysz płakała nad medalionem z włosami kogoś zmarłego. Jak doktor Za Późno jadł pigułki opium, kiedy żołądek go bolał. Jak pani Amen ukrywa płatki chleba komunijnego w swojej szufladzie, i nigdy ich nie je, tylko oszczędza na koniec świata. Jak pastor Amen zawiadamia Amerykę, że nawrócił sto osób, chociaż naprawdę miał nawróconą tylko jedną.

W zamian opowiadałam Lao Lu sekrety, które sama widziałam. Panna Mysz żywi uczucie do doktora Za Późno, a on tego nie zauważa. Doktor Za Późno żywi mocne uczucie do panny Wstęgi, a ona udaje, że tego nie zauważa. Ale nie mówiłam Lao Lu, że panna Wstęga wciąż jeszcze żywi wielkie uczucie do swojego trzeciego ukochanego, zwanego Yoren. O tym tylko ja wiedziałam.

Przez pięć lat wszystko było bez zmian oprócz tych zupełnie małych. Tak toczyło się nasze życie – małe nadzieje, małe zmiany, małe sekrety.

I właśnie, ja miałam swoje sekrety. Jeden mój sekret był taki: Pewnej nocy śniło mi się, że widzę Jezusa, cudzoziemca z długimi włosami, długą brodą i tłumem zwolenników.

Powiedziałam pannie Wstędze, że Go widziałam, ale zapomniałam powiedzieć, że we śnie. Więc panna Wstęga powiedziała pastorowi Amenowi i on mnie zapisał za stu nawróconych – dlatego wiedziałam, że jestem tylko ja jedna. Nie powiedziałam pannie Wstędze, żeby to sprostowała. Bo jemu byłoby jeszcze bardziej wstyd, gdyby wiedział, że jego stu nawróconych to nawet nie ta jedna.

Mój drugi sekret był o wiele gorszy.

Stało się to wkrótce po tym, jak panna Wstęga powiedziała, że straciła rodzinę i swoje nadzieje. Ja wtedy powiedziałam, że skoro sama mam dużo nadziei, mogę resztki użyć na pragnienie, żeby ten ukochany do niej wrócił. To jej się bardzo spodobało. Więc o to się modliłam sto dni co najmniej.

Aż raz wieczorem siedziałam na stołku w pokoju panny Wstęgi. Rozmawiałyśmy, rozmawiałyśmy i rozmawiały. Kiedy nam zabrakło zwykłych utyskiwań, zapytałam, czy możemy zagrać muzykę z jej szkatułki.

– Tak, tak – odpowiedziała.

Otworzyła szkatułkę. Nie było korbki.

– Jest w szufladzie – powiedziała.

– Aha! A co to takiego?

Wyjęłam z szuflady figurkę z kości słoniowej i podniosłam przed swoje jedyne oko. Miała kształty nagiej pani. Bardzo niezwykajna. Przypomniało mi się, że już gdzieś widziałam taką. Zapytałam pannę Wstęgę, skąd ma tę figurkę.

– Należała do mojego ukochanego – odpowiedziała. – To rączka jego laski. Kiedy się odłamała, dał mi na pamiątkę.

Au! Nagle już wiedziałam, że ukochanym panny Wstęgi jest ten zdrajca, generał Peleryna. A ja od tylu dni modłę się, żeby wrócił. Na myśl o tym włos mi się zjeżył.

Więc to był mój drugi sekret; to, że wiedziałam, kim on jest. A trzeci sekret to to, że zaczęłam się modlić, żeby on trzymał się z daleka.

Bo powiem ci, Libbi-ja, nie wiedziałam, jak bardzo panna Wstęga łaknęła miłości, jakiegokolwiek. Słodka miłość nie trwa długo i za trudno ją znaleźć. Ale miłość zepsuta? Takiej jest mnóstwo na zapełnienie próżni. Więc panna Wstęga do takiej miłości przywykła, taką przyjęła od razu, kiedy wrócił do niej.

## Dzień prania

Jak w zegarku – telefon dzwoni o ósmej. Już w trzeci poranek z rzędu Kwan dzwoni akurat w chwili, kiedy smaruję grzanki masłem. Ledwie podnoszę słuchawkę, ona wykrzykuje:

– Libbi-ja, zapytaj Simona!.. Ten sklep, gdzie reperują stereo, jak się nazywa?

– Co się stało twojemu stereo?

– Co się stało? Aach... Za bardzo hałasuje. Tak, tak, włączam radio i zaraz jest kkkk bbb...

– Próbowłaś nastawić falę?

– Tak, tak! Często nastawiam.

– Może nie zbliżaj się do stereo. Może dzisiaj jesteś naelektryzowana. Zbiera się na deszcz.

– Dobrze, dobrze, może najpierw się nie zbliżę. Ale na wszelki wypadek zadzwoń do Simona. Zapytaj go o tę nazwę.

Wstałam w dobrym humorze; ciekawe, jak długo ona zdoła być taka podstępna.

– Znam ten punkt naprawy – mówię i szukam w myśli jakiejś nazwy brzmiącej prawdopodobnie. – Tak. Podrabianie sprzętu elektronicznego. Na Market Street.

Prawie słyszę, jak myśl Kwan wiruje i z pstryknięciem zjeżdża na inny tor. W końcu Kwan się śmieje.

– Hej – mówi – ty niegrzeczna... Kłamiesz! Nie ma takiej nazwy.

– Ani nie ma żadnych kłopotów ze stereo – uzupełniam.

– Dobrze, dobrze, zadzwoń do Simona i powiedz, że Kwan życzy mu wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

– Właściwie i tak miałam zadzwonić do niego z życzeniami.

– Och, jakaś ty niedobra! Dlaczego mnie torturujesz, zawstydzasz w ten sposób.

– Kwan wybucha zasapanym śmiechem, zachłystuje się i mówi: – Aha, Libbi-ja, kiedy już zadzwonisz do Simona, zadzwoń także do mamy.

– Po co? Czy jej stereo też szwankuje?

– Nie żartuj z jej serca.

Zaniepokojona pytam:

– Co się stało? Coś poważnego?

– Mhm. Bardzo smutne. Pamiętasz, ten jej nowy przyjaciel, Hej Maj Hop Fred...

Poprawiam ją powoli po hiszpańsku:

– Jaime Jofre.

– Ja zawsze pamiętam Hej Maj Hop Fred. I on jest właśnie taki. Okazuje się, że jest żonaty. Z Chilijką. Chilijka się pokazała, wzięła go za ucho do domu.

– Nie! – Policzki mi zadrgały z uciechy i natychmiast w myśli mocno się w nie trzepnęłam.

– Tak, tak. Mama bardzo wściekła! W zeszłym tygodniu kupiła dwa bilety na rejs wycieczkowy. Hop Fred powiedział: na twoją wiśę, ja zwrócę pieniądze. Teraz nie zwróci. Nie ma rejsu, nie ma zwrotu. Ach! Biedna mama, zawsze sobie znajduje nieodpowiedniego... Ale, och... Wiesz, może ja ją wyswatam. Ja wybiorę dla niej lepiej niż ona sama. Dobrze, wyswatanie przyniesie mi szczęście.

– A jeżeli nie będzie dobrze?

– To ja będę musiała naprawić, wyswatać lepiej. Mój obowiązek.

Po tej rozmowie myślę o obowiązku Kwan. Nic dziwnego, że ona uważa mój rychły rozwód za swoją osobistą klęskę. Nadal wierzy, że była naszym – moim i Simona – duchowym *mei-po*, naszą kosmiczną swatką. I raczej nie mogę jej powiedzieć, że nie była.

Przecież na moją prośbę przekonała Simona, że jesteśmy sobie przeznaczeni,



połączeni ze sobą zrzędzeniem losu.

Simon Bishop i ja poznaliśmy się ponad siedemnaście lat temu. Wówczas i on, i ja chcieliśmy pokładać wszystkie nadzieje w nedorzecznościach – mocy piramid, brazylijskich czarach *figa*, nawet w radach Kwan i jej duchów. Oboje byliśmy straszliwie zakochani. Ja w nim, on w innej. Tak się złożyło, że ta inna umarła, zanim się poznaliśmy, chociaż dowiedziałam się o tym dopiero w trzy miesiące później.

Upatrzyłam sobie Simona na wydziale lingwistyki Uniwersytetu Berkeley wiosną 1974 roku. Zwróciłam na niego uwagę od razu, bo tak jak ja nosi nazwisko nie pasujące do swoich azjatyckich rysów. Studentów Euro-azjatów było wtedy znacznie mniej niż jest teraz. Kiedy się wpatrywałam w niego, miałam wrażenie, że widzę siebie w męskim wydaniu. Zaczęłam się zastanawiać nad wzajemnym oddziaływaniem genów: dlaczego jeden komplet charakterystycznych cech rasowych dominuje w tej, a nie w innej osobie o takim samym, mieszanym pochodzeniu. Kiedyś poznałam dziewczynę nazwiskiem Chan. Była niebieskooką blondynką, a – wyjaśniła ze znużeniem – nie została adoptowana. Jej ojciec jest Chińczykiem. Podejrzywałam, że jej babka czy prababka tego ojca zabawiała się potajemnie z Brytyjczykiem albo Portugalczykiem w Hongkongu. Ja wciąż też musiałam wyjaśniać, dlaczego nie wyglądam na pannę Laguni. Moi bracia natomiast wyglądają prawie tak na Włochów, jak mówi to ich nazwisko. Mają twarze bardziej kanciaste, włosy im się trochę kręczą i są brązowe.

Simon nie wygląda na przedstawiciela żadnej szczególnej rasy. Jest doskonałym zrównoważeniem krwi chińskiej, hawajskiej i anglosaskiej, a nie rozcieńczeniem różnych genów rasowych. Kiedy tworzyły się na lingwistyce grupy, Simona i mnie poniosło do tej samej. Nie mówiliśmy jednak o tym, co w sposób widoczny mamy ze sobą wspólnego.

Pamiętam pierwszy raz, kiedy wspomniał w rozmowie swoją przyjaciółkę, bo

miałam nadzieję, że nie ma żadnej. Pięcioro nas tłoczyło się przed kolokwium, recytowałam właściwości języka etruskiego – martwego, odrębnego, nie powiązanego z innymi językami... – kiedy on w połowie tego podsumowania palnął:

– Moja dziewczyna, Elza, pojechała na wycieczkę do Włoch i tam widziała wręcz niewiarygodne grobowce etruskie.

Popatrzyliśmy na niego; no to co? Nie powiedział „moja dziewczyna, notabene martwa jak ten język”. Mówił o niej mimochodem, jak gdyby była żywa, zdrowa i dalej podróżowała po Europie i przysyłała widokówki z Toskanii. Po kilku sekundach niezręcznej ciszy zaczął, wyraźnie onieśmielony, mamrotać jak ci, których widuje się na ulicy mówiących do siebie. Biedak, pomyślałam i właśnie wtedy struny mojego serca brzdąknęły.

Po wykładach często stawialiśmy sobie kawę na przemian – raz Simon, raz ja – w Legowisku Niedźwiedzia. Nasze rozmowy tam dołączały się do setek innych takich mądrych rozmów i objawień. Omawialiśmy prymitywizm w świetle uprzedzeń Zachodu; mieszanie ras jako jedyną długoterminową odpowiedź na rasizm; najgłębsze formy prawdy, którymi są ironia, satyra i parodia. Simon mi powiedział, że chce stworzyć własną filozofię, pomocną mu przy pracy, jakiej poświęci życie, i umożliwiającą poczynienie substancjalnych zmian na świecie. Zajrzałam w tamten wieczór do słownika, znalazłam znaczenie, co prawda przestarzałe, tego przymiotnika i doszłam do wniosku, że ja też chcę mieć życie substancjalne. Będąc z Simonem, zawsze czułam się tak, jakby wreszcie mogła się objawić jakaś lepsza częśćka mojego ja. Spotykałam się z innymi mężczyznami, którzy mnie pociągali, ale te znajomości rzadko posuwały się poza zwykłą dobrą zabawę na całonocnym przyjęciu, rozmowy pod rauszem i czasami seks, co w sumie szybko stawało się nieświeże jak poranny oddech. Z Simonem śmiałam się serdeczniej, myślałam głębiej i więcej pasji wkładałam w zastanawianie się nad życiem poza czubkiem własnego nosa. Odbijaliśmy nasze myśli tam i z powrotem jak dwoje tenisistów

piłki. Szliśmy w zapasy umysłowe. Z psychoanalityczną lubością rozgrzebywaliśmy nawzajem swoją przeszłość.

Niesamowite wydawało mi się to, że aż tyle mamy ze sobą wspólnego. Oboje, zanim ukończyliśmy pięć lat, utraciliśmy jedno z rodziców – on matkę, ja ojca. Oboje mieliśmy w dzieciństwie ulubione żółwie; on swoje utracił, kiedy przypadkiem upuścił je do basenu z chlorowaną wodą. Oboje byliśmy samotnymi dziećmi, pozostawianymi pod opieką krewnych: on – dwóch niezamężnych sióstr matki, a ja – Kwan.

– Moja mama oddała mnie w ręce osoby rozmawiającej z duchami – powiedziałam mu kiedyś.

– Boże! Dziwię się, że nie jesteś zbikowana bardziej niż jesteś.

Parsknęliśmy śmiechem; czułam wprost szampański zawrót głowy, żartując z tego, co kiedyś tak bardzo mnie bolało.

– Moje matczyśko – dodałam – jest kwintesencją społeczności, wciąż obsesyjnie pomaga obcym, a frontu domowego nie widzi. Raczej stawia się punktualnie u manikiurzystki niż ruszy palcem dla swoich dzieci. Nie to, żeby była nienormalna, ale wiesz...

Simon mi przerwał:

– Właśnie. Zaniedbywanie nawet dobrotliwe może zranić na całe życie.

Też tak uważałam, tylko nie potrafiłam ująć tego w słowa.

On ostatecznie podbił moje serce mówiąc:

– Może brak jej zainteresowania sprawił, że jesteś teraz taka silna. – Przytaknęłam ochoczo. – Myślałem o tym – mówił dalej – bo moja dziewczyna... wiesz... Elza, no, utraciła oboje rodziców, kiedy była niemowlęciem. I co tu mówić o silnej woli... No, no!

Zażyłość między nami rozwijała się wspaniale, ale do pewnego punktu. Czułam, że wzajemnie się pociągamy. Z mojej strony był to mocny ładunek seksualny. Z jego

strony coś bardziej statycznego, z czego łatwo się otrząsał.

– Hej, Laguni – mawiał, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Jestem zmachany, muszę już iść. Ale jeżeli chcesz przejrzeć notatki w ten weekend, zadzwoń do mnie.

Po takiej wesołej odprawie wlokłam się do mojego mieszkania bez żadnej perspektywy na wieczór, bo randki odwoływałam w nadziei, że Simon wreszcie dokądś mnie zaprosi. Wtedy już byłam w nim głupio zakochana – robiłam słodkie oczy, chichotałam, zadurzona w najgorszy sposób. Leżąc w łóżku, nieraz jednak z niesmakiem czyniłam sobie wyrzuty, że drga we mnie niespokojne pożądanie. I zastanawiałam się – czy jestem wariatką? Czy jestem jedyną odrzuconą? No jasne, on ma dziewczynę. Ale co z tego? Jak wiadomo, w czasie wyższych studiów zmienia się poglądy na miliony rzeczy. Dzisiejsza przyjaciółka może już jutro stać się wczorajsza.

Simon chyba nie wiedział, że ja z nim flirtuję.

– Wiesz, co mi się w tobie podoba? – zapytał. – Traktujesz mnie jak dobrego kumpla. Rozmawiamy o wszystkim i tamta sprawa nie wchodzi nam w drogę.

– Jaka tamta?

– Fakt, że jesteśmy... No wiesz, sprawa płci.

– Naprawdę? – Udawałam zdumienie. – Chcesz powiedzieć, że ja jestem dziewczyną, a ty jesteś... Nie miałam pojęcia!

Zaśmiewaliśmy się oboje.

Nocą płakałam ze złości; jakaż ze mnie idiotka! Raz po raz postanawiałam niezłomnie zrezygnować z nadziei romansu z Simonem, jak gdyby można było siłą woli po prostu się odkochać. Ale przynajmniej starałam się robić dobrą minę do złej gry. Nadal grałam rolę dobrego kumpla, słuchałam Simona z uśmiechem na twarzy, chociaż serce mi się ścisnęło i wciąż spodziewałam się najgorszego. I rzeczywiście wcześniej czy później zaczynał mówić o Elzie, tak jakby wiedział, że ja też o niej myślę.

Przez trzy miesiące masochistycznego słuchania poznałam szczegóły jej życia. Mieszkała w Salt Lake City, gdzie ona i Simon razem dorastali, gruchając od piątej klasy. Miała w zgięciu lewego kolana dwucalową bliznę w kształcie i kolorze dżdżownicy, tajemniczą spuściznę dzieciństwa. Była wysportowana, pływała kajakiem, wędrowała z plecakiem, świetnie jeździła na nartach. I była muzykalna, zapowiadała się na kompozytorkę, studiowała u Arthura Balsama w jakimś słynnym letnim obozie muzycznym w Blue Hill w stanie Maine. Już nawet napisała własne wariacje na temat wariacji Goldberga.

– Naprawdę? – pytałam, ilekroć to było coś tak chwalebne. – Zdumiewające.

Dziwna rzecz: Simon wciąż mówił o niej w czasie terażniejszym. Więc naturalnie myślałam, że ona żyje. Raz wytknął mi, że mam zęby pomazane szminką i kiedy pośpiesznie je wycierałam, dodał:

– Elza nigdy się nie maluje, nie używa nawet pomadki do ust. Nie uznaje tego.

Chciałam wrzasnąć: A co w tym jest do uznawania!? Dziewczyna albo się maluje, albo nie! Chciałam trzepnąć po buzi tę pannicę tak nieposzlakowanie moralną, że na pewno to najwsteczniejsza zmora, jaka chodzi po planecie ziemi w pantoflach nie ze skóry, broń Boże, zwierzęcej; nawet gdyby Elza była banalnie sympatyczna, ja i tak bym nią pogardzała. Według mnie na Simona nie zasługiwała. Po cóż jej do szczęścia jeszcze on? Ona zasługuje na złoty medal olimpijski za rzucanie dyskiem. I na nagrodę Nobla za ratowanie młodzieńskich wielorybów opóźnionych w rozwoju. I na to, by akompaniować na organach Świętobliwemu Chórowi Mormonów.

Simon natomiast zasługuje na mnie, czyli na kogoś, kto może mu pomóc w odkrywaniu zakamarków jego duszy, do których tajemne korytarze Elza zabarykadowała ciągłą krytyką i dezaprobatą. Kiedy prawłam Simonowi komplementy – że to, co mówi jest głębokie, na przykład – on się dziwił.

– Tak myślisz? Elza uważa, że jednym z moich największych błędów jest to, że

zgadzam się ze wszystkim co miłe, łatwe i nigdy niczego sam nie przemyślę porządnie.

– Nie możesz wierzyć w każde słowo Elzy.

– Tak, ona też tak uważa. Nie znosi, kiedy bez zastrzeżeń przyjmuję wszystko, co mi się podsuwa jako prawdę. Uważa, że trzeba ufać swojej intuicji tak jak ten facet, który napisał „Walden”... on się nazywa?... Ach, Thoreau. W każdym razie Elza uważa, że dopiero na drodze sprzeczek musimy dochodzić do jądra tego, w co i dlaczego wierzymy.

– Nie cierpię się sprzeczać.

– Przecież nie chodzi o sprzeczenie się w sensie kłótni. Raczej o dyskusowanie, tak jak dyskutujemy ty i ja.

Nie cierpię być porównywana i nie dorastać. Przybrałam ton żartobliwy.

– Och, tak! Więc o czym ty z nią dyskutujesz?

– Na przykład, czy sławni ludzie ponoszą odpowiedzialność jako symbole, a nie jak po prostu ludzie. Pamiętasz, kiedy Muhammed Ali uchylił się od służby wojskowej?

– Oczywiście – skłamałam.

– Elza i ja uważamy, że on jest wspaniały. Zajął takie osobiste stanowisko przeciwko wojnie. No, ale odzyskał tytuł wagi ciężkiej, a później prezydent Ford zaprosił go do Białego Domu. Elza wtedy wybuchnęła: „Możesz w to uwierzyć?” A ja powiedziałem: „Do diabła, gdybym został zaproszony, też bym poszedł do Białego Domu”. A ona na to: „Do republikańskiego prezydenta? W roku wyborów?” Napisała do niego list.

– Do prezydenta?

– Nie, do Muhammeda Alego.

– Ach, słusznie. Oczywiście.

– Elza uważa, że nie można tylko mówić o polityce albo patrzeć, jak robi się

politykę na ekranie telewizora. Trzeba działać, inaczej jest się kółkiem tej maszyny.

– Jakiej maszyny?

– Wiesz, obłudy. To jest to samo, co korupcja.

Wyobrażałam sobie, że Elza wygląda jak Patty Hearst, chodzi w berecie i mundurze polowym, z automatycznym karabinem na biodrze.

– Elza uważa, że wszyscy powinni w życiu przyjąć aktywne postawy moralne. Inaczej świat się skończy najpóźniej za trzydzieści lat. Mnóstwo naszych przyjaciół mówi, że Elza jest pesymistką. Ale ona mówi, że jest prawdziwą optymistką, bo chce coś zrobić, żeby zmienić świat w sposób pozytywny. I w gruncie rzeczy ma rację.

Kiedy Simon coraz wylewniej przedstawiał mi niedorzeczne poglądy Elzy, ja w rozmarzeniu przyglądałam się jego twarzy, zmiennej jak kameleon. Już to była twarz hawajska, już to azjatycka, już to perska, bengalska, oblicze Sfinksa, twarz chłopca z wyspy Bali.

– Skąd nazwisko Bishop? – zapytałam któregoś dnia.

– Po stronie mojego ojca byli misjonarze. Pochodzili od Bishopów. Przyjechali na Hawaje w latach tysiąc osiemsetnych, żeby nawracać trędowatych i pogan i ostatecznie pożenili się z księżniczkami. Objęli w posiadanie połowę wyspy.

– Żartujesz.

– Niestety, z drugiej strony tej rodziny, która nie odziedziczyła nic z bogactw, sadów ananasowych czy terenów golfowych, to znaczy od strony matki, jesteśmy Hawajo-Chińczykami. Tylko dwie księżniczki pływają w naszym basenie genów. I to takie, że nie ma bezpośredniego dostępu do nieruchomości nadmorskich. – Roześmiał się. – Elza kiedyś powiedziała, że odziedziczyłem ze strony misjonarskiej lenistwo ślepej wiary, a ze strony hawajskiej królewską skłonność raczej do posługiwania się bliźnimi w zaspokajaniu moich potrzeb niż do pracy, by samemu je zaspokajać.

– Ja tak nie uważam. Dziedziczenie charakteru to brednia. Jak gdyby z góry było

powiedziane, że będziemy się rozwijać według jakiegoś szablonu bez wyboru. Czy Elza przypadkiem nie słyszała o determinizmie?

Simona zatkało.

– Hmm – zastanowił się.

Przez chwilę byłam zadowolona, że chytrym posunięciem pokonałam rywalkę.

Cóż, kiedy on powiedział:

– Doktryna determinizmu mówi, że wszystkimi wydarzeniami i nawet ludzkim wyborem rządzą prawa naturalne. To chyba zgadza się z tym, co mówiła Elza.

– Ale chodzi mi o... – zająknęłam się, próbując sobie przypomnieć fragmenty wykładów filozofii, które potraktowałam zbyt pobieżnie. – Właściwie jak my określamy naturalność? Kto ma decydować, co jest naturalne, a co nie jest? Poza tym, jakie jest jej pochodzenie?

– Jej rodzice to mormoni, ale adoptowali ją, kiedy miała rok i nazwali Elsie. Elsie Marie Vandervort. Ona nie wie, kim byli jej rodzice biologiczni. Zaledwie ukończyła sześć lat, jeszcze zanim nauczyła się czytać nuty, potrafiła raz usłyszaną melodię zagrać dokładnie na fortepianie. Zwłaszcza pokochała muzykę Chopina, Paderewskiego, Mendelsohna, Gershwina, Coplanda i zapomniałem, czyją ponadto. Później odkryła, że każdy z tych kompozytorów to albo Polak, albo Żyd. Dlatego przypuszcza, że prawdopodobnie jest polską Żydówką.

– Ja lubię Bacha, Beethovena i Schumanna – powiedziałam inteligentnie – ale to nie czyni ze mnie Niemki.

– I nie tylko dlatego. Kiedy miała dziesięć lat, stało się coś, co może wydaje się nieprawdopodobne, ale przysięgam, że to prawda, bo poniekąd byłem świadkiem. Elza w szkolnej bibliotece przeglądała encyklopedię i zobaczyła fotografię płaczącego dziecka i jego rodziny, prowadzonej przez żołnierzy. Poniżej fotografii objaśnienie, że to Żydzi zabierani do Auschwitz. Nie wiedziała, gdzie jest Auschwitz, ani nawet, że tam był obóz koncentracyjny. Ale dosłownie poczuła



zapach czegoś okropnego, zaczęła się trząść i krztusić. A potem padła na kolana i wyskandowała: „osz-wien-czym”, coś takiego. Bibliotekarka potrząsała nią, ale ona nie przestawała... nie mogła, więc bibliotekarka zaciągnęła ją do szkolnej pielęgniarki, pani Schneebaum. A pani Schneebaum, Polka, kiedy usłyszała to skandowanie „Osz-wi-en-czym”, zbaraniała. Myślała, że Elza naigrywa się z niej. No, bo zrozum: okazało się, że „Oświęcim” to Auschwitz po polsku. Kiedy Elza wyszła z transu, wiedziała, że jej rodzice byli polskimi Żydami, którzy przeżyli Auschwitz.

– Jak to, wiedziała?

– Po prostu wiedziała... Tak jak jastrzębie wiedzą, jak unosić się z prądem powietrza, tak jak króliki zamierają ze strachu. To jest wiedza, której się nie da nauczyć. Elza twierdziła, że wspomnienia jej matki przeszły z serca do łona i są nie do zatarcia, wypisane na ściankach jej mózgu.

– No! – powiedziałam, żeby już z tym skończyć. – Ona jest chyba taka jak moja siostra Kwan.

– Co?

– Och, Kwan tylko dostosowuje każdą starą teorię do swoich wierzeń. A tymczasem instynkt biologiczny i pamięć emocjonalna to wcale nie to samo. Może Elza czytała albo słyszała o Auschwitz przedtem, tylko że o tym zapomniała. Wiesz, ludzie widzą stare fotografie albo filmy i później myślą, że to ich wspomnienia osobiste. Albo mają doznania *deja vu*, a to jest po prostu niedobra synapsa z komórką receptorową, fałszywy przekaz jakoby dawnego wspomnienia. To znaczy, czy Elza choćby wygląda na Polkę albo Żydówkę? – I ledwie to powiedziałam, wpadłam na niebezpieczny pomysł. – Masz jej zdjęcie?

Kiedy Simon wyciągnął portfel, moje serce przed ujrzeniem rywalki warkotało niczym samochód wyścigowy. Bałam się, że ona jest powalająco piękna – skrzyżowanie Ingrid Bergman w blasku światła na płycie startowej z Lauren Bacall,

nadąsaną w zadymionym barze.

Zobaczyłam tę fotografię, plenerową, dziewczynę podświetloną zachodem słońca – w aureoli kędzierzawych włosów; posępna twarz, długi nos, podbródek dziecięco mały, dolna warga wywinięta (coś wtedy mówiła); wyglądała jak buldog. Stała przy namiocie, trzymając się pod przysadziste boki. Jej krótkie, obcięte dzinsy – za ciasne – ostro się załamywały w kroczu. I była w śmiesznej trykotowej koszulce z kulfoniastym napisem *Podważaj autorytet* rozciągniętym na pagórkach tłustych piersi.

Pomyślałam – no, nie jest wspaniała. Nie jest nawet lalunią z noskiem jak guzik. Nieciekawa jak polska parówka bez musztardy. Usiłowałam powstrzymać uśmiech, ale skakałabym z radości. Porównywanie się z fotografią Elzy było łatwe i bezsensowne. Ale przekonana, że jestem od niej ładniejsza, wyższa, smuklejsza, mądrzejsza, nie mogłam się z tego nie cieszyć. Elza wywodzi się ze słowiańskiego chłopstwa – nie trzeba lubić Chopina czy Paderewskiego, żeby to rozpoznać. Im dłużej patrzyłam, tym bardziej się cieszyłam. Kiedy w końcu odezwał się we mnie demon niepewności, uciszył go widok jej kolan, pyzaty jak buzie cherubinków.

Co Simon, do diabła, w niej zobaczył? Spróbowałam być obiektywna, spojrzeć na nią z męskiego punktu widzenia. Wysportowana, owszem. I bezsprzecznie sprawia wrażenie inteligentnej; ale nachalnie zastraszającej. Piersi ma o wiele większe niż ja – może to jej atut, jeżeli Simon jest dość głupi, by podobały mu się mięsiste kule, które kiedyś będą jej zwisać do pępka. Można powiedzieć, że oczy ma ładne – skośne, kocie. Chociaż, kiedy im się przyjrzałam, stwierdziłam, że są podejrzenie podkrążone. Wpatrywała się prosto w aparat fotograficzny wzrokiem przenikliwym i jednocześnie pustym. Wyraz jej twarzy nasuwał przypuszczenie, że ona zna sekrety przeszłości i przyszłości i że wszystkie te sekrety są smutne.

Doszłam do wniosku, że Simonowi myli się lojalność z miłością. Ostatecznie zżył się z Elzą już w dzieciństwie. Poniekąd należy go za to podziwiać. Oddałam mu

fotografię, starając się ukryć zadowolenie.

– Ona wydaje się strasznie poważna. Czy to jest coś, co dziedziczą polscy Żydzi?

Simon przyglądał się fotografii:

– Potrafi być zabawna, kiedy chce. Potrafi parodiować każdego... Gesty, sposób mówienia, obce akcenty. Jest wesoła. Potrafi być. Czasami. Ale... – urwał w rozterce. – Ale masz rację. Ona tak się głowi, co zrobić, żeby na świecie było lepiej, i dlaczego powinno być lepiej, że aż ogarnia ją strach. Zawsze była taka melancholijna, poważna. Powiedziałbym nawet, że przygnębiona. Nie wiem, skąd się to bierze. Nieraz bywa, wiesz, nierozsądna... – znów urwał, chyba zaniepokojony, jak gdyby teraz ujrzał Elzę w nowym świetle, w którym ukazała się jej twarz zgoła nieponętna.

Gromadziłam te obserwacje niczym broń do użycia w przyszłości. Odtąd miałam być, wprost przeciwnie niż Elza, prawdziwą optymistką. Miałam działać. W przeciwieństwie do jej karawaniarstwa miałam być pogodna. Zamiast służyć za krytyczne lustro, miałam podziwiać intuicję Simona. No i wreszcie przyjąć aktywną postawę polityczną. A przy tym często się śmiać i pokazywać Simonowi, że życie z towarzyszką duszy nie musi płynąć w złowieszczych mrokach. Postanowiłam zrobić wszystko, co konieczne, żeby wysadzić Elzę z serca Simona.

Po zobaczeniu jej fotografii uznałam, że to będzie łatwe. Och, ja głupia! Nie wiedziałam, że będę musiała wyrwać Simona z objęć ducha. Ale tamtego dnia byłam tak szczęśliwa, że nawet przyjąłam zaproszenie Kwan na kolację. Przywiozłam pranie i chcąc być miła udawałam, że słucham jej rad.

– Libbi-ja. Ty nie umiesz obchodzić się z moją pralką. Nie za dużo mydła, woda nie za gorąca, i zawsze wyciągaj kieszenie na zewnątrz...

Libbi-ja, aj-jej, dlaczego masz tyle czarnych rzeczy? Powinnaś nosić ładne kolory! Łączki, grochy... Fiolet to dobry kolor dla ciebie. Biały, nie lubię. Nie z

powodu przesądów. Niektórzy myślą, że biały oznacza śmierć. Nic podobnego. W Świecie Yin jest dużo, dużo kolorów, jakich nawet nie znasz, bo nie możesz ich zobaczyć swoimi oczami. Trzeba użyć tajemnych zmysłów, żeby wyobrazić je sobie, kiedy w sercu pełno prawdziwych uczuć i wspomnień – szczęśliwych i smutnych. Szczęście i smutek czasami mają to samo źródło, wiedziałaś o tym?

W każdym razie białego nie lubię, bo za łatwo się brudzi, za trudno czyścić. Nie jest praktyczny. Wiem, bo w moim poprzednim życiu musiałam pracować mnóstwo białych rzeczy... Mnóstwo, mnóstwo, mnóstwo. To był jeden ze sposobów, jakimi zarabiałam na mój pokój w Domu Ducha Kupca.

Pierwszego Dnia każdego tygodnia musiałam pracować. Drugiego Dnia prasowałam to, co uprałam. Trzeci Dzień był na czyszczenie obuwia i cerowanie odzieży. Czwarty Dzień był na zmiatanie dziedzińca i korytarzy. Piąty Dzień – na mycie podłóg i odkurzanie mebli w Domu Boga. Szósty Dzień był na ważne sprawy. Szósty Dzień lubiłam najbardziej. We dwie, panna Wstęga i ja, chodziłyśmy po wsi, rozdawałyśmy broszury zwane „Dobra Nowina”. Choć słowa angielskie były w nich zmienione w chińskie, nie umiałam ich czytać. Ponieważ nie umiałam czytać, nie mogłam nauczyć czytać panny Wstęgi. I w biednych częściach wsi, gdzieśmy przechodziły, ludzie także nie umieli czytać. Ale chętnie brali te broszury. Ocieplali nimi zimową odzież. Kładli je na ryż w miskach, żeby muchy się nie dobierały. Zalepiali nimi szczeliny w ścianach. Co kilka miesięcy przyływał statek z Kantonu i przybywały skrzynie z tymi broszurami. Więc co tydzień Szóstego Dnia miałyśmy ich bardzo dużo do rozdawania. Nie wiedziałyśmy, że z tego, co rzeczywiście dajemy ludziom, będzie później mnóstwo kłopotów.

Kiedy wracałyśmy do Domu Ducha Kupca zadowolone i z pustymi rękami, Lao Lu robił nam małe przedstawienie. Wspiął się po kolumnie i szybko przechodził skrajem dachu, a myśmy się zachłystywały i krzyczałyśmy:

– Nie spadnij!

A on się odwracał, brał cegłę i kładł sobie na głowie, na cegle stawiał filiżankę do herbaty, miseczkę, talerz, najrozmaitsze rzeczy różnej wielkości, cięższe i lżejsze. I znów chodził po tym wąskim skraju dachu, a myśmy krzyczały i śmiały się. Chyba tak właśnie starał się odzyskać twarz po tamtym wypadku, kiedy wpadł do wody z panną Wstęgą i jej kufrem.

Siódmy Dzień oczywiście był na pójsie do Domu Boga, a potem na odpoczynek po południu, rozmowę na dziedzińcu, oglądanie zachodu słońca, gwiazd albo burzy. Czasami zrywałam liście z krzaka, który rósł na dziedzińcu. Lao Lu zawsze poprawiał mnie:

– To nie jest krzak. To jest uświęcone drzewo. Zobacz tutaj. – Stawał z rękami wyciągniętymi jak duch chodzący w nocy i twierdził, że dusza przyrody przepływa teraz z członków drzewa w jego członki. – Jedz te liście – mówił – a znajdziesz spokój w sobie, równowagę, będziesz kichać na wszystkich.

Więc co niedziela z tych liści robiłam herbatę, dziękczynny dar dla Lao Lu za jego przedstawienia. Panna Wstęga także piła trochę.

Co tydzień mówiłam:

– Hej, Lao Lu, masz rację, herbata z tego krzaka sprawia, że czuje się spokój.

A Lao Lu wtedy znów mnie poprawiał:

– To nie jest zwykły krzak, to jest uświęcone drzewo.

Po Siódmym Dniu był Pierwszy Dzień – na nowo od początku – ten dzień, o którym teraz opowiem. Więc jak już mówiłam, musiałam prać brudną odzież.

Prałam w dużym korytarzu przy kuchni. Była tam kamienna podłoga i tylko ściany pod gołym niebem, ale w cieniu dużego drzewa. Przez cały poranek miałam na ogniu dwa garnki gorącej wody z wapnem; dwa, bo misjonarze nie pozwalali, żeby rzeczy mężczyzn i pań pływały razem w jednej wodzie. Dla zapachu do jednego garnka dodawałam kamfory, a do drugiego korę kasji cynamonowej. To są zapachy, które odstraszaają mole. W kamforowej wodzie gotowałam białe koszule i

sekretną bieliznę pastora Amena i doktora Za Późno. Gotowałam ich prześcieradła i kawałki płótna, którymi wycierali nos i czoło. A w garnku z korą gotowałam bluzki, sekretną bieliznę pań, ich prześcieradła i kawałki płótna do wycierania damskich nosów.

Potem te mokre rzeczy kładłam na stare młyńskie koło i obracałam, żeby wycisnąć z nich wodę. Wyżęte rzeczy wkładałam do dwóch koszy, oddzielnie mężczyzn i pań. Resztę wody z korą kasji wylewałam na podłogę w kuchni, resztę wody kamforowej na podłogę korytarza. A potem niosłam te kosze na tylny dziedziniec, gdzie pod murem były dwie szopy: jedna dla muła, druga dla bawolicy. Pomiędzy szopami wisiał bardzo mocno naciągnięty sznur. Na tym sznurze wieszałam pranie, żeby wyschło.

Z lewej mojej strony było wejście do dużego ogrodu, otoczonego wysokim kamiennym murem. Piękny ogród do przechadzania się, kiedyś ujarzmiany rękami wielu ogrodników, teraz zdiczał. Kamienne mostki jeszcze pozostały, ale sadzawka wyschła, ryby zastąpiło zielsko. Wszystko plątało się ze sobą – kwitnące krzewy, gałęzie drzew, chwasty i winorośl. Alejki, grubo zasłane liśćmi i kwieciami dwudziestu kalendarzy, miękkie i chłodne pod moimi stopami, wznosiły się i opadały wciąż niespodziewanie, aż marzyłam, że znów chodzę po Górze Ostów. Na jednym ze wzniesień mieścił się mały pawilon. W pawilonie stały kamienne ławki, całe omszałe. Pośrodku ciemniała spalona podłoga. Z pawilonu mogłam patrzeć za mur, widzieć wierzchołki skał, łukowate przejście do sąsiedniej górskiej doliny. Co tydzień po praniu zanurzałam w resztkach wapna kaczę jaja, a potem zakopywałam je w ogrodzie, żeby się konserwowały. I kiedy już je zakopałam, stawałam w pawilonie i mówiłam sobie, że świat, który widzę za murem, jest mój. Przez kilka lat to robiłam, aż pewnego dnia Lao Lu zobaczył, że tam stoję.

– Aj, Nunumu – powiedział – nie wchodź tam, bo ten kupiec Punti właśnie tam umarł. W pawilonie.

I opowiedział o tej śmierci. Kupiec stał tam pewnego wieczoru, a jego cztery żony były poniżej. Podniósł wzrok na niebo i zobaczył chmurę czarnych ptaków. Sklął te ptaki i od razu buchnął płomieniem. Au! Ogień syczał, tłuszcz kupca skwierczał i pryskał. Jego przestraszone żony wrzeszczały, czuły ten ostry zapach smażonego chili i czosnku. Raptownie ogień zgasł, dym wzniósł się – w kształcie kupca – i się rozwiął. Żony podkradły się do pawilonu i nie znalazły żadnych popiołów. Zostały tylko stopy i trzewiki kupca. A także ten zapach, straszny i smakowity zarazem.

Odkąd Lao Lu mi to opowiedział, bałam się tego zapachu, ilekroć rozwieszałam pranie, ilekroć szłam do ogrodu, żeby zakopać jajka. Wdychałam zapach kamfory, kory kasji, martwych liści i kwitnących krzewów. Ale tamtego dnia, o którym mówię, poczułam nagle zapach Ducha Kupca, zapach jego lęku przed śmiercią – bardzo mocny – i chili, i czosnku, i może trochę octu. To był dzień wielkiego upału w miesiącu, kiedy cykady odkopują się po czterech latach leżenia w ziemi. Cykają, samczyki nawołują samiczki, każdy stara się być najgłośniejszy. Wlepiłam moje jedyne oko w wejście do ogrodu na wypadek, gdyby Duch Kupca tam był, i wypatrywałam jego stóp. Nagle usłyszałam szelest, martwe liście chrzęściły, gałązki trzaskały, czarne ptaki wyfrunęły z krzaków i rozleciały się po niebie. Cykady ucichły.

Trzęsłam się do szpiku kości. Chciałam uciekać. Ale głos Ducha Rozbójniczki odezwał się we mnie:

„Boisz się? Jak możesz bać się jakiegoś kupca Punti bez stóp. Wejdz tam i zobacz, gdzie on jest”.

Bałam się, ale już się wstydziłam, że się boję. Ostrożnie podeszłam i zajrzałam do ogrodu. Kiedy cykady znów zaczęły cykać, wbiegłam tam z chrzęstem martwych liści. I dalej biegłam po kamiennym mostku nad wyschniętą sadzawką i po tych wzniesieniach w górę i w dół. Kiedy cykanie zmieniało się w klekot, zatrzymałam

się, bo wiedziałam, że cykady zaraz się zmęczą i ucichną. Przy cykaniu biegłam, przy klekocie zatrzymywałam się, biegłam tak i zatrzymywałam się, aż w końcu stanęłam przed tym wzniesieniem, na którym był pawilon. Zdążyłam je obejść dokoła, zanim klekot cykad ustał. I dech mi zaparło. W pawilonie jakiś mężczyzna siedział na kamiennej ławce i jadł maleńkiego banana. Nigdy nie słyszałam, żeby duchy jadły banany. Potem różne duchy mówiły mi, że nieraz udają, że jedzą banany, chociaż nigdy takie z mnóstwem czarnych plamek jak banan tego mężczyzny.

On, kiedy mnie zobaczył, zerwał się na równe nogi. Miał dziwną, ale wytworną twarz, nie chińską, nie cudzoziemską. Był ubrany po pańsku. Już gdzieś go przedtem widziałam, tego byłam pewna. Po chwili usłyszałam odgłosy z drugiej strony wzniesienia, plusk wody lejącej się na głązy, westchnienie, kroki tratujące dwadzieścia pokoleń liści. Zobaczyłam błysk srebrnego okucia na lasce, pociągłą twarz właściciela laski, który drugą rękę miał zajęętą zapinaniem guzików spodni. To był generał Peleryna, a ten wytworny z bananem to był półczłowiek zwany Yiban.

Au! O powrót Peleryny do panny Wstęgi ja się modliłam! Później modliłam się, żeby on nie wrócił, ale najwidoczniej o to prosiłam Boga nie aż tyle razy.

Peleryna zaszczekał coś do Yibana i wtedy Yiban powiedział mi:

– Panienko, ten pan jest słynnym jankeskim generałem. Czy tutaj – zapytał – mieszkają cudzoziemcy, Czcciele Boga?

Nie odpowiedziałam. Pamiętałam, co mówił tamten człowiek na Górze Ostów: generał Peleryna okazał się zdrajcą, zdradził Hakka. Zobaczyłam, jak generał patrzy na moje pantofle. Znowu coś szczechnął. Yiban przetłumaczył:

– Ta pani, która ci dała te skórzane pantofle, jest wielką przyjaciółką generała. Bardzo chce się z nim zobaczyć.

Więc pantofle na moich nogach zaprowadziły tych dwóch mężczyzn do panny Wstęgi. Yiban miał rację. Ona bardzo chciała zobaczyć się z generałem Peleryną.



Zarzuciła mu ręce na szyję, pozwoliła, żeby ją podniósł w ramionach. Zrobiła to przy pastorce Amenie i pani Amen, którzy chociaż byli mężem i żoną, nigdy się nie dotykali nawet w swojej sypialni – tak mi mówił Lao Lu. Późną nocą, kiedy wszyscy mieli spać, ale nie spali, panna Wstęga otworzyła swoje drzwi i generał Peleryna szybko wszedł do jej pokoju. Wszyscy to usłyszeli, w oknach mieliśmy tylko drewniane kratki.

Wiedziała, że panna Wstęga wezwie generała do siebie. Wcześniej wieczorem powiedziałam jej, że Peleryna jest zdrajcą, bo zdradził Hakka, więc dalej będzie zdrajcą i zdradzi także ją. Bardzo się na mnie rozgniewała, jak gdyby myślała, że ja rzucam klątwę. Powiedziała, że generał Peleryna to bohater, zostawił ją w Kantonie, bo musiał pomóc Czycielom Boga. Więc jej powtórzyłam, co powiedział tam ten, który wrócił na Górę Ostów – że generał Peleryna ożenił się z córką chińskiego bankiera za złoto. Powiedziała, że moje serce to zgniłe mięso, a moje słowa to robaki karmiące się plotką. Powiedziała, że jeżeli nie przestanę wierzyć w takie rzeczy o generale Pelerynie, to już nie będę jej wierną przyjaciółką.

– Kiedy się w coś wierzy, jak można nagle przestać? Kiedy się jest wierną przyjaciółką, jak można już nie być?

Nie odpowiedziała.

Późną nocą usłyszałam muzykę ze szkatułki, którą ojciec jej dał, kiedy była małą dziewczynką. Usłyszałam tę muzykę sprawiającą, że łzy płynęły z oczu pani Amen, ale teraz ta muzyka sprawiała, że mężczyzna całował dziewczynę. Słyszałam westchnienia panny Wstęgi raz po raz. I jej szczęście było tak wielkie, że aż się przelało, przeciekło do mojego pokoju i zmieniło się w łzy smutku.

Zaczęłam znowu przyjeżdżać z praniem do domu Kwan. Kiedyś takimi sprawami zajmował się Simon – to był jeden z miłych plusów małżeństwa z nim. Simon lubił sprzątać, rozpościerać świeże prześcieradła, wygładzać je na łóżku.

Odkąd się wyprowadził, muszę sama robić przepierki. W suterenie mojego bloku są pralki, ale denerwuje mnie tam zapach pleśni i niedostatek światła dziennego – atmosfera żerująca na mojej wyobraźni. Co prawda Kwan również żeruje.

Zawsze zwlekam i dopiero wtedy, gdy mi zabraknie czystej bielizny, wrzucam trzy torby pełne brudów do samochodu i jadę na Balboa Street. Jeszcze teraz, wpychając swoją garderobę do suszarki Kwan, myślę o tym, co mi opowiadała tamtego dnia, przepojonego dla mnie nadzieją miłości. Kiedy powiedziała, że szczęście zmienia się w smutek, przerwałam jej stanowczo:

– Kwan, już nie chcę tego słuchać.

– Ooo! Dlaczego?

– To mnie gasi. A ja chcę być nadal w dobrym nastroju.

– Chyba nie zgaśniesz, kiedy ci opowiem dalej. Zrozumiesz, jak myliła się panna

Wstęga...

– Kwan – powiedziałam. – Nie chcę słyszeć o pannie Wstędze. Nigdy.

Co za siła! Co za ulga! Aż się zdumiałam. Jakaż silna jestem dzięki Simonowi! Mogę decydować, kogo słuchać i po co. Mogę być z kimś takim jak Simon, mocno stąpającym po ziemi, logicznym i zdrowym psychicznie. Tak wtedy myślałam.

Przez myśl mi nie przeszło, że on też będzie zapełniać moje życie duchami.

## Część druga

## Świetliki

To wtedy, gdy Simon po raz pierwszy mnie pocałował, dowiedziałam się ostatecznie prawdy o Elzie. Kwartał wiosenny się skończył i spacerowaliśmy po wzgórzach za miasteczkiem studenckim Berkeley, pałac skręty. Był ciepły wieczór czerwcowy. Weszliśmy między dęby, na których migotały maleńkie białe światełka, jak gdyby było Boże Narodzenie.

– Czy mam halucynacje? – zapytałam.

– Świetliki – powiedział Simon. – Prawda, że zdumiewające?

– Wiesz na pewno? Chyba nie ma świetlików w Kalifornii. Ja nigdy ich nie widziałam.

– Może któryś ze studentów je wyhodował eksperymentalnie i wypuścił.

Usiedliśmy na pniu zwalonego drzewa. Dwie migotliwe muszki sunęły zygzakami po zniszczonej korze coraz bliżej siebie. Migotały jak samoloty skierowane na ten sam pas, nagle zaiskrzyły się jak jedna, po czym zgasły i odleciały już po ciemku.

– Otóż i romans – powiedziałam.

Simon uśmiechnął się i spojrzał mi prosto w oczy. Niezdarnie jedną ręką objął mnie w pól. Dziesięć sekund minęło, a myśmy się nie poruszyli. Twarz mnie paliła, serce biło szybko, bo zdałam sobie sprawę, że przekraczamy granice przyjaźni – jeszcze tylko przeskok przez barierę i szaleństwo. Rzeczywiście, nasze usta, jak te dwa świetliki, zbliżały się do siebie. Zamknęłam oczy, kiedy poczułam na wargach jego wargi; nasz pierwszy pocałunek, drżący i niepewny. Przysunęłam się do niego, żeby objął mnie mocniej, ale on mnie nagle odsunął, właściwie odepchnął.

– O Boże, przepraszam. Naprawdę lubię cię, Olivia. Bardzo. To skomplikowane, chociaż... bo... no, wiesz...

Strzepnęłam z pnia jakiegoś robaka i patrzyłam tępo, jak kręci się na grzbiecie.

– Rozumiesz, ostatnim razem, kiedy ją widziałem, strasznie się pokłóciliśmy. Rozgniewała się na mnie i już nie widziałem jej potem. Już sześć miesięcy. Rzecz w tym, że nadal ją kocham. Ale...

– Simon, nie potrzebujesz się tłumaczyć. – Wstałam na trzęsących się nogach. – Nic się nie stało, jasne?

– Olivio, usiądź. Proszę. Muszę ci to powiedzieć. Chcę, żebyś zrozumiała. To ważne.

– Daj spokój, Nie ma o czym mówić. Och, bzdura! Po prostu nic się nie stało.

– Zaczekaj. Wróć. Usiądź, proszę cię, usiądź. Olivio, muszę ci to powiedzieć.

– Dlaczego musisz, do diabła?

– Dlatego, że ciebie chyba też kocham.

Wstrzymałam oddech. Oczywiście, wołałabym, żeby nie okraślił tego wyznania słowami: „chyba” i „też”, jak gdybym mogła wchodzić w skład jakiegoś uczuciowego haremu. Ale byłam tak zadurzona, że „kocham” wystarczyło jako balsam i jako przynęta. Usiadłam.

– Jeżeli mnie wysłuchasz – powiedział – może zrozumiesz moje opory.

Serce mi jeszcze łomotało dziwnym połączeniem gniewu i nadziei. Przez parę sekund siedzieliśmy milcząc, oboje zdenerwowani. Kiedy już się w sobie zebrałam, powiedziałam chłodno:

– Mów.

Odchrząknął.

– Ta moja kłótnia z Elzą była w grudniu, w czasie ferii. Pojechałem do niej do Utah. Zaplanowaliśmy wycieczkę na nartach w Kanionie Little Cottonwood. Tydzień przedtem modliliśmy się o śnieg i w końcu zaczął padać jak na

zamówienie... warstwa świeżego śniegu grubości trzech stóp.

– Ona nie chciała pojechać – spróbowałam zgadnąć, żeby przyspieszyć tę opowieść.

– Nie. Pojechaliśmy do kanionu i pamiętam, że rozmawialiśmy o SLA i czy rozdawanie ubogim żywności kupowanej za pieniądze z wymuszania i obrabowywania banków sprawia, że te przestępstwa są mniej naganne. Ni stąd, ni zowąd Elza zapytała: „Jak się zapatrujesz na aborcję?” Myślałem, że źle słyszę. „Na sorpcję?” zdziwiłem się. „Nie – odpowiedziała. – Na aborcję!” Więc powiedziałem: „Wiesz, tak jak już mówiliśmy przy okazji »*Roe przeciw Wadd*«, uważam, że decyzja sądu nie sięga dostatecznie głęboko”. Przerwała mi i powiedziała: „Ale jak rzeczywiście zapatrujesz się na aborcję?”

– Co miało znaczyć „rzeczywiście”?

– O to ją zapytałem. Odpowiedziała mi powoli, z naciskiem: „To znaczy uczuciowo!” Odpowiedziałem: „Uczuciowo pochwałam tę możliwość”. Wtedy wybuchnęła: „Nawet się nie zastanowiłeś! A ja przecież nie pytam o pogodę! Pytam cię o życie ludzkich istot! O konkretne życie kobiety w przeciwstawieniu do potencjalnego życia w jej łonie!”

– Rozhisteryzowała się – skwapliwie podkreśliłam zmienność nastrojów i egzaltację Elzy.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Wskoczyła z samochodu i przypięła narty, naprawdę wkurzona. Zanim odjechała, krzyknęła: „Jestem w ciąży, ty idioto! I wykluczone, żebym miała to dziecko i zrujnowała sobie życie! Ale serce mi się kraje, kiedy myślę, że mogę je usunąć, a ty tylko siedzisz, uśmiechasz się i pochwalasz aborcję!”

– Rany boskie, Simon. Skąd miałeś o tym wiedzieć?

A więc to tak, pomyślałam. Elza chce wyjść za mąż, postawiła go wobec takiej perspektywy. Uchylił się. Dobrze zrobił.

– Byłem oszołomiony – wyznał Simon. – Nie miałem pojęcia. Zawsze zachowywaliśmy ostrożność, wiesz, kontrola urodzeń.

– Myślisz, że Elza zaszła celowo?

Zmarszczył brwi.

– Ona nie jest taka.

Wyraźnie jej bronił.

– Co zrobiłeś? –

Pojechałem na nartach za nią. Wołałem, żeby się zatrzymała, ale popędziła za grzbiet wzniesienia i zniknęła mi z oczu. Boże, pamiętam, jaki piękny był dzień; słoneczny, spokojny. Wiesz, nigdy się nie przypuszcza, że może stać się coś strasznego, kiedy jest piękna pogoda.

Myślałam, że już skończył – od tamtego dnia on i Elza się nie widzieli, a więc kropka. Czas na następny odcinek, czyli na mnie.

– No – powiedziałam, usiłując wykazać współczucie – przynajmniej mogła ci udzielić głosu w tej sytuacji, zamiast od razu cię skopać.

Simon pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

– Boże – jęknął.

– Simon, rozumiem, ale to nie była twoja wina i to już skończone.

– Nie, zaraz – powiedział ochryple – daj mi skończyć. – Wlepił wzrok w swoje kolana, kilka razy odetchnął głęboko. – Dojechałem do tej stromej drogi strażackiej, tam był znak, że dalej nie wolno jechać. Tuż za znakiem ona siedziała na występie, obejmowała się rękami i płakała. Zawołałem do niej, spojrzała; rzeczywiście nieszczęśliwa. I odjechała w dół stromym zboczem. Wciąż jeszcze ją widzę: wokoło niewiarygodna, czarowna biel śniegu, bezdenne. A ona zjeżdża. Ale w pół drogi natrafiła na głębszy śnieg, narty jej się zapadły, przechyliła się i zatrzymała.

Teraz Simon wlepił oczy w coś dalekiego i utraconego. Złękłam się.

– Wołałem ją. Odrzucała śnieg kijkami. Wniebogłosy się darłem: „Cholera jasna!

Elza!" Usłyszałem coś jak stłumione wystrzały i nagle zaległa zupełna cisza. Elza się odwróciła. Przysłaniała oczy przed blaskiem słońca. Chyba nie widziała tego zbocza dwieście jardów ponad nią. Ono powoli, bezszelestnie się rozpinęło jak zamek błyskawiczny. Krecha stała się pęknięciem, lodowatoniebieskim cieniem. I nagle ten cień kręto zaczął spleść, już szybko, coraz niżej. Pęknięcie było ogromne... Szkliste jak ślizgawka. I wszystko się rozdudniło: moje stopy, moja pierś, moja głowa. Elza, widziałem, teraz wiedziała. Szamotała się, uwalniała się od nart.

Jak Elza, ja teraz też wiedziałam, co nastąpi.

– Simon, chyba nie chcę tego słuchać...

– Odrzuciła narty i plecak. Skakała w śniegu, osuwając się po biodra. Wrzeszczałem: „Zejdź na bok!" I zaraz góra się zawaliła, słyszałem tylko ten przeciągły ryk, drzewa trzaskały, całe kępy ich, łamały się jak wykałaczkę.

– Boże – wyszeptałam.

– Ona pływała na powierzchni lawiny... To właśnie trzeba robić: pływać, pływać, nie ustawać... Ale... wchłonęło ją... zniknęła. Wszystko trzeszczało, osiadało, aż znieruchomiało. Czuję zapach żywicy z połamanymi drzew. Myślałem błyskawicznie. Nie wpadaj w panikę, mówiłem sobie, panika to koniec. Zjechałem po zboczu między drzewa tam, gdzie śnieg był nienaruszony. I wciąż sobie powtarzałem: Pamiętaj, gdzie ona jest pod śniegiem. Wypatruj jej sterczących nart. Jedną swoją nartą zaznacz to miejsce. Odkopuj kijkiem. Pracuj w coraz szerszym kręgu.

Ale kiedy dotarłem na dno niecki, nic tam nie wyglądało tak, jak widziałem z wysoka. Punktu, który postarałem się zapamiętać, cholera, w ogóle nie było, tylko ogromne pole gumiatego śniegu, ciężkiego jak mokry cement. Obijałem się w kółko z koszmarnym uczuciem, że nogi mam sparaliżowane.

– Simon – powiedziała – nie musisz...

Ale nie umilkł.



– I ni stąd, ni zowąd ogarnął mnie ten dziwny spokój, oko huraganu. W duchu ujrzałem Elzę, pod śniegiem, gdzie leżała. Byliśmy tak ze sobą związani. Ona mnie prowadziła swoją myślą. Dobrnąłem do tego miejsca. Zacząłem kopać nartą, mówić Elzie, że zaraz ją wyciągnę. Usłyszałem helikopter. Bogu dzięki! Machałem rękami jak oszalały i wtedy dwaj faceci z patrolu ratowniczego wyskoczyli z psem i sondami lawinowymi. Tak zwariowałem, że mówiłem im, jaka ona jest wygimnastykowana i jakie zdrowe ma serce, i ile mil przebiega tygodniowo, i gdzie powinni kopać. Ale oni z psem odeszli zygzakiem. Więc sam kopałem nadal na tym obszarze, gdzie byłem pewien, że ona jest. Wkrótce usłyszałem skowyt psa i ratownicy zawołali, że ją znaleźli. To mnie zdumiało: czyżby nie była tu, gdzie myślałem? Kiedy dotarłem do ratowników, zobaczyłem ją do pasa już odkopaną. Spocony, zasapany, dziękowałem im, bełkotałem, że to wspaniale, bo wiedziałem, że jej nic nie jest. Przywalila ją warstwa śniegu grubości tylko dwóch stóp. Tak cholernie się ucieszyłem, że ona żyje.

– Chwała Bogu – wyszeptałam. – Simon, dopóki tego nie powiedziałeś, rzeczywiście myślałam, że...

– Oczy miała już otwarte. Ale ugrzęzła bokiem, skulona, z dłońmi stulonymi przy ustach, o tak... właśnie tak, jak ją uczyłem, żeby przytrzymywać powietrze, oddychać nim jak najdłużej. Śmiałem się i mówiłem: „Boże, Elza, wprost nie mogę uwierzyć. Byłaś aż tak spokojna, że o tym pamiętałaś?” Ale ratownicy odsunęli mnie od niej. „Przykro nam, człowieku – powiedzieli – jej nie ma”. „Co za bzdura – wykrzyknąłem – przecież jest tutaj! Przecież ją widzę, wyciągnijcie ją”. Jeden z nich objął mnie ramieniem i powiedział: „Bracie, kopimy od godziny, a meldunek o lawinie dostaliśmy dwie godziny temu. Ona żyła najwyżej dwadzieścia minut, dwadzieścia pięć górą”. A ja wrzasnąłem: „To było tylko dziesięć minut temu!” Tak mi odbiło... Wiesz, co myślałem? Ze Elza kazała im to powiedzieć, bo wciąż jeszcze wścieka się na mnie. Rozumiesz, chciałem jej powiedzieć, że wiem, bo wiedziałem

całym sercem... jaką szczególną wartość ma życie, jak trudno zrezygnować z życia swojego czy cudzego.

Położyłam rękę na ramieniu Simona. Wciągał ustami powietrze jak astmatyk.

– Podeszedłem do niej – powiedział – wyjąłem stwardniały śnieg z jej ust. I... wtedy pojąłem, że nie oddycha, wiesz, naprawdę nie oddychała w tę komórkę ze stulonych dłoni, jak ją nauczyłem. I... i zobaczyłem, jaką ciemną ma twarz, w otwartych oczach zamarznęte łzy, wiesz... i powiedziałem: „Elza, proszę, oprzytomnij, proszę, przestań, proszę, nie bój się”. Chwyciłem ją za rękę, o tak, Boże, cholera, były takie zimne. Ale nie przestawała, nie przestawała. Ona...

– Wiem – szepnęłam.

Simon potrząsnął głową.

– Modliła się, rozumiesz, z dłońmi tak stulonymi, jak ją nauczyłem. I chociaż już wiedziałem... Och, cholera, o Jezu... Chociaż już wiedziałem, że ona rzeczywiście nic nie mówi, słyszałem ją, słyszałem jej krzyk: „Błagam Cię, Boże! Błagam, błagam, błagam pozwól mi nie umrzeć”.

Odwróciłam się. W krtani głupio mi rzeziło. Nie wiedziałam, co powiedzieć, jak go pocieszyć. Teraz wiem: powinnam była pełna okropnego smutku okazać Simonowi wielkie współczucie, które przecież czułam. Ale jeśli mam być zupełnie szczerą, czułam przede wszystkim szarpiący lęk. Nienawidziłam Elzy przedtem, nie chciałam, żeby żyła, więc czułam się tak, jakbym to ja ją zabiła. Będę musiała za to zapłacić. To wróci do mnie, zataczając pełne karmiczne koło, jak sprawa Kwan i szpitala dla umysłowo chorych. Spojrzałam na Simona. Wpatrywał się pustym wzrokiem w kontury dębów, iskierki świetlików.

– Wiem, przeważnie wiem, że jej nie ma – powiedział z niesamowitym spokojem. – Ale czasami ledwie o niej pomyślę, już naszą ulubioną piosenkę nadają w radiu. Albo ktoś z jej znajomych z Utah zatelefonuje akurat w tym momencie. I nie sądzę, żeby to był przypadek. Wyczuwam ją. Ona jest. Bo rozumiesz, byliśmy ze

sobą związani, rzeczywiście związani, pod każdym względem. Nie tylko fizycznie, to w najmniejszym stopniu. Byliśmy jak... no... czy mogę ci przeczytać coś, co ona napisała?

Przytaknęłam machinalnie. Simon wyciągnął portfel i rozłożył kartkę podklejoną w zagniecionych miejscach.

– Przysłała mi to z prezentem na urodziny miesiąc przed tym... wypadkiem.

Słuchałam z sercem ściśniętym.

– „Miłość jest trudna – czytał drżącym głosem. – Nigdy nie jest doczesna ani codzienna. Nigdy nie zdołasz do niej przywyknąć. Musisz z nią chodzić, a potem pozwalać jej chodzić z tobą. Nigdy nie zdołasz się wykręcić. Porusza cię jak fala, zagarnia cię w morze, a potem kładzie znów na brzegu. Dzisiejszy szarpiący ból jest podwaliną, z której jakiś krok zaprowadzi do niebios. Możesz od niej uciekać, ale nigdy nie zdołasz jej zaprzeczyć. To odnosi się do każdego”.

Simon złożył kartkę.

– Nadal w to wierzę – powiedział.

Rozpaczliwie próbowałam wyłuskać, o co w tym elaboracie chodzi. Wydawał mi się bełkotem. Czy Simon to przeczytał, żeby mi powiedzieć, czego chce ode mnie?

– Piękne – szepnęłam i zawstydziałam się, że nie przyszło mi na myśl nic lepszego.

– Boże! Nie wiesz, jak mi ulżyło. To znaczy, że już mogę z tobą mówić o niej. – Oczy mu błyszczały, mówił pośpiesznie, swobodnie. – Jest tak, jakby tylko ona mnie znała, rzeczywiście ona mnie znała. Wciąż mnie to uderza i wiem, że muszę dać jej odejść. Ale chodzę po miasteczku i myślę: Nie, jej nie może nie być. I wtedy widzę ją – te same falujące włosy – i dopiero kiedy dziewczyna się odwraca, widzę, że to nie jest ona. Ale chociaż wciąż się tak myślę, nie mogę przestać jej wypatrywać. Jakbym był nałogowcem na początku odwyku, znajduję ją we wszystkim, we wszystkich. – Popatrzył mi nieprzytomnie w oczy. – Twój głos na przykład. Kiedy

ciebie poznałem, bardzo mi przypominał jej głos.

Chyba się wzdrygnęłam, bo szybko dodał:

– Musisz zrozumieć, byłem raczej w fatalnym stanie, kiedy cię poznałem. Zaledwie w trzy miesiące, wiesz, po tym wypadku. Chciałem wierzyć, że ona nadal żyje, że jest w Utah, wściekle gniewa się na mnie i dlatego na razie jej nie widuję... Teraz, kiedy się zastanawiam, wy dwie nie jesteście tak bardzo do siebie podobne, właściwie nie. – Przesunął palcem po mojej zaciśniętej pięści. – Wcale nie chciałem kochać innej. Myślałem, że wystarczy to, co Elza i ja ze sobą mamy. To znaczy, chyba większości ludzi nie jest dana taka miłość na całe życie... Wiesz, o czym mówię?

– Miałeś szczęście.

Głaskał mnie po kłykciach.

– A potem sobie przypominałem, co ona napisała o uciekaniu od miłości, nie sprzeciwianiu się miłości. Spojrzał na mnie. – W każdym razie musiałem ci to wszystko powiedzieć, żebyś odtąd być z tobą szczerym. I żebyś rozumiała, że mam w sercu inne uczucia poza tym, co czuję do ciebie, i jeżeli nie zawsze jestem obecny myślą... No, już wiesz.

Ledwie mogłam oddychać. Szepnęłam, jak mogłam najciszej:

– Rozumiem, tak. Naprawdę rozumiem.

Potem wstaliśmy oboje i już bez słów zeszliśmy ze wzgórza.

Wróciliśmy do mojego mieszkania.

Noc, która mogła być jedną z najromantyczniejszych nocy w moim życiu, była dla mnie koszmarem. Przez cały czas, kiedy się kochaliśmy, miałam wrażenie, że Elza na nas patrzy. Czułam się tak, jakbym uprawiała seks na pogrzebie. Bałam się odezwać. A przecież Simon nie zachowywał się jakby był w żałobie czy poczuwał się do winy. Można by w ogóle nie wiedzieć, że właśnie mi opowiedział najsmutniejszą historię, jaką kiedykolwiek słyszałam. Jak każdy inny kochanek w

pierwszą noc, chciał pokazać, jaki jest obrotny i doświadczony, dogadzać szybko, gotów do następnej rundy.

Później leżałam w łóżku bezsennie i myślałam o muzyce Chopina i Gerswina; co ci dwaj mogliby mieć ze sobą wspólnego? Wyobrażałam sobie pyzate kolana Elzy – jedno błogo uśmiechnięte – i zastanawiałam się, skąd u małego dziecka blizna w kształcie i kolorze dżdżownicy. Wyobrażałam sobie jej oczy – jakie wspomnienia nadziei i bólu, i przemocy ona odziedziczyła? Miłość porusza się jak fala, napisała. Wyobrażałam sobie ją na fali lawiny.

O świcie widziałam Elzę tak, jak ją widział Simon. Głowa w aureoli światła, cera gładka niczym skrzydła cherubina, lodowato niebieskie oczy widzące wszystko – przeszłość, która przechodzi w przyszłość. Elza już zawsze miała być niebezpiecznie piękna, czysta i czarowna jak świeży bezdenny śnieg na zboczu góry.

Patrząc wstecz widzę, że byłam idiotką, kontynuując romans z Simonem. Ale byłam młoda, byłam ogłupiała z miłości. Pomyliła mi się sytuacja żalсна z sytuacją romantyczną, współczucie z nakazem ratowania Simona przed smutkiem. Sama się pakuję, zawsze, w poczucie winy – mój ojciec, Kwan, Elza. Czułam się winna na wspomnienie każdej złej myśli o Elzie. Więc pokutowałam, zabiegałam o jej aprobatę. Sprzysięgłam się z nią. Pomagałam jej się wskrzesić.

Pamiętam, jak kiedyś zaproponowałam Simonowi, żebyśmy się wybrali na pieszą wędrowkę po parku narodowym Yosemite.

– Mówiłeś mi, jak Elza kochała przyrodę – powiedziałam – więc myślę, że ona teraz byłaby z nami.

Simon wydawał się wdzięczny za zrozumienie i to mi wystarczało. To w ten sposób nasza miłość będzie rosnać, myślałam. Ja tylko muszę trochę poczekać. Przypomniałam to sobie później, kiedy obozowaliśmy w miejscowości Rancheria Falls. Nad nami rozciągał się wspaniały baldachim z gwiazd. Ogromny, żywy – i

moja nadzieja była taka. Po krótkiej walce najpierw w sercu, potem w myśli, zdecydowałam się powiedzieć to Simonowi, ale słowa okazały się wyświechtane.

– Simon – powiedziałam – czy zdajesz sobie sprawę, że na te same gwiazdy patrzyli pierwsi kochankowie na ziemi?

A on odetchnął głęboko. Wcale nie zadziwiony; posmutniał. Więc już milczałam, rozumiałam go zgodnie z zapewnieniem, że będę rozumieć. Oczywiście znowu Elza. Może pomyślał, że ona widywała te same gwiazdy. Albo że wyraziła taką właśnie myśl, tylko że ładniej niż ja. Albo że w ciemnościach mój głos jest jej głosem. Może ona takim właśnie za bardzo namiętym tonem, jakim ja mówię najzwyklejsze rzeczy, mówiła o ocaleniu tego całego cholernego świata.

Czułam się dziwnie zmała, chociaż i bardziej zwarta, nieomal zmiążdżona ciężarem mojego serca, jak gdybym pogwałciła prawa ciężenia i równowagi, które nagle się zmieniły. Znowu podniosłam wzrok na te ostre małe gwiazdy migoczące niczym świetliki. Ale teraz się rozmazywały, a nocne niebo przechyliło się i kręciło, zbyt ogromne, żeby się utrzymać w górze jeszcze bodaj przez chwilę.

## Sto tajemnych zmysłów

Poznałam dawne życie Elzy tak dokładnie, aż można by myśleć, że ona była moją najukochańszą, najbliższą przyjaciółką. Kiedy wybierałam z Simonem przepisy kulinarne na Święto Dziękczynienia, wybór padł na nadzienie z ostryg i kasztanów według przepisu Elzy, a nie na moją chińską papkę z ryżu i kiełbasy. Piliśmy kawę z kubków o dwóch uchach, ulepionych przez Elzę na letnim obozie dla muzycznych dzieci. Wieczorem i w weekendy słuchaliśmy ulubionych kaset Elzy: piosenek Blues Project, Randy'ego Newmana, Carole King, a także jej własnej kompozycji – dosyć śmiesznie wzniosłej – którą ku uczczeniu jej pamięci nagrała orkiestra jej college'u. Simonowi mówiłam, że to świetna muzyka, żywy dowód przekonania Elzy. Ale w głębi duszy uważałam, że to zupełnie jak miauczenie bezdomnych kotów przy śmietniku, kończące się gruchnięciem w puszkę buta celnie rzuconego z okna.

Nadszedł grudzień, zbliżało się Boże Narodzenie, i Simon zapytał, co bym szczególnie chciała dostać na Gwiazdkę. Radio grało świąteczne piosenki, a ja się biedziłam, czego Simon chciałby dla Elzy. Wpłata w jej imieniu na fundusz Klubu Sierra? Zbiór płyt Gershwinów? Akurat wtedy w radiu Yogi Yorgesson zaśpiewał „Bzięćcie dzwonki”.

Nie słyszałam tej piosenki od tego Bożego Narodzenia, kiedy miałam dwanaście lat i siliłam się na sarkazm w przekonaniu, że to jest szczyt nonszalancji. W tamtym roku dałam Kwan na Gwiazdkę planszę do seansów spirytystycznych. Zagapiła się bezradnie na staroświeckie litery i cyfry, a ja jej wyjaśniłam, że teraz będzie mogła pytać amerykańskie duchy, jak się pisze angielskie słowa. Poklepała planszę i

powiedziała:

– Cudowne, takie pożyteczne.

Mój ojczym się oburzył.

– Co cię korci, żeby się z niej wyśmiewać? – zapytał mnie surowo.

Kwan oglądała planszę, zaintrygowana.

– To był tylko żart. W porządku?

– Nikczemny żart i serce masz nikczemne, skoro sobie na takie żarty pozwalasz.

– Tata Bob chwycił mnie za rękę, szarpnął i powiedział: – Moja panno, Gwiazdka już się dla ciebie skończyła.

Samotna na wygnaniu w sypialni, włączyłam radio. I właśnie usłyszałam „Bzięćcie dzwonki”. Ta piosenka miała być „ziartem”, jak mój prezent. Gorzko płakałam. Czy jestem nikczemna wobec Kwan, jeżeli ona o tym nawet nie wie? Zresztą, rozumowałam, jeżeli jestem nikczemna, chociaż nie jestem, to Kwan na to zasługuje, takiego ma bzika. Wprost się prosi, żeby ludzie sobie z niej żartowali. I cóż złego jest w zabawie w Boże Narodzenie? Temu świętu do pięt nie dorastam ty ludu... nikczemny. No, jeżeli wszyscy widzą we mnie zło, ja im pokażę, co zło znaczy.

Podkręciłam gałkę radia. Wyobrażałam sobie, że to wielki włoski nos, więc tak mocno ją podkręciłam, że się odłamała. Yogi Yorgesson śpiewał „Śmiejmy się wciąż, ha, ha, ha!” wniebogłosy, a tata Bob klął:

– Olivia, wyłącz to cholerne radio!

Wyciągnęłam kontakt radia z gniazdka, pełna mściwości.

Później Kwan weszła do sypialni i powiedziała, że mój prezent „do wymawiania” podoba jej się bardzo, bardzo wiele.

– Przestań być taka opóźniona! – warknęłam. I zrobiłam możliwie najnikczemniejszą minę, ale przeraziłam się widząc, jaką sprawiłam jej przykrość.

A teraz Simon mnie pytał, co chcę dostać na Gwiazdkę. I znów słyszałam



„Dzwonki” w radiu. I zbierało mi się na płacz. Zrozumienie nie prowadzi do niczego. W tym momencie wiedziałam, że naprawdę chcę tylko wyciągnąć kontakt z gniazdka. Chcę, żeby Elza nie żyła.

Ale czyż mogłam, po sześciu miesiącach zachowywania się jak szlachetna srebrna medalistka, powiedzieć Simonowi, że chcę kopniakiem w duchowy tyłek wyrzucić Elzę z naszego łóżka? Wyobrażałam sobie, jak pakuję jej fotografie, jej płyty, jej irytujące rzeczy do pudła. Dla pewności, żeby się nie zawieruszyły, powiedziałabym Simonowi, dopóki nie skończę wiosennych porządków. I następnie jak ładuję to pudło do bagażnika mojego samochodu i nocą jadę nad jezioro Temescal. Obciążam pudło butelkami po wybielaczu, napełnionymi piaskiem, i całe to paskudztwo wrzucam w ciemną bez księżyca wodę, a potem przyglądam się bańkom na powierzchni, kiedy moja nemezis tonie, pogrąża się w niepamięci.

Później co bym powiedziała Simonowi? Znalazłoby się jakieś wyjaśnienie. „Boże, straszne, ale to pudło ze wszystkimi rzeczami Elzy... ukradli. Mnie też trudno uwierzyć. Ci włamywacze pewnie myśleli, że jest cenne. To znaczy, jest cenne, ale tylko dla ciebie i dla mnie. Boże, masz rację, nie wiem, dlaczego nie ukradli stereo”.

On by zauważył, że oczy mi latają, kąciki ust drgają nie dającym się powstrzymać uśmiechem. Musiałabym się przyznać, co zrobiłam, co rzeczywiście czuję do Elzy i jej kubków o dwóch uchach. Wtedy strasznie by się rozgniewał i byłby koniec. Koniec wszystkiego pomiędzy Simonem i mną. Ale gdyby tak, niech go diabli porwą.

Po wyczerpaniu swojej pomysłowości w zakresie takich czy innych odmian pyrrusowego zwycięstwa poczułam się jednak zagubiona. Tak samo nie mogłam rozstać się z Simonem, jak on nie mógł rozstać się z Elzą.

W takim właśnie dennym i morderczym nastroju poszukałam współniczki, żeby zrobić świństwo. Zadzwoiłam do Kwan.

Dyskretnie nakreśliłam mojej siostrze sytuację. Nie powiedziałam, że jestem w Simonie zakochana. Miałabym znosić siostrzane chichoty, dokuczanie bez końca i wariackie rady? Powiedziałam, że Simon to mój znajomy.

– Aha! Przyjacieli! – domyśliła się, bardzo podekscytowana.

– Nie. Tylko znajomy.

– Bliski znajomy.

– Tylko znajomy.

– Dobrze, dobrze, już rozumiem.

Powiedziałam, że jedna ze znajomych Simona zginęła w wypadku. Powiedziałam, że Simon jest smutny i nie przestaje myśleć o tej nieżyjącej znajomej. Ma manię prześladowczą, a to niezdrowe. Powiedziałam, że chyba by mu pomogło, gdyby miał wiadomość od tej dziewczyny ze Świata Yin. Wiedząc, jak bardzo Kwan jest uległa i chętna do udzielania mi wszelkiej pomocy, postarałam się wyłożyć, o co mi chodzi, jak najjaśniej.

– Może – podsunęłam – zmarła znajoma Simona mogłaby mu powiedzieć, że oboje muszą zacząć nowe życie, więc powinien o niej zapomnieć, nigdy nie wypowiadać jej imienia.

– Aha! To była przyjaciółka.

– Nie, tylko znajoma.

– Aha, tak jak ty, tylko znajoma. – Kwan uśmiechnęła się i zapytała: – Także Chinka?

– Polka, chyba. Może przy tym Żydówka.

– Tst! Tst! – Potrząsnęła głową. – Polska Żydówka, bardzo trudno znaleźć, tyle umarłych polskich Żydów. Dużo jest umarłych Chińczyków, ale z Chińczykami mam dużo połączeń... ta osoba *yin* zna tamtą osobę *yin* i po nitce do kłębka łatwo znaleźć, gdyby to była Chinka. Ale polska Żydówka... Ach! Może ona nawet nie poszła do Świata Yin, może poszła gdzie indziej.

– To na tamtym świecie jest segregacja? Świat Yin wyłącznie dla Chińczyków?

– Nie, nie. Panna Wstęga nie Chinka, a poszła do Świata Yin. Wszystko zależy, co się kocha, w co się wierzy. Kochasz Jezusa, idziesz do Domu Jezusowego. Kochasz Allacha, idziesz do kraju Allacha. Kochasz spać, zasypiasz.

– A jeżeli nie wierzy się w nic na sto procent, zanim się umrze?

– To idzie się do ogromnego miejsca jak Disneyland i wiele miejsc można tam obejrzeć; podoba się, zostajesz. Bez opłaty, oczywiście.

Kiedy Kwan dalej tak baj durzyła, wyobraziłam sobie wesołe miasteczko, gdzie pełno białych agentów ubezpieczeniowych, którzy w używanych szatach anielskich, wymachując sztucznymi piorunami kierują ruchem przechodniów na wstępnym obchodzie Limbo, Czyścica, Małego Świata, Niechrzczonych Niemowląt. Tymczasem hordy dawnych Dzieci Kwiatów i zwolenników terapii psychologicznej załapują się na przejażdżki zwane Pandemonium, Ogień i Siarka, Koło Wieczystych Tortur.

– Więc kto idzie do Świata Yin?

– Mnóstwo ludzi. Nie tylko Chińczycy; także ludzie, którzy mają wielki żal, ci, którzy myślą, że zabrakło im dużej szansy albo zabrakło męża, zabrakło dzieci, zabrakło siostry – Kwan umilkła na chwilę i uśmiechnęła się do mnie. – A także ludzie, którym brak chińskich potraw, idą do Świata Yin, czekają tam. Później mogą się urodzić jako inne osoby.

– Och, chcesz powiedzieć, że ludzie *yin* to ci, którzy wierzą w reinkarnację?

– Co to znaczy reinkarnacja?

– Reinkarnacja? No, kiedy umrzesz, twój duch czy też dusza czy co tam może to być, odradza się jako inna istota ludzka.

– Tak, chyba to jest to samo, coś takiego. Kto zbyt nie grymasi, może wrócić prędko, po czterdziestu dziewięciu dniach. Jeżeli się chce czegoś specjalnego... urodzić się tej osobie, poślubić tamtą osobę... to czasami trzeba czekać długo. Jak na

wielkim lotnisku – można polecieć do wielu, wielu miejsc. Ale kiedy chce się pierwszej klasy, miejsca przy oknie, bez przesiadki, bez zniżki, może być duża zwłoka. Sto lat co najmniej. Teraz coś ci powiem, sekret, nie mów nikomu, ach. Wielu ludzi *yin* chce być w następnym życiu zgađnij kim.

– Prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Nie.

– Kimś.

– Co?

– Mniejsza o to. Więć kim oni chcą być?

– Chińcykami. Mówię ci prawdę! Nie Francuzami, nie Japończykami, nie Szwedami. A dlaczego? Chyba dlatego, że chińskie jedzenie jest najlepsze, świeże i tanie, wiele przypraw, co dzień inny smak. A także chińska rodzina jest bardzo kochająca, przyjaciele są wierni. Masz chińskich przyjaciół czy chińską rodzinę w jednym życiu, to oni ci zostają na dziesięć tysięcy następnych żyć, dobry interes. Tak samo z ludźmi z Indii. Bardzo duży tam tłok. Ludzie w Indiach także wierzą w wiele żyć. A także jedzenie indyjskie podobno niezłe, mnóstwo korzennych potraw, przyprawy także. Oczywiście chińskie curry jest ciągle najlepsze. Jak myślisz, Libbi-ja? Smakuje ci moje curry? Chcesz, mogę ci zrobić dzisiaj, dobrze?

Skierowałam Kwan z powrotem na temat Elzy.

– Więć jaki jest najlepszy sposób, żeby znaleźć tę znajomą Simona? Dokąd zwykle idą polscy Żydzi?

Kwan zaczęła mamrotać.

– Polscy Żydzi, polscy Żydzi. Do tylu miejsc mogą iść. Niektórzy nie wierzą w nic po śmierci. Niektórzy podobno idą do pomiędzy. To takie miejsca jak poczekalnia u lekarza. Inni idą do Syjonu. Prawie lotnisko, nikt się nigdy nie uskarża, nie trzeba napiwków, dobra obsługa w każdym razie. – Potrząsnęła głową i zapytała. – Jak ta osoba umarła?

- Wypadek na nartach w Utah. Lawina. To jak utonięcie.
  - Aha! Narty wodne po obiedzie. Żołądek za pełny, nic dziwnego, że utonięcie.
  - Nie powiedziałam, że po obiedzie. Powiedziałam, że...
  - Nie po obiedzie? Więc dlaczego utonęła? Nie umiała pływać?
  - Ona nie utonęła! Umarła pogrzebana w śniegu.
  - W śniegu! – Kwan zmarszczyła brwi. – Więc dlaczego mówisz, że utonęła?
- Westchnęłam bliska szału.
- Czy była bardzo młoda?
  - Dwadzieścia jeden lat.
  - Tst! To zbyt smutne. Kiedy to się stało?
  - Mniej więcej rok temu.

Kwan klasnęła w ręce.

– Jak mogłam zapomnieć! Mój kawaler! Toby Lipski. Żyd także. Ach, bardzo zabawny, *yin*. W zeszłym roku umarł, rak wątroby. On mi mówi: Kwan, miałaś rację, za dużo picia w klubie disco, niedobre dla mnie, bardzo, bardzo niedobre. Kiedy wrócę, już nie będę pić. Wtedy będę mógł mieć długie życie, długą miłość, długi penis. To trzecie to oczywiście mój żart. – Kwan spojrzała na mnie, żeby się upewnić, czy dostatecznie wykazała szkodliwość alkoholu. – Toby Lipski także mi mówi: „Kwan, potrzebujesz czegoś od *yin*, rozejrzyj się za Tobym Lipskim”. Dobrze, może poproszę go, żeby znalazł tę dziewczynę. Jak jej na imię?

– Elza.

– Tak, tak, Elza. Muszę przesłać Toby'emu wiadomość, to jak napisać list w myśli. – Zacisnęła powieki i stuknęła palcem w bok głowy. Otworzyła oczy. – Wysłane do Świata Yin. Wszystko myślą i sercem naraz, trzeba użyć stu tajemnych zmysłów.

– Co to znaczy tajemny zmysł?

– Ajaj. Tyle razy ci mówiłam! Ty nie słuchasz? Tajemny zmysł właściwie nie

jest tajemny. Tak się nazywa, bo każdy go ma, ale zapomina, że go ma. To taki zmysł jak nóżka mrówki, jak trąba słonia, jak nos psa, wąs kota, ucho wieloryba, skrzydło nietoperza, muszla mięczaka, język węża, włoski kwiatu. Wiele rzeczy, ale połączonych razem.

– Czyli instynkt.

– Co?

– Instynkt. To pewien rodzaj wiedzy, z którym się rodzimy. Jak... No, Bubba, na przykład. To, co mu każe rozkopywać ziemię.

– Tak! I ty mu na to pozwalasz! Bez sensu, głupio! Ładne rzeczy on ci porobi z doniczkami!

– Ja tylko... Och, nieważne. Więc co to jest tajemny zmysł?

– Jak ci powiedzieć? Pamięć, wzrok, słuch, dotyk, wszystko razem i wtedy wiesz coś na pewno, masz prawdę w sercu. Jakie to uczucie... Nie wiem, jak powiedzieć. Może mrowienie. Znasz to: w kościach mówi, że będzie deszcz, odświeży głowę. Mrowienie w skórze, na rękach, bo coś cię przeraża i wtedy wyskakuje gęsia skórka. Mrowienie w skórze na głowie, och-och, już coś wiesz, już prawda przecieka ci do serca, ale jeszcze nie chcesz w to wierzyć. Jest takie mrowienie w nosie. Mrowienie pod pachą. Mrowienie w głębi mózgu... Jeżeli wtedy nie masz się na baczności, będzie duże nieszczęście, mmmm. I tajemny zmysł czasami odbiera wiadomości tam i z powrotem między dwiema osobami, czy one żywe czy umarłe, nieważne, na to samo wychodzi.

– No, cokolwiek potrzebujesz zrobić, zrób – powiedziałam. – Tylko prędko.

– Phi! – prychnęła Kwan. – Myślisz, że pracuję na poczcie: późno załatwiam wysyłki w Wigilię Bożego Narodzenia, ma dojść w święta wszystko, prędko-prędko-prędko. Tak nie ma tutaj, tak nie ma tam! W każdym razie w Świecie Yin czas nie pieniądz. Tam wszystko jest już za późno! Chcesz osiągnąć kogoś, musisz wyczuć, co ta osoba czuje, ta osoba wyczuje, co ty czujesz. I wtedy *pung!* –

jak szczęśliwy przypadek, te dwie osoby wpadają na siebie.

– No, dobrze. Tylko postaraj się powiedzieć Toby'emu, że ona nazywa się Elza Vandervort. Ma przybrane imię i nazwisko. Nie wie, kim byli jej rodzice. Przypuszcza, że to polscy Żydzi wywiezieni do Auschwitz. I może myśli teraz o Chopinie, o muzyce.

– Au! Mówisz za prędko.

– Dobrze, napiszę ci to.

Dopiero później zastanowiłam się nad ironią losu w tej całej sprawie: pomagam Kwan trwać w jej złudzeniach po to, by ona pomogła Simonowi wyzbyć się swoich.

W dwa tygodnie potem Kwan powiedziała mi, że Toby dobrze się spisał. Będzie miał spotkanie z Elzą w noc następnej pełni księżyca. Ludziom w Świecie Yin, wyjaśniła, bardzo trudno umawiać się na spotkania, bo tam nikt nie używa już kalendarza ani zegarka. Najlepszy sposób to według księżyca. Dlatego najdziwniejsze rzeczy dzieją się wtedy, gdy księżyc jest najjaśniejszy.

– Księżyc – powiedziała Kwan – jak światło na ganku mówi: „Goście, proszę bardzo, proszę bardzo, wejdźcie”.

Wciąż jeszcze czuję się winna, bo aż nazbyt łatwo było nabrać Simona. Poszło to tak:

Powiedziałam mu, że moja siostra zaprosiła nas oboje na kolację. Przyjął zaproszenie. Ledwie tam przyszliśmy, Kwan od razu wykrzyknęła:

– Ooch, taki przystojny.

Simon na to ze zwłoką, jak po podpowiedzi suflera:

– Pani żartuje. I nie wygląda pani na starszą od Olivii o dwanaście lat.

Kwan się rozpromieniła i pochwaliła go:

– Ooch, i dobre maniery w dodatku.

Curry było dosyć smaczne, rozmowa toczyła się raczej gładko. Mąż Kwan i jej

pasierb opowiadali z ożywieniem o walce na pięści, którą widzieli na parkingu Safeway.

Kwan przez cały czas kolacji nie zachowywała się zbyt dziwnie, chociaż okazywała wścibstwo, wypytyując Simona o jego rodziców. Które z nich narodowości chińskiej? Byli Chińczycy po stronie matki. Ale matka nie Chinka? Aha, Hawajka, wiem, Chińczycy zawsze są przedtem. Czy ona tańczy hula-hula?... Ach, nie żyje? Tak młodo? Aj, to smutne. Widziałam kiedyś hula-hula w telewizji, biodra się kręcą jak pralka, ręce trzepoczą jak skrzydła ptaka...

Kiedy Simon poszedł do łazienki, mrugnęła do mnie i szepnęła głośno:

– Hej! Dlaczego mówisz, że to tylko znajomy? Ten wyraz twojej twarzy, jego twarzy, ha, nie tylko znajomy! Mam rację? – I pokładała się ze śmiechu.

Po kolacji George i chłopcy poszli do pokoju dziennego, żeby oglądać serial. Kwan zabrała Simona i mnie do saloniku, oświadczając, że coś ważnego Simonowi powie. My usiedliśmy na kanapie, ona w fotelu. Wskazała pseudokominek z piecykiem gazowym.

– Za zimno? – zapytała.

Potrząsnęliśmy głowami przecząco.

Złożyła ręce na kolanach.

– Simon – powiedziała i uśmiechnęła się jak zjawa w bajkach arabskich – powiedz, podoba ci się moja siostrzyczka, co?

– Kwan! – ostrzegłam, ale Simon już jej odpowiedział:

– Bardzo.

– Mhm. – Była zadowolona jak kot, który porządnie się wylizał. – Nawet gdybyś zaprzeczył, ja to już widzę. Mhm... a wiesz, dlaczego?

– Chyba to jest widoczne.

Simon uśmiechnął się niemądrze od ucha do ucha.

– Nie, nie, nie twoje „widoczne” mi to mówi. Ja wiem... tutaj – stuknęła się w



czoło. – Mam oczy *yin*, mhmm, oczy *yin*.

Simon spojrzał na mnie, jak gdyby prosił: wypłaczn mnie z tego Olivio... Co się dzieje?

Wzruszyłam ramionami.

– Popatrz Simon – Kwan wskazała kominek – i powiedz, co widzisz.

Wychylił się z kanapy i spróbował zagrać, jak mu się wydawało, w tę jakąś chińską grę.

– Czy chodzi o te czerwone świece?

– Nie, nie. Widzisz palenisko, mam rację?

– Och tak. Jest palenisko.

– Ty widzisz palenisko, a ja widzę coś innego. Osoba *yin* tam stoi, już umarła.

Simon roześmiał się.

– Zmarła? To znaczy duch?

– Mhm. Ona mówi swoje imię: Elsie. – Poczciwa Kwan przypadkiem źle wymówiła imię Elza i właśnie utrafiła. – Simoni-ja, chyba znasz tę dziewczynę, tę Elsie? Ona mówi, że cię zna.

Teraz się nie uśmiechał. Siedział wychylony z kanapy.

– Elza?

– Och, ona teraz ta-ak się cieszy, że ją pamiętasz. – Kwan pochyliła się ku urojonej Elzie, słuchając uważnie. – Co?... Aha, dobrze, dobrze. – Odwróciła się do nas. – Ona mówi, że ty nie wierzysz, ale spotkała dużo sławnych muzyków, wszystkich także umarłych. – Popatrzyła znów na palenisko. – Co?... Och... Och! Aha. Nie, nie, przestań Elsie, za dużo nazwisk! Mówisz o tylu tych sławnych, aż nie potrafię powtórzyć! Wystarczy jeden... Szofer? Nie? Nie wymawiam jak trzeba?

– Szopen – podsunęłam.

Simon chyba zdrętwiał. Ja byłam pod wrażeniem. Zdumiona, że Kwan wie cokolwiek o muzyce klasycznej. Zawsze lubiła tylko country, western, piosenki o

kobietach ze złamanym sercem.

– Mówi, że jest szczęśliwa, bo spotkała swoją matkę, ojca, starszego brata. To znaczy, inną rodzinę, nie tę przybraną. Jej prawdziwe nazwisko, ona mówi, to Wawaski, Wakowski... Chyba japońskie... Co? Nie japońskie?... Mhm. Ona mówi, że polskie. Polsko-żydowskie. Co?... Aha, dobrze. Ona mówi, że jej rodzina umarła dawno temu z powodu... auto... ślizg...?

– Auschwitz – powiedziałam.

– Nie, nie. Auto... ślizg. Tak, wpadło w poślizg, katastrofa. – Kwan przyłożyła stuloną dłoń do prawego ucha. – Mnóstwo razy na początku bardzo trudno zrozumieć, co mówi osoba *yin*, bo za bardzo się podnieca, mówi za prędko. Co?... – Przechyliła lekko głowę. – Teraz mówi, że dziadkowie, oni umarli w tym miejscu. W Auschwitz, wojenna Polska. – Popatrzyła na mnie i mrugnęła, po czym szybko odwróciła się znów do paleniska i słuchała zaciekawiona, zatroskana. – Ajaj! Tst! Tst! Elsie, za bardzo cierpisz. To takie smutne. Och. – Dotknęła swego kolana. – Mówi, że ta katastrofa z autem, stąd blizna na jej dziecięcej nóżce.

Zdziwiłam się – czyżbym podała Kwan ten szczegół o bliźnie Elzy? Najwidoczniej jednak podałam. Świetnie. To przydało ładnego akcentu autentyczności.

Simon wybełkotał:

– Elza, a dziecko? Co z tym dzieckiem, które miałaś urodzić? Czy jest z tobą?

Kwan spojrzała na palenisko, zaintrygowana, a ja wstrzymałam oddech. Psiakość! Zapomniałam ją poinformować o tym cholernym dziecku. Wpatrywała się w palenisko przez chwilę.

– Dobrze, dobrze – machnęła nonszalancko ręką i odwróciła się do nas. – Elsie mówi, nie ma zmartwienia. Spotkała tego bardzo, bardzo miłego, który miał być jej dzieckiem. On jeszcze się jej nie urodził, więc nie umarł. Jeszcze tam czekał, ale krótko, już się urodził komuś innemu.

Odetchnęłam z ulgą. Cóż, kiedy zobaczyłam, że Kwan wciąż patrzy na palenisko, zafrasowana. Marszczyła brwi, potrząsała głową. I nagle w głowie poczułam mrowienie, zobaczyłam latające nad paleniskiem iskry.

– Aha – powiedziała Kwan cicho, z pewnym wahaniem. – Teraz Elsie mówi, że ty, Simon, powinieneś przestać myśleć o niej... Co? Mhmm. To niedobrze, tak, tak... Za dużo życia marnujesz, kiedy myślisz o niej... Co? Mhm. Musisz zapomnieć, ona mówi, tak, zapomnieć... nigdy nie wymawiać jej imienia. Ona ma teraz nowe życie. Szopen, Schumann, jej mama, tata. Ty także masz nowe życie.

Następnie Kwan powiedziała Simonowi, że powinien chwycić się mnie, zanim będzie za późno, jego prawdziwa miłość to ja i będzie zawsze żałował, jeżeli zaprzepaści tę dobrą możliwość, zdarzającą się tylko raz na wiele żyć. I ciągnęła dalej, jaka to ja jestem uczciwa i szczerą, jaka dobra, jaka wierna i inteligentna.

– Och, może nie za dobrze gotuje, ale to chwilowo, bądź cierpliwy, będzie lepiej. Jeżeli nie, ja ją nauczę.

Simon potakiwał, przyjmując wszystko, smutny i wdzięczny zarazem. A mnie zamiast upojenia ogarniały mdłości. Bo ja też zobaczyłam Elzę. Usłyszałam ją.

Ona nie była taka jak duchy, które widziałam w dzieciństwie. Była miliardem iskier zawierających każdą myśl i uczucie, jakie kiedykolwiek w życiu miała. Była trąbą powietrzną. Płasała po pokoju, błagała Simona, żeby ją słyszał. Wiedziało to moich sto tajemnych zmysłów. Językiem węża czułam, jak żarliwie ona pragnie być widzialna. Skrzydłem nietoperza wyczuwałam, gdzie się trzepocze w pobliżu Simona, omijając mnie. Gęsią skórka czułam każdą jej łzę, jak gdyby pioruny miotła w moje serce. Każdym włoskiem kwiatu czułam, jak drży czekając, żeby Simon ją usłyszał. Ale nie on, a ja ją słyszałam... Nie uszami tylko mrowieniem w tej częścce mózgu, która wie, że coś jest prawdą, chociaż jeszcze nie chce się w to uwierzyć. Uczucia Elzy wcale nie były takie, jak mówiła pełna dobrych chęci Kwan. Elza błagała, płakała, powtarzała raz po raz: „Simon, nie zapomnij mnie. Czekaj na

mnie. Ja wrócę".

Nigdy nie powiedziałam Kwan, co wtedy widziałam i słyszałam. Po prostu nie pozwalałam sobie uznać, że to nie była halucynacja. A przecież w ciągu siedemnastu lat, które minęły od tamtego czasu, jakoś pojęłam, że serce rządzi się samo, niezależnie od tego, czego się pragnie, niezależnie od tego, jak często się wyrывa korzenie swoich najgorszych obaw. Obawy odrastają, niczym bluszcz oplatają zakamarki serca, pasożytują na bezpieczeństwie duszy, po czym krążą w żyłach i wydostają się porami. W niezliczone noce budziłam się w ciemnościach z nawracającą dziwną gorączką, skołowana, przerażona tą prawdą. Czy Kwan słyszała Elzę tak jak ja? Czy ze względu na mnie kłamała? Gdyby Simon się zorientował, że go oszukałyśmy, co by zrobił? Czy on zdaje sobie sprawę, że mnie nie kocha?

Wciąż i wciąż te pytania się nasuwały i nawarstwiały, aż nabrałam pewności, że nasze małżeństwo jest skazane: Elza je zniszczy. Lawina czeka, żeby spaść, uwieszona na jednym pytaniu, niebezpiecznie śliskim: „Dlaczego jesteśmy razem?”

A potem słońce wspinało się ponad okienny parapet. W jasności poranka mrużyłam oczy. Patrzyłam na zegar. Wstawałam, odkręcałam prysznic. Dobierałam wodę gorącą i zimną, budziłam swój umysł bolesnymi strużkami, spływającymi na mnie całą. I byłam rada, że wraca powszednia rzeczywistość, ograniczona do zwykłych zmysłów, którym mogę ufać.

### Ta, która łapie duchy

Właściwie to urząd skarbowy poprowadził nas do ślubu. Mieszkaliśmy razem od trzech lat, z czego dwa już po studiach. Zgodnie z naszym wspólnym marzeniem o „wprowadzeniu konkretnych zmian” pracowaliśmy w służbie dla ludzi. Simon był doradcą w organizacji Nowe Życie, pomagającej skołatanym nastolatkom z przeszłością kryminalną. Ja byłam pracownicą na każde zawołanie „Szansy”, programu dla ciężarnych narkomanek. Nie zarabialiśmy dużo, ale kiedyśmy zobaczyli, ile urząd skarbowy zabiera z naszych miesięcznych poborów, obliczyliśmy, ile byśmy zaoszczędzili, gdybyśmy wypełniali zeznanie podatkowe wspólnie. Całe trzysta czterdzieści sześć dolarów rocznie.

Zubożali, myśląc o tej sumie, debatowaliśmy, czy słusznie rząd faworyzuje pary małżeńskie. Oboje się zgadzaliśmy, że podatki są podstępłą formą ukrócenia swobód. Ale z jakiej racji dawać rządowi trzysta czterdzieści sześć dolarów, żeby kupował jeszcze więcej broni? Te pieniądze nam się przydadzą na nowe wieże i stereo. Pamiętam, że to na pewno Simon zaproponował ślub.

– Jak myślisz? – zapytał. – Czy nie powinniśmy się pobrać i wypełniać wspólnie?

Ślub odbył się w Parku Golden Gate, w okolicy ogródków rododendronowych, którą uznaliśmy za miejsce wystarczająco nieodświętne, a przy tym romantycznie *al fre-sco*. Ale tamtego dnia czerwcowego arktyczny wiatr przyniósł mgłę i tak nas tarmosił, że na fotografiach ślubnych my oboje i nasi goście wyglądamy jak wariaci. I kiedy duchowny Kościoła Uniwersalnego intonował błogosławieństwo małżeńskie, dozorca parku oznajmił głośno:

– Przepraszam państwa, na takie zebranie trzeba mieć zezwolenie.

Więc pośpiesznie przelecieliśmy przez wymianę przysięg, spakowaliśmy weselny piknik i prezenty i pohołowaliśmy to wszystko do naszego ciasnego mieszkania na Stanyan Street.

Jak lukier na naszym sponiewieranym weselnym torcie, prezenty ślubne okazały się raczej zbyteczne i zgoła niepraktyczne. Kiedy rozpaczliwie potrzebowaliśmy prześcieradeł, ręczników i wyposażenia kuchni, większość naszych przyjaciół wystąpiła z prezentami dowcipnymi, nie użytecznymi. A mój były ojczym Bob dał nam kryształowy wazon, rodzice Simona zaś grawerowaną srebrną tacę.

Reszta rodziny usiłowała się prześcignąć w znalezieniu czegoś specjalnego, co odziedziczą po nas nasze przyszłe wnuki. Od mojej matki dostaliśmy oryginalną metalową rzeźbę: mężczyznę i kobietę obejmujących się namiętnie, dzieło sztuki, które stworzył Bharat Singh, jej ówczesny przyjaciel. Mój brat Tommy wyposażył nas w japoński bilard, w który grał za każdym razem, kiedy przychodził z wizytą. Kevin dał nam skrzynkę czerwonego wina do wypicia na pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Ale po kilku zaimprovizowanych zabawach weekendowych z przyjaciółmi pozostał nam jedynie imponujący zbiór pustych butelek.

Prezent Kwan za to był rzeczywiście piękny – ku mojemu zdumieniu. Chińska szkatułka z różanego drzewa z rzeźbionym wiekiem. Gdy się je podnosiło, brzdąkała sztywnym, bezmyślnym rytmem muzyczka, melodia „Tacy byliśmy”. W przegródce na biżuterię leżała paczka herbaty.

– Sprawia, że dobre uczucie trwa długo – wyjaśniła Kwan, patrząc na mnie czule.

Przez pierwszych siedem lat naszego małżeństwa wychodziliśmy z siebie, żeby zgadzać się prawie we wszystkim. Przez następnych siedem wydawało się, że jest wprost przeciwnie. Nie dyskutowaliśmy jak kiedyś on z Elzą na doniosłe tematy należytej działalności i opieki społecznej. Kłóciliśmy się o drobiazgi: czy smażenina jest lepsza, kiedy się podgrzewa patelnię przed wlaniem oleju? Simon twierdził, że

tak, ja przeciwnie. Nie mieliśmy spięć, ale sprzeczałyśmy się często, jak gdyby z przyzwyczajenia. To psuło nam humor i odnosiliśmy się do siebie raczej gniewnie niż serdecznie.

O naszych nadziejach, marzeniach, tajemnych pragnieniach nie mogliśmy rozmawiać. Były zbyt niejasne, zbyt przerażające, zbyt ważne – więc pozostawały w nas ukryte, rosnąc jak rak, jak coś, co samo się zżera.

Patrzę wstecz ze zdumieniem, że tak długo nasze małżeństwo przetrwało; zastanawiam się nad małżeństwami naszych znajomych. Utrzymuje je nawyk czy lenistwo, czy może jakieś dziwne połączenie lęku, przeradzającego się w nadzieję, która z kolei wyzwala lęk? Wtedy nie uważałam naszego małżeństwa za gorsze od innych małżeństw. Myślałam nawet, że pod niejednym względem jest lepsze niż większość. Byliśmy na proszonych kolacjach dobraną i urodziwą parą. Nie roztyliśmy się, prowadziliśmy przyzwoite życie seksualne. I mieliśmy wspólną wielką sprawę: naszą własną firmę, agencję reklamową głównie dla stowarzyszeń charytatywnych i lekarskich.

Z biegiem lat wydłużyła się lista naszych stałych klientów: Państwowa Fundacja Nerek, Fundacja Badań Guzów Mózgu, dwa szpitale a jedno intratne konto, klinika wzmacniania słabej tkanki, obstająca przy reklamach z fotografiami kobiecych pośladków przed zabiegiem i po nim. Pracowaliśmy w naszym mieszkaniu. Ja fotografowałam, projektowałam i kleiłam artystycznie. Simon pisał teksty, załatwiał klientów i drukarnie, i prowadził dział finansów. W kwestiach estetyki traktowaliśmy się nawzajem z ostrożnym szacunkiem. Dochodziliśmy do porozumienia w takich sprawach jak zaplanowanie broszury, rodzaj czcionki i nagłówki. Byliśmy bardzo profesjonalni.

Przyjaciele mawiali:

– Wy to macie szczęście.

I ja przez lata chciałam wierzyć, że jest tak, jak oni z zawiścią przypuszczają.

Mówiłam sobie, że nasze kłótnie to tylko pomniejsze zadrażnienia, jak drzazgi pod skórą, rysy na samochodzie, łatwe do usunięcia, kiedy już się do tego zabierzemy.

Mniej więcej trzy lata temu zmarł Dudley, mój ojciec chrzestny, emerytowany księgowy, którego nie widziałam od wczesnego dzieciństwa. W spadku po nim dostałam akcje małej spółki. Nie były dużo warte za jego życia. Ale kiedy wykonawca testamentu mi je przekazał, spółka już się rozrosła, akcje podskoczyły i dzięki komercyjnym cudom Simon i ja mieliśmy tyle pieniędzy, że mogliśmy kupić – nawet przy wygórowanych cenach San Francisco – dom w świetnej okolicy. To znaczy, mogliśmy, dopóki mama nie poradziła, żebym podzieliła się moim szczęściem z braćmi i Kwan. Miała rację, ale żywiłam nadzieję, że Kevin, Tommy i Kwan powiedzą: „Zatrzymaj sobie. Dziękujemy, że o tym pomyślałaś”. Na nadziei się skończyło. Najbardziej zdumiała mnie Kwan. Wykrzykiwała, piszczała i tańczyła, jak zwycięska zawodniczka w Kole Fortuny. Po rozkrojeniu tego odziedziczonego placka i odcięciu okazałej pajdy na podatki, Simon i ja mieliśmy akurat na zapłacenie pierwszej raty za skromny dom w wątpliwej dzielnicy.

Toteż szukaliśmy odpowiedniego domu przez rok z okładem. Simon mówił o nadbudówce z lat pięćdziesiątych w zamglonej smogiem dzielnicy Sunset; moglibyśmy sprzedać ją za parę lat i zarobić ze dwa razy tyle, ile w nią włożymy. Ja myślałam raczej nie o inwestycji tylko o jakiejś odrapanej wiktoriańskiej kamieniczce na obiecujących Bernal Heights, z której moglibyśmy sobie zrobić miły dom.

– Chciałaś powiedzieć budę, miłą budę – powiedział Simon, kiedyśmy obejrzelі jedną taką nieruchomość.

Nie mieliśmy szczególnie na uwadze możliwości na przyszłość. Oczywiście chodziło raczej o nasze możliwości terażniejsze. Wiedzieliśmy oboje, że gnieździć się spokojnie w małym zagraconym mieszkanku może tylko świeża kwitnąca miłość, kiedy nic nie jest ważne poza szczęściem przytulania się w ciepłym ciasnym



łóżku. Simon i ja dawno już przenieśliśmy się do ogromnego łoża pod pled elektryczny z dwoma kontaktami.

W pewną mglistą, letnią niedzielę wypatrzyliśmy tabliczkę „na sprzedaż” przy jednych z drzwi spółdzielczego sześciosegmentowego budynku na skraju Pacific Heights. Na skraju, to znaczy ten budynek jest przywieszony do sztywnej dzielniczycy mocno przetartą nitką. Tylną częścią stoi na Western Addition, gdzie okna i drzwi zabezpiecza się stalowymi kratami. I całe trzy przecznice i dwa stopnie podatkowe dzieli go od lepszych ulic Pacific Heights, zamieszkałych przez rodziny, które stać na płatne towarzystwo dla psa na spacer, na pomoc domową i na inne dwa domy gdzie indziej. W sieni tego bloku Simon podniósł ulotkę:

– „Segment półluksusowy, dwupoziomowy. Spółdzielnia Dolne Pacific Heights – przeczytał głośno. – W prestiżowej, kiedyś okazałej wiktoriańskiej rezydencji zbudowanej w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku przez słynnego architekta Archibalda Meyhew”.

Ponadto ulotka zachwalała dziesięć pokoi i miejsce na parkowanie samochodu, wszystko za cenę tylko trochę przekraczającą nasz budżet. Dotychczas oferty do przyjęcia obejmowały nie więcej niż pięć albo – jeżeli bez garażu – sześć pokoi.

Nacisnęłam dzwonek domofonu: segment pięć.

– To dobra cena jak na tę okolicę – zauważyłam.

– To nawet nie kondominium – powiedział Simon. – W spółdzielniach podobno nawet zmiany żarówek są regulowane przez wariackie przepisy.

– Popatrz na tę poręcz. Ciekawe, czy to pierwotna. Nie byłoby to wspaniałe?

– Podrobiona. Widać po jaśniejszych skrętach. Są zbyt równe.

Wydawało się, że Simon stracił zainteresowanie, więc chciałam zaproponować, żebyśmy wyszli. Ale nagle usłyszeliśmy szybkie kroki na schodach i męski głos:

– Już do państwa idę!

Simon od niechcienia wziął mnie za rękę. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio to

zrobił. Może, chociaż krytykował, pociągała go ta trafiająca się nam okazja przynajmniej na tyle, że chciał, byśmy sprawiali wrażenie szczęśliwej pary małżeńskiej, wystarczająco zasobnej i statecznej, żeby się nie rozmyśliła przed samym podpisaniem umowy.

Agent sprzedaży nieruchomości i, jak się okazało, autor tekstu ulotki, był schludnie ubranym łysym młodym facetem. Nazywał się Lester Roland czy też Roland Lester. Irytująco często odchrząkiwał, aż wydawało się, że albo kłamie, albo jest bliski jakiegoś kłopotliwego wyznania.

Wręczył nam swój bilet firmowy.

– Państwo już kupowali w tej okolicy? Państwo...?

– Bishop, Simon i Olivia – odpowiedział Simon. – Mieszkamy w Marina.

– Państwo wiedzą, że to jedna z najlepszych dzielnic mieszkalnych w mieście.

Simon udał zblazowanego.

– Mówi pan o Pacific Heights? Bo chyba nie o Addition Western.

– Nie! Widać, że pan się zna na tym. Chcą państwo pewnie zobaczyć najpierw suterene?

– Tak. Załatwimy to już.

Lester należycie pokazał nam oddzielne liczniki i zbiorniki gorącej wody, wspólny boiler i miedziane rury, a myśmy wprawnie wydawali nic nie mówiące pomruki.

– Jak państwo widzą – Lester odchrząknął – fundamenty są z oryginalnej cegły.

– Ładne. – Simon z uznaniem skinął głową.

Lester zmarszczył brwi i uraczył nas chwilą głębokiego milczenia.

– Wspomniałem o tym, ponieważ... – zakaszłał – jak państwo może już wiedzą, większość banków nie chce finansować budynków na fundamentach z cegieł. Obawa przed trzęsieniem ziemi, wiadomo. Ale właściciel tego obiektu zgodzi się na drugi zastaw hipoteczny i to przy porównywalnych cenach rynkowych, jeżeli

państwo reflektują, oczywiście.

No właśnie, pomyślałam, dlatego ten dom jest taki tani.

– Czy są tu jakieś defekty?

– Och nie, nie ma żadnych. Oczywiście budynek normalnie trochę osiadł, ma powierzchniowe pęknięcia ite-pe! Klasyczne budowle zawsze mają trochę zmarszczek... To przywilej sędziwego wieku. Do licha, wszyscy powinniśmy wyglądać tak dobrze, kiedy nam stuknie sto lat! I proszę pamiętać, że ten umalowany staruszek przeżył trzęsienie ziemi w osiemdziesiątym dziewiątym, już nie mówiąc o tym wielkim „zero-sześć”. Tego się nie da powiedzieć o nowszych budynkach, nieprawdaż?

Lester wydawał się zbyt natarczywy, a do tego w suterenie nieprzyjemnie zalatywało stęchlizną. W ciemnych kątach walały się sterty poobijanych walizek skórzanych, pogryzionych przez myszy, i winilowych – popękanych, szarych od kurzu. Simon puścił moją rękę.

– Ten segment ma tylko jedno miejsce w garażu – powiedział Lester – ale na szczęście sąsiad w segmencie dwa jest niewidomy, więc mogą państwo wynająć jego miejsce na drugi samochód.

– Za ile? – zapytał Simon akurat w chwili, gdy oznajmiłam: – My nie mamy drugiego samochodu.

Lester popatrzył pogodnie na nas oboje, po czym zwrócił się do mnie:

– No to zaoszczędza państwu kłopotu, nieprawdaż?

Ruszyliśmy po wąskich schodach na górę.

– Idziemy tylnym wejściem dawniej dla służby, do tego wolnego segmentu. Aha, właśnie, dwie przecznice stąd... można tam dojść piechotą... jest świetna szkoła prywatna, absolutnie super. Już w trzeciej klasie te małe potwory umieją rozgryźć komputer trzysta osiemdziesiąt sześć, a w wyższych klasach nawet czterysta osiemdziesiąt sześć. Nie do wiary, czego się obecnie uczy ta smarkateria.

Tym razem Simon i ja powiedzieliśmy jednocześnie:

– Nie mamy dzieci.

I spojrzeliśmy na siebie, zaniepokojeni. Lester uśmiechnął się.

– Czasami – powiedział – to bardzo roztropnie.

W pierwszych latach małżeństwa dzieci były naszym wielkim marzeniem. Urzekały nas możliwości łączenia się naszych genów. Simon chciał córeczkę podobną do mnie. Ja chciałam syna takiego jak on. Po sześciu latach mierzenia codziennie temperatury, abstynencji pomiędzy okresami seksu jak w zegarku, poszliśmy do specjalisty od płodności, doktora Brady, który nam powiedział, że Simon jest bezpłodny.

– Chce pan powiedzieć, że Olivia jest bezpłodna – zaprotestował Simon.

– Nie, testy wskazują, że pan – powiedział dr Brady. – Z pana karty też wiemy, że jądra wystąpiły u pana dopiero w czwartym roku życia.

– Co? Nie pamiętam tego. A w ogóle co to ma do rzeczy?

Dowiedzieliśmy się mnóstwo o słabej mocy spermy, o tym, że musi ona pozostawać w temperaturze niższej niż temperatura ciała i dlatego jądra są na zewnątrz – naturalna klimatyzacja. Dr Brady orzekł, że bezpłodność Simona nie jest spowodowana tylko słabością spermy; Simon jest bezpłodny prawdopodobnie od czasu pokwitania, to znaczy od swego pierwszego wytrysku.

– Ależ to niemożliwe – oświadczył Simon. – Ja już wiem, że mogę... No, to niemożliwe. Testy nie są miarodajne .

Dr Brady tonem wyćwiczonym w pocieszaniu tysiąca niedowierzających mężczyzn powiedział:

– Zapewniam pana, że bezpłodność wcale nie rzutuje na męskość, pociąg seksualny, erekcję, wytrysk czy zdolność zaspokojenia partnerki.

Zauważyłam, że powiedział „partnerki”, a nie „żony”, jak gdyby to miało obejmować wiele niekoniecznie małżeńskich zbliżeń dawniej, teraz i w przyszłości.

Potem omówił składowe wytrysku, fizykę erekcji i inne trywialne szczegóły, nie mające nic wspólnego z małąkami kaloszami, które stały na naszej toalecie, z książkami Beatrix Potter, które moja mama już zbierała dla przyszłego wnuczęcia, ani też ze wspomnieniem o Elzie w ciąży, kiedy krzyczała do Simona ze zbrocza odsłoniętego przed lawiną.

Wiedziała, że Simon myśli o Elzie, zastanawia się, czy ona się co do ciąży pomyliła. Jeśli tak, jej śmierć była tym bardziej tragiczna, bo spowodowana głupią pomyłką. Wiedziała również, że Simon musi wziąć pod uwagę to, że Elza mogła skłamać. Ale dlaczego, nie będąc w ciąży, miałyby powiedzieć, że jest? A jeśli nie skłamała, kto był jej drugim kochankiem? I w takim razie dlaczego tak napadła na Simona? Nie znajdowałam logicznych odpowiedzi.

Od czasu naszego seansu *yin* u Kwan przed laty staraliśmy się, Simon i ja, nie mówić o Elzie. Teraz doszedł drugi temat tabu: bezpłodność Simona wraz z wynikłymi z tego wątpliwościami co do ciąży Elzy, i oczywiście naszymi poglądami na sztuczne zapłodnienie i adopcję. Rok za rokiem mijał, a myśmy unikali wszelkich wzmianek o dzieciach prawdziwych, urojonych czy spodziewanych, aż w końcu na podeście drugiego piętra chórem poinformowaliśmy antypatycznego obcego człowieka nazwiskiem Lester: „Nie mamy dzieci”, jak gdybyśmy podjęli decyzję wiele lat wcześniej, jak gdyby ta sprawa była już wtedy tak zamknięta, jak jest teraz.

Lester przetrząsał tuziny kluczy zawieszane na drucie.

– Jest gdzieś tutaj – mamrotał. – Pewnie ten ostatni. Tak, kto by go poznał...

*Voilà!*

Otworzył drzwi i poklepując ścianę znalazł kontakt. W pierwszej chwili to mieszkanie wydało mi się dobrze znane – jak gdybym potajemnie bywała w nim już setki razy. Grube drewniane drzwi dwuskrzydłowe z szybkami, szeroki korytarz z boazerią z ciemnego dębu, smuga światła, padająca przez okienko nad drzwiami,

migotliwe cząsteczki bardzo starego kurzu. To było jak powrót do jakiegoś dawnego swojego domu, ale nie mogłam się zorientować, czy uczucie tej swojskości mnie uspokaja czy przygniała. Kiedy Lester wesoło oznajmił, że zaczniemy oglądanie od salonu, to uczucie się ulotniło.

– Architektura tak zwana wschodnia i neogotyck – objaśnił Lester. Następnie powiedział, że w latach dwudziestych dom był pensjonatem dla komiwojażerów i wojennych wdów. W latach czterdziestych „neogotyck zmienił się w szczególny styl do wszystkiego”, kiedy w budynku pomieszczono dwadzieścia cztery malutkie pracownie i tanie mieszkania czasów wojny. W latach sześćdziesiątych z kolei służył jako akademik, a kiedy rozkwitł handel nieruchomościami – na początku lat osiemdziesiątych – znów uległ reinkarnacji, tym razem zmieniając się w obecne sześć półluksusowych segmentów.

Uznałam, że „półluksus” odnosi się do tandetnego szklanego żyrandola w hallu. Półstraszak byłoby uczciwszym określeniem tego mieszkania, będącego mieszaniną dawnych wcieleń: w kuchni z pomidorowymi kafelkami i szafkami z drewna i laminatu nie pozostał bodaj ślad wiktoriańskiego rodowodu, podczas gdy pokoje nadal zdobiły krzykliwe pendentywy i gipsowe fryzy w rogach. Rury kaloryferów już nie łączyły się z kaloryferami, paleniska kominków z cegieł były zamurowane, z drzwi ostatnio zrobiono prowizoryczne szafy. A Lester w górnolotnym języku agenta sprzedaży nieruchomości nadawał nieużytkowym wiktoriańskim przestrzeniom nową funkcjonalność. Dawny podest schodów, oświetlony od tyłu żółtą szklaną taflą, nabrał w jego wymowie blasku musichallu. Akurat, pomyślałam, dla smyczkowego kwartetu karzełków. Niegdysiejsza duszna kwatera najniższej stopniem praczki awansowała – zgodnie z sugestią Lestera – na „bibliotekę dzieci”, co nie znaczy, że była tu gdzieś biblioteka dorosłych. A połowa kiedyś przestrzennej ubieralni z wbudowaną szafą cedrową – druga połowa należała do sąsiedniego segmentu – stała się teraz „scriptorium”. Słuchaliśmy cierpliwie Lestera, jego słów,

które – jak w filmie rysunkowym psy na świeżo wyfroterowanym linoleum – gorączkowo podążały donikąd.

Musiał zauważyć, że nasze zainteresowanie słabnie. Spuścił z tonu i zmienił kurs, skierował nas w stronę „idealnie oszczędnych linii klasycznych, wymagających tylko trochę czyszczenia”. Dokonaliśmy pobieżnej inspekcji pozostałych pokoi, labiryntu komórek, podobnie rozdętych jaśniepańskimi określeniami: pokój dziecinny do zabaw, pokój śniadaniowy, toaleta; ta ostatnia dość duża, żeby jako tako pomieścić sedes i jedną osobę, siedzącą z kolanami przyciśniętymi do drzwi.

Wszystko razem było nie większe niż nowoczesne mieszkanie najwyżej czteropokojowe.

Tylko najwyższe piętro pozostało do obejrzenia. Lester zaproponował nam wspinaczkę po wąskich schodach na dawny strych, obecnie „Wspaniałe buduar”. I o dziwo, tam nasze cyniczne usta się rozdziawiły. Rozejrzeliśmy się powoli, nieledwie z czcią, jak nagle nawróceni. Przed nami rozciągał się ogromny pokój z pochyłym sufitem, zajmując przestrzeń wszystkich dziewięciu pomieszczeń poniżej. I w przeciwieństwie do zatęchłych mroków ten strych pomalowany na białe był widny. Przez osiem okien w spadzistym suficie widzieliśmy obłoki na niebie. Pod naszymi stopami podłoga z szerokich desek lśniła jak lodowisko. Simon znów ujął moją rękę i uściskał. Odwzajemniłam jego uścisk.

Tutaj są możliwości, pomyślałam. We dwoje możemy wymarzyć sposoby, jak wypełnić tę pustkę.

Już tego dnia, w którym się wprowadziliśmy, zaczęłam obdzierać ściany dawnego pokoju dziecinnego, mającego być moim „przybytkiem”. Lester powiedział, że są to ściany z mahoniem inkrustowane sękami, więc chciałam jak najprędzej odkryć ten architektoniczny skarb. Nieco odurzona oparami

rozpuszczalnika, wyobrażałam sobie, że jestem archeologiem, przekopuję się przez warstwy istnień ludzi, których dzieje można odtworzyć ze zdobień ścian w domach. Najpierw miałam od odłuskania naskórek – pstrokaty lateks koloru wina chardonnay. Głębiej były skórki z poprzednich dziesięcioleci – dolarowa zieleń z lat osiemdziesiątych, psychodeliczny oranż z siedemdziesiątych, hippisowska czerń lat sześćdziesiątych i niemowlęce pastelowe kolorki z pięćdziesiątych. Pod tym odwijały się kawałki tapety w deseń z pokrytych złotymi kłaczkami motyli, amorków z koszykiem pierwiosnków, wciąż tej samej flory i fauny, znanej aż za dobrze pokoleniom, które patrzyły na te ściany w bezsenne noce, uspokajając niemowlę z kolką, gorączkujące dziecko, ciotkę suchotnicę.

W tydzień później rozognionymi czubkami palców dotknęłam ostatniej warstwy gipsu i gołego drewna – nie mahoni, panie Lester, tylko pospolitej sosny. To drewno tam, gdzie nie było osmalone, szerniało od pleśni, prawdopodobnie wskutek nadgorliwości strażackiego węża na przełomie stulecia. Chociaż nie jestem z natury gwałtowna, tym razem kopnęłam ścianę tak mocno, że jedna z desek się rozpadła i ukazały się pasma szorstkich siwych włosów. Wrzasnęłam straszliwie w tonacji horroru klasy B. Simon wbiegł do pokoju, wymachując ręcznikiem – jak gdyby to była niezawodna broń w wypadku masowego mordu. Oskarżycielsko wskazałam palcem włosy, pozostałość, o czym nie wątpiłam, po jakiejś zbrodni sprzed stu lat.

W ciągu godziny oddarliśmy prawie całe to zbutwiałe drewno. Warstwy włosów na podłodze wyglądały jak gniazda olbrzymich szcurek. Dopiero kiedyśmy się zwrócili do przedsiębiorstwa budowlanego, żeby nam postawiło suche ściany, dowiedzieliśmy się, że włosie, które usunęliśmy, było wiktoriańską izolacją. Tenże przedsiębiorca budowlany powiedział nam ponadto, że uszczelnienie z włosia nie przepuszcza dźwięków. Zamożni mieszcianie budowali sobie domy, w których nie mogły do delikatnych uszu dolatywać z sąsiednich pokoi odgłosy tak wulgarne jak



jęk miłosnej ekstazy czy trąba niestrawności.

Wspominam o tym, bo Simon i ja nie zadaliśmy o izolację z włosia i z początku myślałam, że dlatego nasze mieszkanie jest dziwnie akustyczne, co zauważyliśmy po paru tygodniach. Pomiędzy naszą ścianą i ścianą sąsiedniego segmentu był teraz pusty szyb, szeroki mniej więcej na stopę. Więc myślałam, że to przez ten szyb słyhać odgłosy z całego budynku, zmieniające się głucho grzmotnięcia, syki i czasami coś takiego, jak gdyby odbywały się lekcje tańca lambada i to u nas na górze, w naszej sypialni.

Zastanawiając się nad tym problemem, próbowałam odtworzyć owe odgłosy: tink-tink-tin łumpa-łumpa-łumpa, cz-cz-cz. Simon, żeby doszukać się ich możliwego źródła, czynił porównania: rozstrojony fortepian, trzepot gołębi, skrobanie lodu. Postrzegaliśmy świat tak zupełnie inaczej – dorastaliśmy daleko od siebie, zanim się poznaliśmy.

I był jeszcze jeden dziwny aspekt w tym wszystkim: tak się jakoś składało, że Simona nie było w domu, kiedy rozlegały się najupiorniejsze odgłosy – jak wtedy, gdy stałam pod prysznicem i nagle ktoś zaczął gwizdać temat z „Leopardy”, melodię, która prześladowała mnie potem już do końca dnia. Miałam uczucie, że coś się skrada.

Budowlaniec przypuszczał, że są to odgłosy z rur nieczynnych kaloryferów. Doradca z komitetu bezpieczeństwa sejsmicznego powiedział, że powodem może być naturalne osiadanie drewnianej konstrukcji. Przy odrobinie wyobraźni, wyjaśnił, może się wydawać, że skrzypienie i stękanie są Bóg wie czym: trzaskaniem drzwiami, bieganiem po schodach – chociaż on nigdy nie znał nikogo, kto by się skarżył na brzęk tłukącego się szkła, a potem chichoty. Moja matka powiedziała, że to szczury, ewentualnie nawet szopy, i że sama miała z tym kiedyś kłopot. Kominiarz uznał, że w naszych przewodach dymnych gnieźdzą się gołębie. Kevin powiedział, że plomby w zębach mogą czasami przekazywać fale radiowe, więc

powinnam pójść do Tommy'ego, naszego dentysty. Problem pozostawał nie rozwiązany.

Rzecz dziwna, nasi sąsiedzi mówili, że nie dokuczają im żadne niezwykle odgłosy. Tylko niewidomy lokator czwórki kwaśno nadmienił, że słyszy, jak nastawiamy stereo za głośno, zwłaszcza rano. A on rano, dodał, odbywa codziennie medytacje zen.

Moja siostra, kiedy na własne uszy usłyszała te grzmotnięcia i syki, postawiła swoistą diagnozę:

– To nie jest problem z czymś, tylko z kimś. Mhm.

Dalej rozpakowywałam książki. Kwan obesza cały mój gabinet, wysuwając nos jak pies węszący pod którym krzakiem podnieść nogę.

– Czasami jakieś duchy zabłądzą – powiedziała. – Chcesz, spróbuję się w tym połapać.

Wyciągnęła rękę jak różdżkę.

Myślałam o Elzie. Dawno zniknęła z naszych rozmów, ale zdołała zamieszkać w mojej podświadomości, odporna na mijanie czasu jak niewypłacalna lokatorka, której w żaden sposób nie da się eksmitować.

– To nie są duchy – powiedziałam stanowczo. – Wyciągnęliśmy izolację. Ten pokój jest jak jaskinia ech.

Kwan zbyła moje wyjaśnienie wyniosłym prychnięciem. Przykładając dłoń tu i ówdzie do podłogi, chodziła po pokoju i wietrzyła jak pies myśliwski. W końcu stanęła w drzwiach i znieruchomiała.

– Bardzo dziwne. Ktoś tutaj jest – oświadczyła. – Czuję to. Ale nie duch. Ktoś żywy, pełen elektryczności siedzi w ścianie i pod podłogą także.

– No to – zażartowałam – może powinniśmy pobierać od tego kogoś komorne.

– Z żywymi zawsze więcej kłopotu niż z duchami – ciągnęła Kwan. – Żywi dokuczają, bo są gniewni. Duch robi kłopot tylko dlatego, że jest smutny i nie wie, co

i jak.

Pomyślałam o Elzie błagającej, żeby Simon ją usłyszał.

– Ducha umiem złapać – ciągnęła Kwan. – Moja cioteczno cioteczna ciocia mnie nauczyła. Najpierw wzywam: „Posłuchaj ducha!”... Jedno serce mówi do drugiego.

– Spojrzała w górę, wyraźnie przejęta. – Kiedy to jest stara kobieta, pokazuj jej stare kapcie, skórzane podeszwy już miękkie, rozklapane, wygodne do chodzenia. Kiedy mała dziewczynka, pokazuj grzebień jej matki. Dziewczynki zawsze bardzo lubią włosy swoich matek. Ja wkładam taki skarb, ukochany dla ducha, do dużego słoja. Kiedy duch tam wchodzi, prędko zakręcam pokrywkę. I teraz duch w słoju gotowy jest słuchać. Mówię: „Duchu, duchu, czas ci wrócić do Świata Yin”.

Popatrzyła na moje zmarszczone brwi i dodała:

– Wiem, wiem! W Ameryce nie ma dużych słoików po oliwie, może nawet nie wiesz, o jakim słoju mówię. Amerykańskie duchy trzeba łapać w coś innego... Może w duży szybkowar. Albo w walizkę. Albo w pudło z bardzo eleganckiego sklepu, gdzie nie robią przeceny. Tak, tak, to lepszy pomysł, myślę. Libbi-ja, jak się nazywa ten elegancki sklep, co to wszyscy wiedzą, że wszystko tam drogo kosztuje? W zeszłym roku Simon kupił ci tam pióro za sto dolarów.

– Tiffany.

– Tak, tak, Tiffany! Dają tam niebieskie pudła, zupełnie koloru nieba. Amerykańskie duchy kochają niebo, ładne obłoki... Och, wiem. Gdzie jest ta muzyczna szkatułka, którą ci dałam na ślub? Duch kocha muzykę. Pomyśli, że małe ludziki w środku grają piosenki, więc wejdzie do środka, żeby zobaczyć. W moim ostatnim życiu panna Wstęga miała taką...

– Kwan, mam jeszcze sporo pracy.

– Wiem, wiem! W każdym razie nie masz tu duchów, masz kogoś żywego, kto się przemyka po domu. Może zrobił coś złego i teraz się ukrywa, nie chce dać się złapać. Niedobrze, że nie umiem łapać niemoralnych. Lepiej wezwać FBI. Ach... już

wiem. Wezwij tego z „Najbardziej poszukiwani”. Zadzwoń. Mówię ci, oni co tydzień kogoś łapią.

Tyle, jeśli chodzi o rady Kwan.

Aż raptem stało się coś, co postanowiłam uznać za zbieg okoliczności. Elza wróciła w nasze życie. Jej kolega ze studiów, który został producentem muzyki New Age, wskrzesił kilka skomponowanych przez nią utworów. Ta muzyka stała się później ścieżką dźwiękową do serialu o aniołach; „Ironia losu”, powiedział Simon, bo Elza nigdy nie lubiła mitologii chrześcijańskiej. No ale wydawało się, że z dnia na dzień wszyscy oszaleli na punkcie aniołów. Ten serial miał ogromną oglądalność, nagranie ścieżki dźwiękowej sprzedawało się dobrze, a Simon zaczął znajdować poczucie swojej wartości w sławie Elzy. Nigdy nie przypuszczałam, że tak znenawidzę anioły. Simon, który kiedyś nie cierpiał muzyki New Age, teraz prezentował kasetę Elzy, ilekroć przychodzili do nas goście. Niedbale nadmieniał, że kompozytorka zadedykowała tę muzykę jemu. Goście pytali: Dlaczego? No, bo on był najdroższym jej przyjacielem, odpowiadał.

Wtedy naturalnie niektórzy uśmiechali się do mnie pocieszająco, a ja wprost kipiałam w głębi duszy. Wyjaśniałam rzeczowo, że Elza umarła, zanim poznałam Simona. A przecież brzmiało to raczej jakbym się przyznawała, że ja ją zabiłam. Cisza zalegała w pokoju.

Tak więc niezależnie od faktów dźwiękowych w naszym domu usiłowałam udawać, że nie martwi mnie muzyka Elzy, usiłowałam ignorować powiększający się dystans pomiędzy Simonem i mną. Usiłowałam wierzyć, że w sprawach małżeństwa – podobnie jak w razie trzęsienia ziemi, raka czy wojny – ludzie tacy jak ja są uodpornieni na niespodziewane nieszczęście. Ale po to, by udawać, że na świecie wszystko jest w porządku, musiałam wiedzieć, co to nie jest.

### **Pięćdziesiąte urodziny Kwan**

Nie zastąpiliśmy tandetnego żyrandola w hallu żadnym innym. Kiedyśmy się wprowadzali, uważaliśmy, że ten żyrandol jest jaskrawym zaprzeczeniem dobrego gustu. Później stał się tematem żartów i aniśmy się obejrżeli, już był zwyczajnym źródłem światła. Wisiał, ale jeśli rzucał się w oczy, to tylko wtedy, gdy któraś z żarówek się przepaliła. Nawet, nie chcąc sobie o nim przypominać, kupiliśmy w stowarzyszeniu niewidomych weteranów dwanaście żarówek sześćdziesięciowatowych z gwarancją, że przetrwają pięćdziesiąt tysięcy godzin. Cóż, kiedy pięć z sześciu żarówek przepaliło się w ciągu roku. Nie zdobyliśmy się na podstawienie drabiny, żeby je wymienić. No a z jedną tylko palącą się żarówką ten żyrandol był właściwie niewidoczny.

W pewien wieczór mniej więcej pół roku temu ta ostatnia żarówka wysiadła z cichym pafnięciem i znaleźliśmy się w ciemnościach. Właśnie mieliśmy wyjść jak zwykle do pobliskiej restauracji na kolację po pracy.

- Kupię jutro żarówki z prawdziwego zdarzenia – powiedział Simon.
- Dlaczego nie cały nowy żyrandol?
- A po co? Ten nie jest taki zły. Chodźmy. Naprawdę chce mi się jeść.

Idąc z nim do restauracji, zastanawiałam się nad tym, co powiedział, a raczej, jak to powiedział. Czyżby już nie obchodziło go nasze wspólne życie? Byle tandeta już jest dla nas dostatecznie dobra?

W restauracji było prawie pusto. Gdzieś w tle brzmiała cicha senna muzyka, białe dźwięki, takie, jakich nikt rzeczywiście nie słucha. Znad jadłospisu, który znałam na pamięć, zobaczyłam siedzących przy stoliku nieopodal dwoje gości po

pięćdziesiątce. Kobieta miała kwaśną minę. Mężczyzna najwyraźniej się nudził. Jedli, smarowali chleb masłem, popijali wodą, nie patrząc na siebie, nie mówiąc ani słowa. Nie to, żeby się pokłócili. Siedzieli zrezygnowani, dalecy zarówno od zaniepokojenia, jak od radości. Tymczasem Simon czytał kartę win. Czy kiedykolwiek zamawialiśmy inne wino niż firmowe białe?

– Podzielimy się tym razem butelką czerwonego? – zapytałam.

Nawet nie podniósł wzroku.

– W czerwonym jest tanina. Nie chciałbym obudzić się o drugiej nad ranem.

– No to nie czerwone. Może fume blanc.

– Dla mnie tylko tutejsze chablis. Ale ty, proszę bardzo, zamów sobie, co chcesz.

Zapatrzyłam się w kartę win; ogarnęła mnie panika. Nagle wszystko w naszym życiu wydawało się łatwe do przewidzenia, a przecież beztreściwe, jak gdybym układała łamigłówkę tylko po to, by zobaczyć, że ostatecznie ułożyłam z fragmentów reprodukcję jakiejś sztampy i po wielkim wysiłku doznać niemądrego rozczarowania. Oczywiście jesteśmy zgrani pod niejednym względem – seksualnie, intelektualnie, zawodowo – ale nie jesteśmy parą szczególną, nie należymy do siebie nawzajem. Jesteśmy współnikami, a nie jednością – ot, dwoje odrębnych ludzi, którzy przypadkiem dzielą jadłospis i życie. Nasza całość to tylko suma części Simona i części mnie. Nasza miłość nie jest przeznaczeniem. Wynikła z tragicznego wypadku i głupiej sztuczki z duchem. Dlatego tandetny żyrandol jest w naszym życiu w sam raz.

Kiedy wróciliśmy do domu, Simon położył się na łóżku.

– Byłaś strasznie milcząca – powiedział. – Coś niedobrze?

– Nie – skłamałam. – No, właściwie nie wiem. Usiadłam po mojej stronie łóżka i czekając, by znów zapytał, zaczęłam przerzucać katalog reklamowy. Ale Simon zabawiał się pilotem telewizora, co pięć minut zmieniał kanał. Wiadomość o porwanej dziewczynce, hiszpańska telenowela, muskularny facet reklamujący sprzęt

gimnastyczny i inne takie fragmenty z telewizyjnej rzeczywistości migały, a ja starałam się nadać moim uczuciom spoistą, logiczną formę, żeby Simon zrozumiał. Ale to, co dotychczas dusiłam w sobie, skotłowało się i boleśnie uciskało w krtani. O bezpłodności Simona przecież nie mogłam mówić, zresztą nie chciałam na tym etapie mieć dzieci. O niesamowitych odgłosach w domu? Przecież udajemy, że są normalne. O Elzie... Nie możemy rozmawiać o niej, a jednak ona jest wszędzie: we wspomnieniu kłamstw, którymi Kwan szafowała w czasie swego seansu *yin* i w tej cholernej muzyce, którą Simon wciąż nastawia. Uduszę się, myślałam, jeżeli nie poczynię drastycznych zmian w moim życiu.

Simon wciąż przelatywał z kanału na kanał.

– Czy nie wiesz, jakie to irytujące? – zapytałam rzeczowo.

Wyłączył telewizor. Odwrócił się do mnie, podparł łokciem. Wydawał się czule zaniepokojony.

– Co się stało?

Poczułam skurcz w żołądku.

– Tylko zastanawiam się czasami, czy to ma być wszystko? Czy tacy właśnie będziemy za dziesięć, dwadzieścia lat?

– Jak to? Co ma być wszystko?

– Wiesz, mieszkanie w tym okropnym domu, godzenie się z tymi odgłosami, tym lichym żyrandolem. Wszystko jest jakieś stęchłe. Chodzimy wciąż do tej samej restauracji. Mówimy wciąż to samo. Te same stare bzdury raz po raz. – Widziałam, że on nie rozumie. – Ja chcę kochać to, co robimy we dwoje. Chcę, żebyśmy byli sobie bliżsi.

– Już i tak jesteśmy razem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie mówię o pracy! – Czułam się jak małe dziecko, głodne, zgrzane, zmęczone. Byłam bezradna, nie mogłam powiedzieć tego, co rzeczywiście miałam do powiedzenia. – Mówię o nas, o rzeczach naprawdę ważnych. Jest tak, jak byśmy byli

w stojącej wodzie, gnijącej u brzegów.

– Ja tak się nie czuję.

– Przyznaj to: nasze życie we dwoje nie będzie w przyszłym roku ani trochę lepsze niż dzisiaj. Będzie gorsze. Popatrz na nas. Co teraz jest nasze wspólne poza pracą, oglądaniem tych samych filmów, leżeniem w tym samym łóżku?

– Daj spokój. Jesteś po prostu w pieskim nastroju.

– Oczywiście! Bo widzę, dokąd zmierzamy. Nie chcę, żebyśmy kiedyś jak ci dwoje dziś w restauracji siedzieli zagapieni w makaron, nie wiedzieli, co sobie powiedzieć poza: „Dobre te muszelki?” Już teraz nie rozmawiamy ze sobą, właściwie nie.

– Rozmawialiśmy dzisiaj.

– Tak, na pewno. Że ten nowy klient to neofaszysta. Że powinniśmy więcej odkładać na konto SEP. Że zarząd spółdzielni chce podnieść świadczenia. To nie jest prawdziwa rozmowa! To nie jest prawdziwe życie. To nie jest to, co jest ważne dla mnie.

Simon żartobliwie głaskał mnie po kolanie.

– Nie mów, że przechodzisz menopauzę? To cię czeka po siedemdziesiątce. Zresztą obecnie jest prozac.

Strzepnęłam z kolana jego rękę.

– Przestań być taki protekcyjny.

Wycofał się.

– No, żartuję.

– Więc dlaczego zawsze żartujesz z tego, co ważne?

– Hej, nie ty jedna jedyna, ja też się zastanawiam nad swoim życiem, wiesz, kiedy wreszcie będę mógł robić rzeczy naprawdę ważne.

– Tak? Czyli co? – zakpiłam. – Co jest ważne dla ciebie?

Zawahał się. Myślałam, że powie: interesy, dom, tyle pieniędzy, żeby wcześniej



zostać rentierem.

– No. Powiedz mi.

– Pisanie – odpowiedział po długiej chwili.

– Już piszesz.

– A cóż ja tam piszę teraz! Czy naprawdę myślisz, że o to mi chodzi?... Żeby pisać broszury o cholesterolu i ściąganiu tłuszczu ze zwiotczałych ud? Chcę mieć szansę.

– I wtedy co będziesz pisał?

– Opowiadania.

Patrzył na mnie, czekał na moją reakcję.

– Jakie?

– O prawdziwym życiu, o ludziach tutaj albo w innych krajach, na Madagaskarze, w Mikronezji, na którejś z tych wysp indonezyjskich, gdzie nigdy nie było żadnych turystów.

– Dziennikarstwo?

– Eseje, fikcja... Wszystko, co tylko mi pozwoli pisać tak, jak ja widzę świat, w którym mam swoje miejsce, stawiać pytania, na które szukam odpowiedzi... Trudno to wytłumaczyć.

Chciał mi zabrać ten katalog reklamowy. Nie dałam.

– Nie!

Znów oboje byliśmy w defensywie.

– Dobrze! Tkwij dalej w tej swojej cholernej upiorności! – wykrzyknął. – Nie jesteśmy doskonali. Potykamy się. Za mało rozmawiamy. Czy to z nas czyni żalonych nieudaczników? Przecież nie jesteśmy bezdomni ani chorzy, ani nie musimy pracować jak automaty.

– Więc ja mam grać zadowolenie, myśleć: „Do licha. Komuś jest gorzej niż mnie?” Być dla ciebie jakąś Pollyanną?

– Szlag by to! Czego ty chcesz? – warknął. – Co mogłoby cię uszczęśliwić?

Czułam, że grzęznę na samym dnie bajkowej studni życzeń. Rozpaczliwie chciałam wrzasnąć, czego chcę, ale nie wiedziałam, czego. Wiedziałam tylko, że tego w ogóle nie ma.

Simon leżał z głową na poduszce, z rękami splecionymi na piersiach.

– Życie zawsze jest zakochanym wielkim kompromisem – powiedział. Wydawał mi się zupełnie obcy. – Nie zawsze zdobywa się to, czego się chce, bo nieistotne, ile się ma sprytu, jak ciężko się pracuje, jak świetnie robi się swoje. To jest mit. Wszyscy pozostajemy w ramach swoich możliwości. – Roześmiał się cynicznie.

Wtedy palnęłam to, co dotychczas bałam się powiedzieć:

– Tak, no ale ja mam już dosyć bytowania jako parszywa namiastka Elzy!

Usiadł na łóżku.

– A cóż do diabła Elza ma z tym wspólnego? – zapytał.

– Nic.

To było głupie, dziecinne, ale nie mogłam się powstrzymać. Parę minut pełnych napięcia minęło, zanim zapytałam:

– Dlaczego musisz grać ciągle tę cholerną ścieżkę dźwiękową i mówić każdemu, że ona była twoją przyjaciółką?

Simon zapatrzył się w sufit. Westchnął głośno. To oznaczało, że jest gotów zrezygnować.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Chcę tylko, żebyśmy mieli... wiesz, lepsze życie – wyjąkałam. – Razem. – Nie mogłam napotkać jego wzroku. – Chcę być dla ciebie ważna. Chcę, żebyś ty był ważny dla mnie... Chcę, żebyśmy razem marzyli.

– Tak? O czym?

– W tym sęk... Nie wiem! To właśnie chcę z tobą omawiać. Już tak dawno nie mieliśmy wspólnych marzeń, nawet już nie wiemy, czym są marzenia.

Utknęliśmy. Udawałam, że czytam katalog, Simon poszedł do łazienki. Wrócił, usiadł przy mnie i objął ramieniem. Nie cierpiałam siebie za to, że płaczę, ale nie zdołałam się opanować.

– Nie wiem, nie wiem – powtarzałam szlochając.

Przesunął mi po oczach bibułkową chusteczką, wytarł mi nos, położył mnie na łóżku.

– Wszystko dobrze – powiedział. – Zobaczysz, jutro wszystko będzie dobrze.

Ale ta jego dżentelmeneria tylko pogłębiła moją rozpacz.

Wziął mnie w objęcia, więc starałam się zdławić szlochy, udawałam, że się uspokołam, bo nie wiedziałam, jak się zachować. A potem on zrobił to, co zawsze, kiedy oboje nie wiedzieliśmy, co zrobić – zaczął się ze mną kochać. Głaskałam go po włosach, żeby myślał, że ja też tego właśnie chcę. Ale rozmyślałam: Czy on się martwi, co z nami będzie? Dlaczego się nie martwi? Jesteśmy skazani. To tylko kwestia czasu.

Nazajutrz rano zaskoczył mnie. Przyniósł mi kawę do łóżka i rześko oznajmił:

– Zastanowiłem się nad tym, co powiedziałaś wczoraj... o wspólnych marzeniach. No, mam plan.

Wpadł mianowicie na pomysł, żebyśmy spisali nasze życzenia, i niech to będzie coś, co moglibyśmy robić razem, a co by nam pomogło określić, jak się wyraził, parametry naszego życia. Rozmawialiśmy otwarcie, oboje ożywieni. Zgodziliśmy się, że marzenia powinny być szalone, ale zabawne: a więc podróże po egzotycznych krajach, dobre jedzenie i przede wszystkim szanse stworzenia czegoś, co by nam sprawiło satysfakcję. Romantyzmu w tym nie było.

– Tyle, jeśli chodzi o marzenia – powiedział. – Teraz musimy pomyśleć co zrobić, żeby się spełniły.

Po trzygodzinnej dyskusji wyczarowaliśmy pomysł: napiszemy do kilku

podrózniczych i kulinarnych magazynów. Zaproponujemy reportaż z fotografiami o wiejskiej kuchni w Chinach: taka wyprawa na koszt danego magazynu ma być jaskółką przyszłych artykułów o sztuce kulinarnej i kulturze ludowej w różnych krajach i być może zaczątkiem materiałów do książki i odczytów czy nawet serialu telewizyjnego.

To była nasza najlepsza rozmowa od lat. Nadal wątpię, czy Simon całkowicie zrozumiał moje obawy i rozpacz, ale zareagował najlepiej jak mógł. Chciałam marzeń, więc przedstawił mi plan. Kiedy o tym myślałam, to wystarczało, żeby dać nam nadzieję.

Zdawałam sobie sprawę, że bardzo nikła jest szansa uzyskania czegokolwiek naszą propozycją. Ale po wysłaniu listów poczułam ulgę, jak gdybym odholowała stary samochód na złom. Po prostu musi być lepiej, bo nie może być gorzej.

W kilka dni potem matka przypomniała mi przez telefon, że mam wieczorem zabrać do Kwan aparat fotograficzny. Spojrzałam na kalendarz. Zupełnie zapomniałam, że to są urodziny Kwan. Pobiełam do sypialni, gdzie Simon wyciągnięty na dywanie przed telewizorem oglądał mecz. Bubba leżał przy nim i gryzł piszczącą zabawkę.

– Za godzinę musimy być u Kwan. Dziś jej urodziny.

Simon jęknął. Bubba usiadł, skomląc o smycz.

– Nie, Bubba, ty zostaniesz.

Piesek zwiotczał, położył łebek na łapkach, wpatrzył się we mnie żałośnie.

– Będziemy tam nie dłużej niż wypada. Urwiemy się jak najwcześniej.

– Och, na pewno – mruknął Simon, jeszcze patrząc na mecz. – Wiesz, jaka jest Kwan. Nigdy nas wcześniej nie wypuszcza.

– No ale musimy być u niej. Kończy pięćdziesiąt lat.

Rozejrzałam się po półkach z książkami, żeby znaleźć coś, co mogłoby uchodzić

za prezent urodzinowy. Książka o malarstwie? Nie nadaje się. Kwan brak zmysłu estetycznego. Spojrzałam na szkatułkę z biżuterią. Może ten srebrny naszyjnik z turkusami, którego raczej nie noszę? Nie, dostałam go od bratowej, a ona tam będzie.

Zeszłam na dół do gabinetu i wreszcie coś wyszukałam – pseudoszylkretowe pudełko, nieco większe niż talia kart, idealny akompaniament do kiczowatych rupieci Kwan. Kupiłam to pudełko dwa miesiące przedtem w czasie zakupów na Gwiazdkę. Wpadło mi w oczy jako jeszcze jeden z tych prezentów „do wszystkiego”, dostatecznie małe, żebym je wepchnęła do torebki i miała przy sobie dla kogoś – na przykład dla klienta – kto zaskoczyłby mnie gwiazdkowym prezentem. Ale w tym roku nikt mnie tak nie zaskoczył, więc pudełko zostało.

Szukając papieru do pakowania i wstążki, poszłam do gabinetu Simona i zaczęłam grzebać w jego biurku. Na dnie szuflady z lewej strony płatała się jakaś dyskietka. Już miałam schować ją w pudle dyskietek Simona, kiedy zauważyłam napis na etykiecie: *Powieść. Zaczęta: 20 lutego 90 roku*. Więc on ostatecznie pisze coś, co dla niego jest ważne. Pracuje nad tym w domu. Zrobiło mi się przykro, że ma taki sekret przede mną.

W tamtej chwili powinnam była uszanować prywatność Simona i odłożyć dyskietkę. Ale czyż mogłam nie przeczytać? To było jego serce, jego dusza, to było dla niego istotne. Włączyłam komputer, drżącymi rękami wsunęłam tę dyskietkę. Wywołałam *Rozdz. 1*. Na niebieskim tle ekranu zajaśniało od słów:

*Elise już od szóstego roku życia potrafiła zagrać z pamięci raz zasłyszaną melodię, zdolność tę dziedziczyła po swoich zmarłych dziadkach.*

Przewinęłam pierwszą stronicę, potem drugą. Taniocha. Czytałam stronicę po stronicy, obzerając się trucizną. I wyobrażałam sobie ją, Elzę, głaskaną czubkami jego palców, patrzącą na niego z ekranu. Wprost widziałam, jak ona się kryguje i uśmiecha do mnie. „Wróciłam. Dlatego nigdy nie jesteś szczęśliwa. Bo wciąż tu jestem”.

Kalendarze już nie odmierzają dla mnie czasu. Urodziny Kwan były sześć miesięcy temu, przed wiekami. Odkąd wróciłam do domu z jej urodzinowego przyjęcia, jeszcze przez cały miesiąc kłóciłam się z Simonem, niegodziwie. Ból nie ustawał, jak gdyby był wieczny, ale miłość rozpadła się w ciągu sekundy. Simon obozował w swoim gabinecie, a potem wyprowadził się – pod koniec lutego, co teraz wydaje się tak strasznie dawno, że już nawet nie pamiętam, jak sobie radziłam w pierwszych tygodniach samotności.

Ale przyzwyczajam się do tej zmiany. Żadnych ustaleń trybu dnia, żadnych starych nawyków – tego trzymam się teraz. W zeszłym tygodniu na swoim przyjęciu urodzinowym Kevin powiedział:

– Dobrze wyglądasz, Olivia, naprawdę dobrze.

– Jestem nową sobą – powiedziałam nonszalancko. – Używam nowego kremu z kwasów owocowych.

Wszystkich zdumiewam tym, że „prosperuję”, że nie borykam się, rzeczywiście tworzę sobie nowe życie. Jedynie Kwan jest innego zdania.

Wczoraj wieczorem przez telefon musiała mi to powiedzieć.

– Twój głos, taki zmęczony. Zmęczony, bo mieszkasz sama, ja myślę. Simon także dzisiaj przyjdzie do mnie na kolację, jak dawniej, tak dla przyjaźni...

– Kwan, nie mam na to czasu.

– Aha, taka zajęta! Dobrze, więc nie dzisiaj. Jutro także za bardzo zajęta? Przyjdiesz jutro, co?

– Nie, jeżeli Simon będzie.

– Dobrze, dobrze. Więc przyjdź dzisiaj. Zrobię ci zapiekankę, taką jaką lubisz. I dam ci resztki, żebyś zabrała do domu, do zamrażarki.

– Bez rozmowy o Simonie, zgoda?

– Zgoda. Tylko jedzenie. Przyrzekam.

Jem drugą porcję zapiekanki. Wciąż czekam, kiedy Kwan napomknie o moim małżeństwie. Toczy się rozmowa dosyć gorąca o Virginii, kuzynce zmarłej w Vancouver żony George'a, której siostrzeniec mieszkający w Chinach chce przenieść się do Kanady.

George przeżuwa kęs zapiekanki.

– Jego dziewczyna też chciała się zabrać. Więc postarała się, żeby się z nią ożenił. I teraz moja kuzynka musiała zacząć znów od początku z tą całą biurokracją. Wszystko było już prawie zaklepane, a teraz... hej! Z powrotem na koniec ogonka. Czekanie jeszcze półtora roku.

– Dwieście dolarów to nowe załatwienie kosztuje. – Kwan pałeczkami sięga po fasolkę. – Wiele godzin zmarnowanych, chodzenie do tego urzędu, do tamtego urzędu. I dlaczego? Niespodzianka, wyskoczyło dziecko.

George przytakuje.

– Kuzynka napisała tam do nich: „No, nie mogliście zaczekać? Teraz musimy dodać to dziecko i składać papiery znów na nowo”. Siostrzeniec odpisał: „Nie podawaj, ciociu, w urzędach, że mamy dziecko. My dwoje przyjedziemy najpierw, wykształcimy się w college'u. Znajdziemy posady wysokopłatne, kupimy dom, samochód. I wtedy je sprowadzimy. Za dwa lata”.

Kwan stawia salaterkę z ryżem.

– Dziecko zostawia! Co sobie myślą! – Patrzy spode łba na mnie, jak gdybym to ja wpadła na taki pomysł. – College, pieniądze, dom, posada... Gdzie, jak myślicie, znajdą takie rzeczy? Kto zapłaci za college, taką wielką sumę z góry?

Kręcę głową, George pomrukuje, a ona krzywi się z obrzydzeniem.

– Fasola za stara, bez smaku.

– I co? Na czym stanęło? – pytam. – Przywiozą dziecko?

– Nie. – Kwan odkłada pałeczki. – Nie będzie dziecka, nie będzie siostrzeńca, nie

będzie żony. Virgie przeprowadza się niedługo do San Francisco. Ameryka nie ma imigracji dla siostrzeńca. Ciocia Virgie nie może go sprowadzić. Teraz matka siostrzeńca w Chinach, siostra Virgie obwini nas, że synowi uciekła dobra szansa!

Kwan podnosi pałeczki, kłuje nimi powietrze.

– Auh! Dlaczego się uważa, że swój syn najważniejszy? Rodzona siostra nie pomyśli, ile to kłopotu. Psuje się syna. Ja tutaj czuję ten zapach. *Hwai dan*. Zepsute jajko.

– Napisałaś do niej?

– W ogóle jej nie znam.

– Więc dlaczego obwinia was?

– Obwinia w liście, bo Virgie jej napisała, że na nasze zaproszenie będzie mieszkać u nas.

– Zaprosiliście...?

– Przedtem nie. Dopiero teraz po tym liście zapraszamy. Inaczej Virgie straci twarz. Przyjedzie w przyszłym tygodniu.

Pomimo ciągłego słuchania Kwan chyba nigdy nie zrozumie dynamiki chińskiej rodziny, tych wszystkich ukrytych zawłości, tych powiązań, kto z kim i kto ponosi odpowiedzialność, i do kogo mieć pretensje, tych wszystkich bzdur o traceniu twarzy. Jestem rada, że moje życie nie jest tak skomplikowane.

Po kolacji Kwan daje mi kasetę video. To z jej urodzin. Właśnie tamtego dnia miałam z Simonem bardzo gwałtowną rozmowę, która doprowadziła do rozstania. Pamiętam, jak wbiegłam na górę, gdzie Simon się przebierał. Otworzyłam okno w dachu, wysunęłam rękę z dyskietką i wrzasnęłam.

– Masz swoją zakichaną powieść! Oto, co dla ciebie takie ważne!

I upuściłam dyskietkę.

Wrzeczeliśmy na siebie przez godzinę, po czym spokojnie, obojętnie powiedziałam słowa straszniejsze niż wszelkie przekleństwa:



– Chcę rozwodu.

I doznałam wstrząsu, bo Simon powiedział:

– Świetnie.

Z tupotem zszedł po schodach, trzasnął drzwiami i już go nie było.

W niecałe pięć minut potem zadzwonił telefon. Wzięłam się w garść, żeby być tak niewzruszona jak tylko zdołam. Nie boleję, nie gniewam się, ale też i nie wybaczę. Niech on błaga. Po piątym dzwonku podniosłam słuchawkę i usłyszałam głos Kwan – nieśmiały, dziewczęcy:

– Libbi-ja... Czy mama dzwoniła do was? Przyjedziecie? Wszyscy już są. Mnóstwo jedzenia...

Wybełkotałam pierwszą lepszą wymówkę.

– Simon chory? Właśnie teraz?... Aha, zatruł się. Dobrze, siedź przy nim. Nie, nie. On ważniejszy niż urodziny.

Kiedy to powiedziała, niezłomnie postanowiłam, że Simon już nie będzie ważniejszy niż cokolwiek innego w moim życiu, nawet niż Kwan. Pojechałam na jej urodzinowe przyjęcie sama.

– Bardzo dziwne video – mówi teraz Kwan, odprowadzając mnie do drzwi. – W każdym razie weź.

I tak to wieczór się kończy bez ani jednej wzmianki o Simonie.

Wracam do domu. Jest mi smutno. Usiłuję oglądać telewizję, usiłuję czytać. Patrzę na zegar. Za późno, żeby do kogoś zadzwonić. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy życie wydaje mi się puste, samotność rozpaczliwie doskwiera. Kasetka od Kwan leży na toaletce.

Czemu nie wrócić na jej urodziny?

Domowe filmy video zawsze mnie nudzą, bo nie są zmontowane. Widzi się momenty swojego życia, których nie powinno się odtwarzać. Widzi się minione wydarzenia jako terażniejszość, a przecież wie się z góry, co nastąpi.

Początek tego filmu to mruganie świątecznych świateł. Potem kamera z zewnątrz ujmuje nas w drzwiach domu Kwan i George'a na Balboa Street. Nieco się rozmazując, wchodzimy. Jest koniec stycznia, ale dekoracje gwiazdkowe jeszcze wiszą – Kwan usuwa je dopiero po swoich urodzinach. Więc w tym filmie widać wieńce z plastiku na aluminiowych framugach okien. I widać wszystko: zielono-niebieskie wykładziny, pseudoboazerię, chaos mebli, kupowanych tanio w hurtowniach i na sobotnich wyprzedażach.

Teraz ekran wypełnia trwała ondulacja Kwan, ujęcie z tyłu.

– Mama! Pan Shirazi! – wykrzykuje Kwan, jak zwykle zbyt donośnie. – Proszę, proszę, wejdźcie!

Wskakują na ekran moja matka i jej aktualny wówczas przyjaciel. Mama jest w legginsach, bluzce w lamparci deseń i czarnym aksamitnym żakiecie ze złotą wypustką. Jej dwuogniskowe okulary są koloru fioletowego. Odkąd zafundowała sobie lifting, ubiera się coraz bardziej wyzywająco. Sharam Shirazi podbił jej serce na lekcjach tańca dla zaawansowanych. Powiedziała mi, że on jest miłszy niż jej poprzedni adorator, Samoaniec, ponieważ umie trzymać damską rękę nie jak pałkę do walenia w bęben. Według oceny mojej matki pan Shirazi jest dobrym kochankiem. Kiedyś mi szepnęła: „On robi rzeczy, których może nawet wy młodzi nie robicie”. Nie zapytałam, jakie to rzeczy.

Kwan ogląda się na kamerę, sprawdza, czy George należycie uwiecznia przybycie matki. Goście się schodzą. Kamera zbacza w stronę dwóch pasierbów Kwan, potem moich braci, bratowych i ich w sumie czworga latorośli. Kwan wita wszystkich, wykrzykując imiona dzieci: – Melissa! Patty! Erie! Jena! – i na migi pokazuje George'owi, żeby sfilmował całą czwórkę razem.

W końcu moje przybycie.

– Tak późno! – ubolewa Kwan radośnie.

Łapie mnie za rękę i prowadzi do kamery. Teraz nasze duże twarze wypełniają ekran. Ja zmęczona, zakłopotana. Oczy mam czerwone i wyraźnie chcę uciekać.

– To moja siostra, Libbi-ja – mówi Kwan do kamery. – Moja ukochana najbliższa siostra. Która z nas jest starsza? Zgadnijcie, która?

W następnych kilku scenach Kwan zachowuje się tak, jakby zażyła amfetaminę – wprost obija się o ściany. Oto znów stoi przy swojej sztucznej choince. Wskazuje ozdoby, gestykuluje z gracją gwiazdy telewizyjnej prowadzącej turniej. Podnosi spod choinki urodzinowe prezenty. Przesadnie demonstruje, że są ciężkie, potrząsa każdą paczką, przechyla ją, wacha, zanim odczyta karteczkę z imieniem szczęśliwej solenizantki. Ściąga usta niby to zdumiona:

– To dla mnie!

Śmieje się ochryple, wyciąga ręce i rozczapierza wszystkie dziesięć palców, zwiera je, rozczapierza znów, jakby nadawała sygnał.

– Pięćdziesiąt lat! – wykrzykuje. – Możecie uwierzyć!? Nie? Więc może czterdzieści? – Zbliża się do kamery i kiwa głową. – Dobrze, dobrze, czterdzieści.

Przesuwają się dziesięciosekundowe sceny. Moja matka siedzi na kolanach pana Shiraziego, ktoś woła, żeby się pocałowali, i oni chętnie to czynią. Potem moi bracia w sypialni oglądają telewizję, machają rękami do kamery, rozchlapując piwo z puszek. Następnie moje bratowe: Tabby i Barbara pomagają Kwan w kuchni. Kwan trzyma okrągły płat wieprzowiny i wykrzykuje:

– Skosztujcie! Podejdźcie skosztować!

W innej sypialni dzieci tłoczą się przy grze komputerowej, wiwatują, ilekroć potwór zostaje zabity. A teraz cała rodzina i ja stoimy przy bufecie, który został przedłużony przez dostawienie stolika do mahjonga z jednej strony, a stolika brydżowego z drugiej.

Widzę siebie w zbliżeniu. Macham ręką, wznoszę toast na cześć Kwan i znów dziobię coś z talerza plastikowym widelcem. Normalnie, jak to na przyjęciu. Ale

kamera jest bezlitośnie obiektywna. Każdy może zobaczyć moją twarz bez wyrazu i usłyszeć w moim głosie apatię. Wyraźnie jestem przygnębiona, odporna na to, co życie ma do ofiarowania. Moja bratowa Tabby mówi do mnie, a ja patrzę pustym wzrokiem na swój talerz. Wjeżdża tort i wszyscy zaczynają śpiewać. Kamera sunie po pokoju i znajduje mnie na kanapie. Wprawiam w ruch zabawkę mającą ozdobić stół – kule stalowe, które wydają ciągły irytujący odgłos: klak-klak. Wyglądam, jakbym wstała z grobu.

Kwan rozpakowuje prezenty. Lichą reprodukcję dzieci na łyżwach dłuta Hummel dostała od koleżanek ekspedientek z drogerii.

– Och, takie śliczne, śliczne – grucha, dołączając to do swoich innych figurek. Ekspres do kawy jest od mojej matki.

– Ach, mamó! Skąd wiedziałaś, że moja kawowa maszyna się popsowała?

Jedwabna bluzka w jej ulubionym kolorze czerwonym jest od młodszego pasierba, Teddy'ego.

– Za ładna, żeby ją nosić – lamentuje Kwan, uradowana.

Posrebrzane świeczniki są od jej drugiego pasierba, Timmy'ego. Wtyka w nie świece i stawia na stoliku, który on pomógł jej odnowić w zeszłym roku.

– Zupełnie jak Pierwsza Dama w Białym Domu – pyszni się.

Gruzelkowaty śpiący jednorożec z gliny jest od naszej brataniczki Patty. Kwan, stawiając go ostrożnie na parapecie kominka, obiecuje:

– Nigdy go nie sprzedam, nawet kiedy Patty stanie się słynną rzeźbiarką i będzie wart milion dolarów!

Płaszcz kąpielowy w stokrotki to prezent od męża. Kwan patrzy na naszywkę – myślałby kto, że projektanta.

– Och! Giorgio Laurentis. Za drogie! Dlaczego wydałaś tak dużo? – grozi palcem mężowi, który uśmiecha się nieśmiało.

Wznosi się przed nią następna sarta prezentów. Przyśpieszam odpakowywanie

mat stołowych, żelazka na parę, torby z monogramem. Wreszcie widzę, jak bierze mój prezent. Naciskam guzik „stop”, a potem „play”.

– Zawsze najlepsze na sam koniec – oświadcza Kwan. – To musi być bardzo specjalne, bo Libbi-ja to moja ukochana siostra.

Rozwiązuje wstążkę, kładzie ją z boku, żeby nie wyrzucić, upuszcza papier i ściąga usta wpatrując się w szylkretowe pudełko.

Obraca je powoli do góry dnem, podnosi pokrywkę, zagląda do środka. Łapie się za policzek.

– Piękne – mówi – takie pożyteczne w dodatku. – Podnosi pudełko, żeby przeszło do utrwalonej video-historii. – Widzicie! – Uśmiecha się od ucha do ucha. – Prawdziwa mydelniczka.

– Właściwie to nie jest do mydła – rozlega się mój nienaturalny głos. – To jest, wiesz, do biżuterii i takich tam drobiazgów.

Kwan znów patrzy na pudełko.

– Nie do mydła? Do biżu? Oooh! – Ze zdwojonym szacunkiem znów podnosi pudełko i nagle się rozpromienia. – George, słyszysz? Moja siostra Libbi-ja mówi, że ja zasługuję na dobre biżu. Kup mi brylant, duży brylant do tej mydelniczki!

George chrząka, kamera kołysze się dziko.

– Obie siostry! – woła George. – Stańcie przed kominkiem!

Ja protestuję, tłumaczę, że muszę już wracać do domu, mam pracę jeszcze dzisiaj. Ale Kwan pociąga mnie z kanapy, śmiejąc się wykrzykuje:

– Chodź, chodź, leniuchu. Dla starszej siostry nigdy nie bądź za bardzo zajęta.

Kamera terkocze. Twarz Kwan w uśmiechu od ucha do ucha zastyga jak do staroświeckiej fotografii. Potem Kwan przyciska mnie bierną mocno do siebie i szepcze tonem pełnym zdziwienia:

– Libbi-ja, moja siostra taka specjalna, taka dobra dla mnie.

A ja zarówno w tym filmiku video, jak teraz, kiedy patrzę na chwile mojego

życia, które minęły, a dzieją się znowu, jestem bliska płaczu. Bo już nie mogę zaprzeczyć. Lada sekunda serce mi pęknie.

## Część trzecia

## Kuchnia Kwan

Kwan zaprasza mnie na kolację o wpół do siódmej, czyli tak jak zawsze, tylko że też zawsze zaczynamy jeść dopiero przed ósmą. Więc pytam ją, czy kolacja rzeczywiście będzie gotowa o wpół do siódmej – jeżeli nie, przyjdę później, bo jestem bardzo zajęta. O wpół do siódmej punktualnie, mówi Kwan.

O wpół do siódmej George otwiera drzwi... zaspany. Jest bez okularów. Pożyczka na jego łysinie wygląda jak reklama płynu do płukania tkanin ze sztucznego włókna, żeby nie przylegały. Właśnie dostał awans na kierownika sklepu „Więcej Za Mniej” na East Bay. Kiedy zaczął tam pracować, Kwan jakoś przegapiła „Z” w nazwie tego sklepu i teraz pomimo upominania nadal mówi, że to „Więcej A Mniej”.

Zastaję ją w kuchni przy odkrawaniu nóżek od kapeluszy czarnych grzybów. Ryż jeszcze nie wypłukany, krewetki jeszcze nie oczyszczone. Kolacja zapowiada się nie wcześniej niż około dziewiątej. Z głośnym stuknięciem stawiam torebkę na stole, ale Kwan jest błogo nieświadoma mojej irytacji. Poklepuje krzesło.

– Libbi-ja, usiądź. Muszę ci coś powiedzieć. – Kraje te grzyby przez pół minuty, zanim rzuca bombę: – Rozmawiałam z kimś *yin*. – Teraz mówi po chińsku.

Wzdycham głęboko, dając jej do zrozumienia, że nie jestem w spirytystycznym nastroju.

– Lao Lu, ty też go znasz, ale nie w tym życiu. Lao Lu powiedział, że musisz zostać z Simonem. To jest twój *yinyuan*, przeznaczenie, które łączy kochanków.

– A czemuż to ma być przeznaczenie? – pytam niegrzecznie.

– W twoim i Simona poprzednim życiu kochałaś kogoś innego przed nim. A on ci



zaufał całym swoim życiem, że jego też kochasz.

Omam nie spadam z krzesła. Nigdy nie mówiłam Kwan ani nikomu innemu, dlaczego naprawdę się rozwodzimy. Powiedziałam po prostu, że oddaliśmy się od siebie. I oto teraz Kwan to omawia tak, jakby cały cholerny wszechświat żywych i zmarłych wiedział.

– Libbi-ja, musisz wierzyć. – Kwan przechodzi na angielski. – Ten przyjaciel *yin* mówi, że Simon nie kłamie. Ty myślisz, że ciebie kocha za mało, a ją bardziej... Nie!... Po co tak myślisz, zawsze porównujesz miłość? Miłość to nie jak pieniądze...

Chyba sinieję ze złości. Tylko tego brakuje, żeby Kwan go broniła...

– Przestań, Kwan! Nawet nie wiesz, jaka się wydajesz stuknięta. Gdyby ktoś cię teraz słyszał, nie wątpiłby, że masz źle w głowie. Jeżeli rzeczywiście są duchy, dlaczego ja ich nigdy nie widzę? Odpowiedz mi, no!

Kwan odcina grzbiety krewetek, wyciąga ich czarne wnętrzości.

– Za czasów dzieciństwa widziałaś.

– Udawałam. Duchy przychodzą z wyobraźni, a nie ze Świata Yin.

– Nie mów: duchy. Dla nich to jak obraza rasistowska. Tylko złą osobę *yin* nazywa się duchem.

– Och, dobrze. Zapomniałam. Nawet zmarli podciągają się pod względem politycznym. W porządku... Więc jak ci ludzie *yin* wyglądają? Powiedz. Ile ich tu jest dzisiaj? Kto siedzi na tym krześle? Mao Tse-tung? Czou En-laj? Czy może Cesarzowa Wdowa?

– Nie, nie, tutaj ich nie ma.

– Więc poproś, żeby wpadli. Powiedz im, że ja chcę ich zobaczyć. I zapytać, czy mają stopnie naukowe uprawniające do udzielania porad małżeńskich.

Kwan rozkłada na podłodze gazetę pod tłuszcz, który zacznie kapać z piecyka. Zsuwa krewetki na rozgrzaną patelnię. Kuchnię natychmiast wypełnia ryk wrzącego oleju.

– Ludzie *yin* przychodzą jak sami chcą – mówi Kwan poprzez ten ryk. – Nigdy nie mówią kiedy, bo traktują mnie jak bliską rodzinę... przychodzą nie na zaproszenie. „Niespodzianka, jesteśmy tu”. Ale przeważnie przychodzą na kolację, kiedy to czy owo nie gotuje się dobrze. Mówię: „Phi! Ten morski okoń za twardy, nie kruchy, może gotowany o minutę za długo. A ta rzepa marynowana nie dosyć chrupka, powinna być jak chodzenie po śniegu chrup-chrup, wtedy wiadomo, że dobra do jedzenia. A ten sos – hej! – za dużo cukru, dobry tylko dla cudzoziemców”.

Ble, ble, ble. To śmieszne! Kwan powtarza dokładnie to, co wciąż mówi ona sama i George, i jego strona rodziny, takie właśnie gadanie. Piekielnie mnie tym nudzi. Chce mi się śmiać i wrzeszczeć jednocześnie, kiedy słyszę tę wersję smaków życia po śmierci, przedstawianych jak w amatorskiej impresji z restauracji.

Kwan wrzuca krewetki do salaterki.

– Większość ludzi *yin* bardzo zajęta, pracująca ciężko, więc chcą relaksu, przychodzą do mnie dobrze porozmawiać, a także jestem doskonałą kucharką. – Patrzy na mnie wyraźnie zadowolona z siebie.

Próbuję wykorzystać jej opaczoną logikę.

– Jeżeli jesteś taką doskonałą kucharką, to dlaczego tak często krytykują twoją kuchnię?

Kwan marszczy brwi, wydyma dolną wargę – jak gdyby moje pytanie było strasznie głupie.

– Nie krytykują rzeczywiście, tylko szczerze, otwarcie mówią, jak bliscy przyjaciele. I przecież nie jedzą. Jak mogą jeść? Już nie żyją! Tylko udają, że jedzą. W każdym razie przeważnie chwalą moją kuchnię, tak. Mówią, że nigdy nie mieli szczęścia, żeby jeść takie dobre potrawy. A jakby zjedli moje naleśniki z cebulą dymką, to by umarli ze szczęścia. Ale za późno, bo już nie żyją.

– Może dawaj im na wynos – burczę.

Kwan waha się przez chwilę.

– Ty żartujesz. – Trąca mnie w rękę. – Niegrzecznie. W każdym razie ludzie *yin* lubią mnie odwiedzać, mówić o życiu już przeszłym, lubią uczyty, lubią wiele, wiele aromatów. Mówią: „Och, już sobie przypominam. To mi smakowało, a to nie, nie bardzo smakowało. To zjadłem za prędko. Dlaczego nie skosztowałem tamtego? Dlaczego tę część życia sobie zepsułem, zupełnie zmarnowałem?”

Kwan bierze krewetkę do ust, przesuwa spod jednego policzka pod drugi i wyjmuję z ust muszelkę – nie naruszoną, tyle że już pustą. Zawsze ogarnia mnie zdumienie, jak ona potrafi to zrobić. Sztuczka nieledwie cyrkowa.

– Libbi-ja – jeszcze mlaskając, sięga po półmisek z jakimiś złocistymi strzępami – lubisz suszone przegrzebki?

Przytakuję.

– Virgie, ta kuzynka z Vancouver mi przysłała. Sześćdziesiąt dolarów funt. Niektórzy uważają, że to za dobre na co dzień. Dobre powinno się oszczędzać na później. – Wrzuca przegrzebki na patelnię z pokrojonym w plasterki selerem. – Ja uważam, że najlepszy czas jest teraz. Poczekaś, wszystko się zmienia. Ludzie *yin* o tym wiedzą. Zawsze pytają mnie: „Kwan, gdzie się podziała najlepsza część mojego życia? Dlaczego najlepsza część prześliznęła mi się przez palce jak chybka mała rybka? Po co było oszczędzać na ostatek? Potem się okazało, że ten ostatek już przeszedł...” Libbi-ja, skosztuj. Powiedz mi, za bardzo słone, czy za mało?

– Świetne.

I dalej ciągnie swoje:

– „Kwan – mówią mi – ty jeszcze żyjesz. Jeszcze możesz zbierać wspomnienia. Możesz zbierać dobre wspomnienia. Naucz nas, jak zbierać dobre, żebyśmy następnym razem mogli pamiętać to, czego ma się nie zapomnieć”.

– Co pamiętać? – pytam.

– No przecież to, dlaczego oni chcą wracać, oczywiście.

– Więc ty im pomagasz pamiętać?

– Już pomogłam wielu ludziom *yin* w ten sposób – chwali się.

– Zupełnie jak Mistrz Hulanki w telewizji.

Kwan to rozważa.

– Tak, tak jak Mistrz Hulanki. – Kwan jest zadowolona z tego porównania. – Wielu, wielu ludziom *yin* w Chinach, w Ameryce także. – Zaczyna wyliczać ich na palcach: – Ten młody policjant... Przyszedł do mnie, kiedy samochód mi ukradli... w poprzednim życiu on był misjonarzem w Chinach, wciąż mówił: „Amen. Amen”. Ta ładna dziewczyna. Ona pracuje w banku teraz, pilnuje moich pieniędzy bardzo dobrze, a w innym życiu to była rozbójniczka, dawno temu obrabowywała chciwych. Sierżant, Hoover, Kirby, teraz Bubba, wszystkie nasze pieski, takie wierne. W poprzednim życiu one były jednym i tym samym. Zgadnij, kim.

Wzruszam ramionami. Nie cierpię tej gry, sposobu, w jaki Kwan wciąga mnie w swoje urojenia.

– Zgadujesz?

– Nie wiem.

– Zgadnij.

Rozkładam ręce:

– Panna Wstęga.

– Ha! Źle zgadłaś.

– Więc powiedz już. Kto?

– Generał Peleryna!

Uderzam się w czoło.

– Oczywiście! – Muszę przyznać, że mój psiak jako niepyszne wcielenie niegodziwego generała to pomysł dosyć dracznym.

– Teraz wiesz, dlaczego tamten pierwszy pies nazywał się Kapitan – dodaje Kwan.

– Ja go tak nazwałam.

Grozi mi palcem.

– Zdegradowałaś go. Mądralo! Dałaś mu nauczkę.

– Nauczkę! Phi! Był taki głupi. Nie chciał siadać, nie przychodził, kiedy się go wołało. Potrafił tylko żebrać o jedzenie. I w końcu uciekł.

Kwan potrząsa głową.

– Nie uciekł. Przejechany.

– Co?

– Mhm. Rozumiem. Nie chciałam ci powiedzieć, takiej małej wtedy. Więc mówiłam: „Och Libbi-ja, pieska nie ma, poleciał”. Nie kłamałam: poleciał ulicą, zanim wleciał pod samochód. Mój angielski wtedy nie był taki dobry. Poleciał i wleciał... to było dla mnie to samo.

Kiedy Kwan poniewczasie mówi mi o śmierci Kapitana, czuję ukłucie dzieciennego smutku; dobrze byłoby zawrócić czas, wierzyć, że mogłabym Kapitanowi powetować brak życzliwości, gdybym tylko zobaczyła go znowu.

– Generał Peleryna w poprzednim życiu niewierny. Dlatego wrócił w tyłu psach. Sam sobie to wybrał. W poprzednim życiu był taki zły... Taki zły! Wiem, bo jego pół-człowiek mi powiedział. Także rozumiem, że... Proszę, Libbi-ja, *huang do-zi*, wielka brukselka, widzisz, jaka żółta? Kupiłam dzisiaj świeżą. Odlamałam ogonki. Zobaczysz zgniłe miejsce, odrzuć...

– Generał Peleryna, on też był zgniły. Odrzucał ludzi. Nunumu, powiedziałam sobie, udawaj, że generała Peleryny tutaj nie ma! Długo musiałam tak udawać. Przez dwa miesiące generał Peleryna mieszkał w Domu Ducha Kupca. Przez dwa miesiące co noc panna Wstęga otwierała mu swoje drzwi. Przez te same dwa miesiące nie rozmawiała ze mną jak ze swoją wierną przyjaciółką. Traktowała mnie jak służącą. Wskazywała miejsce na przodzie swoich białych bluzek i ganiła mnie, że ich nie doprałam, a to były brudne odciski palców generała Peleryny. W niedzielę

tłumaczyła kazania dokładnie jak pastor Amen je mówił, już nie opowiadała ciekawych rzeczy. I były inne wielkie zmiany w tym czasie.

Do posiłków misjonarze, panna Wstęga i generał Peleryna zasiadali przy stole dla cudzoziemców. I tam, gdzie przedtem siedział pastor Amen, posadził siebie generał Peleryna. Przemawiał głośno i tak, jakby szczekał. Inni tylko potakiwali i słuchali. Kiedy podnosił łyżkę z zupą do ust, oni brali swoje łyżki. Kiedy kładł łyżkę, żeby znowu się przechwalać, oni kładli swoje łyżki, żeby słuchać tej jeszcze jednej przechwałki.

Lao Lu, inni służący i ja siedzieliśmy przy stole dla Chińczyków. Ten, który tłumaczył słowa generała Peleryny, powiedział nam, że nazywa się Yiban Johnson. Czyli pół Johnson. Był pół na pół, ale cudzoziemcy zdecydowali, że jest bardziej Chińczykiem niż Johnsonem. Dlatego musiał siedzieć przy naszym stole. Z początku nie lubiłam tego Yibana Johnsona, nie podobało mi się, jak mówił, że generał Peleryna jest ważny, że bohater i dla Amerykanów, i dla Chińczyków. Później pojęłam: mówi to, co mu wkłada do ust generał Peleryna. Bo kiedy siedział przy naszym stole jadalnym, używał swoich własnych słów. Rozmawiał zwyczajnie, jak zwykli ludzie ze zwykłymi ludźmi. Był szczerze uprzejmy, nie udawał. Żartował i śmiał się. Chwalił jedzenie i jadł tylko swoje porcje.

Z czasem ja też zdecydowałam, że on jest bardziej Chińczykiem niż Johnsonem. I nawet jego uroda nie wydawała mi się dziwna. Opowiadał, że jego ojciec był Amerykaninem i znał generała Pelerynę od chłopięctwa. Razem uczyli się w szkole wojskowej. Razem zostali z tej szkoły wyrzuceni. Johnson popłynął do Chin z amerykańską kompanią handlową „Nankiński Jedwab”. W Szanghaju kupił sobie córkę ubogiego sługi na kucharkę. Właśnie miała urodzić jego dziecko, kiedy jej powiedział: „Wracam do Ameryki, przykro mi, nie mogę ciebie tam zabrać”. Ona przyjęła przeznaczenie. Była teraz kochanką cudzoziemskiego diabła. Nazajutrz rano Johnson się obudził i zgadnij, kogo zobaczył? Kto wisiał na drzewie przed

oknem sypialni?

Inni służący odcięli ją, owinęli w płótno jej szyję, czerwoną od sznura, który wydusił z niej życie. Ponieważ ona sama się zabiła, nie odbyły się żadne ceremonie. Włożyli ją do zwyczajnej drewnianej trumny i zamknęli. Tamtej nocy Johnson usłyszał płacz.

Wstał i poszedł do pokoju, gdzie stała trumna. Usłyszał płacz jeszcze głośniejszy. Otworzył trumnę i tam był noworodek. Pod małym podbródkiem miał czerwony znak grubości palca. Taki sam półksiężyc, jaki sznur wycisnął na szyi matki.

Johnson zabrał to dziecko na pół jego krwi do Ameryki. Dał je do cyrku, opowiadał ludziom historię o powieszeniu, pokazywał tajemniczą bliznę od sznura. Kiedy chłopczyk miał pięć lat i szyję już większą, ta blizna wydawała się mniejsza, nikt już nie płacił, żeby zobaczyć, jaka jest tajemnicza. Więc Johnson wrócił do Chin z pieniędzmi z tego cyrku i ze swoim pół krwi synem. Teraz handlował opium. Jeździł od jednego traktatowego portu do drugiego. I w każdym zbijał majątek. W każdym znajdował sobie kochanki, a potem je zostawiał. Tylko mały Yiban płakał, bo tracił tyle matek. Wtedy właśnie poznał tyle chińskich dialektów. Kantoński, Szanghajski, Nakka, Fukien, mandaryński – nauczył się ich od tych kochanek-matek. A od Johnsona nauczył się angielskiego.

Pewnego dnia Johnson natknął się na swojego kolegę ze szkoły, Pelerynę, który teraz pracował dla każdego wojska – Brytyjczyków, Manchu, Hakka – wszystko jedno mu było jakiego, byleby płacili. Johnson poprosił Pelerynę: „Hej, mam wielki dług, mnóstwo kłopotu. Czy możesz pożyczyć swojemu druhowi trochę pieniędzy?” – I na dowód, że zwróci, powiedział: „Weź w zastaw mojego syna. On ma piętnaście lat i zna wiele języków. Może ci pomagać w pracy dla każdego wojska, jakie wybierzesz”.

Od tamtego dnia przez następne piętnaście lat młody Yiban Johnson należał do generała Peleryny. Był tymi pożyczonymi pieniędzmi, których jego ojciec nigdy nie

oddał.

Zapytałam Yibana, dla kogo teraz walczy generał Peleryna – dla Brytyjczyków, Manchu, Hakka? Yiban odpowiedział, że generał Peleryna walczy! dla wszystkich trzech, zarobił mnóstwo od wszystkich trzech i ma wrogów we wszystkich trzech. Zapytałam Yibana, czy to prawda, że generał Peleryna ożenił się z córką chińskiego bankiera za złoto. Yiban odpowiedział, że Peleryna ożenił się z tą córką nie tylko za złoto, ale i ze względu na młodszą żonę tego bankiera. Więc teraz także bankier go poszukuje. Peleryna, powiedział Yiban, to nałogowy marzyciel o złocie, które jest jak proso: plon w jednej porze, a potem, kiedy pole zaorane, już go nie ma.

Z radością usłyszałam, że mam rację co do generała Peleryny i że panna Wstęga się myli. Ale już w następnej chwili mdliło mnie od smutku. Jestem jej wierną przyjaciółką, pomyślałam. Czyż mogę być rada z tego, że ten straszny człowiek pożera jej serce?

Wtedy odezwał się Lao Lu:

– Yiban, jak możesz pracować u takiego człowieka? Nie mającego w sobie wierności dla kraju i dla rodziny!

Yiban odpowiedział:

– Popatrz na mnie. Urodziłem się z martwej matki, więc nie urodziłem się nikomu. Jestem zarówno Chińczykiem, jak cudzoziemcem, więc ani tym, ani tym. Należałem do wszystkich, więc nie należę do nikogo. Miałem ojca, którego nie jestem nawet w połowie synem. Teraz mam pana, który uważa mnie za spłatę długu. Powiedzcie mi, do kogo należę? Gdzie mój kraj? Gdzie mój naród? Gdzie moja rodzina?

Patrzyliśmy na niego. Taki mądry, taki smutny, tak bardzo zasługujący na przynależność. Nie wiedzieliśmy, co mu odpowiedzieć.

Tamtej nocy leżałam na swojej macie i myślałam o tych pytaniach. Gdzie mój kraj? Gdzie mój naród? Gdzie moja rodzina? Na pierwsze dwa pytania miałam



odpowiedzi od razu. Mój kraj to Chiny. Mój naród to Hakka. Ale na to trzecie?  
Byłam jak Yiban. Należałam tylko do siebie samej.

– Popatrz na mnie, Libbi-ja. Teraz należę do mnóstwa ludzi. Mam rodzinę. Mam  
ciebie... Ach! Lao Lu mi przerywa; dość już gadaniny. Jeść, jeść, zanim wszystko  
wystygnie.

### Zmiana nazwiska

Jak się okazuje, Kwan miała rację co do tych odgłosów w domu. Był Ktoś w ścianach, pod podłogami i to – faktycznie – ktoś pełen gniewu i elektryczności.

Dowiedziałam się o tym, kiedy aresztowano naszego sąsiada z dołu, Paula Dawsona, za dziwaczne telefony do setek kobiet w Bay Area. Moją automatyczną reakcją było współczucie: ostatecznie ten biedak jest niewidomy, samotny, łaknie towarzystwa. Ale potem poznałam szczegóły: on oznajmiał przez telefon, że jest członkiem sekty, która porywa kobiety „niemoralne”, żeby w czasie ofiarnego obrzędu posiadali je wyznawcy owego kultu, a następnie patroszyły je żywcem wyznawczyni-robotnice. Tym kobietom, które śmiały się z jego telefonicznych gróźb, mówił: „Inne też myślały, że to jest żart. Chcesz usłyszeć głos takiej?” I nastawiał nagranie straszliwego kobiecego wrzasku.

Przeszukując mieszkanie Dawsona, policja znalazła dziwny zbiór sprzętu elektronicznego: magnetofony podłączone do jego telefonu, zmieniacze głosu, kasety z efektami dźwiękowymi i nie tylko. Dawson w swojej działalności nie ograniczał się do telefonu. Najwidoczniej uważał, że poprzedni właściciele naszego mieszkania też byli zbyt hałaśliwi, bezwzględni wobec jego porannych medytacji zen. Kiedy chwilowo na czas remontu się wyprowadzili, wywiercił dziury w swoim suficie i zainstalował podsłuch pod podłogami na górze i megafony, dzięki czemu mógł podsłuchiwać sąsiadów z drugiego piętra i straszyć ich efektami dźwiękowymi.

Moje współczucie natychmiast zmieniło się we wściekłość. Chciałam, żeby Dawson zgnił w więzieniu. Tak długo przez niego byłam bliska obłędu myśląc o

duchach – zwłaszcza o jednym, chociaż za nic bym się do tego nie przyznała.

Autentyczną ulgę sprawiło mi wykrycie źródła tych odgłosów. Mieszkam sama i to źle wpływa na moją wyobraźnię. Simon i ja widujemy się już tylko w sprawach zawodowych. Kiedy uniezależnimy się od siebie także w odniesieniu do urzędu skarbowego, rozwód obejmie również naszych klientów. Simon przyjdzie dziś tylko po to, by przynieść mi projekt broszury reklamującej pewnego dermatologa.

Ale teraz, kiedy rozmawiam przez telefon z drukarnią, wpada nie proszona Kwan. Wpuszczam ją i wracam do gabinetu. Przyniosła zrobione w domu chińskie pierożki. Od razu wkłada je do mojej zamrażarki, komentując wniebogłosy braki w lodówce i kuchennych szafkach.

– Na co musztarda i korniszony, kiedy wcale nie ma chleba ani mięsa? Jak możesz tak żyć? I piwo! Dlaczego piwo, a nie mleko?

Po kilku minutach wchodzi do gabinetu. Uśmiecha się od ucha do ucha, a w ręce ma list, który zostawiłam na blacie w kuchni. To list z magazynu podróźniczego „Kraje nieznane” – przyjmują propozycję Simona i moją, są gotowi zamówić reportaż z fotografiami o ludowej kuchni chińskiej.

Wczoraj, kiedy to dostałam, poczułam się tak, jakbym wygrała los na loterii, tylko że przedtem ten los wyrzuciłam. Okrutny figiel splatali mi bogowie szansy, zbiegów okoliczności i pecha. Przez większą część wczorajszego dnia i nocy przetrawiałam sytuację i obmyślałam rozmowę o tym z Simonem.

On przeczyta ten list i powie: „Boże! To niewiarygodne. Więc kiedy pojedziemy?”

„Nie pojedziemy – powiem ja. – Odwołam to”. – I nie będzie ani trochę żalu w moim głosie.

Wtedy on zapyta: „Odwołasz? Jak to?”

A ja się zdziwię: „Mogłeś bodaj pomyśleć, że pojechalibyśmy razem?”

A potem może – na tę myśl rzeczywiście krew we mnie wrze – może Simon

powie, że on jednak pojedzie i weźmie ze sobą innego fotografa.

„Nie, nie pojedziesz, bo to ja pojedę i wezmę ze sobą innego literata. Lepszego!”

I wtedy nastąpi salwa z obraźliwych uwag na temat etyki zawodowej i talentu – zniewag, których wyobrażanie sobie nie pozwoliło mi zasnąć prawie do świtu.

– Ooch! – Kwan grucha radośnie, wymachując tym listem. – Ty i Simon jedziecie do Chin! Chcesz, pojedę z wami, będę za przewodniczkę, tłumaczkę, pomogę znaleźć mnóstwo tanich okazji. Oczywiście będę na własny koszt. I tak od dawna chcę tam pojechać, zobaczyć moją ciocię, moją wieś...

Przerywam jej.

– Ja nie jadę.

– Co? Nie jedziesz? Dlaczego?

– Ty wiesz.

– Ja wiem?

Odwracam się i patrzę jej w oczy.

– Przecież rozwodzę się z Simonem. Zapomniałaś?

Rozważa to przez dwie sekundy i pyta:

– Nie możecie pojechać jak przyjaciele? Po prostu przyjaciele?

– Daj spokój, Kwan. Proszę.

Teraz minę ma tragiczną.

– Takie smutne. Takie smutne – jęczy i wychodzi z gabinetu. – Jak dwoje głodnych, co się kłóca o ryż, aż go wyrzucają. Dlaczego tak, dlaczego?

Simon, kiedy mu pokazuję ten list, niemieje. Czy ma w oczach rzeczywiście łzy? Odkąd go znam przez te wszystkie lata nigdy nie widziałam, żeby płakał – ani na smutnych filmach, ani nawet wtedy, gdy opowiadał mi o śmierci Elzy. Ociera wilgoć z policzków. Udaję, że tego nie zauważam.

– Boże – mówi w końcu – to, czego tak pragnęliśmy, przyszło. Ale nas nie ma.

Oboje milczymy, jak gdybyśmy czcili nasze byłe małżeństwo chwilą ciszy.

Potem, żeby się wzmocnić, nabieram głęboko tchu.

– Wiesz – mówię – chociaż to jest bolesne, myślę, że zerwanie dobrze nam obojgu robi. To znaczy, zmusza nas do szukania rozwiązań w życiu oddzielnie, wiesz, bez zakładania, że nasze dążenia są takie same.

Simon przytakuje i mówi cicho:

– Tak, zgadzam się.

Chcę wrzasnąć: Jak to zgadzasz się?! Przez te wszystkie lata nigdy nie zgadzaliśmy się w niczym, a teraz ty się zgadzasz?! Ale milczę i nawet gratuluję sobie, że potrafię panować nad urazą, nie okazać, jak mi jest przykro. Po sekundzie ogarnia mnie przemożny smutek. Powściągnięcie emocji nie jest wielkim zwycięstwem, tylko żałośnie potwierdza utratę miłości.

Słowa, gesty teraz stają się dwuznaczne, niczego nie można przyjąć na wiarę. Rozmawiamy ze sobą z bezpiecznego dystansu, udając, że tych lat, kiedy namydlaliśmy sobie nawzajem plecy i nie zamykaliśmy się przed sobą w łazience, nigdy nie było. Już nie porozumiewamy się spieszczeniami, szyfrem czy na migi w języku naszej zażyłości, dowodzącymi, że ja jestem jego, a on jest mój.

Simon patrzy na zegarek.

– Powinienem już iść. Mam być u kogoś o siódmej.

– Czy u kobiety? Tak prędko? – Słyszę swój głos. – No tak, ja też muszę się przebrać na randkę.

W oczach mu coś lekko drgnęło. A ja się rumienię, bo on na pewno wie, że to żalosne kłamstwo.

Idąc ze mną do drzwi, podnosi wzrok.

– Więc ostatecznie pozbyłaś się tego głupiego żyrandola. – Rozgląda się wokoło.  
– Inaczej tu teraz... Chyba milej, spokojniej.

– Co do spokoju... – zaczynam i opowiadam o Paulu Dawsonie. Tylko Simon może w pełni docenić zakończenie tej sprawy.

– Dawson? – Potrząsa głową z niedowierzaniem. – Co za drań. Skąd taki pomysł w ogóle?

– Samotność. Gniew. Mściwość – mówię i zaraz czuję w tym ironię, która jak pogrzebacz rozrzuca popioły mojego serca.

Simon wychodzi. W mieszkaniu jest rzeczywiście strasznie cicho. Leżę na dywanie w sypialni i przez okno w dachu patrzę na nocne niebo. Myślę o naszym małżeństwie. Wątek siedemnastu lat przeżytych razem dał się rozerwać tak łatwo. Nasza miłość była tak tuzinkowa, jak wycieraczki do butów przed frontowymi drzwiami domów na przedmieściach, gdzie dorastaliśmy. To, że nasze ciała, serca, myśli kiedyś miały wspólny rytm, tylko budziło w nas złudzenia, że to miłość niezwykła. I tym bredzeniem, że zerwanie dobrze nam robi, kogo ja usiłuję nabrać? Odcumowana, odwiązana nie należę do niczego, do nikogo.

Potem myślę o Kwan, jak niewłaściwie pomieściła we mnie swoją miłość. Nigdy się nie staram zrobić cokolwiek dla niej, jeżeli nie jest to wymuszone przez nią albo przez moje poczucie winy. Nigdy do niej nie telefonuję ni stąd, ni zowąd, żeby powiedzieć: „Kwan, może pójdziemy na kolację albo do kina, tak tylko we dwie?” Nigdy nie mam ochoty być dla niej po prostu miła. A przecież ona wciąż napomyka, że mogłybyśmy pojechać razem do Disneylandu czy do Reno, czy do Chin. Opędzam się od jej propozycji jak od dokuczliwych muszek, mówiąc, że nie cierpię hazardu albo że południowej Kalifornii stanowczo nie zamierzam zwiedzać w najbliższej przyszłości. Kwan chce tylko częściej przebywać ze mną, bo jestem jej największą radością, a ja to lekceważę. Boże, czy jej tak przykro, jak mnie teraz? Nie różnię się od mojej matki – nie dbam o miłość. Ze zdumieniem myślę o swoim bezwiednym okrucieństwie.

Postanawiam zatelefonować do Kwan i zaprosić ją na cały dzień, może nawet weekend. Nad jeziorem Tahoe byłoby miło. Ona oszaleje. Wprost nie mogę się doczekać chwili, kiedy usłyszę, co ona na to. Własnym uszom nie będzie wierzyła.

Ale Kwan nie daje mi dojść do słowa.

– Libbi-ja, dziś po południu rozmawiałam z moim przyjacielem Lao Lu. On się zgadza, musicie jechać do Chin... Ty i Simon. I ja razem. W tym roku, Roku Psa. Następny, Rok Świni, już za późno... Jak to, nie możesz jechać? Tam jest twoje przeznaczenie, czeka, żeby się stać.

Trajkocze, dalej.

– Jesteś na pół Chinką, więc musisz kiedyś zobaczyć Chiny. No, prawda? Nie pojedziemy teraz, może nigdy nie będzie drugiej możliwości! Różne błędy można naprawić, tego teraz nie można. Więc jak myślisz, Libbi-ja?

Z nadzieją, że jej to minie, mówię:

– Dobrze, zastanowię się nad tym.

– Och, wiem, zmienisz zdanie.

– Zaczekaj, nie powiedziałam, że pojedę. Powiedziałam, że się nad tym zastanowię.

Ale Kwan nabiera rozpędu.

– Ty i Simon pokochacie Chiny, ręczę na sto procent, zwłaszcza moją wieś, Changmian, taką piękną nie do uwierzenia. Góry, woda, niebo, to jak niebiosa i ziemia razem wzięte. I tam są rzeczy, które zostawiłam, zawsze, chciałam dać je tobie.

Mówi tak jeszcze przez pięć minut, zachwalając swoje rodzinne strony, po czym przerywa na chwilę i kończy:

– Och, dzwonek do drzwi. Zatelefonuję później, dobrze?

– Właściwie to ja do ciebie telefonowałam.

– Ty?

Słyszę dzwonek po raz drugi.

– Georgie! – woła Kwan. – Georgie! Otwórz tam! – I po chwili: – Virgie!

Virgie? Czyżby kuzynka George'a już mieszkała u nich?

Kwan znów mówi do słuchawki:

– Zaczekaj, sama pójde otworzyć.

Słyszę, jak kogoś wita. Wraca do telefonu trochę zdyszana.

– Już. Po co telefonujesz?

– No... Chciałam cię prosić... – Natychmiast żałuję tego, czego jeszcze nie powiedziałam. W co ja się pakuję? Myślę o jeziorze Tahoe, o tym, że będę uziemiona z Kwan w jakiejś klitce w motelu. – To poniekąd w ostatniej chwili, więc rozumiem, że jesteś zbyt zajęta.

– Nie, nie, nigdy zbyt. Potrzebujesz czegoś, powiedz. Zawsze ci odpowiem: tak.

– No, myślałam żeby, no... – I mówię w pośpiechu: – Co robisz jutro w porze obiadowej? Muszę coś załatwić blisko twojej drogerii. Ale jeżeli nie będziesz mogła, przełożmy to na inny dzień, nic takiego.

– Obiad? – pyta Kwan żywo. – Och, obiad!

Głos ma przejmująco radosny. Klnę na siebie, że tak jej skąpię mojego symbolicznego prezentu. A potem słyszę osłupiała, jak ona, odwracając się od słuchawki, oznajmia:

– Simon, Simon, wiesz, Libbi-ja zaprasza mnie na obiad jutro!

I słyszę głos Simona na drugim planie:

– Postaraj się, żeby cię zabrała do jakiegoś drogiego lokalu.

– Kwan? Kwan, co Simon tam robi?

– Przyszedł na kolację. Wczoraj zapraszałam i ciebie. Powiedziałaś, żeś zajęta.

Nie za późno, chcesz, przyjdź teraz. Mam tyle, że wystarczy.

Patrzę na zegarek. Siódma. Więc to jest ta jego randka. Omal nie podskakuję z radości.

– Dziękuję – mówię – ale dziś jestem zajęta. – Mój wciąż ten sam wykręt.

– Zawsze zbyt zajęta – mówi Kwan. Jej wciąż ten sam lament.

Dzisiaj nie chcę, żeby mój wykręt był kłamstwem. Za pokutę wynajduję sobie



zajęcie: spisuję nieprzyjemne sprawy, których załatwienie wciąż odkładam. Pierwsza to zmiana nazwiska – i co za tym idzie, zmiana prawa jazdy, karty kredytowej, rejestracji wyborczej, konta w banku, paszportu, prenumeraty czasopism, już nie mówiąc o poinformowaniu znajomych i klientów. I przede wszystkim to wymaga decyzji, którego nazwiska mam używać, Laguni czy Yee?

Mama mi radziła pozostać przy nazwisku Bishop.

– Po co wracać do Yee? Nie ma tu w kraju żadnych Yee, z którymi jesteś spokrewniona. Więc kogo to obchodzi.

Nie przypomniałam mamie o jej przysiędze, że zawsze będzie się chlubiła nazwiskiem Yee.

Myśląc teraz o nazwisku, zdaję sobie sprawę, że moja tożsamość nigdy mi nie odpowiadała. Miałam co najmniej pięć lat, kiedy matka zmieniła nasze nazwisko na Laguni. Nie pofatygowała się przy tym zmienić nazwiska Kwan, która przyjechała do Ameryki pod nazwiskiem Li, bo jak wyjaśniła, w myśl chińskiej tradycji córka nosi nazwisko matki. Później Kwan mi powiedziała, że nasz ojczym nie chciał jej adoptować, prawie już dorosłej, i tym samym być prawnie odpowiedzialnym za ewentualne kłopoty wynikłe z adoptowania komunistki.

– Olivia Yee – powtarzam sobie głośno kilka razy. To brzmi obco, jak gdybym nagle stałą się Chinką stuprocentową jak Kwan. Przymusowe przebywanie w towarzystwie Kwan, kiedy dorastałam, prawdopodobnie przyczyniało się do tego, że nigdy nie wiedziałam, kim jestem i kim chcę być. Kwan była wzorem do odgrywania wielorakiej osobowości.

Telefonuję do Kevina, żeby zasięgnąć jego opinii w tej kwestii.

– Nazwisko Yee nigdy mi się nie podobało – zwierza się Kevin. – Dzieciaki wrzeszczały: Hej Yee! Tak ty, jii-jee-ji-ii.

– Świat się zmienił – mówię. – Jest moda na etniczność.

– Ale noszenie chińskiej odznaki naprawdę nie daje żadnych forów – mówi

Kevin. – Ba, Azjatów się skreśla, już nie robi się dla nich miejsca. Lepiej ci będzie z Laguni. – Śmieje się. – Do diabła, niektórzy myślą, że Laguni to nazwisko meksykańskie. Mama tak myślała.

– Laguni mi nie pasuje. My naprawdę nie wywodzimy się z Lagunich.

– Nikt się nie wywodzi – mówi Kevin. – To jest nazwisko podrzutek.

– Coś ty?

– Kiedy byłem we Włoszech dwa lata temu, próbowałem szukać jakichś Laguni. Dowiedziałem się, że to jest nazwisko wymyślone. Zakonnicy je nadają podrzuconym dzieciom. Laguni... Jak laguna oddzielona od reszty świata. Dziadek Boba był podrzutkiem. Jesteśmy spokrewnieni z gromadą sierot we Włoszech.

– Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz?

– Mówiłem Tommy'emu i mamie. Tobie chyba zapomniałem powiedzieć... Albo ty już nie byłaś Laguni. W każdym razie ty i Bob za bardzo nie zgadzaliście się ze sobą. Dla mnie Bob jest jedynym tatą, jakiego miałem. Naszego prawdziwego ojca wcale nie pamiętam. A ty?

Ja miałam wspomnienia o ojcu – jak rzucałam mu się w objęcia, jak mu asystowałam, kiedy odłamywał kleszcze kraba, jak w tłumie niósł mnie na ramionach. Czy to nie dosyć, żeby złożyć hołd jego nazwisku? Czy nie czas skojarzyć się z czymś nazwiskiem?

W południe idę do drogerii po Kwan. Przez pierwsze dwadzieścia minut ona mnie przedstawia wszystkim w drogerii – aptekarzowi, drugiemu subiekтови, klientom, wszystkim, tak się składa, swoim „najulubieńszym”. Wybieram restaurację Thai na Castro, gdzie przy stoliku pod oknem mogę patrzeć na ruch uliczny, podczas gdy Kwan prowadzi jednostronną rozmowę. Dzisiaj robię dobrą minę do złej gry – Kwan może mówić o Chinach, o rozwodzie, o tym, że za dużo palę, o wszystkim, o czym tylko chce. Dzień dzisiejszy to mój prezent dla niej.

Wkładam okulary i czytam jadłospis. Kwan rozgląda się po plakatach z Bangkoku i fioletowych ze złotem wachlarzach na ścianach.

– Ładnie. Ślicznie – mówi, jak gdybym zabrała ją do najświetniejszego lokalu w mieście. Nalewa nam herbatę. – Więc tak! – zaznacza. – Dzisiaj nie jesteś zbyt zajęta.

– Tylko załatwiam sprawy osobiste.

– Jakie osobiste?

– No, wiesz, nowe pozwolenie na parkowanie w miejscu zamieszkania, zmiana nazwiska, takie rzeczy.

– Zmiana nazwiska? Jak to nazwiska?

Kwan rozkłada serwetkę na kolanach.

– Mnóstwo biegania, żeby wrócić do nazwiska Yee. Miotanie się pomiędzy DMV, bankiem, magistratem... O co chodzi?

Kwan energicznie kręci głową. Twarz ma zmiętą. Czyżby się zakrztusiła?

– Źle się czujesz?

Macha rękami, nie może mówić, rozgorączkowana.

– Rany boskie! – Usiłuję sobie przypomnieć, w które miejsce trzeba ją uderzyć.

Ale już mi pokazuje na migi, żebym z powrotem usiadła. Przelyka herbatę i jęczy:

– Ajaj! Ajaj! Libbi-ja, przepraszam, muszę ci coś powiedzieć. Nie zmieniaj nazwiska na Yee, nie rób tego.

Zbieram siły. Niewątpliwie znów zacznie się gadanie, że Simon i ja nie powinniśmy się rozwodzić.

Kwan pochyla się konspiracyjnie.

– Yee – szepcze – to nie jest naprawdę nazwisko *Ba*.

Odchylam się na krześle, serce mi łomocze.

– Co ty mówisz?

– Czy panie – pyta kelner – już zdecydowały?

Kwan wskazuje jakąś pozycję w jadłospisie i pyta mnie, jak się to czyta.

– Świeże? – pyta następnie kelnera.

Kelner kiwa głową, że tak, ale nie z takim entuzjazmem, jakiego wymaga Kwan.

Więc ona wskazuje inną pozycję.

– Kruche?

Kelner kiwa głową, że tak.

– Co lepsze?

Kelner wzrusza ramionami.

– Wszystko jest dobre – mówi.

Kwan patrzy na niego podejrzliwie, po czym zamawia makaron *pad thai*.

Po odejściu kelnera pytam:

– Co mówiłaś?

– Czasami w jadłospisie pisze świeże... A jak nie świeże? – uskarża się Kwan. –

Nie zapytasz, to może dadzą wczorajsze resztki.

– Nie, nie, tutaj nigdy. Co mówiłaś o nazwisku tatusia?

– Och! Tak, tak. – Garbi się i znów przybiera pozę szpiega. – Nazwisko *Ba*. Yee nie jego nazwisko, nie! To prawda, Libbi-ja! Mówię ci to tylko dlatego, żebyś nie szła przez życie z nie swoim nazwiskiem. Po co uszczęśliwiać przodków nie swoich?

– O czym ty mówisz? Nie Yee?

Kwan rozgląda się z boku na bok, jak gdyby miała wyjawić, kto jest mózgiem handlu narkotykami.

– Teraz ci coś powiem. Nie mów nikomu, przyrzekasz Libbi-ja?

Przyrzekam, niechętna, ale już złapana. Kwan zaczyna mówić po chińsku głosem duchów z mojego dzieciństwa.

Opowiem ci prawdę, Libbi-ja. *Ba* przybrał nazwisko innego człowieka. Ukradł

los pewnego szczęściarza.

W czasie wojny to się stało. Kiedy *Ba* był studentem państwowego uniwersytetu Guangxi i studiował fizykę. W Liangfeng niedaleko Guilin. *Ba* urodził się w ubogiej rodzinie, ale kiedy był małym chłopcem, ojciec posłał go do misyjnej szkoły z internatem. Nie musiał nic płacić, tylko obiecał, że będzie kochać Jezusa. Dlatego *Ba* tak dobrze mówił po angielsku.

Nic z tego nie pamiętam. Opowiadam ci tylko to, co Li Bin-bin, moja ciocia, mi mówiła. W tamtych czasach moja matka, *Ba* i ja mieszkaliśmy w małym pokoiku w Liangfeng blisko uniwersytetu. Rano *Ba* chodził na wykłady. Po południu pracował w fabryce, wykańczał części radia. Fabryka mu płaciła od liczby części, które wykończył, więc nie zarabiał dużo. Ciocia mi mówiła, że *Ba* miał głowę zręczniejszą niż palce. Wieczorem *Ba* i jego koledzy studenci robili składkę, żeby kupić naftę do wspólnej lampy. W nocie pełni nie potrzebowali lampy. Mogli siedzieć na dworze i uczyć się aż do świtu. Ja też tak się uczyłam, kiedy dorastałam. Wiedziałaś o tym? Możesz sobie wyobrazić, że w Chinach księżyc w pełni nie tylko jest piękny, ale zarazem jest dobrą okazją.

Pewnej nocy, kiedy *Ba* wracał do domu po nauce, jakiś pijak wyszedł z zaułku i stanął mu na drodze. Wymachiwał marynarką, którą trzymał w rękach.

„Ta marynarka – powiedział – przechodziła w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Ale teraz muszę ją sprzedać. Popatrz na mnie, jestem zwyczajnym człowiekiem. Więc po co mi takie zbytkowne ubranie?”

*Ba* popatrzył na tę marynarkę. Była z doskonałego sukna i z podszewką, skrojona modnie. Musisz pamiętać, Libbi-ja, że to był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy, rok, kiedy o Chiny walczyli nacjoniści i komuniści. Kto mógł sobie pozwolić na taką marynarkę? Tylko ktoś ważny, duży dygnitarz, niebezpieczny człowiek, który zebrał majątek z łapówek od zastraszonych ludzi. Nasz *Ba* nie miał płatów bawełny zamiast mózgu. Wiedział, że ten pijany ukradł marynarkę i że obaj

mogliby przypłacić życiem handlowanie takim towarem. Ale *Ba* ledwie dotknął tej marynarki, był jak mucha w pajęczynie dużego pająka. Nie mógł jej puścić. Nieznane uczucie go ogarnęło. Ach! Tylko pomacać róg marynarki bogacza – pomyśleć, że się zbliżam do lepszego życia jak nigdy dotąd. No i to niebezpieczne uczucie doprowadziło do niebezpiecznego pragnienia, a to pragnienie doprowadziło do niebezpiecznego pomysłu.

Wrzasnął na pijanego:

„Wiem, że tę marynarkę ukradłeś, bo znam jej właściciela! Mów, skąd ją masz, bo wezwę policję!”

Wtedy ten złodziej upuścił marynarkę i uciekł.

*Ba* wrócił do naszego pokoiku i pokazał marynarkę mojej matce. Opowiadała mi później, jak wsunął ręce w rękawy i wyobraził sobie, że moc jej poprzedniego właściciela przenika w niego. W kieszeni znalazł okulary z grubymi szklami. Włożył je, podniósł dłoń i wyobrażał sobie, jak stu ludzi stanęło i z uszanowaniem mu się kłania. Klasnął lekko w ręce i dwunastu służących pośpieszyło z jego marzeń, żeby podać mu posiłek. Poklepał się po brzuchu, na niby pełnym już tych wszystkich potraw. I właśnie wtedy nasz *Ba* znalazł w marynarce coś jeszcze.

Ech, co to jest? Coś sztywnego było pod podszewką. Matka wzięła swoje cienkie nożyczki i rozpruła szew. Libbi-ja, to, co znaleźli, musiało sprawić, że myśli im się w głowach zakotłowały jak chmury na burzę. Spod podszewki wypadł plik papierów: urzędowe dokumenty na wyjazd do Ameryki! Na pierwszej stronie było po chińsku: *Yee Jun*. Pod tym po angielsku: *Jack Yee*.

Masz pojęcie, Libbi-ja. W czasie wojny domowej takie dokumenty były warte życia i majątków wielu ludzi. W trzęsących się rękach naszego *Ba* znalazły się poświadczone papiery akademickie. Świadectwo zdrowia i kwarantanny, wiza studencka i potwierdzenie przyjęcia na uniwersytet Lincolna w San Francisco, gdzie za rok nauki z góry zapłacono. I była koperta. *Ba* zajrzał do niej: bilet w jedną stronę

na statek Linii Amerykańskiego Prezydenta i dwieście dolarów Stanów Zjednoczonych. I w dodatku pouczenie, jak zdać egzamin imigracyjny po wylądowaniu.

Och, Libbi-ja, to musiała być bardzo zła sprawa! Nie rozumiem dlaczego, ale w tamtych czasach chińskie pieniądze nie miały żadnej wartości. Ale pewno ten człowiek Yee kupił te dokumenty za mnóstwo złota i złych usług. Czy zdradził tajemnice nacjonalistom? Czy sprzedał nazwiska przywódców Ludowej Armii Wyzwolenia?

Moja matka się bała. Kazała *Ba* wrzucić tę marynarkę do rzeki. Ale *Ba* już miał w oczach błyski, jak dziki pies. Powiedział:

„Mogę swój los odmienić. Mogę się wzbogacić”.

I rozkazał, żeby matka przeprowadziła się do swojej siostry w Changmian i czekała.

„Kiedy już będę w Ameryce, sprowadzę tam ciebie i naszą córkę. Przyrzekam”.

Matka przyjrzała się fotografii w paszporcie tego człowieka, którym *Ba* chciał się stać. Yee Jun, Jack Yee. Bez uśmiechu, szczupły, tylko o dwa lata starszy od *Ba*. Ale nie taki przystojny. Ten Yee miał krótkie włosy, niesympatyczną twarz i zimne oczy za grubymi szklami okularów. Widać było w nich tylko zimne serce człowieka. Matka opowiadała, że Yee wyglądał jak taki, który mówi: „Zejdź mi z drogi, ty nie wart robaku”.

Tamtej nocy matka patrzyła, jak *Ba* zmienia się w tego Yee, ubiera się w jego marynarkę, obcina sobie włosy. Patrzyła, jak wkłada jego okulary. I kiedy spojrział na nią, zobaczyła, że oczy ma już maleńkie i zimne. Już w nim nie było uczucia do mojej matki. Zupełnie tak, jakby naprawdę stał się tym Yee, człowiekiem z fotografii, człowiekiem butnym i moźnym, chętnym do porzucenia przeszłości, pragnącym natychmiast wkroczyć w nowy los.

Więc tak to było. *Ba* ukradł jego nazwisko. A prawdziwego nazwiska *Ba* nie

znam. Byłam wtedy mała, a potem moja matka umarła. Ty masz szczęście, ciebie nie spotkała żadna taka tragedia. Potem moja ciocia nie chciała mi powiedzieć prawdziwego nazwiska Ba, bo on porzucił jej siostrę. Mściła się na nim. A matka też mi nie chciała powiedzieć, nawet po śmierci. Ale często się zastanawiam, jak *Ba* się nazywał. Kilka razy prosiłam, żeby ze Świata Yin przyszedł do mnie. Ale przyjaciele *yin* mi mówią, że utknął gdzie indziej, w mglistym miejscu, gdzie ludzie wierzą, że ich kłamstwa są prawdą. Czy to nie smutne, Libbi-ja? Nie wie, jak nazywa się naprawdę. Gdybym mogła się dowiedzieć, powiedziałabym mu. Wtedy mógłby pójść do Świata Yin, przeprosić moją matkę, bardzo przeprosić i żyć w spokoju z naszymi przodkami.

Dlatego musisz pojechać do Chin, Libbi-ja. Kiedy zobaczyłam ten list wczoraj, powiedziałam sobie: To jest przeznaczenie i czeka, żeby się dopełnić! Ludzie w Changmian może jeszcze pamiętają jego nazwisko, moja ciocia na pewno. „Ten który stał się Yee”, tak Starsza Mama, czyli ciocia, zawsze go nazywała. Kiedy pojedziesz, zapytaj moją Starszą Mamę. Zapytaj ją, jak naprawdę nazywał się nasz *Ba*.

Ach! Co ja mówię! Przecież nie będziesz umiała zapytać. Ona nie mówi po mandaryńsku. Jest stara, nigdy nie chodziła do szkoły, żeby się nauczyć powszechnego języka ludowego. Mówi dialektem Changmian, to ani Hakka, ani mandaryński, coś pomiędzy, tak tylko miejscowi tam mówią. Poza tym musisz pytać ją o przeszłość bardzo mądrze, bo inaczej ona cię pogoni jak wściekła kaczka, która skubie w nogi. Ja ją znam. Wiem, jaka jest, kiedy się rozgniewa!

Ale nie obawiaj się, pojedę z wami. Już obiecałam. Zawsze dotrzymuję obietnic. Ty i ja we dwie możemy zmienić nazwisko naszego ojca z powrotem na prawdziwe. Możemy wysłać go wreszcie do Świata Yin.

A Simon! On też powinien pojechać. W ten sposób będziecie mogli zrobić ten artykuł do magazynu, dostać pieniądze na wyjazd. On będzie nam potrzebny do



noszenia walizek. Muszę zawieźć mnóstwo prezentów. Nie mogę przyjechać do domu z pustymi rękami. Virgie może gotować dla Georgiego, jej gotowanie nie takie złe. A Georgie może się zaopiekować twoim psem, nie będziesz musiała nikomu płacić.

Tak, tak, my we troje: Simon, ty i ja. Myślę, że to najbardziej praktyczny sposób zmiany nazwiska.

Hej, Libbi-ja, co o tym myślisz?

### Najlepszy czas, żeby zjeść kacze jaja

Kwan, chcąc postawić na swoim, nie wysuwa żadnych argumentów. Stosuje metody bardziej skuteczne: połączenie starej chińskiej koncepcji torturowania kroplami wody i amerykańskiej zwab-i-złap.

– Libbi-ja – pyta – w którym miesiącu pojedziemy do Chin zobaczyć moją wieś?

– Ja nie jadę. Zapomniałaś?

– Och, dobrze, dobrze. W porządku, więc jak myślisz, w którym miesiącu powinnam pojechać? We wrześniu pewnie jeszcze za gorąco. W październiku za dużo turystów. W listopadzie nie za gorąco, nie za zimno, może to dobra pora.

– Twoja sprawa.

Nazajutrz Kwan mówi:

– Libbi-ja, Georgie nie może jechać, jeszcze nie ma dosyć dużego urlopu. Myślisz, że Virgie i mama ze mną pojedą?

– No chyba, czemu nie? Zapytaj jedną i drugą.

W tydzień potem:

– Ajaj! Libbi-ja! Już kupiłam trzy bilety. A teraz Virgie ma nową posadę. Mama ma nowego przyjaciela. Obie mówią: Przykro mi, nie mogę. A ta agentka podróży mówi: Przykro mi, nie ma zwrotów. – Kwan patrzy na mnie zboląła. – Ajaj, Libbi-ja, co ja zrobię?

Zastanawiam się. Udałabym, że się nabrałam. Ale nie mogę się na to zdobyć.

– Spróbuję znaleźć ci towarzystwo – mówię.

Wieczorem dzwoni do mnie Simon.

– Myślałem o tej wyprawie do Chin. Nie chcę, żeby z powodu naszego rozejścia

się to cię ominęło. Weź kogoś do pisania; Chesnicka czy Kelly'ego, obaj piszą wspaniałe reportaże z podróży. Zadzwoń do nich w twoim imieniu, jeżeli chcesz.

Nie posiadam się ze zdumienia. A Simon dalej mnie namawia do wyjazdu z Kwan, do wykorzystania jej odwiedzin w ojczyźnie po tylu latach – cóż za doskonały wątek. Rozważam wszelkie możliwe znaczenia tego, co on mówi. Może jest możliwość przyjaźni między nami, takiego koleżeństwa, jak na początku naszej znajomości. Przypominam sobie, co początkowo przyciągało nas nawzajem do siebie – sposób formułowania myśli, wesołość, pasja. Tak świetnie nam się rozmawiało. Żał mi, że tyle utraciliśmy w ciągu lat małżeństwa. Owo podniecenie, owo zadziwienie tym, że jesteśmy na świecie w jednym czasie, jednym miejscu.

– Simon – mówię po dwóch godzinach telefonicznej debaty – ja naprawdę to doceniam i... myślę, że byłoby miło być kiedyś przyjaciółmi.

– Wcale nie przestałem być twoim przyjacielem – mówi Simon. Więc ja w tym momencie przestałam być powściągliwa.

– W takim razie, czemu ty byś nie mógł pojechać do Chin?

W samolocie zaczynam wypatrywać omenów. Bo kiedyśmy załatwiali formalności na lotnisku, Kwan powiedziała:

– Ty, ja, Simon... Lecimy do Chin? Nasze fatum połączone w końcu.

To jak „tajemnicze fatum Amelii Earhart”. Fatum, łaciński korzeń słowa „fatalny”. Zgoła zatrważające jest to, że chińska linia lotnicza, którą Kwan wybrała ze względu na obniżone ceny biletów, zaliczyła w ciągu ubiegłych sześciu miesięcy trzy katastrofy, z czego dwie w czasie lądowania w Guilin, dokąd właśnie lecimy po czterogodzinnym postoju w Hongkongu. Moja ufność spada na łeb na szyję, kiedy wsiadamy do samolotu. Załoga wita nas strojna w szkockie berety i kilty. Taki wybór umundurowania, nie dający się niczym wytłumaczyć, sprawia, że wątpię o zaradności tych naszych opiekunów w razie jakiegoś aktu terroru, odpadnięcia

części silnika czy nie planowanego lądowania na oceanie.

Przepychamy się – Kwan, Simon i ja – wąskim przejściem. Nie ma tu nikogo białego, jeśli nie liczyć Simona i mnie. Czy to coś znaczy?

Jak wielu innych Chińczyków w samolocie, Kwan ma dwie torby podróżne pełne prezentów. Te torby są dodatkiem do walizki, którą już oddaliśmy na bagaż. Wyobrażam sobie jutrzejszy dziennik telewizyjny: „Termos, kuchenne plastikowe pudełka, paczki Wisconsin ginseng leżały wśród szczątków na pasie startowym po tragicznej katastrofie, w której stracił życie Horatio Tewksbury III Atherton, lecący pierwszą klasą, oraz czterystu Chińczyków i Chinek marzących o triumfalnych odwiedzinach w ojczyźnie swoich przodków”.

Już widzimy, gdzie są nasze miejsca – z ust wyrywa mi się jęk. Staruszka w fotelu na końcu przejścia gapi się na nas ponuro, po czym kaszle. Głośno modli się do jakiegoś nieokreślonego bóstwa, żeby nikt nie zajął trzech wolnych miejsc przy niej, nadmienia, że jest chora na bardzo złą chorobę, więc musi się położyć. Kaszel staje się coraz gwałtowniejszy. Ku jej strapieniu bóstwo najwidoczniej poszło na obiad, bo zajmujemy te akurat trzy wolne miejsca.

Kiedy wreszcie podjeżdża wózek z napojami, chcę znaleźć ulgę w ginie z tonikiem. Stewardesa nie rozumie.

– Gin z tonikiem – powtarzam, po czym mówię po chińsku: – I z plasterkiem cytryny, jeżeli macie.

Stewardessa radzi się koleżanki, która wzrusza ramionami.

– *Ni you scocka meiyou?* – próbuję. – Macie szkocką?

Śmieją się z tego żartu.

Na pewno macie szkocką – chcę wrzasnąć. Popatrzcie na te swoje śmieszne szkockie przebrania.

Ale nie wiem, jak jest „szkocka” po chińsku, a Kwan nie ma zamiaru mi pomóc. Co więcej, cieszy ją moja bezradność i konsternacja stewardes. Zadowolam się

dietetyczną coca colą.

Tymczasem Simon u mojego drugiego boku zajmuje się grą „Samolot”, którą trzyma na kolanach.

– Prr! Stój! Wio! Do licha! – Rozlegają się odgłosy katastrofy i pożaru. Simon odwraca się do mnie. – Kapitan Bishop, ten tutaj, ogłasza, że drinki są na rachunek firmy.

Przez cały czas lotu Kwan jest wprost pijana szczęściem. Co chwila ściska mi rękę, uśmiecha się od ucha do ucha, mówi nieprzerwanie. Po trzydziestu latach będzie na chińskiej ziemi, w Changmian, gdzie mieszkała do osiemnastego roku życia. Zobaczy swoją ciotkę, tę Starszą Mamę, która ją wychowała, okropnie nią pomiatała, szczypała ją w policzki, aż zostały blizny jak sierpy księżyca.

I spotka się z dawnymi kolegami i koleżankami ze szkoły, przynajmniej z tymi, którzy przeżyli Rewolucję Kulturalną, szalejącą w Chinach wkrótce po jej wyjeździe do Ameryki. Wprost nie może się doczekać chwili, kiedy zaimponuje im swoją angielszczyzną, pokaże swoje prawo jazdy, zdjęcie swojego kota na kanapie w kwiaty, kupionej ostatnio na wyprzedaży w hurtowni – pięćdziesiąt procent zniżki. Z powodu małej dziurki! Może nawet nikt tej dziurki nie zobaczy.

Dalej Kwan mówi, że odwiedzi grób matki, postara się, żeby był porządnie utrzymany. I zabierze mnie do jednej małej doliny, gdzie kiedyś zakopała szkatułkę pełną skarbów. Jestem jej ukochaną siostrą, więc muszę zobaczyć, jaką miała kryjówkę w jaskini wapiennej, z której wypływa czarodziejskie źródło.

Dla mnie też ta podróż to wydarzenie. Pierwszy raz będę w Chinach. Pierwszy raz od czasów dzieciństwa Kwan będzie przez całe dwa tygodnie stale mi towarzyszyć. Pierwszy raz Simon i ja, podróżując razem, będziemy nocować w oddzielnych pokojach.

Teraz, wciśnięta w fotel pomiędzy Simonem i Kwan, zdaję sobie sprawę, jakim wariactwem jest ta moja eskapada – tłuczenie się po lotniskach i samolotach przez

dwadzieścia cztery godziny bez mała, emocjonalna mordęga ciągłego przebywania z tymi właśnie dwojgiem ludzi, którzy wnieśli w moje życie najwięcej niepokoju i obaw. A przecież serce mi to nakazuje. Oczywiście są i pragmatyczne powody przyjazdu do Chin – mam zamówienie na fotoreportaż dla magazynu, muszę dowiedzieć się nazwiska ojca. Ale przede wszystkim nie chcę kiedyś żałować. Lękam się, że gdybym nie skorzystała z takiej okazji, może kiedyś, patrząc wstecz, zastanowiłabym się z żalem, co by było, gdybym skorzystała?

Chyba Kwan na rację. Fatum rządzi nami. Nie jest logiczne. Nie można z nim dyskutować, tak samo jak nie można dyskutować z huraganem, trzęsieniem ziemi i terrorystą. Fatum to drugie imię Kwan.

Do Chin jeszcze dziesięć godzin. Simon chrapie. Ja nie mogę zasnąć. Kwan się budzi.

Ziewa. I już po sekundzie jest rześka, wierci się. Raz po raz poprawia poduszki.

– Libbi-ja, o czym myślisz?

– Och, wiesz, o sprawach zawodowych.

Przed wyjazdem sporządziłam sobie szczegółowy plan. Uwzględniłam różnice w czasie, nabranie orientacji, poznanie terenu. Zanotowałam dla pamięci, co fotografować: małe sklepiki spożywcze i duże supermarkety, stoiska z owocami, warzywniki, piece i wyposażenia kuchni, korzenie i oleje. Sporo nocy biedziłam się nad budżetem i szczegółami organizacyjnymi. Sam dojazd stanowi niemały problem: „Ze trzy, cztery godziny jazdy z Guilin”, powiedziała Kwan. W agencji turystycznej nawet nie zdołano wypatrzyć Changmian na mapie. Zarezerwowano nam dwa pokoje po sześćdziesiąt dolarów za dobę w jednym z hoteli w Guilin. Może tam jest gdzie się zatrzymać bliżej Changmian, ale to się okaże dopiero na miejscu.

– Libbi-ja – mówi Kwan – w Changmian wszystko może nie być zbyt luksusowe.

– Tym lepiej. – Już wiem od Kwan, że tam potrawy są proste, takie jak ona

gotuje, a nie takie jak w drogich chińskich restauracjach. – Naprawdę – uspokajam ją – nie chcę fotografować luksusów. Możesz mi wierzyć, nie spodziewam się szampana i kawioru.

– Kawior? Co to jest?

– Ikra, jajka ryb.

– Och! Tam mają, mają... – Kwan oddycha z ulgą. – Ryb, i krabów, i krewetek, i jajka kurze... Wszystkie mają! A także tysiącletnie kacze. To znaczy nie naprawdę takie stare. Roczne, dwu-, trzyletnie najwyżej... Au! No przecież! Wiem, gdzie znaleźć kacze jaja starsze, dawno temu je schowałam.

– Naprawdę? – To brzmi obiecująco, ładny szczegół w reportażu. – Schowałaś je, kiedy byłaś mała?

– Kiedy miałam dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia?... Wtedy już byłaś w Stanach.

Kwan uśmiecha się tajemniczo.

– Nie tym razem dwadzieścia. Poprzednim. – Wtula głowę w oparcie siedzenia. – Kacze jaja... aach, takie dobre... Panna Wstęga, ona ich nie lubiła za bardzo. Później przyszedł głód, jadło się wszystko: szczury, pasikoniki, cykady. Więc już uważała, że tysiącletnie *yadan* lepiej smakują niż to wszystko... Kiedy będziemy w Chang-mian, Libbi-ja, pokażę ci, gdzie jeszcze tam są. Ty i ja pójdziemy poszukać, co?

Przytakuję. Kwan wydaje się tak cholernie szczęśliwa. Wyjątkowo jej urojona przeszłość mnie nie drażni. W istocie pomysł szukania w Chinach jajek na niby nawet mi się podoba. Patrzę na zegarek. Za dwadzieścia godzin będziemy w Guilin.

– Mm – mruczy Kwan – *yadan*...

Widzę, że już przebywa w swoim świecie złudy, w czasach minionych.

– Kacze jaja! Tak ogromnie je lubiłam, aż stałam się złodziejką. Kradłam je

przed śniadaniem. Co dzień oprócz niedzieli. Nie byłam straszną złodziejką, daleko mi do generała Peleryny. Brałam niedużo, żeby ludziom ich nie brakowało – jedno, dwa jajka. Zresztą Czciciele Jezusa ich nie chcieli. Woleli kurze.

Nie wiedzieli, że jaja kaczki to wielki zbytek – bardzo drogie, jeżeli się je kupowało w Jintian. Gdyby wiedzieli, ile jaja kaczki kosztują, chcieliby jeść kaczki ciągle. A wtedy co? Bardzo źle dla mnie!

Żeby zrobić jajko kaczki tysiącletnie, trzeba mieć je na początku bardzo, bardzo świeże, bo inaczej... No, niech pomyślę... bo inaczej... Nie wiem, ja zawsze brałam tylko świeże. Możliwe, że w starych już rosną kości i dzioby kaczek. W każdym razie świeże jajka wkładałam do słoja z wapnem i solą. Proszek wapna oszczędzałam z prania. Sól to co innego, wtedy nie była taka tania jak dzisiaj. Na szczęście dla mnie ci cudzoziemcy mieli mnóstwo soli. Chcieli, żeby jedzenie smakowało jak wyłowione z morza. Ja też lubiłam słone potrawy, ale nie wszystkie słone. Kiedy siadali do stołu, po kolei sobie mówili: „Poproszę sól” i dosypywali mnóstwo.

Kradłam sól kucharce. Ona się nazywała Ermei, Druga Siostra, niepotrzebna druga córka w rodzinie bez żadnych synów. Rodzice dali ją misjonarzom, bo gdyby nie dali, musieliby wydać ją za męża i płacić posag. Ermei i ja po cichu handlowałyśmy ze sobą. W pierwszym tygodniu podarowałam jej jedno jajko. Więc sypnęła sól w moje puste dłonie. Ale w następnym tygodniu już chciała za taką garść soli dwa jajka! Ta dziewczyna umiała się targować.

Pewnego dnia doktor Za Późno zobaczył naszą wymianę. Przyszłam z kuchni tam, gdzie robiłam pranie. Kiedy się odwróciłam, on podszedł i palcem wskazał tę białą górkę w mojej dłoni. Musiałam myśleć prędko.

– Ach, to – powiedziałam. – To na plamy.

Nie skłamałam. Sól plami skorupki jaj. Doktor Za Późno zmarszczył brwi, nie rozumiał dobrze po chińsku. Co miałam zrobić? Sypnęłam tę drogocenną sól do wiadra z zimną wodą. On jeszcze patrzył. Więc wyciągnęłam pierwszą lepszą



bieliznę z koszyka spodniej garderoby pań, wrzuciłam do wiadra i zaczęłam pracować.

– Widzisz? – zapytałam i podniosłam tę posoloną rzecz. Au! Trzymałam majtki panny Myszy, poplamione w dole jej miesięczną krwią! Doktor Za Późno... Ha, jego twarz! Czerwieńsza niż te plamy. Kiedy odszedł, chciało mi się płakać, bo tyle soli zmarnowałam. Ale kiedy znów wyciągnęłam majtki panny Myszy – zobaczyłam, że mówiłam prawdę! Plam już nie było! To był cud! Bo od tamtego dnia mogłam sobie brać tyle soli, ile potrzebowałam – jedna duża garść do spierania plam, druga duża garść do kaczych jajek. Nie musiałam podkradać soli Ermei. Ale od czasu do czasu dawałam jej jajko.

Z wapnem i solą wkładałam kacze jaja do glinianego słoja. Słoje miałam od jednouchego przekupnia, który się nazywał Zeng i handlował przy drodze tuż za naszym murem. Jedno jajko liczył mi za słoje zbyt przeciekający, żeby się nadawał na oliwę. Zawsze miał mnóstwo pękniętych słoików. Aż myślałam, że albo jest niezdara, albo tak bardzo mu chodzi o kacze jaja. Później się dowiedziałam, że jemu chodzi o mnie! Naprawdę! Jego jedyne ucho, moje jedyne oko, jego przeciekające garnki, moje smaczne jaja – może dlatego uznał, że dobra z nas para. Nie mówił, że chce mnie za żonę, nie dosłownie. Ale wiedziałam, że o tym myśli, bo kiedyś dał mi słoje nawet nie nadpęknięty. Zwróciłam mu na to uwagę. Wtedy wziął kamień, odłukł kawałek brzegu. Tak czy owak, miałam słoje i zalotnika.

Po wielu tygodniach wapno i sól przesiąkały przez skorupki jajek. Białka twardniały i zielieniały, żółtka zupełnie czerniały. Wiedziałam to, bo czasami jadłam jedno, żeby sprawdzić, czy te jaja już są gotowe, żeby je oblepić błotem. Błota nie musiałam kraść. W ogrodzie przy Domu Ducha Kupca było go mnóstwo. Zanim błoto na jajkach zaschło, każde pakowałam w papier, w stronicie wydarte z tych broszur „Dobra Nowina”. I w papierze wkładałam jaja do piecyka, który zbudowałam z cegieł. Tych cegieł też nie ukradłam. Spadły z muru i były popękane. Każde pęknięcie smarowałam klejem wyciśniętym z kleistej trującej rośliny. W ten

sposób słońce mogło grzać przez pęknięcia, a owady się przylepiały, więc nie mogły jeść moich jajek. W następnym tygodniu, kiedy błoto na jajkach było twarde, wkładałam je wszystkie znowu do słoja. Zakopywałam te słoje w północno-zachodnim rogu ogrodu przy Domu Ducha Kupca. Przed samym końcem życia miałam tam słoje przy słoju w dziesięciu rzędach długich na dziesięć kroków. Niejeden tam może jeszcze jest. Z całą pewnością nie zjedliśmy wszystkich, tak wiele ich schowałam.

Dla mnie kacze jajo było zbyt dobre, żeby je po prostu zjeść. Kaczętko z niego mogłoby przecież zostać kaczką. Ta kaczką mogłaby sobą pożywić dwadzieścioro głodnych na Górze Ostów. My na Górze Ostów rzadko miewaliśmy kaczki. Jeżeli jadłam kacze jajo – a czasami jadłam – zaraz myślałam o tych wygłodniałych. Więc czy mogłam się nasycić?

Kiedy strasznie mnie kusiło, a jednak jajka sobie nie wzięłam, czułam wielkie zadowolenie, ja, dziewczyna, która dawniej nie miała nic. Byłam oszczędna, nie chciwa. Jak już mówiłam, od czasu do czasu dawałam jedno jajko Ermei i Lao Lu również.

Lao Lu też zachowywał swoje jajka. Zakopywał je pod posłaniem w stróżówce, gdzie sypiał. Powiedział, że w ten sposób może marzyć, jak będą mu kiedyś smakowały. Tak jak ja czekał na najlepszy czas, żeby zjeść kacze jaja. Nie wiedzieliśmy, że ów najlepszy czas będzie później najgorszy.

Co niedziela Czciciele Jezusa jedli zawsze wielki poranny posiłek. Taki był obyczaj: długa modlitwa, potem jajka kurze, grube płaty solonej wieprzowiny, ciastka kukurydziane, arbuzy, zimna woda ze studni, a potem jeszcze jedna długa modlitwa. Ci cudzoziemcy lubili jeść na zimno i na gorąco naraz, bardzo niezdrowo. W tamtą niedzielę, o której mówię, generał Peleryna zjadł mnóstwo. Potem wstał od stołu, skrzywił się paskudnie i oznajmił, że dokuczają mu kwasy w żołądku, więc nie

może dziś odwiedzić Domu Boga. Tak nam to przetłumaczył Yiban.

Myśmy poszli na nabożeństwo i kiedy siedziałam na ławce, zauważyłam, że panna Wstęga nie przestaje przytupywać jedną nogą. Wydawała się szczęśliwa i zniecierpliwiona. Ledwie nabożeństwo się skończyło, wzięła swoją muzyczną szkatułkę i poszła do swojego pokoju.

Na posiłek w południe, czyli na zjedzenie zimnych resztek śniadania generał Peleryna nie przyszedł do jadalni. Panna Wstęga też nie przyszła. Cudzoziemcy omiatali wzrokiem jego puste krzesło, a potem jej. Nic nie mówili, ale wiedziałam, co sobie myślą. Potem rozeszli się do swoich pokoi na popołudniową drzemkę. Ja położyłam się na mojej słomianej macie, aż tu nagle słyszę muzykę ze szkatułki panny Wstęgi, tę piosenkę, którą tak bardzo znienawidziłam. I zaraz usłyszałam, jak drzwi panny Wstęgi się otwierają, a potem zamykają. Zatkałam uszy rękami. Ale w głowie widziałam, jak panna Wstęga rozciera generałowi Pelerynie zakwaszony żołądek. W końcu ta piosenka ucichła.

Obudziły mnie wrzaski stajennego, który biegł korytarzem.

– Muł! Bawół! Wóz! Nie ma ich!

Wszyscy wybiegliśmy z naszych pokoi. Po chwili Ermei przybiegła z kuchni.

– Wędzony wieprzowy udziec! – krzyczała. – Worek ryżu!

Czciciele Jezusa nic nie rozumieli, zaczęli wołać pannę Wstęgę, żeby przyszła i przetłumaczyła te chińskie słowa na angielski. Ale jej drzwi nadal były zamknięte. Więc Yiban przetłumaczył cudzoziemcom, co tak wykrzykują stajenny i kucharka. Wtedy wszyscy Czciciele Jezusa popędzili do swoich pokoi. Panna Mysz wyszła z płaczem i szarpała się za szyję – zginął jej medalion z włosami ukochanego. Doktor Za Późno nie mógł odnaleźć torby lekarskiej. Pastor i pani Amen utracili grzebień w srebrnej oprawie, złoty krzyżyk i wszystkie pieniądze misji na następne pół roku. Kto zrobił coś takiego?! Cudzoziemcy stali jak posągi. Może zastanawiali się, dlaczego Bóg pozwolił, żeby to się stało akurat w niedzielę, kiedy go wielbili.

Lao Lu już walił w drzwi generała Peleryny. Bez żadnego skutku. Otworzył drzwi, zajrzał tam, a potem powiedział:

– Nie ma!

Zastukał do drzwi panny Wstęgi. To samo: nie ma.

Wtedy wszyscy cudzoziemcy zaczęli mówić jednocześnie. Myślę, że naradzali się, co zrobić, gdzie szukać tych dwoje złodziei. Ale już nie mieli ani muła, ani bawolicy, ani wozu. A nawet gdyby mieli, czy byłoby wiadomo, gdzie szukać? Którędy generał Peleryna i panna Wstęga odjechali? Na południe do Annamu? Na wschód wzdłuż rzeki, do Kantonu? Do Prowincji Guizhou, gdzie mieszkają dzicy? Najbliższy *yamen*, w którym należało zgłaszać duże przestępstwa, był w Jintian, wiele godzin piechotą z Changmian. Zresztą, co by zrobił policjant w *yamen*, gdyby usłyszał, że cudzoziemcy zostali obrabowani przez swoich? Śmiałyby się.

W tamten wieczór w porze owadów siedziałam na dziedzińcu i patrzyłam, jak nietoperze polują na moskity. Nie chciałam myśleć o panie Wstędze. Mówiłam sobie: Nunumu, czy nie szkoda marnować nawet jedną myśl na tę pannę Wstęgę, która woli zdrajcę niż wierną przyjaciółkę? Nunumu, zapamiętaj od teraz już na zawsze, że cudzoziemcom nie można ufać. Później leżałam w moim pokoju i wciąż jeszcze nie myślałam o panie Wstędze, nie chciałam dać jej ani cząstki mojego zmartwienia i gniewu, i smutku. A jednak coś z tego przeciekało. Nie wiem jak. Ćmiło mnie w żołądku, paliło w piersi, strzykało w kościach i te uczucia biegały mi po całym ciele, wprost wrywały się.

Nazajutrz był pierwszy dzień tygodnia, czas prania. Kiedy Czciciele Jezusa mieli specjalne zebranie w Domu Boga, wzięłam z ich pokoi brudne rzeczy. Oczywiście nie chciałam nawet zajrzeć do pokoju panny Wstęgi. Minęłam jej drzwi. Ale same moje nogi zawróciły i jednak zajrzałam. Najpierw zobaczyłem szkatułkę muzyczną. Zdumiałam się. Czyżby panna Wstęga zdecydowała, że to dla niej za ciężkie do dźwigania? Leniuch! Zobaczyłam jej brudne rzeczy w koszyku. Otworzyłam jej

szafę. Niedzielnej sukni i pantofli nie było, a także najładniejszego kapelusza, dwóch par rękawiczek, naszyjnika z twarzą kobiety, białą na pomarańczowym kamieniu. Pończochy z dziurą w jednej pięcie zostały.

Wtedy przyszedł mi do głowy niecny pomysł, ale dobry plan. Szkatułkę muzyczną owinęłam brudną bluzką i włożyłam między brudne rzeczy w koszyku. Zabrałam koszyk i poszłam korytarzem i przez kuchnię, i przez sień, i dalej, do Ogrodu Ducha Kupca. Pod północno-zachodnim murem, tam gdzie były moje kaczki jaja, wykopałam jeszcze jeden dołek, pogrzebałam szkatułkę i wszystkie wspomnienia o pannie Wstędze.

Już uklepywałam ziemię na tym muzycznym grobie, kiedy usłyszałam coś jakby cichy rechot żaby: ło-ren, ło-ren. Ruszyłam w stronę, z której to dolatywało, i chociaż liście przy każdym moim kroku głośno chrzęściły, usłyszałam znowu ten dźwięk, tylko że teraz wiedziałam: to przecież głos panny Wstęgi. Au! I ukazał się duch panny Wstęgi! Jej włosy, właśnie włosy sprawiły, że tak pomyślałam – potargane opadały jej do pasa. Ze strachu aż się przewróciłam na krzak. Ona usłyszała trzask tych gałęzi.

– Ło-ren? Ło-ren? – zawołała i już biegła w moją stronę, szalona i niepewna.

Zaczęłam co tchu uciekać na czworakach. I nagle zobaczyłam przed sobą jej niedzielne pantofle. Podniosłam wzrok na nią. Wtedy pojęłam, że nie jest duchem. Miała twarz, szyję i ręce pożądane przez moskity. Oczywiście, mogłyby jej ducha atakować duchy moskitów, gdyby istniały. Ale to mi przychodzi na myśl dopiero teraz. Poza tym trzymała pod pachą swoją skórzaną torbę. Podrapała się w obolałą twarz i zapytała z nadzieją:

– Generał... wrócił po mnie?

No to już wiedziałam, co się stało. Panna Wstęga czekała w pawilonie od wczoraj, nasłuchiwała odgłosów. Potrząsnęłam głową, że nie wrócił. Byłam rada i zarazem czułam się winna, bo powinno być mi przykro – tak wielką rozpacz

widziałam na jej twarzy. Osunęła się na ziemię, roześmiała i od razu rozplakała. Patrzyłam na jej kark, na te resztki po uczcie moskitów, świadczące, że czekała z nadzieją przez całą noc. Zrobiło mi się jej żal, a przy tym ogarnął mnie gniew.

– Dokąd on pojechał? – zapytałam. – Powiedział ci, panno Wstęgo?

– Powiedział, że do Kantonu... Nie wiem. Może skłamał.

Jej głos był jak dzwon, który tylko się obija, zamiast dzwonić.

– Wiesz, że ukradł jedzenie, pieniądze, mnóstwo skarbów?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– I jeszcze chcesz z nim pojechać?

Jęknęła coś pod nosem po angielsku. Chyba się roztkliwiała nad sobą, żałowała, że nie jest z tym strasznym człowiekiem. Spojrzała na mnie.

– Panno Mu, co ja mam zrobić?

– Nie szanowałaś, panno Wstęgo, mojego zdania przedtem. Dlaczego pytasz teraz?

– Tamci na pewno uważają mnie za idiotkę.

Przytaknęłam.

– I złodziejkę – dodałam.

Milczała długo. Potem zapytała:

– Może powinnam się powiesić, panno Mu, jak myślisz? – Znów się roześmiała wariacko. Podniosła kamień i położyła mi na kolanach. – Panno Mu, proszę cię o przysługę. Rozbij mi głowę. Powiedz Czcicielom Jezusa, że ten diabeł Peleryna mnie zabił. Niech się litują nade mną, zamiast mną gardzić. – Przypadła do ziemi z płaczem. – Zabij mnie, proszę, zabij mnie! Oni i tak życzą mi śmierci.

– Panno Wstęgo – zapytałam – prosisz, żebym była morderczynią?

A ona odrzekła:

– Jeżeli jesteś moją wierną przyjaciółką, zrobisz to dla mnie.

Wierna przyjaciółka! To jak trzepnięcie w twarz! – pomyślałam. Kto tu mówi o

wiernej przyjaźni? „Zabij mnie, panno Mu!” Hrrh! Wiedziałam, czego ona rzeczywiście chce... Żebym ją pocieszała, żebym mówiła, że Czciciele Jezusa nie będą się gniewać, bo rozumieją, jak podle ją oszukał ten niegodziwiec.

– Panno Wstęgo – doбираłam słów starannie – nie bądź jeszcze większą idiotką. Ty tak naprawdę nie chcesz, żebym ci rozbiła głowę. Ty udajesz.

Zaprzeczyła.

– Nie, nie! Zabij mnie! Chcę umrzeć! – Uderzyła pięścią w ziemię.

Miało być tak, że ja ją odwiode od tego pomysłu, co najmniej parę razy będę protestować, dopóki ona nie zgodzi się z dużą niechęcią żyć dalej. Ale ja zamiast tego powiedziałam:

– Hm. Oni cię nienawidzą, to prawda. Może nawet wyrzucą cię kopniakiem. Wtedy dokąd pójdziesz?

Wpatrywała się we mnie. Wyrzucą ją? Widziałam, że to zrobiło na niej wrażenie.

– Niech się zastanowię – powiedziałam. I po chwili oznajmiłam stanowczo: – Panno Wstęgo, zdecydowałam się być twoją wierną przyjaciółką.

Oczy miała jak dwie czarne kałuże.

– Usiądź i oprzyj się o to drzewo – nakazałam. Nawet nie drgnęła. Chwyciłam ją za rękę, dowlokłam do drzewa i pchnęłam tak, że usiadła. – No, panno Wstęgo, ja tylko staram się ci pomóc. – Wzięłam skraj jej niedzielnej sukni w zęby i oderwałam.

– Co ty wyprawiasz? – wykrzyknęła.

– Szkoda ci? – zapytałam. – Zaraz i tak będziesz martwa.

Podarłam ten oderwany kawał sukni na trzy pasy. Jednym przywiązałam jej rękę do cienkiego pnia drzewa. Teraz bardzo dygotała.

– Panno Mu, proszę, pozwól, że ci wyjaśnię... – zaczęła, ale ja drugim pasem szybko owiązałam jej twarz, kneblując usta.

– No, nawet jeżeli musisz wrzeszczeć – powiedziałam – nikt ciebie nie usłyszy. – Trzecim pasem zawiązałam jej oczy. – Teraz nie zobaczysz, jaką straszną rzecz

muszę zrobić.

Wierzgała nogami. Ostrzegłam ją.

– Panno Wstęgo, jeżeli będziesz się tak szamotać, mogę nie trafić i rozbiję ci tylko nos albo wybiję oko. Wtedy będę musiała walnąć jeszcze raz.

Wydawała zduszone krzyki. Kołysała głową i podrygiwała.

– Jesteś gotowa, panno Wstęgo?

Stęknęła i potrząsała głową, całym ciałem, drzewem, aż liście zaczęły opadać, jak gdyby była jesień.

– Żegnaj – powiedziałam i lekko dotknęłam jej głowy pięścią. To wystarczyło, żeby od razu zemdląca.

Postąpiłam niegodziwie, ale nie strasznie. Potem zrobiłam dobry uczynek, ale będący oszukaństwem. Podeszłam do głogu, odłupałam kolec i ukłułam się w kciuk. Rozmazałam tę krew na sukni panny Wstęgi, na jej czole i nosie. No i pobiegłam po Czcieli Jezusa. Och, jakże oni ją wychwalali i pocieszali. Dzielna panna Wstęga! Walczyła z generałem, żeby nie ukradł muła! Biedna panna Wstęga! Zbił ją i zostawił na pewną śmierć! Doktor Za Późno usprawiedliwiał się, dlaczego nie ma leków do opatrzenia jej poturbowanej twarzy. Panna Mysz ubolewała, jakie to smutne, że ona utraciła swoją szkatułkę muzyczną. Pani Amen ugotowała dla niej rosół.

Kiedy byłyśmy same, panna Wstęga powiedziała:

– Dziękuję ci, panno Mu. Nie zasługuję na taką wierną przyjaciółkę.

Dosłownie tak. Pamiętam, bo poczułam dumę. Ponadto powiedziała:

– Odtąd zawsze będę ci wierzyć.

Właśnie wtedy bez pukania wszedł do pokoju Yiban. Rzucił na podłogę skórzaną torbę. Torbę panny Wstęgi z rzeczami do ucieczki. Zamarłam, panna Wstęga się zachłysnęła. Sekret został odkryty. Cała moja niegodziwość i dobroć poszły na marne.



– Znalazłem to w pawilonie – oznajmił Yiban. – Chyba to należy do ciebie, pani. Jest w tej torbie twój kapelusz, są rękawiczki, naszyjnik, damska szczotka do włosów.

Patrzyli na siebie długo. W końcu Yiban powiedział:

– Szczęśliwie dla pani generał zapomniał to zabrać.

W ten sposób ją zawiadomił, że on też dotrzyma jej żalosego sekretu.

Przez cały tamten tydzień przy pracy zadawałam sobie pytanie: dlaczego Yiban ocalił pannę Wstęgę od pohańbienia? Nigdy przecież nie była z nim w takiej przyjaźni jak ja. Myślałam o tym. Ja wyciągnęłam pannę Wstęgę z rzeki. Kiedy komuś ratujesz życie, ten ktoś staje się częścią ciebie. Dlaczego? Nie wiadomo, ale tak jest. Przypomniało mi się, że Yiban i ja mamy podobnie samotne serca. Więc on także chce mieć kogoś własnego.

Wkrótce Yiban i panna Wstęga spędzali razem wiele długich godzin. Przeważnie rozmawiali po angielsku i musiałam zapytać pannę Wstęgę, o czym mówią.

– Och – odpowiedziała mi – o niczym bardzo ważnym. O swoim życiu w Ameryce, o swoim życiu w Chinach, co jest inne, co jest lepsze.

Poczułam zazdrość, bo ze mną nigdy nie rozmawiała o tych nie bardzo ważnych sprawach.

– Co jest lepsze? – zapytałam.

Zmarszczyła brwi i zastanowiła się. Odgadłam, że z wielu chińskich przymiotów miłych dla niej wybiera te, które powinna wymienić najpierw.

– Chińczycy są uprzejmiejsi – powiedziała i znów się zastanowiła. – Nie tacy chciwi.

Nie chciałam, żeby przestała mówić. Wiedziałam, co jeszcze powie: że Chińczycy są piękniejsi, że nasze myślenie jest mądrzejsze, nasz naród bardziej oświecony. Ale ona milczała.

– Czy w Ameryce jest coś lepszego? – zapytałam.

Myślała znowu przez chwilę.

– Och... Wygoda i czystość, sklepy i szkoły, domy, drogi do chodzenia i drogi do jazdy, i łóżka, słodycze i torty, gry i zabawki, proszone podwieczorki i urodziny, i wielkie głośnie parady, uroczyste pikniki na trawie, pływanie łódką, kwiaty na kapeluszu, ładne suknie, czytanie książek, pisanie listów do przyjaciół...

I tak mówiła dalej i dalej, a ja czułam się coraz mniejsza, coraz bardziej brudna, brzydka, głupia i biedna. Często nie podobała mi się moja sytuacja, ale nigdy dotąd nie było tak, żebym nie lubiła samej siebie. Mdło mi się robiło z zazdrości – nie z powodu tej dobrej Ameryki, o której ona mówiła, ale dlatego, że mogła powiedzieć Yibanowi czego jej brak, a Yiban mógł rozumieć jej dawne pragnienia. Bolało mnie to, że on należy do niej tak, jak ja należeć nie mogę.

– Panno Wstęgo – zapytałam ją – ty czujesz coś do Yibana Johnsona?

– Czuję? Tak, chyba. Jestem z nim w przyjaźni, chociaż nie tak bliskiej jak z tobą. Och! Nie ma w tym uczucia pomiędzy mężczyzną i kobietą... Nie, nie, nie. Ostatecznie on jest Chińczykiem, no, niezupełnie, ale w połowie, co jest prawie jeszcze gorsze. Otóż w naszym kraju kobieta amerykańska w żadnym razie nie... to znaczy, takie romantyczne znajomości nigdy nie byłyby dozwolone.

Uśmiechnęłam się, wszystkie moje zmartwienia pierzchły.

Potem bez żadnej przyczyny panna Wstęga nagle zaczęła krytykować Yibana Johnsona:

– Muszę ci jednak powiedzieć, że on jest strasznie poważny. Nie ma poczucia humoru! Tak ponuro patrzy w przyszłość. Mówi, że Chiny niespokojne, wkrótce nawet w Changmian nie będzie bezpiecznie. I kiedy staram się go rozweselić, trochę mu dokuczam na żarty, on się nie śmieje...

Do wieczora tak go krytykowała, wyliczała jego maleńkie wady, mówiła, w jaki sposób mogłaby je wykorzystać. Tyle w nim widziała do zmiany, że wiedziałam: ona go lubi bardziej niż mówi. Nie jak tylko przyjaciela.

W następnym tygodniu patrzyłam na nich, kiedy siedzieli oboje na dziedzińcu i on uczył się śmiać. Słyszałam podniesione głosy przekomarzania się dziewczyny z chłopcem. Na pewno coś rosło w sercu panny Wstęgi, bo musiałam zadawać dużo pytań, żeby się dowiedzieć, co to jest.

Powiem ci to, Libbi-ja. Pomiedzy panną Wstęgą i Yibanem zrodziła się miłość wielka i stała jak niebo. Panna Wstęga sama mi to wyznała:

– Znałam przedtem dużo rodzajów miłości – powiedziała – ale nigdy nie znałam takiej. Z moją matką i braćmi to była miłość tragiczna, miłość, jaka zostawia po sobie ból i pytanie, co by się z niej czerpało, gdyby mogło się czerpać. Z ojcem to była miłość niepewna. Kochałam go, ale nie wiem, czy on mnie kochał. Z moimi dawnymi mężczyznami to była miłość samolubna. Oni dawali akurat dosyć, żeby w zamian brać ode mnie to, czego chcieli. Teraz mam pełnię miłości – mówiła. – Z Yibanem. Kocham go i jestem kochana. Czerpię do woli, niczego się nie domagam, a dostaję aż nadmiar. Jestem jak spadająca gwiazda, która wreszcie znalazła swoje miejsce przy innej gwiazdzie w cudownej konstelacji, gdzie będziemy iskrzyć się na firmamencie już wiecznie.

Cieszyłam się ze względu na pannę Wstęgę, smuciłam się ze względu na siebie. Oto ona mi mówi o swojej największej radości, a ja nie rozumiem. Zastanawiałam się, czy taka miłość nie bierze się stąd, że panna Wstęga po amerykańsku pojmuje, co jest ważne, zupełnie inaczej niż ja. Albo może ta miłość jest jak choroba – wielu cudzoziemców choruje, kiedy im bodaj trochę za zimno albo za gorąco. Jej teraz często policzki płonęły, oczy błyszczały, bardzo duże. Zapominała, że czas mija. „Och, już tak późno?” – dziwiła się nieraz. I była niezdarna, potrzebowała podpierającego ramienia Yibana. Głos też jej się zmienił, jakoś dziecięinnie. A w nocy jęczała. Godzinami jęczała. Aż się martwiłam, że dostała gorączki malarycznej. Ale rano zawsze czuła się doskonale.

Nie śmieję się, Libbi-ja. Ja nigdy przedtem nie widziałam miłości tak jawnej.

Pastor i pani Amen nie byli tacy. Chłopcy i dziewczyny w mojej wiosce nigdy tak się nie zachowywali, przynajmniej przy ludziach. Wstydziłiby się okazywać, że bardziej dbają o swoje kochanie niż o wszystkich z rodziny, żywych czy umarłych.

Myślałam, że jej miłość to jeszcze jeden jej amerykański luksus, coś, na co Chińczyków nie stać. Przez długie godziny codziennie rozmawiali, ona i Yiban, głowy ich chyliły się ku sobie jak dwa kwiaty w jednym promieniu słońca. Chociaż rozmawiali po angielsku, orientowałam się, że ona zaczyna jakąś myśl, a on tę myśl kończy za nią. A kiedy on tracił wątek – bo tak się w nią wpatrywał – ona znajdowała słowa, które pogubił. Chwilami ich głosy stawały się łagodne i ciche, potem jeszcze cichsze i łagodniejsze, ich ręce się dotykały. Potrzebne im było ciepło rąk do pary z ciepłem ich serc. Oglądali świat dziedzińca – ten uświęcony krzew, liść na krzewie, ćmę na liściu. Ćmę on położył jej na dłoni i zdumiewali się oboje, jak gdyby to było jakieś nowe stworzenie na ziemi, może nieśmiertelny mędrzec w przebraniu. A ja rozumiałam, że to maleńkie życie na jej troskliwej dłoni jest jak ta miłość, którą ona chce chronić zawsze przed wszelką krzywdą.

Z obserwowania tego wszystkiego nauczyłam się być romantyczna. I wkrótce ja też miałam swoje własne zaloty... Pamiętasz... Zeng, ten jednouchy przekupień... Miły człowiek, niebrzydki, chociaż bez ucha. I nie za stary. Ale pytam cię: ile romantycznych wzruszeń mogą dawać rozmowy o nadtluczonych słojach i kaczych jajkach? No i pewnego dnia Zeng przyszedł jak zwykle z jeszcze jednym słojem. Powiedziałam mu:

- Już nie trzeba. Nie mam jajek do konserwowania i ani jednego, żeby dać tobie.
- Weź ten sój mimo to – powiedział. – Dasz mi jajko w przyszłym tygodniu.
- W przyszłym tygodniu też nie będę miała. Ten parszywy amerykański generał ukradł pieniądze Czcicielom Jezusa. Zostało nam tyle żywności, żeby przeczekać, dopóki znów nie przyplynie statek z Kantonu z zachodnimi pieniędzmi.

W następnym tygodniu Zeng przyszedł i przyniósł mi ten sam sój. Ale tym

razem napełniony ryżem. Bardzo ciężki od uczuć! Czy to była miłość? Czy miłością jest ryż w słoju, za który w dodatku nie musiałam zapłacić jajkiem?

Wzięłam ten słoik. Nie powiedziałam: „Dziękuję, jaki jesteś dobry. Kiedyś ci się odwzajemnię”. Okazałam wdzięczność... jak wy mówicie?... dyplomatycznie.

– Zenga – zawołałam, kiedy odchodził. – Dlaczego jesteś ubrany zawsze tak brudno? Popatrz na te tłuste plamy na łokciach! Jutro przynieś swoją odzież tutaj. Upiore ją dla ciebie. Jeżeli zamierzasz się do mnie zalecać, powinieneś przynajmniej czysto wyglądać.

Widzisz? Ja też umiałam romansować.

Nadeszła zima i Ermei nadal przeklinała generała Pelerynę za kradzież wieprzowego udzca. Całe konserwowane mięso zostało zjedzone i świeże mięso też. Jedną po drugiej Ermei zabijała świnię, kury, kaczki. Co tydzień doktor Za Późno, pastor Amen i Yiban wędrowali przez wiele godzin do Jintian, bo może statek z Kantonu przyplłynął i przywiózł pieniądze. I co tydzień wracali z takimi samymi ponurymi twarzami.

Pewnego dnia wrócili z krwią na ponurych twarzach. Panie z krzykiem i płaczem wybiegły do nich. Pani Amen do pastora Amen, panna Mysz do doktora Za Późno, panna Wstęga do Yibana. Lao Lu i ja pobiegliśmy do studni. Kiedy panie robiły dużo szumu i obmywały tę krew, pastor Amen wyjaśnił, co się stało, a Yiban nam przetłumaczył.

– Wyzywali nas od diabłów, wrogów Chin!

– Kto? Kto? – krzyczały panie.

– Tajpingowie! Już ich nie będę nazywał Czciicielami Boga. To pomyłeńcy, ci tajpingowie. Powiedziałem im: Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. A oni obrzucili nas kamieniami, chcieli nas zabić!

– Dlaczego? Dlaczego?

– Ich oczy! To przez ich oczy!

Pastor wrzeszczał coś jeszcze, a potem padł na kolana i modlił się.

Patrzyliśmy na Yibana, ale Yiban tylko potrząsnął głową. Pastor zaczął młócić pięściami w powietrzu, potem modlił się znowu. Wskazał dom misji i z zawozeniem dalej się modlił. Wskazał pannę Mysz, która się rozplakała, pogłaskał doktora Za Późno po twarzy, mimo że już nie było krwi do ocierania. Wskazał panią Amen i bluznął jeszcze paroma słowami. Pani Amen wstała i odeszła, Lao Lu i ja byliśmy jak głuchoniemi, nie wiedzieliśmy, co pastor mówił.

W nocy poszliśmy do Ogrodu Ducha Kupca, bo Yiban mógł tam być z panną Wstęgą. Zobaczyłam ich cienie w pawilonie na pagórku, jej głowę opartą na jego ramieniu. Lao Lu nie chciał wejść do pawilonu z powodu ducha. Więc syczałam, aż mnie usłyszeli. Zeszli z pagórka trzymając się za ręce, ale zaraz przestali się trzymać. W poświacie księżyca, który wyglądał jak kawałek melona, Yiban powiedział nam złą wiadomość.

Kiedy poszedł z pastorem i doktorem Za Późno nad rzekę, żeby się dowiedzieć o statek, rozmawiał z jednym rybakiem. „Żadnych statków tu już nie ma – powiedział mu ten rybak – i będą nieprędko, może nigdy. Brytyjska flota zadusiła rzeki. Nic nie przyplywa, nic nie odpływa. Wczoraj cudzoziemcy walczyli dla Boga, dzisiaj dla Manchu. Może jutro Chiny się rozpadną na małe kawałki i cudzoziemcy je pozbiierają, żeby sprzedawać razem ze swoim opium”.

Yiban powiedział, że od Sarkon do Kantonu wszędzie są walki. Manchu i cudzoziemcy napadają na wszystkie miasta, gdzie rządzi Niebiański Król. Dziesięć razy dziesięć tysięcy tajpingów zabitych, niemowlęta i dzieci też. W niektórych miastach widzi się tylko gnijące zwłoki; w innych tylko białe kości. Niedługo Manchu przyjdą do Jintian.

Yiban umilkł, żebyśmy się zastanowili nad tą wiadomością.

– Kiedy powiedziałem pastorowi – ciągnął po chwili – co ten rybak powiedział,

pastor ukląkł i modlił się tak samo, jak widzieliście dziś po południu. Czyciele Boga rzucali w nas kamieniami. Doktor Za Późno i ja zaczęliśmy uciekać, wołaliśmy pastora, ale on nie chciał się ruszyć. Kamienie trafiły go w plecy, w nogę, potem w czoło. Kiedy upadł na ziemię, krew i cierpliwość uszły mu z głowy. Wtedy stracił wiarę. Płakał: „Boże, dlaczego mnie zdradziłeś? Dlaczego? Dlaczego zesłałeś nam tego fałszywego generała i dałeś mu ukraść nasze nadzieje?”

Yiban znów umilkł, panna Wstęga powiedziała coś do niego po angielsku. Potrząsnął głową. Więc panna Wstęga mówiła za niego:

– Dziś po południu, kiedy widzieliście, jak pastor ukląkł, znowu złe myśli rojem leciały z jego mózgu. Tylko że teraz stracił nie tylko wiarę, ale i rozum. Krzyczał: „Nienawidzę Chin! Nienawidzę Chińczyków! Nienawidzę ich krzywych min, ich krzywych serc! Oni nie mają dusz do ocalenia!” Tak krzyczał. „Pozabijać Chińczyków, pozabijać ich wszystkich, żebym nie musiał umrzeć z nimi!” Wskazywał swoich misjonarzy i krzyczał: „Zabrać ją! Zabrać go! Zabrać ją!”

Po tamtym dniu wiele rzeczy się zmieniło – zupełnie tak, jakby to były moje kacze jaja. Pastor Amen zachowywał się jak mały chłopczyk, często się uskarżał i popłakiwał, albo się upierał i nie pamiętał, kim jest. Ale pani Amen nie gniewała się na niego. Karała go tylko czasami, przeważnie usiłowała go pocieszać; Lao Lu powiedział, że tamtej nocy pozwoliła pastorowi skulić się przy niej. Teraz byli jak mąż i żona. A doktor Za Późno zezwalał, żeby panna Mysz dalej opatrywała mu rany, chociaż dawno się zagoiły. I w środku nocy, kiedy wszyscy już spali, ale naprawdę nie spali, jedne drzwi się otwierały i zaraz zamykały. Słyszałam kroki, potem szepty Yibana, potem westchnienia panny Wstęgi. Czułam się winna, że to słyszę, tak bardzo winna, że wkrótce odkopałam jej muzyczną szkatułkę i oddałam jej. Powiedziałam:

– Popatrz panno Wstęgo, co jeszcze generał Peleryna zapomniał zabrać.

Służący kolejno poodchodzili. Kiedy zrobiło się za zimno, żeby moskity latały,

jedynymi Chińczykami w Domu Ducha Kupca byliśmy Lao Lu i ja, nie licząc Yibana, bo ja już nie myślałam, że on jest bardziej Chińczykiem niż Johnsonem. Yiban został dla panny Wstęgi, Lao Lu i ja zostaliśmy, bo jeszcze mieliśmy nasze majątki – kacze jaja zakopane w Ogrodzie Ducha Kupca. Poza tym wiedzieliśmy, że gdybyśmy odeszli, nikt z tych cudzoziemców nie zdołałby utrzymać się przy życiu.

Co dzień Lao Lu i ja szukaliśmy żywności. Ja dawniej byłam biedną dziewczyną w górach, więc wiedziałam, gdzie szukać. Grzebaliśmy w miejscach pod pniami drzew i czekaliśmy na robactwo i szczury, aż przychodziły jeść okruchy, których myśmy nie mogli dojrzeć. Pięliśmy się wysoko w góry po dziką herbatę i bambusy. Czasami chwytałyśmy ptaka za starego albo za głupiego, żeby odlecieć dość prędko. Wiosną zbieraliśmy szarańczę i pasikoniki, wylęgające się na łąkach. Łapaliśmy żaby, pędraki i nietoperze. Nietoperza trzeba zapędzać w małe miejsce i tam wciąż płoszyć tak, że zamiast latać spadnie, wyczerpany. To, co złapaliśmy, smażyliśmy na oleju. Olej dostawałam od Zenga. Teraz jaz Zengiem miałam do rozmowy więcej tematów niż nadtłuczone słoje i jajka. Opowiadałam mu śmieszne rzeczy, jak na przykład ten pierwszy raz, kiedy podałam pannie Wstędze nowy rodzaj jedzenia.

– Co to jest? – zapytała panna Wstęga. Przytknęła nos do miseczki, spojrzała i prychnęła. Taka podejrzliwa.

– Mysz – odpowiedziałam.

Zamknęła oczy, wstała i wyszła z pokoju. Tamci cudzoziemcy chcieli wiedzieć, co odpowiedziałam. Yiban im przetłumaczył na ich język. Wszyscy pokręcili głowami i zaczęli jeść z wielkim apetytem. Później zapytałam Yibana, jak on im przetłumaczył.

– Że to królik – powiedział. – I że panna Wstęga miała kiedyś ulubionego królika.

Potem ilekroć cudzoziemcy pytali, co Lao Lu i ja im podajemy, prosiłam Yibana, żeby mówił: „Inny rodzaj królika”. Nie umieli nas zapytać, czy mówimy prawdę.



Nie powiem, że dawaliśmy im mnóstwo do jedzenia. Trzeba wielu królików różnego rodzaju, żeby nakarmić osiem osób dwa albo trzy razy dziennie. Nawet pani Amen schudła. Zeng mówił, że walki są coraz gorsze. Wciąż mieliśmy nadzieję, że któraś strona zwycięży, któraś strona przegra, więc będziemy mogli wrócić do lepszego życia. Tylko pastor Amen był szczęśliwy, paplał jak dziecko.

Pewnego dnia Lao Lu i ja uznaliśmy, że robiło się coraz gorzej, aż zrobiło się najgorzej. Więc jest najlepszy czas, żeby jeść kacze jajka. Kłóciliśmy się trochę o to, ile jajek dać każdemu. Bo różniły się nasze zdania, jak długo ten najgorszy głód potrwa i ile tych jajek mamy na dokarmianie. Potem musieliśmy zdecydować, czy dawać jajka rano czy wieczorem. Lao Lu powiedział, że lepiej rano, bo może w nocy nam się śni jedzenie jajek, to będzie spełnienie snu. Dzięki temu będziemy się cieszyć, że się obudziliśmy jeszcze żywi. Więc dawaliśmy każdemu po jednym co dzień rano. Panna Wstęga och, szalenie lubiła te jajka z zieloną skorą. „Słone, śmietankowe, lepsze niż królik” – mówiła.

Pomóż mi policzyć, Libbi-ja. Osiem jajek codziennie przez prawie miesiąc, to ile razem?... Dwieście czterdzieści kaczych jaj. Au! Tyle ich zakonserwowałam. Gdybym sprzedała je dzisiaj w San Francisco... Ach, jakież majątek! Rzeczywiście zakonserwowałam nawet więcej niż tyle. W połowie lata na końcu mojego życia zostały jeszcze co najmniej dwa słoje pełne. Tamtego dnia naszej śmierci śmiałam się i płakałam z panną Wstęgą, mówiłyśmy, że trzeba nam było zjeść więcej tych jajek.

Ale skąd można wiedzieć, kiedy się umrze? Gdyby się wiedziało, co by się zmieniło? Czy można zjedzeniem większej ilości jajek ukoić swój żal? Chyba tylko umarłoby się z bólem brzucha.

W każdym razie, Libbi-ja, teraz, kiedy myślę o tym, wcale nie mam żalu. Jestem rada, że nie zjadłam tych wszystkich jajek. Bo teraz mam coś, żeby ci pokazać. Wkrótce będziemy mogły je odkopać. Ty i ja będziemy mogły rozkoszować się

smakiem tego, co zostało.

### **Życzenie dziewczyny**

Mój pierwszy dzień w Chinach, w Guilin. Budzę się w ciemnym pokoju hotelowym. Jakaś postać pochyla się nad łóżkiem, jakby miała mi zadać śmiertelny cios. Otwieram usta, żeby wrzasnąć.

– Śpisz na boku – mówi Kwan po chińsku – dlatego źle się trzymasz. Od dzisiaj musisz spać na wznak. I gimnastykować się.

Zapala światło, pokazuje, jaka powinna być ta gimnastyka. Bierze się pod boki, kręci się w talii niczym prezenterka hula-hop w latach sześćdziesiątych. Może długo stała przedtem przy moim łóżku i czekała z tą nową nie proszoną radą, aż się obudzę. Swoje łóżko już zasłała.

Patrzę na zegarek i burczę:

– Kwan, jest piąta rano.

– Tutaj są Chiny. Wszyscy wstali. Tylko ty jedna śpisz.

– Teraz nie śpię.

Jesteśmy w Chinach od niespełna ośmiu godzin, a Kwan już obejmuje władzę nad moim życiem. Jesteśmy na jej terenie, musimy stosować się do jej zarządzeń, mówić w jej języku. Ona jest w chińskim siódmym niebie.

Zrywa ze mnie koce i śmieje się.

– Libbi-ja, prędej, wstawaj. Chcę ci pokazać moją wieś, zrobić tam wszystkim niespodziankę. Chcę widzieć, jak Stara Mama rozdziawi usta i powie bardzo zdumiona: Hej, myślałam, że cię wygoniłam. Dlaczego wróciłaś?

Otwiera okno. Zatrzymaliśmy się w guilińskim hotelu Sheraton, stojącym nad rzeką. Za oknem jeszcze mrok. Słyszę odgłosy przypominające hałas automatów do

gry; wstaję i wyglądam przez okno. Na bulwarze w dole podzwaniają riksze, przekupnie witają się ze sobą, wioząc kosze ziarna, melonów i rzepy na targowisko. Bulwar się jeży cieniami rowerów i samochodów, robotników i dzieci szkolnych – cały ten świat dzwoni, buczy klaksonami, szczebiocze, krzyczy, śmieje się jak w biały dzień. Na kierownicy jednego z rowerów wiszą cztery wielkie świńskie łby, białe ryje skrzywione śmiechem śmierci.

– Patrz – Kwan wskazuje rząd kramów oświetlonych słabymi żarówkami – tam możemy kupić śniadanie, niedrogie i dobre. Lepiej niż płacić dziewięć dolarów od osoby za śniadanie w hotelu... i za co? Pączek, sok pomarańczowy, bekon... Kto tego chce?

Przypominam sobie przestrogę w przewodniku. Jak najdalej od potraw sprzedawanych na ulicy.

– Dziewięć dolarów to nie zdzierstwo – zauważam.

– Au! Już nie możesz tak myśleć. Jesteśmy w Chinach.

Tu dziewięć dolarów to mnóstwo pieniędzy, cała tygodniówka.

– Tak, ale tanie jedzenie może zaszkodzić na żołądek

Kwan gestem wskazuje bulwar.

– Patrz. Ci wszyscy ludzie tam, czy oni mają coś co szkodzi? Jeżeli chcesz fotografować chińskie potrawy, musisz skosztować prawdziwych chińskich potraw. Smaki wsiąkają w język i w żołądek. Właśnie w żołądku są prawdziwe uczucia. Przy fotografowaniu prawdziwe uczucia przejdą z twojego żołądka, tak że każdy będzie mógł skosztować tych potraw samym patrzaniem na ich fotografie.

Kwan ma rację. Kim ja jestem, żeby mieć Chinom za złe, że wrócę do kraju z jakimiś pasożytami? Ubieram się ciepło i wychodzę na korytarz. Stukam do drzwi pokoju Simona. Simon natychmiast otwiera, już ubrany.

– Nie mogłem spać – przyznaje.

Pięć minut potem we troje idziemy ulicą. Mijamy dziesiątki kramów

spożywczych – niektóre z przenośnym palnikiem propanowym, niektóre z prowizorycznym rusztem. Przed kramami półkolem siedzą w kucki klienci; jedzą makaron i kluski. Jestem rozdygotana ze zmęczenia i podniecenia. Kwan wybiera kramarza, który przyklepuje coś, co wygląda na naleśniki, do rozgrzanego kanistra.

– Daj mi trzy – mówi Kwan po chińsku.

Kramarz gołymi szerniałymi palcami odrywa od kanistra naleśniki tak gorące, że Simon i ja skowyczymy, podrzucając je w rękach jak żonglerzy.

Kwan otwiera portmonetkę.

– Ile?

– Sześć juanów – odpowiada kramarz.

W przeliczeniu dolar i trochę. Zdaniem Kwan o wiele za dużo.

– Au! – wskazuje pobliskiego klienta – jemu policzyłeś tylko pięćdziesiąt fenów za naleśnik!

– Pewnie że tak! On tutejszy robotnik. Wy troje turyści.

– Co ty gadasz! Ja też jestem tutejsza.

– Ty? – prychna kramarz i obrzuca ją szybkim spojrzeniem. – A skąd?

– Z Changmian.

Podnosi brwi podejrzliwie.

– Naprawdę, no! Kogo znasz w Changmian?

Kwan trajkocze jakieś nazwiska.

Kramarz uderza się w udo.

– Wu Ze-min? Znasz Wu Ze-mina?

– Pewnie że tak. Mieszkałam z nim przez uliczkę, kiedy byliśmy dziećmi. Jak on się czuje? Nie widziałam go ponad trzydzieści lat.

– Jego córka wyszła za mojego syna.

– Akurat!

Kramarz się śmieje.

– Naprawdę. Dwa lata temu. Moja żona i matka sprzeciwiały się...Tylko dlatego, że to dziewczyna z Changmian. A one mają stare wiejskie pojęcie, jeszcze wierzą, że Changmian jest pod klątwą. Ja nie wierzę. Nie jestem przesądny, już nie. I dziecko się urodziło tej wiosny, dziewczynka, ale ja nie pomstuję.

– I pomyśleć, że Wu Ze-min jest dziadkiem. Jak mu się wiedzie?

– Utracił żonę, będzie dwadzieścia lat, kiedy ich wysłali do obór za kontrrewolucyjne myślenie. Później ożenił się z inną. Z Yang Ling-fang.

– Niemożliwe! Ona była młodszą siostrzyczką mojego kolegi szkolnego. W głowie mi się to nie mieści. Wciąż ją pamiętam, taką delikatną małą dziewczynkę.

– Już nie taka delikatna. Ma skórę *jiaoban*, twardą jak skórzany but. Przeszła mnóstwo niedoli, mogę ci powiedzieć.

Kwan i kramarz nie przestają trajkotać. Simon i ja jemy nasze naleśniki, które parują w zimnym porannym powietrzu. Smakują jak skrzyżowanie podpłomyka i omletu z dymką. Kiedy kończymy jeść, Kwan i kramarz to już dwoje starych przyjaciół, ona obiecuje, że przekaże jego pozdrowienia rodzinie i towarzyszom, on jej doradza, jak nająć samochód z kierowcą za niewygórowaną cenę.

– Dobrze starszy bracie – mówi Kwan. – Więc ile jestem winna?

– Sześć juanów.

– Ciągłe sześć juanów? Za dużo, za dużo. Dam ci dwa, mowy nie ma, żeby więcej.

– No, niech będzie trzy.

Kwan chrząka, płaci i odchodzimy. O pół bloku dalej szepczę do Simona:

– Ten człowiek powiedział, że nad Changmian wisi klątwa.

Kwan to słyszy.

– Tst! Historia sprzed tysiąca lat. Tylko głupcy jeszcze myślą, że mieszkać w Changmian to pech.

Po przetłumaczeniu tego Simonowi pytam:

– Jaki pech?

– Nie potrzebujesz wiedzieć.

Chcę, żeby mi powiedziała, ale Simon wskazuje mi pierwsze obiekty do fotografowania – targowisko pod gołym niebem: rzędy i rzędy łożynowych koszy z grapefruitami o grubych skórkach, z suszonym bobem, herbatą, kasją, papryką. Wyciągam nikona i zaczynam fotografować. Simon sięga po notatnik.

– „Gdy pióropusze dymu śniadań wsnuwają się w poranną mgłę” – cytuje. – Hej, Olivia, możesz zrobić zdjęcie z tej strony, ująć te żółwie? To będzie wspaniałe.

Oddycham głęboko i wyobrażam sobie, że napełniam płuca tym samym powietrzem, którym oddychali moi przodkowie, kimkolwiek byli.

Przyjechaliśmy późno w nocy, więc jeszcze nie widzieliśmy krajobrazów Guilin; poszarpanych szczytów i czarownych jaskiń wapiennych tych okolic, dzięki którym, jak podano w przewodniku, Guilin uważa się w Chinach za najpiękniejsze miejsce na ziemi! Nie daję wiary tej przesadzie i wolę ogniskować soczewkę na bardziej prozaicznych i jednobarwnych aspektach komunistycznego życia.

W którąkolwiek stronę idziemy, na ulicach jest pełno jaskrawo ubranych miejscowych i nadętych przybyszów z Zachodu w dresach takich, jakie można zobaczyć rankiem w San Francisco. Wokół nas panuje zgiełk gospodarki wolnorynkowej. Roi się od handlarzy: świecidełka, szczęśliwe losy na loterię, kupony giełdowe, trykotowe koszulki, zegarki i torebki opatrzone nielegalnie znakami renomowanych firm. I pamiątki dla turystów, jak rekwizyty: guziki Mao, Osiemnaście Lohan wyrzeźbione na orzechach, Budda z plastiku – już to chudy w wersji tybetańskiej, już to pulchny. Wydaje się, że Chiny wymieniają swoją kulturę i tradycję na najgorsze atrybuty kapitalizmu: tandetne towary do jednorazowego użytku i masowy szal kupowania tego, co wszyscy na świecie mają zgoła zbytecznie.

Simon przysuwa się do mnie.

– To fascynujące i przygnębiające zarazem – mówi i dodaje: – Ale naprawdę

cieszę się, że jesteśmy tutaj.

Czy jego radość obejmuje też fakt, że jest tu ze mną, nie wiem. W górze jeszcze widać na poziomie chmur zdumiewające górskie szczyty jak zęby przedhistorycznego rekina, wyświechtany motyw każdego chińskiego kalendarza i zwijanych obrazków. Ale w dziąsłach tych starożytnych formacji skalnych szerzy się zaraza: wieżowce ze sztukateriami, jaskrawoczerwonymi i złotymi hieroglifami na szyldach, brudne od zanieczyszczeń przemysłowych. Między nimi stoją niższe budynki z jakiejś wcześniejszej epoki, pomalowane na proletariacki, seledynowy kolor pasty do zębów. Tu i ówdzie widzę gruzy domów przedwojennych i zaimprovizowane śmietniska. Całe miasto Guilin wygląda i cuchnie jak ładna twarz z paskudną szminką na ustach i z bardzo psującym się uzębieniem.

– Ojej – szepcze Simon. – Jeżeli Guilin jest najpiękniejszym miastem chińskim, to wprost nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tę przekłętą wieś Changmian.

Zrównujemy krok z Kwan.

– Wszystko tu zupełnie inaczej, już nie jest tak, jak było.

W jej głosie słyszę nutę nostalgii. Na pewno smucą ją zmiany w Guilin po tych trzydziestu latach. Ale ona zaraz mówi z podziwem i dumą:

– Taki duży postęp, wszystko o wiele, wiele lepsze.

Parę przecnic dalej wkraczamy w rejon ze wszechmiar godny fotografowania: targowisko ptaków. Z gałęzi drzew zwisają setki ozdobnych klatek, w których śpiewają egzotyczne ptaki – wspaniale upierzone, grzebieniaste, z ogonkami jak wachlarze. W klatkach stojących na ziemi siedzą ogromne orły albo jastrzębie – dostojne, drapieżne. Jest także zwyczajny drób – kury i kaczki – przeznaczony do garnka. Ich fotografia na tle tamtych – szczęśliwych i pięknych ptaków – to będzie niezły efekt w naszym reportażu.

Jeszcze połowę filmu mam do pstrykania, kiedy słyszę syknięcie. Ktoś przyzywa mnie do siebie skinieniem.



Kto to? Tajniak? Czy nie wolno tutaj robić zdjęć? Jeżeli będzie chciał zabrać mi aparat, jaką zaproponować łapówkę?

Tymczasem on uroczyście sięga pod stół i wyciąga klatkę.

– Podoba się? – pyta po angielsku.

Z klatki patrzy na mnie śnieżnobiała sowa w plamki koloru mlecznej czekolady. Wygląda jak spasiony syjamski kot, skrzydlaty. Mruga złocistymi ślepiami i natychmiast się w niej zakochuję.

– Hej, Simon, Kwan, chodźcie tutaj! Popatrzcie na to!

– Sto dolarów Stanów Zjednoczonych – mówi ten Chińczyk. – Bardzo tanio.

Simon przecząco potrząsa głową i wyjaśnia dość niesamowitym połączeniem pantomimy i łamanej angielszczyzny:

– Zabrać tego ptaka. W samolot niemożliwe. Celnik powie: Stop, nie można, wielka grzywna...

– Ile? – pyta handlarz szorstko. – Więc ile? Dam za poranną cenę, najlepszą.

– Nie ma co się targować – mówi mu Kwan. – Jesteśmy turystami, nie możemy przywozić ptaków do Stanów Zjednoczonych. Nawet bardzo tanich.

– A kto mówi o przywożeniu?! – wykrzykuje handlarz, już po chińsku. – Kupcie ją i zanieście do restauracji tu naprzeciwko. Niedrogo wam ugotują na kolację.

– Boże mój! On sprzedaje tę sowę do jedzenia – tłumaczę Simonowi.

– To obrzydliwe. Powiedz mu, że jest cholernym kretynem.

– Ty mu powiedz!

– Po chińsku nie umiem.

Handlarz najwidoczniej myśli, że się upieram, żeby mąż kupił mi sowę na kolację. Zwraca się do mnie:

– Macie wielkie szczęście, że ja w ogóle ją mam. Orle sowy są rzadkie, bardzo rzadkie – zachwala. – Łapałem ją trzy tygodnie, zanim złapałem.

– Nie wierzę w to – mówię Simonowi. – Zaraz zwymiotuję.

– Orle sowy – odzywa się Kwan – owszem, trudno złapać, ale nie są takie rzadkie. Poza tym słyszałam, że smakują nie nadzwyczajnie.

– Szczerze mówiąc – przyznaje handlarz – mięso nie tak wytworne, jak powiedzmy, pangalin. Ale je się orlą sowę, żeby nabrać siły i ambicji, a nie grymasić, jaki ma smak. I jest dobra na poprawienie wzroku. Jeden mój klient był prawie niewidomy. Kiedy zjadł orlą sowę, pierwszy raz od prawie dwudziestu lat zobaczył swoją żonę. Potem znów przyszedł i sklął mnie. Fuj! Ona okropnie brzydka, małpę by przestraszyła. Kichać na twoją matkę, że dałeś mi zjeść orlą sowę!

Kwan śmieje się serdecznie.

– Tak, tak. Słyszałam coś takiego. To ładna opowiadka.

Wyciąga portmonetkę, a z niej banknot stu jenowy.

– Kwan, co robisz? – krzyczę. – Przecież nie będziemy tej sowy jeść!

Handlarz zbywa sto jenów machnięciem ręki.

– Tylko pieniądze amerykańskie – mówi stanowczo. – Sto amerykańskich dolarów.

Kwan wyciąga z portmonetki banknot dziesięciodolarowy.

– Kwan! – wrzeszczę.

Handlarz potrząsa głową, nie chce tego banknotu. Kwan wzrusza ramionami, odwraca się i odchodzi. Handlarz woła za nią, żeby mu dała pięćdziesiąt dolarów.

Kwan zawraca, daje mu dziesięć i pięć.

– To moja ostatnia propozycja – mówi.

– Obłąd! – mamrocze Simon.

Handlarz wzdycha, po czym daje Kwan klatkę z tą smutną sową, utyskując:

– Hańba! Tak mało pieniędzy za tak dużo pracy. Patrzcie na moje ręce, trzy tygodnie wlażyłem na drzewa i ścinałem krzaki, żeby złapać to ptaszysko.

Kiedy odchodzimy, chwytam Kwan za wolną rękę i mówię z pasją:

– W żadnym razie nie dam ci zjeść tej sowy. Gwiżdżę na to, że jesteśmy w Chinach.

– Pst! Przestraszysz ją!

Kwan uśmiecha się rozwścieczająco i podchodzi do betonowego murku nad rzeką, stawia na nim klatkę.

– Miau! – miauczy do sowy przyjacielsko. – Chcesz pojechać do Changmian? Chcesz wejść ze mną tam na górę, żeby moja siostrzyczka zobaczyła, jak odlatujesz?

Sowa przechyla łebek i mruga.

Omam nie płaczę z radości i poczucia winy. Dlaczego zawsze tak źle myślę o Kwan? Potulnie mówię Simonowi, że idiotycznie się myliłam i że Kwan jest szlachetna. Kwan puszcza mimo uszu moje przeprosiny.

– Wrócę na targowisko ptaków – mówi Simon. – Zanotuję, jakie jeszcze egzotyczne okazy sprzedają do jedzenia. Pójdiesz ze mną?

Potrząsam przecząco głową. Wystarczy mi podziwianie sowy, którą Kwan uratowała.

– Wrócę za dziesięć, piętnaście minut.

Simon odchodzi. Wydaje się bardzo amerykański na tym obcym gruncie. Idzie buńczucznie, po swojemu, nie dostosowując się do rytmu przechodniów wokoło.

– Widzisz? – pyta Kwan. – Tam – wskazuje stożkowaty szczyt w dali. – Tuż za moją wsią jest góra z ostrym szczytem, wyższa nawet niż ta. Nazywamy ją Życzenie Dziewczyny; to na cześć jednej niewolnicy, która uciekła na jej szczyt i odfrunęła z niej razem z Feniksem, swoim kochankiem. Później zmieniła się w feniksa i z tym kochankiem żyła w puszczy nieśmiertelnych białych sosen. – I patrząc na mnie, dodaje: – To tylko takie podanie, przesąd.

Uznała, że trzeba mi to zaznaczyć, podkreślić. Zabawne.

– Ale – ciągnie – wszystkie dziewczyny w naszej wsi wierzyły w tę bajkę; nie dlatego, że głupie, tylko dlatego, że chciały mieć nadzieję na lepsze życie.

Myślałyśmy, że jeżeli wejdziemy tam, na sam szczyt, i powiemy życzenie, to ono się spełni. Więc hodowałyśmy pisklęta w klatkach, które same uplotłyśmy. Kiedy te ptaki były gotowe fruwać, wchodziłyśmy z nimi na szczyt Życzenia Dziewczyny i wypuszczałyśmy je. Wtedy leciały tam, gdzie żyją feniksy, zносиły feniksom nasze życzenia. Phi! Starsza Mama mi powiedziała, że ten szczyt tak się nazywa, bo jakaś wariatka dziewczyna tam weszła, ale kiedy spróbowała fruwać, spadła aż na sam dół i mocno się wbiła w ziemię i stała się głazem. Starsza Mama powiedziała, że dlatego tyle głazów na dole widać z tego szczytu... że wszystkie te głazy to są właśnie głupie dziewczyny, które jak tamta wariatka życzyły sobie beznadziejnych rzeczy.

Śmieję się. Kwan patrzy na mnie z zawziętością, jak gdybym była Starszą Mamą.

– Nie można zabraniać młodym dziewczętom życzeń. Nie! Wszyscy powinni marzyć. Marzymy po to, by dawać sobie nadzieję. Przestać marzyć... no, to tak jakby się powiedziało, że nigdy nie można zmienić swojego przeznaczenia. Prawda?

– Chyba.

– Więc teraz zgadnij, czego ja sobie życzyłam.

– Nie wiem. Czego?

– No, zgadnij.

– Przystojnego męża.

– Nie.

– Samochodu.

Kwan potrząsa przecząco głową.

– Wielkiej wygranej w bingo.

Kwan śmieje się i klepie mnie po ramieniu.

– Źle zgadywałaś. Dobrze, powiem ci. – Patrzy w stronę tego górskiego szczytu.

– Przed wyjazdem do Ameryki wyhodowałam nie jednego, ale aż trzy ptaki, żeby powiedzieć trzy życzenia. Mówiłam sobie, że jeżeli te trzy życzenia się spełnią, moje życie będzie dopełnione i umrę szczęśliwa. Pierwsze życzenie: mieć siostrę, którą

bym mogła kochać całym sercem... Tylko to, bo od niej nie chciałabym nic. Drugie życzenie: wrócić do Chin z moją siostrą. Trzecie życzenie – głos Kwan teraz drży – żeby Starsza Mama to zobaczyła i powiedziała: „Żałowałam, że cię wysłałam z Chin”.

Nigdy dotąd Kwan nie okazywała, że żywi głęboką urazę do kogokolwiek, kto niewłaściwie ją potraktował.

– Tam na szczycie otworzyłam klatkę – ciągnie – i wypuściłam moje trzy ptaki. – Ilustruje to gestem. – Ale jeden z nich trzepał skrzydełkiem daremnie, zatoczył półkole i spadł jak kamień. Teraz widzisz: dwa moje życzenia już się sprawdziły: mam ciebie i razem jesteśmy w Chinach. Wczoraj w nocy pojęłam, że moje trzecie życzenie się nie spełni. Starsza Mama nigdy mi nie powie, że żałowała.

Kwan podnosi klatkę z sową.

– Ale teraz mam tego pięknego ptaka, żeby poleciał z moim nowym życzeniem. Kiedy poleci, cały mój dawny smutek poleci z nim. Wtedy i ta sowa, i ja będziemy wolne.

Simon wraca nieledwie w podskokach.

– Olivia, nie uwierzysz, co ci ludzie tutaj uważają za jadalne.

Kierujemy się do hotelu. Teraz potrzebujemy samochodu, który zawiezie jedną osobę tutejszą, dwoje turystów i orlą sowę do wsi Changmian.

### Witaj, żegnaj

O dziewiątej już mamy zapewnione usługi kierowcy, sympatycznego młodzieńca wyposażonego w kapitalistyczną siłę przebiccia.

- Czysto, tanio, szybko – oznajmia po chińsku. I mruga do Simona.
- Co powiedział? – pyta Simon.
- Daje ci do zrozumienia, że mówi po angielsku.

Nasz kierowca przypomina mi tych gładkich chłopaków z Hongkongu, którzy przesiadują w modnych lokalach bilardowych San Francisco. Ma takie same ulizane brylantyną włosy, różowe paznokcie długości cala, bardzo zadbane, co ma świadczyć, że on w swoim szczęśliwym życiu nie zna znoju. Obdarza nas uśmiechem, odsłaniając żółte od nikotyny zęby.

– Mówcie mi Rocky – zaczyna po angielsku z ciężkim akcentem. – Jak ten sławny aktor filmowy. – Wyjmuje ze swego słownika chińsko-angielskiego wystrzępioną, wyciętą z jakiegoś magazynu fotografię i pokazuje nam uroczyście; Sylvester Stallone.

Ładujemy walizkę z prezentami i mój sprzęt fotograficzny do samochodu. Reszta bagażu zostaje w hotelu. Rocky ma nas z powrotem przywieźć wieczorem, chyba że ciotka Kwan uprze się, żebyśmy u niej nocowali – co zawsze jest możliwe w chińskich rodzinach. Uwzględniając to, zapakowałam do torby z aparatem rzeczy potrzebne na noc.

Rocky otwiera z rozmachem drzwiczki i wsiadamy do tej czarnej limuzyny Nissana, model-nieboszczyk, w której brak pasów i zagłówków. Czy Japończycy uważają, że życie Chińczyków niewarte zabezpieczenia?

– W Chinach albo są lepsi kierowcy, albo nie ma ustawy o ich odpowiedzialności prawnej – zauważa Simon.

Wiedząc, że jesteście Amerykanami, Rocky radośnie zakłada, że lubimy głośną muzykę. Nastawia kasetę Eurythmics, prezent od jednego z „doskonałych amerykańskich pasażerów”. I tak Kwan na przednim siedzeniu, Simon, sowa i ja na tylnym, wyruszamy w drogę do Chang-mian, ogłuszeni dudnieniem: „Stań na głowie zrób to sobie”.

Doskonali pasażerowie Rocky'ego ponadto nauczyli go formułować stosowne zdania ku uspokojeniu turystów. Kiedy jedziemy zatłoczonymi ulicami Guilin, on je nam recytuje jak mantrę:

– Dokąd zawieźć? Wiem. Wskakujcie. Jedziemy. Jechać prędeej? Za prędko? Nijak, Jose. Jak daleko? Niedaleko. Za daleko. Parkujemy? Zaczekajcie. Wracam migiem. Nie błędę. Nie ma sprawy. Spokojna głowa.

Wyjaśnia, że uczy się angielskiego, żeby kiedyś spełnić swoje marzenie: wyjechać do Ameryki.

– Bo ja chcę – mówi po chińsku – być sławnym aktorem filmowym, specjalistą od rzemiosła wojennego. Już dwa lata ćwiczę *tai chi chuan*. Oczywiście nie spodziewam się dużego sukcesu zaraz na początku. Kiedy tam przyjadę, może najpierw będę musiał popracować jako taksówkarz. Ale ja jestem pracowity. W Ameryce nie umieją być tacy pracowici jak Chińczycy. My umiemy także cierpieć. To, co dla Amerykanów jest nie do zniesienia, dla nas zwykłe warunki. Dobrze mówię, starsza siostró?

Kwan odpowiada dwuznacznym „hm”. Zastanawiam się, czy myśli o swoim szwagrze chemiku, który wyemigrował do Stanów i teraz pracuje jako pomywacz, bo woli nie mówić po angielsku, bojąc się, że ludzie, słysząc jego angielszczyznę, wezmą go za głupka.

Nagle Simon wybałusza oczy, a ja wrzeszczę:

– Rany boskie!

Samochód prawie potrąca dwie dziewczynki, trzymające się za ręce. Rocky nieprzerwanie mówi o swoim marzeniu:

– Podobno w Ameryce można zarobić na godzinę pięć dolarów. Za takie pieniądze będę dzień w dzień pracował dziesięć godzin jak rok okrągły. To pięćdziesiąt dolarów dziennie! Tutaj nie zarabiam tyle przez miesiąc nawet z napiwkami.

Patrzy w lusterko, żeby zobaczyć, czy pojeśliśmy aluzję. W przewodniku wyczytałam ostrzeżenie, że w Chinach napiwki uważa się za zniewagę; pewnie ten przewodnik jest przestarzały.

– W Ameryce – ciągnie Rocky – mnóstwo pieniędzy zaoszczędzę, będę wydawał tylko trochę na jedzenie, papierosy i może kino od czasu do czasu, i oczywiście kupię samochód. Bez samochodu jak być taksówkarzem? Moje potrzeby są proste. Po pięciu latach będę miał prawie sto tysięcy amerykańskich dolarów. Tutaj to jest pół miliona juanów, więcej, kiedy wymienię na ulicy. Nawet jeżeli za pięć lat nie będę filmowym gwiazdorem, zawsze mogę wrócić do Chin i żyć jak bogacz. – Uśmiecha się uszczęśliwiony tą perspektywą.

Tłumaczę, Simonowi, co powiedział.

– A koszty? – pyta Simon. – Komorne, prąd, benzyna, ubezpieczenie samochodu...?

– Nie zapominaj o podatku dochodowym – wtrącam.

– Już nie mówiąc – dodaje Simon – o opłatach za parkowanie i możliwości, że nieraz go obrabują. Powiedz mu, że w Ameryce większość ludzi z pięćdziesięcioma dolarami dziennie chyba by głodowała.

Już mam to przetłumaczyć Rocky'emu, kiedy sobie przypominam opowieść Kwan o Życzeniu Dziewczyny. Nie można ludziom odbierać nadziei na lepsze życie.

– Wątpliwe, czy on do Ameryki dojedzie – wyjaśniam Simonowi. – Po co mu



psuć marzenie przestrogi, które nie będą potrzebne?

Rocky patrzy na nas w lusterku i unosi kciuki. W sekundę potem Simon chwyta się oparcia przedniego siedzenia, a ja wrzeszczę znów:

– Rany boskie!

Omam nie najeżdżamy na rowerzystkę z małym dzieckiem, przycupniętym na kierownicy. W ostatniej chwili kobieta przechyla się w prawo i chwiejnie zjeżdża nam z drogi.

Rocky się śmieje.

– Ochłońcie – mówi po angielsku. Po czym wyjaśnia po chińsku, dlaczego nie musimy się denerwować. Kwan odwraca się do nas, żeby przetłumaczyć Simonowi.

– On powiedział, że w Chinach, jak kierowca kogoś przejedzie, to zawsze jest winny, choćby ten ktoś się zagapił.

Simon do mnie mruga.

– I dlatego mamy być spokojni? Czy coś aby nie przepadło w tym tłumaczeniu? Przecież to bez sensu – mówi do Kwan, kiedy Rocky lawiruje wśród samochodów i rowerów na jezdni. – Przejechany pieszy to przejechany pieszy, niezależnie od tego, z czyjej winy.

– Oj! Amerykańskie myślenie. – Kwan macha ręką. Sowa przechyla łebek i patrzy na mnie tak, jakby mówiła: „Zmądrzej *gringa*, tutaj są Chiny, tutaj twoje amerykańskie pojęcia na nic”. – W Chinach – ciągnie Kwan – zawsze się odpowiada za kogoś innego, choćby nie wiem co. Jesteś przejechana, ty moja siostrzyczka, to moja wina. Teraz rozumiecie?

– Tak – mruży Simon pod nosem. – Już nie ma co pytać.

Sowa dziobie pręt klatki.

Mijamy rząd sklepów z wyplatany mi meblami, z kapeluszami ze słomy.

I już zaraz jesteśmy na przedmieściu, gdzie z obu stron jezdni miła za miłą są identyczne jednoizbowe restauracje. Niektóre w stadium budowy – ściany z cegieł

albo z mułu, częściowo pobielone. Po krzykliwych malowidłach na tablicach reklamowych domyślam się, że wszystkie zatrudniają tego samego malarza. Reklamują też te same specjalności: oranżadę i parującą zupę z makaronem. Oto kapitalistyczna konkurencja doprowadzona do smętnej skrajności. Bezczyenne kelnerki, przykucnięte przed drzwiami patrzą, jak nasz samochód z poświstem je mija. Cóż za egzystencja! Mózgi im chyba uwiędły wskutek nudy. Czy one narzekają czasem na tę swoją dolę? To zupełnie jak wyciąganie ciągle pustych loteryjnych losów. Simon z pasją notuje. Czy też zauważył tę beznadziejność?

– Co piszesz?

– Miliardy dań nie podanych – odpowiada.

Kilka mil dalej restauracje ustępują miejsca prostym drewnianym kramom krytym strzechą, a jeszcze dalej przekupniom nie mającym żadnego schronienia przed wilgotnym chłodem. Stoją ci ludzie przy szosie, wrzeszczą wniebogłosy, wymachują grapefruitami w siatkach ze sznurka, butelkami gorącego domowego sosu. Jedziemy wstecz, w coraz dawniejsze stadia marketingu i reklamy.

Przejeżdżając przez jakąś wioskę, widzimy kilkanaścioro mężczyzn i kobiet w identycznych białych kitlach. Przy nich stołki, wiadra i woda, drewniane skrzynki na narzędzia i ręcznie malowane tablice. Nie umiem czytać po chińsku, muszę zapytać Kwan o te napisy.

– Fachowe strzyżenie włosów – czyta Kwan. – Każdy z nich potrafi też wyciskać czyraki, wycinać odciski, usuwać włosy z uszu. Z obu uszu czy z jednego, ta sama cena.

Simon znów notuje.

– Ojej! – mówi. – Kto by chciał być dziesiątą osobą w rządzie proponujących wyczyszczenie uszu, kiedy nikt nie zatrzymuje się przy pierwszej? To dla mnie znaczy daremność.

Przypominam sobie pewną naszą kłótnię, kiedy powiedziałam, że nie można

cudzego szczęścia mierzyć miarą swojego nieszczęścia, a on zapytał, dlaczego nie? Może oboje nie mieliśmy racji. Teraz patrząc, jak ci ludzie machają rękami, żebyśmy się zatrzymali, czuję się szczęściarą: nie robię w branży czyszczenia uszu. Ale jednocześnie obawiam się, że moje ja bez ozdób nabytych na zamówienie pocztowe nie różni się za bardzo od ja tej dziesiątej osoby stojącej przy szosie z pragnieniem, żeby ktoś się zatrzymał i wybrał właśnie ją. Trącam Simona łokciem.

– Ciekawe, na co oni mają nadzieję, jeżeli w ogóle mają.

Simon przybiera ton żartobliwy:

– Hej, wzlatają pod niebo... dopóki nie pada deszcz.

Wyobrażam sobie sto chińskich Ikarów ulepiających sobie skrzydła z wosku dobytego z uszu. Nie da się powstrzymać ludzi od pragnień. Ludzie nie mogą nie pragnąć. Dopóki widzą niebo, zawsze będą chcieli wzlecieć tak wysoko, jak tylko zdołają.

Odległości pomiędzy wioskami z przydrożną działalnością handlową wydłużają się coraz bardziej. Kwan przysypia, głowa opada jej coraz niżej. Ilekroć trafiamy na wyboje, na pół się budzi zachłystując, po czym znów przeciągle, rytmicznie chrapie, błogo nieświadoma, że jedziemy coraz szybciej dwupasmową szosą. Rocky pstryka palcami w takt muzyki; wymija wolniej jadące samochody. Za każdym razem, kiedy dodaje gazu, sowa lekko rozchyła skrzydła, a potem jeszcze bardziej kuli się w ciasnej klatce. Ja chwytam się za kolana, wsysam powietrze przez zaciśnięte zęby, nie chcę patrzeć, jak Rocky skręca w lewo przed wymijaniem. Simon jest spięty, ale na moje spojrzenie odpowiada uśmiechem.

– Może by mu powiedzieć, żeby jechał wolniej? – pytam.

– Dobrze jest, nie panikuj.

Uznaję to „nie panikuj” za protekcyjne, wolę jednak nie dyskutować. Jedziemy teraz za ciężarówką pełną żołnierzy w zielonych mundurach. Machają do nas rękami. Rocky naciska klakson i skręca ostro. Śmigamy obok ciężarówki, a tu z

przeciwka nadjeżdża autobus. Klakson autobusu buczy natarczywie coraz bliżej i głośniej.

– Och, Boże, Boże – kwilę. Zamykam oczy, Simon bierze mnie za rękę. Samochód skacze z powrotem na prawy pas. Słyszę świst i klakson autobusu cichnący w dali.

– No właśnie – mówię zdławionym szeptem. – Powiem mu, żeby jechał wolniej.

– Nie wiem, Olivia. Mógłby się obrazić.

Najeżam się.

– Co? Lepiej umrzeć, niż pozwolić sobie na nietakt?

Simon przybiera ton nonszalancki:

– Oni wszyscy tak jeżdżą.

– Więc masowe samobójstwo ich usprawiedliwia? Cóż to za logika?

– No, żadnych katastrof nie widzieliśmy.

Kula irytacji pęka mi w gardle.

– Dlaczego zawsze myślisz, że najlepiej jest nic nie mówić? Powiedz mi, kto będzie zbierał szczątki, jeżeli coś się stanie?

Simon patrzy na mnie gniewnie czy przepraszająco? W tej samej chwili Rocky raptownie hamuje. Kwan i sowa budzą się z trzepotem, jedna ręką, druga skrzydeł. Może Rocky zrozumiał o co się kłócimy? Ale nie – utknęliśmy w korku na szosie. Rocky spuszcza szybę i wychyla głowę przez okno. Klnie pod nosem, raz po raz nasadą dłoni naciska klakson.

Dopiero po kilku minutach widzimy powód tego postoju. Był wypadek – fatalny, sądząc z metalowych odłamków, miazgi szkła i rzeczy osobistych rozwleczonych po szosie. W powietrzu zapach benzyny i przypalonej gumy. Już chcę szturchnąć Simona, powiedzieć: A widzisz?, ale akurat nasz samochód karkołomnie wymija czarną furgonetkę z kołami sterczącymi w górę, z drzwiczkami jak złamane skrzydełka zgniecione owada. Pasażer na przednim siedzeniu zmasakrowany. Nie

ma nadziei dla nikogo w tym samochodzie. Na pobliskim zagonie warzywnym leży opona. W parę sekund później przejeżdżamy obok drugiej połowy tego zderzenia. To czerwono-biały autobus. Przednia szyba stłuczona, mopsowata maska skręcona i zachlapaną szkaradnie krwią, siedzenie kierowcy puste. Bardzo źle. Mniej więcej pięćdziesięciu gapiów z rolniczymi narzędziami w rękach kłębi się wokoło, wskazując sobie poszczególne części autobusu, jak gdyby to były eksponaty naukowe. Po drugiej stronie autobusu widzę kilkanaście osób rannych, niektórzy kulą się i wyją z bólu, inni leżą cicho w szoku. Może już nie żyją.

– Kurczę, wprost nie mogę w to uwierzyć – mówi Simon. – Nie ma ambulansu, nie ma lekarzy.

– Zatrzymaj się – polecam Rocky'emu po chińsku. – Powinniśmy im pomóc.

Dlaczego to mówię? Co mogę zrobić? Trudno mi patrzeć na tych rannych, a cóż dopiero ich dotykać.

– Ajaj. – Kwan patrzy na pole. – Tyle ludzi *yin*.

Czy to znaczy, że tam leżą martwi? Sowa pohukuje żałobnie. Ręce mam śliskie i lodowate.

Rocky wpatruje się w szosę. Nie zatrzymuje się, jedzie dalej, więc zostawiamy tę tragedię za sobą.

– Nic by z nas tam nie przyszło – mówi po chińsku. – Nie mamy leków ani bandaży. Poza tym niedobrze się wtrącać, zwłaszcza że jesteście cudzoziemcami. Nie martwcie się, policja niedługo przyjedzie.

W głębi ducha czuję ulgę. Lepiej, że mnie nie posłuchał.

– Wy, Amerykanie – ciągnie głosem pełnym chińskiej autorytatywności – nie przywykliście do smutnego widoku. Lituje się nad nami, bo możecie potem wrócić do siebie, do wygodnego życia i zapomnieć, co widzieliście. Dla nas takie nieszczęście to nic nadzwyczajnego. Mamy bardzo dużo ludzi. To jest nasze życie, autobusy zawsze zatłoczone, każdy stara się wcisnąć, brak powietrza do oddychania,

brak miejsca na litość.

– Czy zechce mi ktoś wyjaśnić, co się dzieje?! – wykrzykuje Simon. – Dlaczego się nie zatrzymujemy?

– Nie zadawaj pytań! – wrzeszczy. – Nie pamiętasz?

Teraz jestem rada, że marzenia Rocky'ego o Ameryce nigdy się nie spełnią. Chcę mu powiedzieć o nielegalnych chińskich imigrantach, oszukiwanych przez gangi, cierpiących w więzieniu, a potem deportowanych do Chin. Chcę go uraczyć opowieściami o bezdomnych, o przestępczości, o ludziach ze stopniami naukowymi, którzy stoją w ogonkach bezrobotnych. Za kogo on się uważa, że tak liczy na sukces? Skąd ta jego pewność, że my nie znamy niedoli? Podrę jego chińsko-angielski słownik i strzępy wepchnę mu do ust.

Nagle mdło mi się robi: Rocky ma rację. Nie mogę pomóc nikomu, nawet sobie. Proszę go, żeby zatrzymał samochód, bo muszę zwymiotować. Na poboczu wychylam się z samochodu; Simon klepie mnie po plecach.

– Nic ci nie jest, przejdzie. Mnie też słabo.

Kiedy znów wjeżdżamy na szosę, Kwan udziela Rocky'emu rady, której ten wysłuchuje z powagą, kiwa głową, a potem jedzie już wolniej.

– Co ona mu powiedziała? – pyta Simon.

– Logika chińska. Jeżeli się zabijemy, nie zapłacimy mu. I w następnym życiu on będzie musiał nam wynagrodzić ten wypadek przyjemnościami.

Kolejne trzy godziny mijają. Wiem, że już dojeżdżamy do Changmian; Kwan wskazuje punkty orientacyjne.

– Tam! Tam! – wykrzykuje ochryple, podskakując jak dziecko. – Tamte dwa szczyty. Wieś pomiędzy nimi nazywa się Żona Czekająca Na Powrót Męża. Ale gdzie jest to drzewo? Co się stało z tym drzewem? Tam, przy tamtym domu, było wielkie drzewo, może tysiącletnie. – Wytęża wzrok. – Tamto miejsce, widzisz?

Mieliśmy tam duże targowisko. A teraz patrz, puste pole. A tam... tamta góra przed nami. To właśnie jest Życzenie Dziewczyny. Kiedyś wchodziłam na sam szczyt. – Śmieje się, ale już po chwili mówi ze zdumieniem: – Dziwne, teraz ta góra wydaje się taka mała. Dlaczego? Skurczyła się, deszcze ją zmyły? Czy może szczyt się stał, bo tyle dziewczyn wbiegało powiedzieć życzenie? Albo może to dlatego, że ja się stałam za bardzo amerykańska i teraz, kiedy widzę innymi oczami, wszystko wydaje się mniejsze, biedniejsze, nie takie dobre? Och!

Przerywa i krzyczy, żeby Rocky skręcił na piaszczystą, wąską drogę, którą właśnie minęliśmy.

Rocky zawraca tak ostro, że Simon i ja obijamy się o siebie, a sowa skrzeczy, wzburzona. Teraz trzęsiemy się, jadąc wyboistą drogą wśród pól jak poduchy wilgotnej, czerwonej ziemi.

– Skręć w lewo! Skręć w lewo – rozkazuje Kwan. Ręce ma splecione na kolanach. – Za dużo lat! Za dużo lat! – niemal skanduje.

Zbliżamy się do kępy drzew. Kwan oznajmia:

– Changmian.

I widzę wioskę przycupniętą między dwiema poszarpanymi górami o zboczach aksamitnie zielonych jak mech, gdzieniegdzie szmaragdowych. Coraz więcej widać: krzywe rzędy budynków pobielonych wapnem, ich pochyle dachy z dachówek ułożonych tradycyjnie na kształt skrętów smoka. Wokół wioski stawy jak lustra i zadbane pola, schludnie rozdzielone kamiennymi murkami i rowami nawadniającymi.

Wyskakujemy z samochodu. Jakimś cudem wieś Chang-mian uniknęła modernizacji. Nie widzę ani blaszanych dachów, ani elektrycznych kabli. W przeciwieństwie do innych wsi, przez które przejeżdżaliśmy, ta nie stała się śmietnikiem – na uliczkach nie walają się zgniecione pudelka po papierosach ani torby z różowej folii. Czyste kamienne chodniki biegną przez wieś, a jedna już droga

snuje się pod górę rozpadliną między dwoma górskimi szczytami i znika za łukowato sklepioną kamienną bramą. W dali widać dwa inne wysokie szczyty w kolorze ciemnego jadeitu, a za nimi jeszcze dwa fioletowe. Simon i ja szeroko otwieramy oczy.

– Do licha – szepcze Simon – możesz w to uwierzyć?

Przypominam sobie, jak kiedyś mówił tak właśnie: wtedy gdyśmy szli do Ratusza, żeby wziąć ślub, wtedy gdyśmy się wprowadzili do naszego mieszkania. I wzdycham: szczęśliwe chwile, które już są inne.

Sięgam do torby po aparat. Patrząc przez wizjer, czuję się tak, jakbyśmy znaleźli się w jakiejś bajecznej, mglistej krainie na pół wspomnień, na pół złudzeń. Czy jesteśmy w chińskiej Nirwanie? Changmian wygląda jak starannie wykadrowane fotografie z broszur turystycznych z reklamą „uroczy świat dalekiej przeszłości, gdzie gość może cofnąć się w czasie”. Mam przed sobą całą tę sentymentalną malowniczość, jakiej turyści łakną, ale jakiej nigdy faktycznie nie widzą. Coś musi być nie w porządku, wciąż się ostrzegam, zaraz za rogiem natkniemy się na rzeczywistość: targowisko gotowych potraw, skład starych opon, oznaki wskazujące, że ta wieś jest w istocie chińską fantastyczną scenerią dla zaspokojenia turystów: Kup bilety tutaj! Zobacz Chiny swoich marzeń! Nie zepsute postępem, pogrążone w przeszłości!

– Czuję się tak, jakbym kiedyś przedtem tu była – szepczę do Simona bojąc się, że urok pryśnie.

– Ja też. To jest tak doskonale. Może widzieliśmy to w jakimś filmie dokumentalnym. – Simon śmieje się. – Albo w reklamie samochodów.

Patrzę na góry i wiem, dlaczego wieś Changmian wydaje mi się tak dobrze znana. To przecież tło opowieści Kwan, które przenikają w moje sny. Są łukowate bramy, drzewa kasja, wysokie mury Domu Ducha Kupca, wzgórza prowadzące na Górę Ostów. Doznaję takiego uczucia, jak gdyby w końcu opadła błona oddzielająca



jedną od drugiej połowy mojego życia.

Raptem słyszymy mnóstwo pisków i okrzyków. Pięćdziesięcioro małych dzieci szkolnych pędzi do ogrodzenia pobliskiego dziedzińca, żeby nas powitać. Ale kiedy podchodzimy bliżej, dzieci podnoszą wrzask, odwracają się na pięcie i ze śmiechem biegną z powrotem do szkolnego budynku. Po kilku sekundach znów wylatują stamtąd jak stado ptaków, a za nimi idzie ku nam uśmiechnięta nauczycielka. Stają na baczność, po czym na jakiś niewidoczny sygnał wołają chórem po angielsku:

– Abece! Raz dwa trzy! Jak się masz! Witaj, żegnaj!

Czy ktoś im powiedział, że przyjadą goście z Ameryki? Czy przećwiczyły te okrzyki na naszą cześć?

Wszystkie machają rękami, więc się im odwzajemniamy.

– Witaj, żegnaj! Witaj, żegnaj!

Idziemy dalej alejką przy szkole. Dwaj młodzi rowerzyści zatrzymują się i gapią na nas. Idziemy dalej za róg. Kwan się zachłystuje. Nieopodal przed lukowatą bramą stoi gromadka uśmiechniętych ludzi. Kwan najpierw unosi dłoń do ust, a potem biegnie do nich. Oburącz chwyta każdą z tych osób za rękę. Wita się z tęgą kobietą i klepie ją po plecach, kiedy Simon i ja tam podchodzimy. Słyszymy, jak one sobie dogryzają życzliwie:

– Tłusciocho! Ależ ty utylaś.

– Hej, popatrz na siebie... Co z twoimi włosami? Zniszczyłaś je specjalnie?

– To jest taka moda. No, mieszkasz na wsi tak długo, że pojęcia nie masz co modne.

– Słyszycie ją? Nadal najmądrzejsza, od razu widać.

– To ty byłaś najmądrzejsza, nie ja...

Kwan urywa ze wzrokiem wlepionym w kamienny murek. Myślałby kto, że w życiu nie widziała nic bardziej urzekającego.

– Starsza Mama – szepcze. – Co się stało? Jak to możliwe?

Jeden z mężczyzn w gromadzie wybucha śmiechem.

– Ha! Niecierpliwiła się, żeby cię zobaczyć, więc wstała dziś wcześniej, wskoczyła do autobusu i pojechała do ciebie do Guilin. A teraz co? Ty tutaj, ona tam. To dopiero będzie szalała!

Śmieją się wszyscy oprócz Kwan, która podchodzi do tego murku bliżej i woła ochryple:

– Starsza Mamo, Starsza Mamo!

Śmiech cichnie, jest trochę szeptów, ludzie się cofają, przerażeni.

– Aha – mówię.

– Dlaczego Kwan płacze? – szeptem pyta Simon.

– Starsza Mamo, och, Starsza Mamo! – Łzy spływają po policzkach Kwan. – Musisz mi uwierzyć, ja nie tak chciałam. Co za nieszczęśliwy traf, że umarłaś tego dnia, kiedy przyjechałam.

Kilka kobiet nieomal się krztusi z wrażenia, zasłania sobie usta rękami.

Podchodzę do Kwan.

– Co ty mówisz? Dlaczego myślisz, że ona nie żyje?

Simon się rozgląda i pyta:

– Dlaczego tak wszystkich zatkało?

Uciszam go gestem.

– Nie bardzo wiem. – Odwracam się znów do niej. – Kwan? – mówię łagodnie. – Kwan?

Ale ona chyba mnie nie słyszy. Z czułością patrzy na murek, śmieje się i płacze.

– Tak, wiedziałam o tym – mówi. – Oczywiście, wiedziałam. W sercu wiedziałam przez cały czas.

Po południu wieśniacy, dosyć skrupowani, wydają w świetlicy powitalne

przyjęcie dla Kwan. Po całej wsi rozeszła się wiadomość, że Kwan zobaczyła ducha Starszej Mamy. Ale ona im tego nie powiedziała i skoro nie ma dowodu, że Starsza Mama nie żyje, nie ma też powodu, żeby odwołać uroczystą ucztę, najwidoczniej przygotowywaną od kilku dni. W czasie tego świętowania Kwan nie chwali się swoim samochodem, swoją kanapą, swoją angielszczyzną. Słucha milcząc, jak ci, z którymi bawiła się w dzieciństwie, zdają relację z ważniejszych wydarzeń swego życia: narodziny bliźniaków, podróż pociągiem do dużego miasta, pobyt w Changmian grupy studentów przysłanych na resocjalizację w czasie Rewolucji Kulturalnej.

– Oni mieli się za mądrzejszych od nas – opowiada kobieta o rękach sękatych wskutek artretyzmu. – Chcieli, żebyśmy uprawiali szybko rosnący ryż, trzy plony na rok zamiast dwóch. Dali nam specjalne nasiona. Przywieźli truciznę na owady. Potem małe żabki, które pływały po ryżowych polach i jadły te owady, wszystkie pomarły. I kaczki, które jadły te żabki, też wszystkie pomarły. I potem ryż umarł.

Mężczyzna z bujną czupryną wykrzykuje:

– Więc im powiedzieliśmy: czy lepiej mieć trzy plony ryżu zmarnowanego niż dwa dobre?

Kobieta o sękatych rękach opowiada dalej:

– Ci sami uczeni usiłowali rozmnażać nasze muły! Ha! Możesz w to uwierzyć? Przez dwa lata co tydzień ktoś z nas pytał ich: „Jest już coś?” A oni odpowiadali: „Jeszcze nie. Jeszcze nie”. A myśmy się starali mieć twarze poważne, ale ich zachęcaliśmy. „Starajcie się dalej, towarzysze, nie ustawajcie”, mówiliśmy im.

Jeszcze się śmiejemy, kiedy do świetlicy wbiega mały chłopiec wołając, że jakiś urzędnik z Guilin przyjechał eleganckim czarnym samochodem. Zalega cisza. Ten urzędnik wkracza i wszyscy wstajemy. Z namaszczeniem pokazuje dowód tożsamości Li Bin-bin i pyta, czy ona jest z tej wsi. Kilka osób spogląda na Kwan niespokojnie. Kwan wolno podchodzi do urzędnika, patrzy na ten dowód i kiwa

głową. Urzędnik wygłasza oświadczenie, jest szmer jęków; po czym w sali rozbrzmiewa lament.

Simon przysuwa się do mnie.

– Co się stało?

– Starsza Mama nie żyje. Poniosła śmierć w tej katastrofie autobusu, którą widzieliśmy rano.

Simon razem ze mną podchodzi do Kwan, kładziemy jej ręce na ramionach. Ona wydaje się taka mała.

– Przykro... – Simon się jąka. – Tak mi przykro, że nie zdążyłaś się z nią zobaczyć. Tak mi przykro, że nie poznaliśmy jej.

Kwan uśmiecha się do niego ze znużeniem. Jako najbliższa krewna Li Bin-bin podejmuje się wypełnić konieczne biurokratyczne formalności w związku z przywiezieniem zwłok do Changmian nazajutrz. We troje wracamy do samochodu, żeby pojechać z powrotem do Guilin.

Rocky na nasz widok zdusza papierosa i wyłącza radio samochodowe. Już wie.

– Co za tragedia – mówi. – Przepraszam, starsza siostrze. Powinienem być się tam zatrzymać. Moja wina...

Kwan zbywa to machnięciem ręki.

– Wina niczyja. Tak czy owak, żale nic nie dają. Zawsze jest za późno.

Kiedy Rocky otwiera drzwiczki samochodu, widzimy sowę wciąż jeszcze w klatce na tylnym siedzeniu. Kwan delikatnie podnosi klatkę i wpatruje się w sowę.

– Już nie trzeba wchodzić na szczyt góry – mówi.

Stawia klatkę na ziemi, otwiera. Sowa wychyla łebek i po chwili wyskakuje. Kręci łebkiem, trzepocze skrzydłami i nagle wzlatuje w powietrze ku tym górskim szczytom. Kwan odprowadza ją wzrokiem.

– Już dosyć żalów – mówi. I wsiada do samochodu.

Rocky włącza silnik.

Pytam:

– Kwan, kiedy mijaliśmy ten autobus po katastrofie dziś rano, czy zobaczyłaś tam kogoś podobnego do Starszej Mamy? Czy dlatego wiedziałaś, że ona nie żyje?

– Co ty gadasz? Nie wiedziałam, że ona nie żyje, dopóki nie zobaczyłam, jak stała na tym murku.

– W takim razie dlaczego powiedziałaś jej, że wiesz?

– Że co wiem?

– Przecież jej powiedziałaś, że wiesz, że wiedziałaś w sercu. Mówiłaś o tym wypadku?

– Ach. – Kwan wreszcie zrozumiała. – Nie, nie o tym wypadku. – Wzdycha. – Powiedziałam Starszej Mamie, że wiem to, co ona powiedziała.

– A co ona powiedziała?

Kwan odwraca się do okna; widzę w szybie odbicie jej udręczonej twarzy.

– Powiedziała, że nie miała racji co do historii o Życzeniu Dziewczyny. Powiedziała, że wszystkie moje życzenia już się spełniły. Bo żałowała, kiedy mnie wysłała do Ameryki. Ale nie mogła mi powiedzieć. Bo gdyby powiedziała, że żałuje, ja bym jej nie opuściła dla możliwości lepszego życia.

Zastanawiam się, jak pocieszyć Kwan.

– Przynajmniej możesz jeszcze ją widzieć – mówię.

– Co?

– To znaczy jako osobę *yin*. Ona może cię odwiedzać.

Kwan patrzy za okno samochodu.

– Ale to nie to samo. Nie możemy już mieć nowych wspólnych wspomnień. Nie możemy zmienić przeszłości. Nie możemy aż do następnego życia – mówi i ciężko oddycha, jak gdyby z jej ust dobywały się słowa nie wypowiedziane.

Kiedy nasz samochód przejeżdża, te dzieci na szkolnym dziedzińcu biegną ku nam, przyciskają twarzyczki do sztachet ogrodzenia.

– Witaj, żegnaj! – wykrzykują. – Witaj, żegnaj!

### **Dzień Siódmy**

Kwan jest zdruzgotana, widzę to. Nie płacze, ale kiedy w hotelu zaproponowałam, żebyśmy zamiast szukać kulinarnych okazji na ulicach, zamówiły kolację do pokoju, od razu się zgodziła.

Simon jeszcze raz składa jej niezręczne kondolencje. Całuje ją w oba policzki, a potem zostawia nas w naszym pokoju. Na kolację mamy łazanki, dwanaście dolarów porcja, szalona rozrzutność jak na kryteria chińskie. Kwan wpatruje się w swój talerz; twarz ma pustą jak równina wymieciona wiatrem przed burzą. Dla mnie te łazanki są pociechą. Ufam, że wzmocnią mnie dostatecznie, żebym pocieszyła Kwan.

Co powinnam powiedzieć? „Starsza Mama to była wspaniała pani. Nam wszystkim będzie jej brakowało”. Fałsz! Bo Simon i ja wcale tej pani nie znaliśmy. A opowieści Kwan o tym, jak Starsza Mama ją maltretowała zawsze wydawały mi się materiałem do pamiętnika „Najdroższa Cioteczka”. Kwan jednak oplakuje tę niegodziwą kobietę, która pozostawiła ją dosłownie z bliznami. Dlaczego my tak kochamy matki naszego życia, nawet jeżeli marne z nich opiekunki? Czy rodzimy się z sercami idealnie gładkimi, czekającymi na tłoczenie jakiegokolwiek imitacji miłości?

Myślę o mojej matce. Czy byłabym niepocieszona, gdyby umarła? Ze zgrozą poczuwam się do winy bodaj rozważając to pytanie. Myślę jednak o tym. Czy chcę powrócić w moje dzieciństwo, żeby pozbierać szczęśliwe wspomnienia i stwierdzić, że jest ich tak mało jak dojrzałych jeżyn na już oskubanym krzaku? Czy nie nadziałabym się na kolce, czy nie poruszyłabym osy-królowej, otoczonej

uwielbiającymi ją trutniami? A czy po śmierci matki ja bym jej przebaczyła i odetchnęła z ulgą? Czy może fantazja by mnie poniosła do jakiejś urojonej doliny, gdzie matka będzie już doskonała, pełna względów i kochająca, obejmie mnie i powie: „Przepraszam, Olivia, byłam straszną matką, rzeczywiście parszywą. Nie miałabym ci za złe, gdybyś nigdy mi nie przebaczyła”. To właśnie chcę usłyszeć. Zastanawiam się, co rzeczywiście by mi powiedziała.

– Łazanki – mówi Kwan nie stąd, ni zowąd.

– Co?

– Starsza Mama pyta, co jemy. Teraz mówi, że żałuje, że nie zdążyła skosztować amerykańskiego jedzenia.

– Łazanki to włoska potrawa.

– Cicho! Ja wiem, ale tylko jej to powiedzieć, będzie żałować, że nie zdążyła zobaczyć Włoch. Już i tak żałuje za dużo.

Pochyliłam się do Kwan i pytam zniżonym głosem:

– Starsza Mama nie rozumie po angielsku?

– Tylko dialekt Changmian i trochę mowę serca. Kiedy już dłużej będzie zmarła, nauczy się więcej mowy serca i może trochę angielskiego...

Kwan się rozgadała, więc jestem rada, że nie tonie w rozpacz, bo nie wiedziałabym, jak ją ratować.

– ... ludzie *yin* po jakimś czasie mówią tylko mową serca. Łatwiej i prędzej w ten sposób. Nie ma takich nie-zamieszkań jak ze słowami.

– Jaka jest mowa serca?

– Już ci mówiłam.

– Mówiłaś?

– Wiele razy. Po prostu nie używa się do mówienia języka, warg, zębów. Używa się stu tajemnych zmysłów.

– Och, racja, racja.



Przypominam sobie urywki naszych rozmów o tych zmysłach związanych z pierwotnymi instynktami, o tym, co miały w sobie istoty ludzkie, zanim ich mózgi wypracowały nowe i wyższe funkcje: zdolność do wyrażania się dwuznacznie, do wykrętów i kłamstwa. Ciarki przebiegające po krzyżu, gęsia skórka i rozplamione policzki – to jest słownictwo tajemnych zmysłów. Zastanawiam się.

– Tajemne zmysły – mówię. – Na przykład włos mi się jeży i to znaczy, że się boję.

– To znaczy, że ktoś, kogo kochasz, teraz się boi.

– Ktoś, kogo kocham?

– Tak, tajemny zmysł zawsze jest pomiędzy dwiema osobami. Włos ci się jeży, bo znasz czyjaś tajemnicę.

– Chyba mówiłaś, że te zmysły są tajemne, bo ludzie zapomnieli, że je mają.

– Ach, tak. Ludzie często zapominają aż do śmierci.

– Więc to jest język duchów.

– Język miłości. Nie tylko takiej słoneczko-serduszko miłości. Każdej miłości: matki – dziecka, cioci – siostrzenicy, przyjaciółki – przyjaciółki, siostry – siostry, obcego – obcego.

– Obcego? Jak można kochać obcego?

Kwan uśmiecha się od ucha do ucha.

– Kiedy pierwszy raz widziałaś Simona, on był obcy, tak? Pierwszy raz ja widziałam ciebie, ty obca także. A Georgie! Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, powiedziałam sobie: „Kwan, skąd ty znasz tego człowieka?” Wiesz co? Georgie to mój ukochany z poprzedniego życia.

– Rzeczywiście? Yiban?

– Nie. Zeng!

– Zeng? Nie wiem, kto to taki.

Teraz Kwan mówi po chińsku:

– Wiesz. Ten, który mi przynosił słoje.

– Ach tak. Już sobie przypominam.

– Zaczekaj, Starsza Mamo. Teraz mówię Libbi-ji o moim mężu. – Kwan patrzy gdzieś poza mnie. – Tak. Ty go znasz... Nie, nie w tym życiu. W poprzednim, kiedy byłaś Ermei i dawałam ci kacze jajka, a ty mi dawałaś sól.

Wbijam widelec w łazanki, a ona trajkocze radośnie. Oderwały ją od żaloby wspomnienia z przeszłości na niby.

– Ostatnim razem, kiedy widziałam Zenga, zanim stał się Georgiem, to było... ach tak, w przeddzień mojej śmierci. Zeng przyniósł mi woreczek suszonego jęczmienia i złe wiadomości. Kiedy dałam mu jego odzież upraną, nie dał mi nic znowu do prania. Stałam przy moich parujących garnkach, w których prawie się gotowało.

– Nie ma już potrzeby martwić się, co czyste, a co brudne – powiedział mi Zeng. Patrzył na góry, nie na mnie. Ach, pomyślałam, to znaczy, że nasze zaloty się skończyły. Ale oznajmił: – Niebiański Król nie żyje.

Au! Ta wiadomość była jak piorun, kiedy niebo jest niebieskie.

– Jak to? Niebiański Król nie może umrzeć, jest nieśmiertelny!

– Już nie – powiedział Zeng.

– Kto go zabił?

– On umarł z własnej ręki, tak ludzie mówią.

Ta druga część wiadomości była jeszcze bardziej wstrząsająca niż ta pierwsza. Niebiańskiemu Królowi nie wolno popełnić samobójstwa. A tu on sam się zabił? Więc przyznał, że nie jest młodszym bratem Jezusa? Jak mógł człowiek Hakka zhańbić swój naród w ten sposób? Patrzyłam na Zenga, na jego ponurą twarz. Musiał odczuwać to samo co ja, bo też był Hakka.

Myślałam o tym, kiedy wyciągałam z garnków ciężkie, mokre rzeczy.

– Przynajmniej bitwy się skończą – powiedziałam. – Rzeki znów będą pełne statków.

Wtedy Zeng powiedział mi trzecią część tej wiadomości, jeszcze gorszą niż tamte dwie.

– Rzeki już są pełne, ale nie statków, tylko krwi.

Kiedy ktoś mówi: „Nie statków, tylko krwi”, nie powie mu się: „Aha, rozumiem”. Zaczęłam wyciągać od niego każdy szczegół, jakbym zebrała o miseczkę ryżu po jednym ziarenku. On tak skąpił słów. Po trochu, po trochu jednak się dowiedziałam!

Otóż dziesięć lat wcześniej Niebiański Król zesłał falę śmierci od gór do wybrzeża. Krew się lała, miliony umarły. Teraz ta fala wraca. W miastach portowych Man-chu wyrznęli wszystkich Czcieli Boga. Idą w głąb lądu, palą domy, rozkopują groby, burzą jednocześnie ziemię i niebo.

– Wszyscy pozabijani – powiedział Zeng. – Nikt nie ocalał, nawet niemowlęta.

Ledwie to powiedział, zobaczyłam mnóstwo płaczących niemowląt.

– Kiedy oni przyjdą do naszej prowincji? – wyszeptałam. – W przyszłym miesiącu?

– Och nie. Człowiek, który przyniósł tę wiadomość do naszej wsi, tylko o kilka kroków wyprzedza śmierć.

– Ajaj! Za dwa tygodnie? Za tydzień? Kiedy?

– Jutro ci żołnierze zburzą Jintian – powiedział Zeng. – Pojutrze Changmian.

Zmartwiałam. Oparłam się o wyżymaczkę. Już widziałam w głowie, jak ci żołnierze maszerują drogą. Wyobrażałam sobie miecze ociekające krwią i właśnie wtedy Zeng mi się oświadczył. Rzeczywiście nie poprosił, żebym została jego żoną. Zapytał szorstko:

– Dziś wieczorem idę w góry ukryć się w jaskiniach; chcesz iść ze mną?

Może tobie to się wydaje nieporadne, niezbyt romantyczne. Ale jeśli ktoś

ofiarowuje ci ocalenie życia, czy to nie jest tak dobre, jak w białej sukni pójść z kimś do kościoła i powiedzieć: „Chcę”? Gdyby moja sytuacja była inna, odpowiedziałabym: Chcę, idziemy. Ale ja nie mogłam myśleć o małżeństwie. Zastanawiałam się, co będzie z panną Wstęgą, Lao Lu, Yibanem – a jakże, nawet z Czciicielami Jezusa, tymi białymi twarzami pastora i pani Amen, panny Myszy i doktora Za Późno. Dziwne, myślałam. Nie moja sprawa, co się im stanie. Nie mam z nimi nic wspólnego – ani języka, ani myśli, ani uczuć co do ziemi i nieba. A przecież coś mogę o nich powiedzieć. Ich chęci są szczere. Może niektóre z tych chęci nie takie dobre, bo prowadzą do niedobrych skutków. Ale oni bardzo się starają. Kiedy się to wie o kimś, jak można nie mieć z tym kimś czegoś wspólnego?

Zeng przerwał mi rozmyślanie.

– Idziesz czy nie idziesz?

– Daj mi się zastanowić – odpowiedziałam. – Mój rozum nie jest tak szybki jak twój.

– A co tu jest do zastanawiania? – zapytał Zeng. – Chcesz żyć, czy chcesz umrzeć? Nie myśl za dużo. Bo przez to tylko wydaje ci się, że masz więcej wyborów niż masz. I w myślach ci się zamacają.

Podszedł do ławki przy murze i położył się z rękami pod głową.

Wyrzuciłam mokre pranie na wyżymaczkę. Zeng miał rację. Zrobił mi się w myślach zamęt. Myślałam dwoma kącikami głowy prawie naraz. Jednym: Zeng to dobry człowiek, do końca może mi się nie trafić taka możliwość, zwłaszcza jeżeli wkrótce umrę. I drugim: Jeżeli pójdę z nim, to już nie będę miała pytań i odpowiedzi moich własnych, już nie będę mogła zapytać siebie: Czy jestem wierną przyjaciółką? Czy powinnam pomóc pannie Wstędze? A co z Czciicielami Jezusa? Ustaną te pytania. Zeng będzie stanowił o tym, co mnie ma obchodzić, a co nie. Bo tak to jest pomiędzy mężczyzną i kobietą.

Myśli mi się kłębiły. Nowe życie z Zengiem? Stara wierność wobec przyjaciół?

Jeżeli ukryję się w górach, czy nie oszaleję ze strachu, a potem czy nie umrę tak czy owak? Jeżeli zostanę, czy moja śmierć będzie szybko? Które życie, która śmierć, która droga? Zupełnie jakbym goniła kuraka i jednocześnie sama tym kurakiem była. Miałam tylko jedną minutę do zdecydowania, które uczucie jest silniejsze. I zdecydowałam.

Spojrzałam na Zenga. Z zamkniętymi oczami leżał na ławce. Dobry człowiek, nie za mądry, ale zawsze uczciwy. Powinnam skończyć nasze zaloty tak samo, jak je zaczęłam. Być przebiegłą. Niech mu się zdaje, że to on je kończy.

– Zeng-a – zawołałam.

Otworzył oczy, usiadł. Teraz wieszłam wyżęte rzeczy.

– Dlaczego mamy uciekać? – zapytałam. – My nie jesteśmy zwolennicy tajpingów.

Położył ręce na kolanach.

– Słuchaj, co mówi twój przyjaciel – powiedział, bardzo cierpliwym dla mnie. – Tym Manchu wystarczy byle co na dowód, że się przyjaźnisz z Czcicielami Boga. Popatrz, gdzie mieszkasz. To już jest wyrok śmierci.

Wiedziałam o tym, ale zamiast przyznać mu rację, spierałam się:

– Co ty mówisz? Ci cudzoziemcy nie wielbią Niebiańskiego Króla. Wiele razy słyszałam, jak mówili: „Jezus nie ma żadnego młodszego brata chińskiego”.

Zeng rozzłościł się na mnie tak, jakby raptem pojął, jaka jestem głupia. Zerwał się z ławki.

– Powiedz to żołnierzowi Manchu i zaraz głowa ci się stoczy na ziemię! Nie trać już czasu na gadanie. Dziś wieczorem odchodzę. Idziesz ze mną?

Dalej plotłam trzy po trzy.

– Nie można trochę z tym zaczekać? Zobaczmy, co naprawdę się stanie. Niemożliwe, żeby było aż tak źle. Manchu zabijają niektórych tu i ówdzie, ale tylko niewielu, dla przykładu. A tych cudzoziemców nie ruszą. Mają traktat. Myślę, że

chyba bezpieczniej będzie zostać tutaj. Zeng-a, zamieszkaj u nas. Jest miejsce.

– Zamieszkać tutaj? – wrzasnął. – Uch! Może jeszcze mam od razu sam poderżnąć sobie gardło?

Przykucnął i widziałam, że w głowie mu kipi, jak w moich garnkach z praniem. Mówił nieładne rzeczy, dość głośno, żebym słyszała.

– To ciemiega. Ma tylko jedno oko... nic dziwnego, że nie widzi, co jest słuszne!

– Hej! Kto ty jesteś, że mnie tak ganisz? – powiedziałam. – Pewnie mucha ci wleciała do tego jedyne go twojego ucha i zaraziła ci głowę szarańczową gorączką. – Zaczęłam palcem kreślić zygzaki w powietrzu. – Słyszysz bzzz i myślisz, że chmury nieszczęścia nadciągają. Boisz się bez powodu.

– Bez powodu! – wrzasnął Zeng. – Rozum postradałaś? Żyjesz w cudzoziemskich świętych obłokach tak długo, że już się masz za nieśmiertelną? – Wstał, patrzył na mnie przez chwilę z obrzydzeniem, po czym powiedział: – Fuj!

Odwrócił się i odszedł. Natychmiast rozbolało mnie serce. Kiedy jego głos się oddalał, jeszcze dosłyszałam:

– Co za wariatka! Rozum postradała, a teraz postrada głowę...

Dalej wieszałam pranie, ale palce mi się trzęsły. Jak szybko dobre uczucia zmieniają się w złe! Jak łatwo on dał się oszukać!

Łza piekła mnie w oko. Wcisnęłam ją powieką. Bez litowania się nad sobą. Tylko osoby słabe mogą sobie pozwolić na taki zbytek jak płacz. Zaczęłam śpiewać jedną ze starych góralskich piosenek, ale którą, już nie pamiętam. Mój głos był silny i czysty, młody i smutny.

– Dobrze, dobrze. Już dość kłótni. Dość kłótni.

Odwróciłam się. Zeng wrócił z wyrazem zmęczenia na twarzy.

– Możemy zabrać tych cudzoziemców w góry – powiedział.

Zabrać ich? Z nami?

Przytaknęłam. Patrzyłam, jak on znów odchodzi. Zaczął śpiewać odpowiedź

chłopca na moją piosenkę. Ten człowiek był mądrzejszy, niż myślałam. Ucieszyłam się. Dobry mąż z niego będzie. Z mocnym głosem w dodatku. Przystanął i zawołał do mnie:

– Nunumu?

– Tak!

– W dwie godziny po zachodzie słońca, wtedy ja przyjdę. Powiedz wszystkim, żeby byli gotowi na głównym dziedzińcu. Rozumiesz?

– Zrozumiałam!

Odszedł jeszcze kilka kroków i znów się zatrzymał.

– Nunumu?

– Tak!

– Już więcej nie pierz. Kto zostanie, żeby nosić te uprane rzeczy, będzie trupem.

Widzisz? On już rządził, decydował za mnie. Stąd wiedziałam, że jesteśmy małżeństwem. Że mam być mu posłuszna.

Kiedy odszedł, poszłam do ogrodu, do pawilonu, gdzie umarł Duch Kupca. Spojrzałam znad muru i zobaczyłam dachy wielu domów, wąską ścieżkę prowadzącą w góry. Gdybym dopiero co przyjechała do Changmian po raz pierwszy, mogłabym myśleć: Ach, jaka piękna wieś, taki spokój, taka cisza, może powinnam spędzić mój miodowy miesiąc tutaj?

Wiedziałam, co ten bezruch oznacza. Czas czekania się kończy, wkrótce stanie się nieszczęście. Powietrze było ciężkie i wilgotne, prawie nie do oddychania. Nie widziałam żadnych ptaków. Nie widziałam żadnych obłoków na niebie – pomarańczowym i czerwonym, jak gdyby krew zabitych już przelewała się w niebiosach. Złęklam się. Poczułam, że coś mi pełza po ręce. Spojrzałam na tę rękę i zobaczyłam zło, jedno z pięciu, stonogę, sunącą falą swoich niezliczonych nóg. Au! Strząsnęłam ją i zdeptałam. Była już płaska jak liść i nie żyła, ale deptałam dalej, aż została tylko ciemna plama na kamiennej podłodze. Wciąż jednak nie mogłam się

pozbyć tego uczucia, że coś pełza.

Po jakimś czasie usłyszałam dzwonek na kolację. Dopiero wtedy oprzytomniałam. W jadalni usiadłam obok panny Wstęgi. Już nie było oddzielnych stołów, chińskiego i cudzoziemskiego, odkąd zaczęłam się dzielić kaczymi jajkami. Jak zwykle pani Amen odmówiła modlitwę przed jedzeniem. Jak zwykle Lao Lu przyniósł smażone pasikoniki i powiedział, że to posiekany królik. Chciałam poczekać do końca kolacji, ale myśli wyrwały mi się z ust:

– Nie mogę jeść, jeżeli jutro może umrzemy!

Kiedy panna Wstęga przetłumaczyła tę złą wiadomość, wszyscy przez chwilę milczeli. Pastor Amen zerwał się z krzesła, uniósł obie ręce i radośnie zaczął coś wykrzykiwać do Boga. Pani Amen z powrotem posadziła go przy stole. Potem zabrała głos, a panna Wstęga przetłumaczyła jej słowa.

– Pastor nie może pójść. Widzicie, w jakim jest stanie; wciąż jeszcze gorączkuje. Tam zwracałby na siebie uwagę, ściągnąłby niebezpieczeństwo na wszystkich. My tu zostaniemy. Jestem pewna, że Manchu cudzoziemców by nie zabili. Nas nie skrzywdzą, ponieważ jesteśmy cudzoziemcami.

Czy to odwaga czy głupota? Może ona ma rację, pomyślałam, i Manchu rzeczywiście nie zabiliby cudzoziemców. Ale skąd mieć pewność?

Następnie przemówiła panna Mysz:

– Gdzie jest ta jaskinia? Czy umiecie tam trafić? Moglibyśmy zabłądzić! Kto to jest ten Zeng? – Martwiła się i martwiła. – Jest tak ciemno! Lepiej zostańmy tutaj. Manchu nie mogą nas zabić. To niedozwolone. Jesteśmy poddanymi królowej...

Doktor Za Późno podbiegł do panny Myszy i wziął ją za rękę, żeby zbadać tętno. Panna Wstęga szeptem tłumaczyła mi, co on mówi. Serce bije za szybko... Wędrówka w góry ją zabije... Pastor i panna Mysz są jego pacjentami. Więc on zostanie z nimi... Teraz panna Mysz płacze, a doktor Za Późno trzyma ją za rękę... Tłumaczyła mi to, co sama widziałam. Taka była oszołomiona.



Potem odezwał się Lao Lu:

– Ja nie zostanę. Popatrzcie na mnie. Mam długi nos? Mam jasne oczy? Przecież się nie ukryję z tą moją starą twarzą. W górach przynajmniej jest tysiąc jaskiń, tysiąc możliwości. Tutaj nie ma żadnej.

Panna Wstęga wpatrywała się w Yibana. Mnóstwo strachu zobaczyłam w jej oczach. Wiedziałam, co myśli: że ten jej ukochany wygląda bardziej na Chińczyka niż na Johnsona. Teraz, kiedy to wspominam, twarz Yibana wydaje mi się taka jak twarz Simona. Czasami chińska, czasami cudzoziemska, czasami jedno i drugie naraz. Ale tamtego wieczoru dla panny Wstęgi wyglądała bardzo chińsko. Wiem, bo ona odwróciła się do mnie i zapytała:

– O której godzinie Zeng po nas przyjdzie?

W tamtych czasach nie było zegarków noszonych na rękach, więc powiedziałam:

– Wtedy, gdy księżyc stanie w połowie drogi przez niebo.

To znaczyło, że około godziny dziesiątej.

Panna Wstęga przytaknęła i poszła do swojego pokoju. Wróciła stamtąd przystrojona w swoje wszystkie najlepsze rzeczy – niedzielną suknię z tym podartym skrajem, naszyjnik z twarzą kobiety na pomarańczowym kamieniu, rękawiczki z bardzo cienkiej skórki – a włosy podpięła swoimi ulubionymi szpilkami, szylkretowymi jak ta mydelniczka od ciebie na urodziny. Teraz już wiesz, dlaczego tak się z niej ucieszyłam. To wszystko panna Wstęga chciała mieć na sobie w razie gdyby czekała ją śmierć. Ja nie dbałam o strój, chociaż tę ucieczkę można by uznać za moją podróż poślubną. Zresztą moje inne spodnie i kurtka, jeszcze mokre po praniu, wisiały w ogrodzie. Prawdę mówiąc wcale nie lepsze niż te, w których byłam.

Słońce zaszło. Półksiężyc wzeszedł i wspiął się na niebo. Coraz bardziej niecierpliwie czekaliśmy na ciemnym dziedzińcu na przybycie Zenga. Szczerze

mówiąc nie musieliśmy czekać na niego. Ja znałam drogę w góry tak dobrze jak on, czy może nawet lepiej. Ale tego im nie powiedziałam.

W końcu usłyszeliśmy walenie pięścią w bramę: Bum! bum! bum! To Zeng. Zanim Lao Lu doszedł do bramy, walenie się powtórzyło: Bum! bum! Lao Lu krzyknął:

– Kazaleś nam czekać, to teraz sam zaczekaj, aż ja najpierw sobie siknę!

Otworzył jedno skrzydło bramy. Od razu wskoczyli na dziedziniec dwaj żołnierze Manchu z dobytymi mieczami i obalili go na ziemię.

Panna Mysz wrzasnęła przeciągle: – Aaaach! – a potem wrzeszczała szybko i krótko: – Aa! Aa! Aa!

Doktor Za Późno ręką zatkał jej wrzaskliwe usta. Panna Wstęga pchnęła Yibana za krzak. Ja nic nie zrobiłam. Ale w sercu się rozplakałam. Co z Zengiem? Gdzie jest mój nowy mąż?

Akurat wtedy znów ktoś wszedł na dziedziniec. Jeszcze jeden żołnierz, ale wysokiego stopnia i cudzoziemiec. Krótkowłosy, nie miał brody, nie miał peleryny. A przecież kiedy zawołał: – Nelly! – i stuknął laską wiedzieliśmy, że to ten zdrajca złodziej. Stał przed nami generał Peleryna we własnej osobie i rozglądał się po dziedzińcu za panną Wstęgą. Czy okazywał żal z powodu tego, co zrobił? Czy Czciciele Jezusa podbiegli i zaczęli go okładać pięściami? Wyciągnął rękę do panny Wstęgi.

– Nelly – powtórzył.

Panna Wstęga nawet nie drgnęła. I nagle wszystko naraz poszło źle. Yiban wyszedł zza krzaka i gniewnie ruszył w stronę generała. Panna Wstęga przebiegła obok Yibana i rzuciła się Pelerynie w objęcia.

Pastor Amen parsknął śmiechem. Lao Lu wrzasnął:

– Tej suce spieszno, żeby się parzyć z tym psem!

Miecz błysnął, opadając – fiit! – a potem – ciach! I zanim zdążyliśmy się

spozrzeć, krzyknąć „stój”, turlała się ku mnie głowa z ustami jeszcze otwartymi we wrzasku. Zagapiłam się na głowę Lao Lu, czekałam na jakiegoś jego zwykłe przekleństwa. Dlaczego on nie mówi? Za sobą słyszałam cudzoziemców, ich kwilenie, jęki. A potem wycie dobyło mi się z piersi i rzuciłam się na ziemię. Usiłowałam połączyć te dwie części Lao Lu. Daremnie! Zerwałam się i spode łba spojrzałam na Pelerynę, gotowa go zabić. Niechby mnie zabili. Zrobiłam tylko jeden krok. Nogi się pode mną ugięły, jak gdyby nie było w nich kości. Noc pociemniała, powietrze stało się jeszcze cięższe, ziemia się podniosła, grzmotnęła mnie w twarz.

Kiedy otworzyłam oko, zobaczyłam swoje ręce i uniosłam je do szyi. Głowę na szyi miałam, a na głowie duży guz. Czy ktoś mnie uderzył? Czy może zemdlałam? Rozejrzałam się. Lao Lu zniknął, ale ziemia w pobliżu była mokra od jego krwi. Po chwili usłyszałam głosy, dolatujące z tyłu domu. Wstałam, przemknęłam się tam i stanęłam za drzewem. Widziałam otwarte okna i drzwi jadalni. Było tak, jakbym patrzyła na dziwny i straszny sen. Lampy się paliły. Gdzie cudzoziemcy znaleźli olej? Przy małym stole, przy którym dawniej jadali Chińczycy, siedzieli ci dwaj żołnierze Manchu i Yiban. Pośrodku stołu cudzoziemców leżała szerniała duża noga, jeszcze dymiąca. Kto przyniósł to mięso? Generał Peleryna trzymał w każdej ręce pistolet. Uniósł jeden i wycelował w pastora Amena siedzącego przy nim. Pistolet głośno szczerknął, ale nie wystrzelił. Wszyscy się śmieli. Pastor Amen zaczął gołymi rękami oddzierać kawałki mięsa z kości.

Wkrótce potem Peleryna warknął coś do żołnierzy. Ci wzięli miecze, przeszli szybko przez dziedziniec, otworzyli bramę i wyszli. Generał Peleryna został i ukłonił się Czycielom Jezusa tak, jakby był ich honorowym gościem. Wyciągnął rękę do panny Wstęgi i we dwoje, zupełnie jak cesarz i cesarzowa, dostojnie poszli korytarzem do jej pokoju. I wkrótce usłyszałam straszne dźwięki jej muzycznej szkatułki.

Oko mi wróciło do jadalni. Cudzoziemcy już się nie śmieli. Panna Mysz ukryła

twarz w dłoniach, doktor Za Późno pocieszał ją. Tylko pastor Amen się uśmiechał do mięsa. Yibana tam już nie było.

Złe myśli kłębiły mi się w głowie. Nic dziwnego, że cudzoziemców nazywa się „białe diabły”. Oni nie mają zasad moralnych. Im nie można ufać. Kiedy mówią: nadstaw drugi policzek, to naprawdę znaczy, że mają dwie twarze – jedną chytrą, drugą fałszywą. Jak mogłam być taka głupia, myśleć, że są moimi przyjaciółmi! I teraz gdzie jest Zeng? Jak mogłam narazić jego życie dla nich?

Drzwi się otworzyły, wyszła panna Wstęga z latarnią w ręce. Zawołała coś do Peleryny kapryśnym głosikiem i zaczęła chodzić po dziedzińcu.

– *Nuli!* – zawołała ostro po chińsku. – *Nuli*, chodź! Nie daj mi czekać!

Och, ja chyba zwariowałam. Ona myśli, że woła niewolnicę? Po omacku poszukałam na ziemi kamienia, ale znalazłam tylko mały kamyczek. Ścisnęłam w garści tę mizerną broń i mówiłam sobie: „Tym razem rozwalę jej głowę na pewno”.

Wyszłam zza drzewa.

– *Nuwu!* – powiedziałam.

Nazwałam ją czarownicą. Kiedy mnie usłyszała, odwróciła się; w świetle latarni zobaczyłam jej twarz. Wciąż mnie nie widziała.

– Więc, czarownico – powiedziałam – już wiesz, jak się nazywasz.

Jeden z tych żołnierzy otworzył bramę i zapytał, co się dzieje. Spodziewałam się, że panna Wstęga powie: „Utnij jej głowę”. Ale ona odrzekła żołnierzowi spokojnie:

– Wołałam moją służącą.

– Mamy jej szukać?

– Nie trzeba. Już ją znalazłam. Widzisz, jest tam – wskazała jakieś miejsce z drugiej strony dziedzińca. – *Nuli!* – krzyknęła w tę pustkę. – Prędko, przynieś mi kluczyk do muzycznej szkatułki!

Jak to? Przecież mnie tam nie ma. Żołnierz wycofał się. Zatrzasnął bramę za sobą. Panna Wstęga odwróciła się i podbiegła do mnie. Przez chwilę jej twarz była

tuż przy mojej. W świetle latarni widziałam w jej oczach udrękę.

– Czy jeszcze jesteś moją wierną przyjaciółką? – zapytała ze smutkiem. Wyciągnęła rękę, w której trzymała kluczyk do muzycznej szkatułki. Zanim się zastanowiłam, o co jej chodzi, szepnęła: – Ty i Yiban musicie dziś stąd uciec. Niech on mną gardzi, inaczej nie odejdzie. Postaraj się, żeby był bezpieczny. Przyrzeknij mi to. – Uścisnęła mi rękę. – Przyrzeknij – powtórzyła.

Przytaknęłam. Wtedy rozwarła moją pięść i zobaczyła ten kamyk. Zabrała go i położyła mi na dłoni kluczyk.

– Co?! – wykrzyknęła. – Zostawiłaś kluczyk w pawilonie? Ty głupia dziewczyno! Prędko, weź tę latarnię, idź do ogrodu. I nie waż mi się wrócić bez kluczyka.

Byłam bardzo szczęśliwa, słysząc jej bajdurzenie.

– Panno Wstęgo – szepnęłam. – Chodź z nami. Już!

Potrząsnęła głową.

– Wtedy on by zabił nas wszystkich. Kiedy odejdzie, my się odnajdziemy.

Puściła moją rękę i poszła po ciemku z powrotem do swojego pokoju.

Yibana zastałam w Ogrodzie Ducha Kupca. Właśnie pogrzebał Lao Lu.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Yiban – powiedziałam i zaczęłam przykrywać świeżą ziemię starymi liśćmi, żeby żołnierze nie znaleźli grobu.

Kiedy skończyłam, Yiban powiedział:

– Lao Lu umiał pilnować bramy zamkniętej, tylko swoich ust nie dopilnował.

Przytaknęłam. I przypomniałam sobie, co przyrzekłam. Więc powiedziałam gniewnie:

– To przez pannę Wstęgę on nie żyje. Rzuciła się w ramiona zdrajcy!

Yiban bez słowa patrzył na swoje zaciśnięte pięści. Szturchnęłam go.

– Hej, Yiban, powinniśmy uciec. Po co umierać za grzechy tych cudzoziemców?

Oni wszyscy to nic dobrego.

– Mylisz się – powiedział Yiban. – Panna Wstęga udaje, że ma serce dla Peleryny, bo chce nas wszystkich ocalić.

Widzisz, jak dobrze ją znał? Więc także wiesz, jak wierutnie ja musiałam kłamać.

– Ha! Udaje! – wykrzyknęłam. – Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć prawdę. Ona wiele razy mi mówiła, że pragnie jego powrotu. Oczywiście, przywiązała się do ciebie, ale tylko w połowie tak jak do generała Peleryny. A wiesz dlaczego? Ty jesteś tylko w połowie cudzoziemcem! Tacy już są Amerykanie. Ona kocha Pelerynę, bo on jest z jej rodzaju. Niełatwo zmienić koleiny wyżłobione w biocie.

Yiban wciąż zaciskał pięści i jego twarz posmutniała, bardzo posmutniała. Na szczęście dla mnie nie musiałam kłamać o pannie Wstędze za dużo. Zgodził się, że powinniśmy uciec. Ale zanim uciekliśmy, poszliśmy w północno-zachodni róg ogrodu i sięgnęliśmy do otwartego słoja, w którym zostały jeszcze dwa kaczki jajka. Nie było czasu, żeby wykopać ich więcej.

– Pójdziemy na Górę Stu Jaskiń – powiedziałam. – Wiem, jak tam trafić.

Zdmuchnęłam latarnię, którą mi dała panna Wstęga, i dałam ją Yibanowi. Potem oboje wymknęliśmy się ogrodową furtką.

Nie szliśmy przez wieś. Skradaliśmy się wzdłuż podnóża góry, gdzie rosły kolczaste krzaki. Kiedyśmy zaczęli wchodzić na pierwsze strome wzniesienie, serce mi łomotało ze strachu, że żołnierze nas zobaczą. Ja, dziewczyna, wspinałam się prędzej niż Yiban, mężczyzna. Miałam moje górskie nogi. Przy kamiennym łuku musiałam zaczekać na niego. Usiłowałam stamtąd wypatrzeć Dom Ducha Kupca, ale było za ciemno. Wyobrażałam sobie, jak panna Wstęga wpatruje się w ten mrok i zastanawia się, czy Yiban i ja już jesteśmy bezpieczni. Potem pomyślałam o Zengu. Czy on widział Pelerynę i żołnierzy? Czy uciekł w góry sam? Akurat kiedy to myślałam, usłyszałam za sobą jego głos wołający:

– Nunumu!

– Ach! – Odwróciłam się. Zobaczyłam jego cień na drugim końcu przejścia pod łukiem. Jakże się ucieszyłam! – Zeng, to ty! Zamartwiałam się o ciebie. Czekaliśmy, a potem przyszli żołnierze...

Przerwał mi:

– Nunumu, śpiesz się. Nie ma czasu na gadanie. Chodź tędy.

Nadal rządził, a to nie była pora, żeby powiedział: Och, mój skarbie, wreszcie cię znalazłem. Kiedy szłam pod łukiem, chciałam dać mu do zrozumienia, jak się cieszę, że jest ze mną, więc niby to utyskiwałam:

– Hej, dlaczego nie przyszedłeś? Myślałam, że się rozmyśliłeś, zabrałeś inną kobietę, jakąś z dwójgiem oczu.

Wyszłam spod łuku. Zeng szedł przy murze wzdłuż wzniesienia. Machnięciem ręki kazał mi iść za sobą.

– Nie idź przez dolinę – powiedział. – Idź jak najwyżej górą.

– Zaczekaj – szepnęłam. – Jeszcze ktoś idzie.

Zeng przystanął. Kiedy się odwróciłam, żeby zobaczyć, czy Yiban nadaża, usłyszałam, jak mój nowy mąż mówi:

– Nunumu, dziś wieczorem żołnierze mnie zabili. Będę czekać na ciebie wiecznie.

– Ajaj! – burknęłam. – Nie żartuj tak. Dziś wieczorem żołnierze zabili Lao Lu. To był najstraszniejszy widok, jaki...

Yiban w końcu wyszedł spod łuku.

– Z kim rozmawiasz? – zapytał.

– Z Zengiem – odrzekłam. – On jest tutaj. Nie widzisz? – Obróciłam się wokoło.

– Zeng? Nie widzę ciebie. Pomachaj ręką... Hej, gdzie jesteś? Zaczekaj!

– Będę czekać na ciebie wiecznie – usłyszałam w uchu jego szept. Ajaj! Dopiero wtedy wiedziałam, że to nie żarty. Zeng nie żyje. Yiban podszedł do mnie.

– Co się dzieje? Gdzie on jest?

Przygryzałam wargi, żeby się nie rozplakać głośno.

– Pomyłka. Zobaczyłam jakiś cień, to wszystko.

Oko mnie piekło i byłam wdzięczna ciemnościom. Już nieważne, czy umrę teraz czy później! Gdybym nie przyrzekła pannie Wstędze, wróciłabym do Domu Ducha Kupca. Ale teraz był Yiban, zdany na mnie; nie wiedział, którędy iść.

– Jak najwyżej górą – powiedziałam.

Przedzieraliśmy się przez krzaki, nie mówiąc już ani słowa, Yiban tak jak ja bolał nad utratą drogiej osoby. Tylko że on i panna Wstęga mogą kiedyś być znowu razem, pomyślałam. Dla Zenga i dla mnie nie ma takiej nadziei. Ale wtedy usłyszałam znowu głos Zenga:

– Nunumu, jak możesz stanowić o przyszłości? A następne życie? Czy nie możemy pobrać się w następnym życiu?

Au! Słyszając to omal się nie stoczyłam do doliny. Pobrać się! On powiedział „pobrać się”!

– Nunumu – mówił dalej – zanim odejdę, zaprowadzę was do jaskini, gdzie powinniście się ukryć. Patrz w ciemnościach moimi oczami.

Od razu zaczęłam widzieć przez opaskę na moim ślepych oku. I zobaczyłam wąską ścieżkę w mglistym świetle. Wszędzie poza tym była czarna ciemność. Odwróciłam się do Yibana.

– Prędko teraz – powiedziałam i pierwsza pomaszerowałam tą ścieżką.

Po kilku godzinach stanęliśmy przed jakimś krzakiem. Kiedy odciągnęłam gałąź, zobaczyłam otwór – dość duży, żeby człowiek się przecisnął. Tym razem Yiban wszedł pierwszy. Zawołał do mnie:

– Tu płytko. Kończy się po paru krokach.

Dlaczego Zeng przywiódł nas do takiej ciasnej jaskini? Moje wątpliwości obrażyły Zenga.



– Nie jest płytko – powiedział. – Tam z lewej strony są dwa głązy. Wejść pomiędzy nie.

Wsunęłam się między głązy i znalazłam ukośny otwór, z którego wiało chłodem.

– To właśnie jest ta dobra jaskinia – powiedziałam Yibanowi. – Nie rozejrzałeś się dość uważnie. Zapal latarnię i wejdź za mną.

Weszliśmy w długi, kręty korytarz z małym strumieniem płynącym z boku. Chwilami gdzieniegdzie ten tunel się rozdwajał i biegł w dwóch kierunkach.

– Jedna droga jest pod górę, druga w dół – powiedział Zeng. – Zawsze idź niżej. Jedna ma strumień, druga jest sucha, idź za wodą. Jedna jest wąska, druga jest szeroka – mówił – wciskaj się w wąską.

Im dalej szliśmy, tym świeższe i bardziej orzeźwiające wdychaliśmy powietrze. Raz po raz skręcaliśmy, aż ujrzeliśmy jakąś niebiańską światłość. Co to? Znaleźliśmy się jak gdyby w pałacowej sali, w której mogłoby się zmieścić tysiąc osób. Było bardzo jasno. Luna biła od jeziora z wodą zielonkawozłotą, luna nie taka jak blask świecy czy lampy, czy słońca. Pomyślałam, że to promienie księżyca padają przez dziurę w świecie.

Yiban myślał, że to może jakiś wulkan kipiący pod ziemią. Albo jakieś pradawne stworzenie morskie o świetlistych oczach. Czy może gwiazda, która się rozpadła na pół i zlatując z nieba przebiła skały i plusnęła do tego jeziora.

Usłyszałam głos Zenga:

– Stąd trafisz już sama. Nie zbłądzisz.

– Nie odchodź – krzyknęłam.

Ale tylko Yiban mi odpowiedział:

– Nawet się nie ruszyłem.

A potem znów nie mogłam widzieć moim ślepym okiem. Czekałam, żeby Zeng się odezwał. I nic. Po prostu odszedł. Bez „do widzenia, serce i wątrobo mojego istnienia. Wkrótce się spotkamy w następnym świecie”. Na tym polega właśnie

kłopot z ludźmi *yin*. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Przychodzą kiedy chcą, odchodzą też kiedy im się podoba. Po mojej śmierci strasznie pokłóciłam się z Zengiem o to.

I wtedy powiedziałam mu tak jak mówię teraz tobie, Starsza Mamo: Odkąd umarłaś, wiem za późno, co rzeczywiście straciłam.

### Fotografia Starszej Mamy

Przez pół nocy słuchałam przemówień Kwan do Starszej Mamy. Teraz oczy mam mętne. A ona jest rześka jak skowronek.

Rocky wiezie nas do Changmian bardzo niepewną ciężarówką. Zwłoki Starszej Mamy owinięte całunem leżą na ławce z tyłu. Przed każdym skrzyżowaniem ciężarówka zatrzymuje się, kaszle, beka i kona. Rocky wtedy wyskakuje, podnosi maskę, uderza pięścią w poszczególne metalowe części silnika, rycząc po chińsku:

– Kichać na twoich przodków! Ty leniwy robaku!

Jakimś cudem to zaklęcie działa, ku niemałej uldze naszej i trąbiących kierowców za nami. W ciężarówce jest zimno jak w lodówce – ze względu na Starszą Mamę i jej smutny stan Rocky wyłączył ogrzewanie. Wyglądam przez okno. Mgła unosi się z rowów nawadniających, także szczyty gór zamglone. Raczej kiepski początek dnia.

Kwan siedzi z tyłu i gawędzi ze zwłokami Starszej Mamy jak dziewczynka z dziewczynką w drodze do szkoły. Ja siedzę na ławce przed nią, a Simon zajmuje miejsce pasażera tuż za Rockym, zaznaczając proletariackie koleżeństwo i – podejrzewam – czuwając nad niebezpiecznymi szoferskimi manewrami. Wcześniej tego ranka, kiedyśmy się wymeldowali z hotelu Sheraton i załadowaliśmy nasze bagaże, powiedziałam Simonowi:

– Dzięki Bogu, to będzie nasza ostatnia przejażdżka z Rockym.

Kwan rzuciła mi spojrzenie pełne zgrozy.

– Au! Nie mów „ostatnia”. Pecha przynosi takie mówienie.

Pech czy nie, przynajmniej nie będziemy musieli telepać się codziennie do

Changmian i z powrotem.

Pomieszkamy przez dwa tygodnie w tej wsi bezpłatnie za łaskawym zezwoleniem Starszej Mamy, która, jak twierdzi Kwan, „zaprosiła nas jeszcze zanim umarła”.

Ciężarówka metalicznie grzechocze. Kwan chwali się przed nieboszczką:

– Ten sweter, widzisz, wygląda na wełniany, prawda? A jest z akrylika... mhm... do pralkoprania. – Mówi „akrylik” i „pralkopranie” swoiście po angielsku i zaraz wyjaśnia po chińsku, że pralki i suszarki mają duże znaczenie w amerykańskim sądownictwie.

– W Kalifornii nie można wieszać prania na balkonie albo w oknie. Och, nie. Sąsiedzi zaraz wezwą policję i będzie wstyd. Ameryka nie ma takiej wolności, jak myślisz. Nie uwierzyłybyś, ile rzeczy jest zabronionych. Ja jednak uważam, że niektóre przepisy są dobre. Nie można palić, chyba że w więzieniu. Nie można rzucać skórek pomarańczy na bruk. Nie można wysadzać dziecka na chodniku. Ale niektóre przepisy są śmieszne. Nie można rozmawiać w kinie. Nie można jeść za dużo tłustego jedzenia...

Rocky pełnym gazem pędzi wyboistą szosą. Teraz do mojej troski o zdrowie psychiczne Kwan dołącza się obawa, że zwłoki Starszej Mamy spadną na podłogę ciężarówki.

– Poza tym nie można zmuszać swoich dzieci do pracy – ciągnie Kwan autorytatywnie. – Mówię ci szczerą prawdę! Pamiętasz, jak mi kazałaś zbierać chrust na opał? Och, tak, ja pamiętam. W zimie musiałam biegać tam i z powrotem, to tu, to tam. Moje biedne małe paluszki, spuchnięte, skostniałe z zimna! A ty moje wiązki chrustu sprzedawałaś do innych domów i pieniądze brałaś sobie. Nie, ja nie mam ci tego za złe, już nie. Oczywiście wiem, w tamtych czasach wszyscy musieli ciężko pracować. Ale w Ameryce wpakowaliby cię do więzienia za traktowanie mnie w ten sposób. I za trzepanie mnie po twarzy tak często, i szczypanie mnie w policzki tymi

twoimi ostrymi paznokciami. Nie pamiętasz? No to zobacz te blizny tu na moim policzku, dwie takie, jakby mnie szczur pogryzł. I kiedy sobie to przypomnisz, powiem ci raz jeszcze: ja nie dałam tych spleśniałych ciastek ryżowych świniom. Czemu bym miała kłamać teraz? Tak jak ci powiedziałam, ukradła je krewniaczka Wu. Wiem, bo widziałam, jak po kolei z każdego ciastka ścinała tę zieloną pleśń. Sama ją teraz zapytaj, ona pewnie już nie żyje. Zapytaj, dlaczego skłamała, że ja je wyrzuciłam.

Przez następne dziesięć minut Kwan jest niezwykle cicha. Przypuszczam, że ona i Starsza Mama raczą się nawzajem chińskim milczeniem. Ale nagle Kwan woła do mnie po angielsku:

– Libbi-ja! Starsza Mama pyta, czy możesz ją sfotografować. Mówi, że nie ma dobrej fotografii za życia. – I nie czekając na odpowiedź, dalej tłumaczy mi z języka *yin*: – Dziś po południu, ona mówi, najlepszy czas do fotografowania, kiedy będzie w najlepszych rzeczach, najlepszych pantoflach. – Rozpromieniona, uśmiecha się do Starszej Mamy, i znów odwraca się do mnie: – Starsza Mama mówi, że jest dumna aż słów brak, że ma taką sławną fotografkę w rodzinie.

– Nie jestem sławna.

– Nie sprzeciwiaj się Starszej Mamie. Dla niej jesteś sławna. Tylko to się liczy.

Simon wstaje ze swego miejsca, podchodzi chwiejnie i siada przy mnie.

– Chyba – szepcze – nie będziesz naprawdę fotografować trupa?

– A co mam powiedzieć? „Przepraszam, ja nie fotografuję zmarłych, ale mogę polecić kogoś z kolegów po fachu?”

– Mogłaby się okazać niezbyt fotogeniczna.

– No, nie żartuj.

– Przecież rozumiesz, że to Kwan chce fotografii, a nie Starsza Mama.

– Czy musisz mi udzielać zgoła zbędnych informacji?

– Tylko dla sprawdzenia, teraz, kiedy jesteśmy w Chinach. Sporo tutaj

niesamowitości, a to dopiero nasz drugi dzień.

Przyjeżdżamy do Changmian. Cztery podstarzałe kobiety chwytają nasze bagaże i kiedy protestujemy, zapewniają ze śmiechem, że każda z nich jest silniejsza niż my troje razem wzięci. Niczym nie obciążeni wędrujemy przez labirynt brukowanych uliczek i wąskich zaułków do domu Starszej Mamy. Jest to dom zupełnie taki sam jak wszystkie inne w tej wsi – parterowa, otoczona murem chata z cegieł z mułu. Kwan otwiera drewnianą furtkę i wkraczamy. Na podwórzu maleńka staruszka pompuje do wiadra wodę ze studni. Podnosi wzrok zaskoczona i już zaraz uradowana przybyciem Kwan.

– Haa! – wykrzykuje. Z jej otwartych ust dobywają się obłoczki pary. Jedno oko ma mocno zamknięte, drugim łypie jak żaba czyhająca na muchy.

Następuje powitanie. Kwan i staruszka padają sobie w objęcia, szturchają się i od razu zaczynają mówić dialektem Changmian. Staruszka wskazuje kruszący się murek i spode łba spogląda na wygasłe ognisko. Najwyraźniej przeprosza za ubóstwo domu i za to, że nie przygotowała bankietu z czterdziestoosobową orkiestrą, by uczyć nasz przyjazd.

– To jest Du Lili, stara przyjaciółka mojej rodziny – przedstawia ją Kwan Simonowi i mnie po angielsku. – Wczoraj na zboczach góry zbierała grzyby. Kiedy wróciła, dowiedziała się, że ja już przyjechałam i wyjechałam.

Du Lili wykrzywia twarz boleśnie, jak gdyby rozumiała ten angielski przekład jej rozczarowania. Kiwamy głowami ze współczuciem.

Kwan mówi dalej:

– Dawno temu mieszkaliśmy razem w tym domu. Mów do niej po mandaryńsku, Libbi-ja. Ona zrozumie. – Z kolei wyjaśnia przyjaciółce rodziny: – Moja młodsza siostra Libbi-ja mówi po mandaryńsku dziwnie, na sposób amerykański, jej myśli i zdania biegną w tył. Zobaczysz. A ten tutaj to jej mąż Simon. Jest jak głuchoniemy,

mówi tylko po angielsku. Oczywiście, oni są na pół Chińczykami.

– Aaach. – Ton Du Lili chyba jest zaprawiony zgorszeniem albo niesmakiem. – Tylko na pół. To jak mówią do siebie?

– Po amerykańsku – odpowiada Kwan.

– Aaach. – Znow nuta chyba odrazy. Du Lili przygląda mi się, jak gdyby już zaczynała się odłuskiwać chińska połowa mojej twarzy. – Możesz trochę zrozumieć? – pyta mnie powoli w języku mandarynów. I kiedy przytakuję, mówi szybciej: – Taka chuda! Dlaczego jesteś taka chuda? Tst, tst! Myślałam, że ludzie w Ameryce się najadają. Czy masz słabe zdrowie? Kwan! Nie możesz porządnie odżywiać swojej młodszej siostry?

– Usiłuję – zapewnia Kwan. – Ale ona nie chce jeść! Amerykańskie dziewczyny wszystkie chcą być chude.

Du Lili przygląda się teraz Simonowi.

– Och, jak gwiazdor filmów, ten mąż.

Staje na palcach, żeby go lepiej zobaczyć. Simon patrzy na nią, unosząc brwi.

– Proszę o przetłumaczenie.

– Ona mówi, że byłbyś dobrym mężem dla jej córki – mówię i mrugam do Kwan, starając się zachować poważną minę.

Simon szeroko otwiera oczy. To jest nasza gra z początków wspólnego życia. Ja udawałam, że mu tłumaczę z chińskiego, mówiłam jakieś bzdury, po czym oboje rozwijaliśmy tę fikcję, aż któreś z nas już nie mogło powstrzymać się od śmiechu.

Du Lili bierze Simona za rękę i wprowadza go do domu.

– Chodź – mówi. – Chcę ci coś pokazać.

Kwan i ja idziemy za nimi.

– Ona musi przedtem zajrzeć ci w zęby – tłumaczę Simonowi. – Taki jest obyczaj przed zaręczynami.

Znajdujemy się w pomieszczeniu dwadzieścia na dwanaście stóp, które Du Lili

nazywa środkowym pokojem. Jest ciemno, umeblowanie skąpe – dwie ławki i kuchenny stół – poza tym rozrzucone słoje, kosze i skrzynki. Z belek zwisają suszone mięsiwa i papryka, różne koszyki. Nie ma żadnych urządzeń oświetlających. Podłoga to klepisko. Du Lili wskazuje prosty drewniany stolik-ołtarzyk przy ścianie w głębi. Każe Simonowi stanąć tam.

– Żeby zobaczyć, czy bogowie cię akceptują – tłumaczę.

Kwan ściąga usta. Mrugam do niej.

Nad stolikiem wiszą przypięte pluskiewkami różowe papierowe wstęgi zdobne w wyblakłe hieroglify. Pośrodku portret Mao z czołem rozdartym i sklejonym pożółkłą taśmą. Z lewej strony obrazek w spękanej pozłacanej ramce: Pan Jezus wznosi ręce do złotego promienia światłości. A z prawej to, co Du Lili chce pokazać Simonowi: na fotografii wyciętej ze starego kalendarza jakiś sobowtór Bruce'a Lee przebrany za starożytnego wojownika, żłopiący zieloną lemoniadę.

– Widzisz tego gwiazdora? – pyta Du Lili. – Ty wyglądasz jak on... Gęste włosy, gorące oczy, mocne usta tak samo, och, bardzo urodziwy.

Przyglądam się tej fotografii, a potem Simonowi, który czeka, żebym przetłumaczyła.

– Ona mówi, że jesteś podobny do tego zbrodniarza na chińskiej liście najbardziej poszukiwanych. Ślub z jej córką odpada. Dadzą jej tysiąc juanów nagrody, a ciebie zamkną.

Simon wskazuje fotografię, potem siebie, i pyta bezgłośnie:

– Ja? – Potrząsa głową, protestuje łamaną chińską angielszczyzną: – Nie, nie. Nie ten. Ja Amerykan, porządny gość. Ten człowiek zły, kto inny.

Już nie mogę zachować powagi. Parskam śmiechem.

– Ja wygrałem – pyszni się Simon.

Kwan tłumaczy Du Lili nasze wygłupy. Przez kilka sekund Simon i ja uśmiechamy się do siebie. Pierwsza od dawna chwila serdeczności między nami. Na



którym etapie naszego małżeństwa przekomarzenie zmieniło się w sarkazm?

– Naprawdę Du Lili powiedziała, że jesteś przystojny jak ten gwiazdor.

Simon splata ręce i ukłonem dziękuje Du Lili. Ona odpowiada ukłonem, rada, że w końcu zrozumiał jej komplement.

– A wiesz – mówię – że w tym świetle naprawdę wyglądasz dobrze, inaczej.

– Hm. Jak to?

Jego brwi tańczą kokieteryjnie. Robi mi się głupio.

– Och, nie wiem – mamroczę; twarz mnie pali. – Może bardziej wyglądasz na Chińczyka czy tak jakoś. – Odwracam się i z udanym zainteresowaniem przyglądam się fotografii Mao.

– No, mówią o parach małżeńskich, że z biegiem lat coraz bardziej się do siebie upodobniają.

Wpatrzona w ścianę zastanawiam się, co właściwie Simon sobie myśli.

– Popatrz – mówię – Jezus tuż przy Mao. Czy to w Chinach nie zabronione?

– Może Du Lili nie wie, kto to jest Jezus. Może w jej pojęciu jest gwiazdorem reklamującym żarówki.

Już chcę zapytać Du Lili o ten obrazek Jezusa, kiedy Kwan odwraca się na pięcie i woła do ciemnych postaci w jasnych drzwiach:

– Wejdźcie! Wejdźcie. – Staje się ruchliwa i czynna. – Simon, Libbi-ja, prędko! Pomóżcie ciociom przy naszym bagażu.

Nasze podstarzałe bagażowe odpychają nas na bok i głośno sapiąc wtaszcniają walizki i sukienne torby, bardzo od dołu zabłocone.

– Otwórz swoją torbę – mówi Kwan i nie czekając sama grzebie w moich drobiazgach. Najwidoczniej szuka pieniędzy na napiwki. Ale nie. Wyjmuje pudełko marlborough lights i wręcza jednej z kobiet. Starsze panie zapalają papierosy. W chmurze dymu wychodzą.

Kwan wciąga swoją walizkę do ciemnego pokoju z prawej strony.

– My śpimy tutaj – mówi.

Gestem przyzywa mnie. Spodziewam się, że to ponura sypialnia komunistyczna, urządzona tak skromnie jak cała reszta domu. Ale kiedy Kwan otwiera okno, widzę w blasku przedpołudniowego słońca małżeńskie łóżko pod postrzępionym baldachimem z poszarzałą moskitierą. Jest to pięknie rzeźbiony, cudowny antyk, prawie zupełnie taki jak ten, który pożądliwie podziwiałam w sklepie na Union Street. Na łóżku leży pościel: materac obciążony prześcieradłem, spiętrzone schludnie w nogach poduszki i złożona kołdra.

– Skąd wzięła to Starsza Mama? – zdumiewam się.

– I to. – Simon głaszcze marmurowy blat toaletki z lustrem, w którym więcej jest srebra niż odbicia. – Myślałem, że wszystkich takich imperialistycznych mebli pozbyli się w czasie rewolucji.

– Och, te starocia! – Kwan macha lekceważąco ręką, pełna dumy. – Są w naszej rodzinie od dawna. W czasie Rewolucji Kulturalnej Starsza Mama ukrywała je pod słomą w szopie. Tak to wszystko przechowała.

– Przechowała? – pytam. – Więc skąd nasza rodzina miała je pierwotnie?

– Pierwotnie pani misjonarka dała je dziadkowi naszej matki; spłata wielkiego długu.

– Jakiego wielkiego długu?

– Bardzo długa historia. To się zdarzyło, och, sto lat...

Simon przerywa:

– Nie moglibyśmy porozmawiać o tym później? Chciałbym się urządzić w drugiej sypialni.

Kwan prycha pogardliwie.

– Aha... – Teraz Simon ma twarz bez wyrazu. – Z tego wnoszę, że drugiej sypialni nie ma.

– Druga sypialnia należy do Du Lili, tylko jedno małe łóżko.

– No to gdzie będziemy wszyscy spać?

Rozglądam się po pokoju za dodatkowym materacem, poduszką. Kwan nonszalancko wskazuje małżeńskie łóżko. Simon uśmiecha się do mnie i wzrusza ramionami przepraszająco, co wyraźnie jest nieszczerze.

– To łóżko ledwie wystarczy dla dwóch osób – mówię do Kwan. – Ty i ja możemy tu spać, ale trzeba znaleźć jakieś łóżko dla Simona.

– Gdzie?

Kwan patrzy w sufit unosząc dłonie, jak gdyby łóżka mogły spadać z nieba.

Panika zaciska mi gardło.

– No, ktoś na pewno ma jakiś dodatkowy materac czy coś.

Kwan tłumaczy to Du Lili, która także unosi dłonie.

– Widzisz? – mówi Kwan. – Nic.

– W porządku. Ja mogę spać na podłodze – ofiarowuje się Simon.

Kwan i to tłumaczy Du Lili, która zaczyna chichotać.

– Chcesz spać z pluskwami? – pyta Kwan Simona. – Gryzącymi pajakami? Dużymi szczurami? Och, tak, wiele szczurów jest tutaj, odgryzają ludziom palce. – Udaje, że zęby jej dzwonią. – I co powiesz? Nie. Jedyny sposób to w łóżku we troje. Zresztą tylko przez dwa tygodnie.

– To nie jest rozwiązanie – mówię.

Du Lili zafrasowana szepcze coś do Kwan. Kwan odpowiada jej szeptem, przechyla głowę w moją stronę, a potem w stronę Simona.

– *Bu-bu-bu-bu-bu!* – wykrzykuje Du Lili i te swoje chińskie „nie” zaznacza raptownymi skrętami szyi. Chwyta mnie za rękę i za rękę Simona, próbuje nasze ręce połączyć, jakbyśmy byli dwojgiem kłócących się dzieci.

– Słuchajcie, wy narwańcy – karci nas w języku mandarynów. – My tu nie mamy dosyć zbytków dla waszej amerykańskiej głupoty. Posłuchajcie swojej cici, śpijcie w jednym łóżku, a jutro rano będziecie rozgrzani i szczęśliwi jak dawniej.

– Nie rozumiesz – mówię jej.

– *Bu-bu-bu!* – Du Lili machnięciem ręki odrzuca kulawą amerykańską argumentację.

Simon wzdycha, rozjątrzony.

– Chyba pójde się przejść, kiedy wy będziecie to rozpracowywać. Ja osobiście się dostosuję. Może być trio, czyli tłum, mogą być szczury na podłodze. Naprawdę wszystko mi jedno, jak zdecydujecie.

Czy gniewa się na mnie, bo ja tak protestuję? To nie moja wina – chcę wrzasnąć, ale on wychodzi. Du Lili idzie za nim, upominając go po chińsku:

– Są kłopoty, ty masz się nimi zająć. Ty jesteś mężem. Ona cię usłucha, ale masz uczciwie poprosić o przebaczenie. Mąż i żona, żeby nie chcieli spać ze sobą! Nienaturalne.

Kiedy zostajemy same, patrzę na Kwan spode łba.

– Zaplanowałaś to wszystko, prawda?

Kwan udaje, że się obraziła.

– To nie jest plan. To są Chiny.

Po długiej chwili ciszy skwaszona się wycofuję.

– Muszę skorzystać z łazienki. Gdzie tu jest łazienka?

– Tą uliczką w lewo, zobaczysz małą szopę, duża stertę czarnego popiołu...

– Czy to znaczy, że nie ma żadnej łazienki w tym domu?

– Co ja ci powiedziałam? – Teraz Kwan promienieje, zwycięska. – To są Chiny.

Jemy proletariacki obiad: ryż z soją. Du Lili na naleganie Kwan zgarnia resztki na jeden talerz i wyrzuca. Po obiedzie Kwan idzie znów do świetlicy, żeby przed fotografowaniem przygotować Starszą Mamę. Simon i ja wyruszamy w dwóch różnych kierunkach na zwiedzanie Changmian. Trasa, którą ja wybieram, biegnie wąską drogą przecinającą mokre pola, skąd widzę, jak kaczki w dali telepią się jedna

za drugą równoległe do horyzontu. Czyżby chińskie kaczki były bardziej zdyscyplinowane niż kaczki amerykańskie? Czy kwaczą inaczej? Pstrykam tylko kilka zdjęć na pamiątkę tych moich inteligentnych refleksji.

Kiedy wracam, Du Lili oznajmia, że Starsza Mama czeka na sfotografowanie już od pół godziny. Idziemy we dwie do świetlicy. Du Lili bierze mnie za rękę i gawędzi po mandaryńsku:

– Twoja starsza siostra i ja kiedyś chlapałyśmy się razem na tych ryżowych polach. Widzisz, tam.

Wyobrażam to sobie: młoda Du Lili czuwa nad jeszcze malutką Kwan.

– Czasami łąpałyśmy kijanki – opowiada Du Lili, przybierając ton dziewczynki.  
– Zdejmowałyśmy chustki z głów, żeby mieć z nich siatki, łąpałyśmy o tak. – Pokazuje gestem i udaje, że brodzi w mule. – W tamtych czasach przywódcy naszej wsi mówili mężatkom, że połykanie mnóstwa kijanek jest dobre na kontrolę urodzeń. Kontrola urodzeń! Myśmy nawet nie wiedziały, co to jest. Ale twoja siostra powiedziała: „Du Lili, powinnyśmy być grzeczne małe komunistki”. Kazała mi jeść te czarne stworzenia.

– Chyba nie zjadałaś!?

– Jak mogłam nie usłuchać? Kwan starsza ode mnie o dwa miesiące!

Starsza? Rozdziawiłam usta. Jakże to możliwe? Kwan starsza od Du Lili? Du Lili wygląda na staruszkę co najmniej stuletnią. Ręce ma szorstkie i stwardniałe, twarz pobrużdżoną i brak jej kilku zębów. A może to dlatego, że po całodziennej ciężkiej harówce na ryżowych polach nie smarowała się olejkami Olay.

Du Lili cmoka.

– Połknęłam ich ze dwanaście albo i więcej. Czulałam, jak mi się wiją w gardle, pływają w żołądku, a potem suwają mi się po żyłach. Skręcały się w całym moim ciele, aż pewnego dnia dostałam gorączki i jeden lekarz z dużego miasta powiedział: „Hej, towarzyszo Du Lili, jadłaś kijanki? Masz we krwi pasożyty!”

Śmieje się i od razu poważnieje.

– Czasami myślę, czy to nie z tego powodu nikt nie chciał się ze mną ożenić. Tak, to musi być powód. Wszyscy słyszeli, że jadłam kijanki, więc nie mogę urodzić syna.

Spoglądam na drgające oko Du Lili, na jej zgrubiałą od słońca skórę. Bardzo niesprawiedliwie potraktowało ją życie.

– Ale nie martw się. – Du Lili głaszcząc mnie po ręce. – Ja nie zwałam winy na twoją siostrę. Nieraz myślę: Dobrze, że nie wyszłam za męża. Tak, tak, ileż to kłopotu dbać o mężczyznę. Jak słyszałam, połowa mózgu mężczyzny jest między jego nogami.... ha! – Chwyta się za krocze i idzie przed siebie, udając pijaną. Po chwili poważnieje. – Ale też nieraz mówię sobie: Du Lili, byłabyś dobrą matką, tak, czujną i surową co do moralności.

– Czasami dzieci sprawiają mnóstwo kłopotów – mówię uspokajająco.

Du Lili zgadza się.

– Mnóstwo bólu głowy.

Idziemy dalej, milczymy. Du Lili w przeciwieństwie do Kwan wydaje się rozsądna, przyziemna; taka, której można się zwierzyć. Ona nie obcuje ze Światem Yin, albo przynajmniej nie mówi o tym. A może obcuje?

– Du Lili – pytam – możesz widywać duchy?

– Ach, tak jak Kwan? Nie, ja nie mam oczu *yin*.

– Czy jeszcze ktoś w Changmian widuje duchy?

Du Li potrząsa głową przecząco.

– Tylko twoja starsza siostra.

– Więc kiedy Kwan mówi, że widzi ducha, wszyscy jej wierzą?

Du Lili niepewnie odwraca głowę. Proszę ją, żeby była ze mną szczerą.

– Ja osobiście nie wierzę w duchy – dodaję. – Myślę, że ludzie widzą to, co w głębi serca chcą widzieć. Duchy pochodzą z ich wyobraźni i pragnień. Co ty o tym

myślisz?

– Ach? Czy ważne, co ja myślę? – Du Lili nie chce mi spojrzeć w oczy. Pochyla się i wyciera czubek swego zabłoconego pantofla. – Od tylu lat nakazują nam, w co wierzyć. Wierzyć w bogów! Wierzyć w przodków! Wierzyć w Mao Tse-tunga, naszego przewodniczącego partii! Wierzyć w zmarłych bohaterów! Ja tam wierzę we wszystko, co się nadaje do życia i z czym najmniej kłopotu. Większość tutejszych ludzi tak samo.

– Więc nie wierzysz, że duch Starszej Mamy jest tutaj w Changmian? – staram się ją przyprzeć do muru.

Du Lili trąca mnie w ramię.

– Starsza Mama jest moją przyjaciółką. Twoja siostra także jest moją przyjaciółką. Ja bym nigdy nie zaszkodziła ani jednej, ani drugiej tej przyjaźni. Może duch Starszej Mamy jest tutaj, może nie jest. Czy to ważne? Już rozumiesz?

– Mhm.

Idziemy dalej, milczymy. Czy chiński sposób myślenia kiedykolwiek zakorzeni się w moim mózgu? Du Lili chichocze, jak gdyby tę moją myśl usłyszała. Wiem, co ona myśli. Że jestem jak ci uczeni studenci, którzy przyjechali do Changmian tacy mądrzy, tacy pewni swoich poglądów. Usiłowali rozmnożyć muły, a skończyło się na tym, że zrobili z siebie osły.

Dochodzimy do bramy świetlicy akurat w chwili, gdy zaczyna padać ulewny deszcz, tak gwałtownie, że serce mi łomocze w panice. Pędzimy przez otwarty dziedziniec, dwuskrzydłowymi drzwiami wbiegamy do dużej sali. Już przemarłam. W powietrzu czuć zatęchłą wilgoć. Wyobrażam sobie, że to produkt uboczny butwienia szkieletów przez setki, setki lat.

Ta balsamiczna jesienna pogoda, z której Guilin rzekomo słynie, wcześniej się skończyła i chociaż pod kurtką z kapturem mam na sobie tyle tekstyliów, ile tylko się

pod nią mieści, zęby mi podzwaniają, palce drętwieją. Jak ja teraz cokolwiek sfotografuję?

Kilkanaście osób maluje białe pogrzebowe chorągwie, ozdabia ściany i stoły białymi draperiami, ustawia świece. Ich donośne głosy zagłuszają bębnienie ulewy. Kwan stoi przy trumnie. Podchodzę, wzdrygając się w duchu przed zobaczeniem tego, co mam sfotografować. Wyobrażam sobie, że Starsza Mama jest zmasakrowana. Ale potwierdzająco kiwam głową do Kwan. Co za ulga! Twarz Starszej Mamy jest zasłonięta arkuszem białego papieru. Starannie przybieram ton pełen szacunku.

– Pewnie ta katastrofa zniekształciła twarz.

Kwan jest wyraźnie zdumiona.

– Och, chodzi ci o ten papier? – mówi po chińsku. – Nie, nie, to taki zwyczaj, trzeba go położyć.

– Dlaczego?

– Co? – Kwan przechyla głowę, jak gdyby odpowiedź miała spłynąć w jej ucho prosto z niebios. – Jeżeli papier się poruszy – wyjaśnia – to ta zmarła osoba jeszcze oddycha, więc za wcześnie, żeby pogrzebać zwłoki. Ale Starsza Mama na pewno nie żyje. Właśnie mi to powiedziała. – I zanim biorę się w garść, Kwan sięga ręką do trumny, podnosi ten papier.

Starsza Mama z pewnością wygląda na martwą, chociaż nie okropnie. Czoło jest pofałdowane fraszunkiem, usta skrzywione w wieczystym grymasie. Zawsze myślałam, że kiedy człowiek umiera, mięśnie jego twarzy rozluźniają się, co nadaje mu wygląd spokoju.

– Jej usta... – jękam się po chińsku – wykrzywione. Jakby konała w mękach.

Kwan i Du Lili jednocześnie się pochylają, żeby popatrzeć na Starszą Mamę.

– Możliwe – mówi Du Lili. – Ale teraz ona wygląda bardzo jak za życia. Zawsze tak się krzywiła.



Kwan potwierdza.

– Jeszcze zanim wyjechałam z Chin, miała twarz właśnie taką: zmartwioną i niezadowoloną zarazem.

– Była bardzo gruba – zauważam.

– Nie, nie – mówi Kwan. – Tobie tak się zdaje, bo jest grubo ubrana do wędrówki na tamten świat. Siedem warstw ma od pasa w górę i pięć od pasa w dół.

Wskazuję kurtkę narciarską, którą Kwan wybrała na siódmą wierzchnią warstwę. Kurtka jest purpurowa z błyszczącymi, w stylu Dzikiego Zachodu, detalami; to jeden z prezentów, które Kwan kupiła na wyprzedaży u Macy'ego, mając nadzieję, że zaimponuje Starszej Mamie. Jeszcze nie odcięta tekturka z ceną dowodzi, że ta kurtka nie została kupiona z drugiej ręki jako używana.

– Bardzo ładna – mówię myśląc, że w czymś takim bym nie marzyła.

Kwan patrzy na mnie z dumą.

– I praktyczna w dodatku. Nieprzemakalna.

– Chcesz przez to powiedzieć, że na tamtym świecie pada deszcz?

– Tst! Oczywiście że nie. Tam pogoda jest zawsze taka sama. Nie za gorąco, nie za zimno.

– Więc dlaczego zaznaczyłaś, że ta kurtka jest nieprzemakalna?

Kwan patrzy na mnie bezradnie.

– No bo jest.

Chuchaniem próbuję rozgrzać sobie palce.

– Jeżeli pogoda na tamtym świecie jest taka ładna, to po co tyle ubrania? Siedem i pięć warstw?

Kwan odwraca się do Starszej Mamy i powtarza moje pytanie po chińsku. Kiwa głową, jakby słuchała kogoś przez telefon.

– Aha. Aha. Aha. Aha, aha.

Po czym tłumaczy odpowiedź moim śmiertelnym uszom.

– Starsza Mama mówi: Rząd tak długo nie pozwalał na duchy i na ludzi *yin*, że ona nawet po śmierci nie pamięta tych wszystkich obyczajów i co znaczą.

– A teraz rząd pozwala na duchy?

– Nie, nie, tylko już nie trzeba płacić grzywny, jeżeli się daje im wracać. Ale ten obyczaj jest dalej taki, jak trzeba: siedem warstw i pięć warstw, zawsze od pasa w górę o dwie więcej niż od pasa w dół. Starsza Mama myśli, że siedem to jest siedem dni tygodnia, jedna warstwa na każdy dzień. W dawnych czasach ludzie byli w żałobie po krewnych przez siedem tygodni, czterdzieści dziewięć dni. W tych czasach, teraz, jesteśmy tacy niegodziwi jak cudzoziemcy, kilka dni wystarczy.

– Ale od pasa w dół jest tylko pięć warstw?

Du Lili uśmiecha się.

– To znaczy, że przez dwa dni w tygodniu Starsza Mama musi chodzić po tamtym świecie z gołym tyłkiem.

I obie, Du Lili i Kwan pokładają się ze śmiechu. Wszyscy w sali odwracają się i gapią.

– Dość, już dość! – wykrzykuje Kwan, usiłując się opanować.

– Starsza Mama nas beszta. Mówi, że za krótko jest nieboszczką, żebyśmy sobie takie żarty stroiły. – Poważnieje. – Starsza Mama nie jest pewna, ale myśli, że pięć oznacza te wszystkie zwykłe rzeczy, które łączą śmiertelników z żywym światem. Pięć kolorów, pięć smaków, pięć zmysłów, pięć żywiołów, pięć uczuć... – Urywa. – Starsza Mamo, przecież jest siedem uczuć... Ach nie, tylko pięć! – Wylicza je na palcach, poczynając od kciuka: – Radość, gniew, lęk, miłość, nienawiść, pożądanie... I jeszcze jedno... No, co? Ach, właśnie! Smutek! Nie, nie, Starsza Mamo, nie zapomniałam. Jak mogłabym zapomnieć? Oczywiście czuję smutek teraz, kiedy odchodzisz z tego świata. Jak możesz mówić coś podobnego? W nocy płakałam nie na pokaz. Widziałas przecież. To był smutek prawdziwy, nie udawany. Dlaczego zawsze masz o mnie jak najgorsze wyobrażenie?

– Ajaj! – wykrzykuje Du Lili do zwłok Starszej Mamy. – Już się nie kłóć teraz, kiedy nie żyjesz! – Łypie okiem na mnie i mruga.

– Nie zapomnę – zapewnia Kwan Starszą Mamę. – Kogut. Tańczący kogut, nie kura ani kaczka. Teraz wiem.

– Co ona mówi? – pytam.

– Chce koguta przywiązanego do wieka trumny.

– Po co?

– Libbi-ja chce wiedzieć po co. – Kwan słucha przez długą chwilę, po czym mówi mi: – Starsza Mama nie pamięta dokładnie, ale myśli, że jej duch ma wejść w koguta, żeby odlecieć.

– I ty w to wierzysz?

Kwan uśmiecha się.

– Oczywiście, że nie! Nawet Starsza Mama w to nie wierzy. To tylko taki przesąd.

– No jeżeli nie wierzy, to po co to jej?

– Tst! Dla tradycji! A także na postrach dla dzieci. Amerykanie robią tak samo.

– Nie, my nie.

Kwan uracza mnie pełnym poczucia wyższości spojrzeniem starszej siostry.

– Ty nie pamiętasz! Kiedy przyjechałam do Stanów, opowiadałaś mi, że króliki raz na rok znoszą jajka i zmarli wychodzą z jaskiń, żeby tych jajek szukać.

– Nie opowiadałam.

– Owszem, opowiadałaś i jeszcze mówiłaś, że jeżeli nie będę tego słuchać, Święty Mikołaj przyjdzie przez komin, wsadzi mnie do worka i zabierze dokądś, gdzie jest bardzo zimno, zimniej niż w zamrażalniku.

– Nigdy tego nie mówiłam. – Jednak, protestując, niejasno sobie przypominam gwiazdkowe nabieranie Kwan w którymś roku. – Może po prostu źle mnie zrozumiałaś.

Kwan wydyma dolną wargę.

– Hej, jestem twoją starszą siostrą. Tobie się zdaje, że nie rozumiem, o co ci chodzi? Ha! No, nieważne. Starsza Mama mówi: Dość już gadaniny. Czas fotografować.

Staram się skupić na swoim zadaniu. Sprawdzam natężenie światła. Konieczny będzie statyw. W pobliżu pali się wprawdzie tylko kilka białych świec, ale światło, które pada przez brudne okna, jest zbyt ostre. Nie ma oświetlenia górnego, żadnych lamp ani kontaktów w ścianach. Jeżeli użyję flesza, Starsza Mama może wyjść na fotografii zbyt upiornie. Postanawiam wykorzystać efekt światłocienia, połączenie dobrej widoczności i mroku. Cała sekunda i ładnie wyjdą rysy jednej połowy twarzy Starszej Mamy, cienie śmierci na drugiej.

Wyciągam statyw, nastawiam mój hassellblad, dołączam kolorowy polaroid, żeby zrobić próbne zdjęcie.

– Dobrze, Starsza Mamo – mówię – nie ruszaj się.

Czy ja tracę zmysły? Mówię do Starszej Mamy, jakbym wierzyła, że ona mnie słyszy! I dlaczego robię taką wielką sprawę ze sfotografowania jakiejś nieboszczki? Przecież to nie będzie fotografia do zamieszczenia w reportażu. Z drugiej jednak strony wszystko tu jest ważne, czy też takie powinno być. Każde zdjęcie musi być najlepsze, na jakie mnie stać. Choć może to jeszcze jeden z mitów hołubionych przez ludzi z wielkimi osiągnięciami po to, żeby wszyscy inni zawsze mieli się za żalonych nieudaczników.

Nie mogę jednak snuć tych rozważań dalej, bo już zbiera się wokół mnie kilkanaście osób ciekawych, co wyskoczy z mojego aparatu. Na pewno większość z nich widziała stoiska fotograficzne dla turystów, gdzie można od razu dostać swoje zdjęcie za wściekle wygórowaną cenę.

– Nie pchajcie się – mówię, kiedy krąg się zacieśnia. Przykładam odbitkę do piersi, ciepłem przyspieszam wywołanie. Wieśniacy cichną, chyba myślą, że hałas

by mi przeszkodził. Odrywam wierzch i oglądam próbkę. Kontrast za ostry jak na mój gust, ale pokazuję im fotografię.

– Bardzo prawdziwa! – wykrzykuje ktoś.

– Świetna – osądza ktoś inny. – Patrzcie, jak Starsza Mama wygląda... zupełnie jakby miała wstać, żeby nakarmić swoje świnię.

– Au! I zaraz powie: „Dlaczego tyle ludzi naokoło mojego łóżka?”

Du Lili podchodzi do mnie. Odgarnia dłonią kosmyk włosów i obciąga rękaw kurtki.

– Libbi-ja, teraz sfotografuj mnie.

Patrzę przez wizjer. Już przybrała sztywną pozę żołnierza na warcie, twarz ma zwróconą ku mnie, łypiące oko kieruje w górę. Aparat charknął. Ledwie wyciągam próbny polaroid, ona mi go wyrywa z ręki, przyciska do i piersi i potupując nogą uśmiecha się obłądnie.

– Ostatnim razem widziałam moją fotografię przed wieloma laty – mówi podniecona. – Byłam wtedy bardzo młoda.

Kiedy daję jej znak, że już można, odszarpuje wierzchnią warstwę i podnosi fotografię do twarzy. Zezuje łypiącym okiem i kilkakrotnie mruga.

– Więc to tak ja wyglądam.

Minę ma pełną szacunku dla cudu fotografowania; jestem wzruszona i czuję ową szczególną dumę z domieszką zażenowania nakazującego mruknać skromnie: „Eee”.

Du Lili pokazuje tę fotografię Kwan tak pieczołowicie, jak gdyby to było kurczę, które przed chwilą się wykluło.

– Dobre podobieństwo – stwierdza Kwan. – A nie mówiłam? Moja siostrzyczka jest bardzo sprawna. – Puszczą zdjęcie w obieg, żeby wszyscy zobaczyli.

– Zupełnie jak żywa – mówi jeden z mężczyzn z entuzjazmem.

Inni też chwalą.

- Wyjątkowo wyraźne.
- Nadzwyczajnie prawdziwe.

Zdjęcie powraca do Du Lili.

– Więc ja nie wyglądam dobrze – mówi Du Lili słabym głosem. – Jestem taka stara. Nigdy nie myślałam, że jestem taka stara, taka brzydka. Czy rzeczywiście wyglądam tak brzydko, tak głupio?

Parę osób się śmieje myśląc, że ona żartuje. Ale Kwan i ja widzimy, że jest tak wstrząśnięta, jakby została zdradzona. To ja sprawiłam jej przykrość. Z pewnością widziała się ostatnio w lustrze. Ale widzenie odbicia pod zmieniającym się kątem pozwala odrzucać to, co nam się nie podoba. Aparat fotograficzny ma wzrok innego rodzaju, widzi milion cząsteczek srebra na czerni, a nie dawne wspomnienia przechowywane w sercu.

Du Lili powoli odchodzi. Chcę jej coś powiedzieć na pociechę – że nie jestem dobrym fotografem, że ona ma cudowne zalety, których aparat fotograficzny nie może wychwycić...

Ruszam za nią, ale Kwan mnie zatrzymuje.

– Później ja z nią porozmawiam – mówi i milknie, bo już mnie otacza kilkanaście osób. Wszyscy proszą, żebym ich sfotografowała.

– Mnie najpierw!

– Sfotografuj mnie z moim wnukiem!

– Moja siostra – odzywa się surowo Kwan – nie jest tutaj do fotografowania za darmo.

Nie przestają nalegać.

– Tylko jedną? Mnie też zrób fotografię!

Unosząc ręce Kwan krzyczy:

– Cisza! Starsza Mama właśnie mi powiedziała, że wszyscy zaraz muszą stąd wyjść!

Cichną.

– Starsza Mama mówi, że potrzebuje wypocząć przed wędrówką na tamten świat. Inaczej mogłaby zwariować z żalości i zostać tutaj w Changmian.

W milczeniu obecni przyjmują tę proklamację, po czym gęsiego wychodzą, dobrodusznie zrzędząc.

Uśmiecham się do Kwan dziękczynnie.

– Czy Starsza Mama rzeczywiście to powiedziała? – pytam.

Kwan patrzy na mnie z ukosa i parska śmiechem. Śmieję się razem z nią, wdzięczna jej za taką lotność umysłu.

– Jednakże – mówi Kwan – Starsza Mama chce, żeby jeszcze ją sfotografować, ale już inaczej. Powiedziała, że na fotografii, którą zrobiłaś, wygląda prawie tak staro, jak Du Lili.

Jestem bardzo zdumiona.

– Brzydko powiedziane.

Kwan udaje, że nie rozumie.

– Co?

– To, że Du Lili ma wyglądać starzej niż Starsza Mama.

– Przecież ona jest starsza. Najmniej o pięć albo i sześć lat.

– Jak możesz to mówić? Jest młodsza od ciebie.

Kwan uprzejmie pochyla ku mnie głowę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Sama mi powiedziała.

– Wiem, wiem – mówi Kwan zwrócona do martwej twarzy Starszej Mamy. – Ale skoro Du Lili to poruszyła, powinnyśmy jej powiedzieć prawdę. – Podchodzi do mnie. – Libbi-ja, powinnam ci wyjawić sekret.

Czuję kamień w żołądku.

– Prawie pięćdziesiąt lat temu Du Lili adoptowała małą dziewczynkę, którą

znalazła na szosie w czasie wojny domowej. Później ta córeczka umarła i Du Lili tak wariowała ze smutku, aż uwierzyła, że stała się swoją córką. Pamiętam to, bo ta mała była moją przyjaciółką i gdyby żyła, byłaby teraz kobietą o dwa miesiące młodszą ode mnie, a nie siedemdziesięcioośmioletnią staruszką, jak Du Lili. I skoro ci to mówię... – Kwan urywa, po czym zaczyna znów rozprawać ze Starszą Mamą: – Nie, nie, tego nie mogę jej powiedzieć, to już za dużo.

Zagapiam się na Kwan. Zagapiam się na Starszą Mamę. Myślę o tym, co powiedziała Du Lili. Komu i w co mam wierzyć? Możliwości przelatują mi przez głowę i czuję się jak we śnie, jak w jednym z tych snów, w których nici logiki wciąż się rozrywają. Może Du Lili jest młodszą od Kwan. Może ma siedemdziesiąt osiem lat. Może duch Starszej Mamy przebywa tutaj. Może nie. Wszystko to prawda i nieprawda, *yin* i *yang*. Co jest ważne?

Bądź logiczna, mówię sobie. Jeżeli żaby zjadają owady, a kaczki zjadają żaby i plon ryżu jest dwa razy w roku, to po co kwestionować świat, w którym żyjemy?



## Rok bez powodzi

Właściwie dlaczego kwestionuję świat? Dlatego, że nie jestem Chinką jak Kwan. Dla mnie *yin* to nie *yang*, a *yang* to nie *yin*. Nie mogę dwóch sprzecznych wersji uznać za jedną całą prawdę. Kiedy idziemy, Kwan i ja, z powrotem do domu Starszej Mamy, spokojnie pytam:

– Jak umarła córka Du Lili?

– Och, to bardzo smutna historia – odpowiada Kwan po chińsku. – Chyba nie potrzebujesz wiedzieć.

Idziemy dalej w milczeniu. Wiem, że Kwan czeka, bym zapytała jeszcze raz. W końcu mówię:

– Opowiadaj.

Kwan zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Nie będziesz przerażona?

Potrząsam głową przecząco. A bo ja wiem, do diabła, czy nie będę? Kiedy Kwan zaczyna opowiadać, drzę, i to nie z zimna.

– Nazywała się Bułeczka i kiedy utonęła, miała tak jak ja pięć lat. Była tego wzrostu co ja, na tej samej wysokości co jej oczy – moje oczy, co jej milczące usta – moje usta gadatliwe. Starsza Mama wciąż narzekała, że ja gadam za dużo.

– Piśnij jeszcze jedno słówko – ostrzegła mnie – a wygnam cię precz. Nigdy twojej matce nie obiecywałam, że będę cię tu trzymała.

Wtedy byłam chuda i przezywali mnie *Bao-bing*, Naleśnik, a Starsza Mama mówiła na mnie „skórka smaženiny”. Zawsze miałam cztery liszaje. Na łokciach i na

kolanach.

A Bułeczka była pulchna, miała na rękach i nogach fałdki, była jak ugotowany w parze nadziewany *bao-zi*. To Du Yun ją znalazła na szosie – tak się nazywała Du Lili wtedy, Du Yun – a Starsza Mama nazwała ją Lili, bo ona, kiedy się zjawiała w naszej wsi, tylko ćwierkała: lili-lili-lili, jak wilga. Lili-lili-lili dobywało się z jej czerwonych usteczek, takich wydętych, jakby ugryzła surową persymonę i zamiast słodkiego smaku poczuła smak gorzki. Oczy miała czarne, okrągłe i patrzyła na świat jak pisklę, czujnie i niepewnie. Dlaczego była taka, nikt poza mną nie wiedział, bo nigdy nic nie mówiła, przynajmniej słowami. Ale wieczorem, kiedy światło lampy pląsało po suficie i ścianach, mówiły jej białe, małe ręce. Sunęły i opadały ze swoimi cieniami, wzbijały się i szybowały, te blade ptaki w chmurach. Starsza Mama patrzyła i potrząsała głową: Ajaj, dziwne to, bardzo dziwne. A Du Yun śmiała się jak idiotka, która patrzy na przedstawienie. Tylko ja rozumiałam mowę cieni Bułeczki. Wiedziałam, że jej ręce nie są z tego świata. Rozumiesz, bo ja też byłam dzieckiem. Wciąż jeszcze niedaleko czasu przed tym życiem. Więc ja też pamiętałam, że kiedyś byłam duchem, który odszedł z tej ziemi w ciele jakiegoś ptaka.

Do Du Yun wszyscy we wsi się uśmiechali i dokuczali jej:

– Ta twoja mała Bułeczka jest jakaś osobliwa, co?

Ale za naszym podwórkiem szeptali brzydko i ich szepty przenikały przez mur do moich uszu.

– Ta dziewczynka jest tak zepsuta, że zaczyna wariować – słyszałam, jak mówi sąsiadka Wu. – Jej rodzina na pewno była burżujsko myśląca. Du Yun powinna często ją bić, co najmniej trzy razy dziennie.

– Ona jest opętana – powiedziała inna sąsiadka. – Jeden martwy pilot japoński spadł z nieba i zamieszkał w jej ciele. To dlatego ona nie umie mówić po chińsku; tylko chrząka i kręci rękami jak samobójczy samolot.

Ale zdaniem Du Yun Bułeczka nie mówiła, bo nie musiała, skoro Du Yun mówiła za nią. Matka zawsze wie, co najlepsze dla córki, twierdziła Du Yun – wie, co córka ma jeść, co ma myśleć i odczuwać. A tańczące z cieniami ręce Bułeczki to jest dowód, powiedziała Du Yun kiedyś, niezbity dowód, że jej babki i prababki były damami dworu. Starsza Mama wtedy odpowiedziała:

– Au! Wobec tego ona ma ręce kontrrewolucyjne, ręce, które trzeba będzie odrąbać. Lepiej niech już się uczy przyciskać palec do nosa i smarkać w dłoń.

Coś w Bułeczce jednak martwiło Du Yun. Żaby. Bułeczka nie lubiła wiosennych żab, zielonych żabek małych jak piątka. O zmierzchu, to znaczy kiedy się słyszało ich skrzeczenie tak jakby skrzypiały duchy furtek: aa-łua aa-łua, aa-łua, Starsza Mama i Du Yun brały wiadra i siatki i brodziły po nawodnionych polach. Wszystkie żaby wstrzymywały oddech, usiłowały zasłonić się swoją ciszą. Tylko że nie mogły długo tak się powstrzymywać od skrzeczenia pragnień: aa-łua, aa-łua, aa-łua, jeszcze głośniejsze niż przedtem lamentowały, żeby przyszła do nich miłość.

– Kto by mógł kochać takie stworzenia? – pytała żartem Du Yun, a Starsza Mama zawsze odpowiadała:

– Ja mogę... kiedy są ugotowane.

Z łatwością łapały mnóstwo tych żabek, głodnych miłości. Wkładały je do wiadra, w poświacie wschodzącego księżyca lśniące jak olej. Nazajutrz rano stały przy szosie i wołały:

– Żaby! Soczyste żaby! Dziesięć za jednego juana!

A my, Bułeczka i ja, siedziałyśmy na wywróconych do góry dnem wiadrach, podpieraliśmy twarze dłońmi i nic nie miałyśmy do roboty, tylko czułyśmy, jak słońce wschodzi, ogrzewa jeden policzek, jedną rękę, jedną nogę.

Nieważne, czy dobrze szedł ten handel – Starsza Mama i Du Yun zawsze zostawiały co najmniej dwanaście żab na nasz posiłek w południe. Przed południem człapałyśmy do domu z siedmioma wiadrami pustymi, jednym napelnionym do

połowy. Na podwórku Starsza Mama rozpałała duże ognisko. Du Yun sięgała do kubelka i wyciągała żabę, a Bułeczka prędko ukrywała się za mną. Czułam, jak jej pierś pęcznieje i opada, zupełnie jak gardziołko tej żaby skręcającej się w ręce Du Yun.

– Patrzcie uważnie – mówiła Du Yun do Bułeczki i do mnie. – To jest najlepszy sposób smażenia żaby.

Odwracała żabę na grzbiet i wbijała ostre czubki nożyczek w jej odbył – pszszrr! – rozcinała ją całą aż do gardziołka. Wsuwała kciuk pod rozciętą skórę, błyskawicznym pociągnięciem wyłuskiwała żołądek pełen moskitów i srebrno-niebieskich much. Następnym pociągnięciem przy gardziołku żaby zdierała skórę od pyszczka do ogona i ta skórka zwisała z jej palców jak skurczony strój starożytnego wojownika. Potem ciach, ciach i żabka leżała już w kawałkach, ciało i nóżki; łebek się wyrzucało. Kiedy Du Yun jedną po drugiej oprawiała żaby, Bułeczka trzymała piąstkę mocno między zębami. To było tak, jakby worek piasku na brzegu rzeki powstrzymywał przeciekanie wody. Więc żaden krzyk się nie przedostawał. A Du Yun, kiedy jej wzrok padał na udręczoną twarz Bułeczki, gruchała słodkim matczynym głosem:

– Dziecinko, poczekaj jeszcze trochę. Mama zaraz da ci jeść.

Tylko ja wiedziałam, jakie słowa grzęzły w niemych ustach Bułeczki. W jej oczach widziałam to, co ona kiedyś widziała – tak wyraźnie, jak gdyby jej wspomnienia stały się już moimi. Oddzieranie skóry od ciała było przedśmiertną męką jej rodziców. Ona patrzyła, jak umierają, ukryta wysoko na konarze drzewa, tam gdzie posadził ją ojciec. Tam na tym drzewie wilga ćwierkała, ostrzegając Bułeczkę, żeby się nie zbliżała do gniazda. Ale Bułeczka siedziała cicho – bez krzyku, nawet bez kwilenia, bo przyrzekła to matce. Właśnie dlatego Bułeczka nigdy nie mówiła. Przyrzekła swojej matce.

Po dwunastu minutach dwanaście żab i skórek spadało na patelnię i trzaskało w

oliwie, wszystkie tak świeże, że niektóre nóżki wyskakiwały – au! Du Yun jedną ręką je łapała, a drugą mieszała na patelni. Doskonale Du Yun smażyła żaby.

Ale Bułeczka nie mogła tego docenić. W mglistym świetle lampy patrzyła, jak my, łakomczuchy, zajadamy te pyszności, zęby mamy zajęte szukaniem skrawków mięsa na kosteczkach maleńkich jak igły do haftu. Skórki były najsmaczniejsze – miękkie, aromatyczne. I prawie tak samo smaczne były te kruche kosteczki, sprężyste tuż nad łapkami.

Często Du Yun spoglądała na swoją nową córkę i ponaglała:

– Nie baw się tym, jedz, mój skarbie, jedz.

Ręce Bułeczki trzepotały i latały, wznosiły się ze swoimi cieniami. Du Yun martwiła się, że jej córka nie chce jeść potrawy, którą ona przyrządza najlepiej. Trzeba ci było widzieć twarz Du Yun – tyle miłości dla dziewczynki, tej resztki znalezionej na szosie. I ja wiem, że Bułeczka usiłowała kochać Du Yun resztkami swego serca. Chodziła za Du Yun po wsi, podnosiła rękę do dłoni swojej nowej matki. Ale w te wieczory, kiedy żaby skrzeczą, kiedy Du Yun zbierała swoje kubły rozkołysane na tyce, Bułeczka biegła w kąt, wciskała się tam i zaczynała ćwierkać:

– Lili-lil-lili.

Tak właśnie pamiętam Bułeczkę. Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami. Mieszkałyśmy pod wspólnym dachem. Spałyśmy we wspólnym łóżku. Byłyśmy jak siostry. Nie potrzebowałyśmy słów, każda z nas wiedziała, co druga czuje. W takim młodym wieku wiedziałyśmy o smutku i to nie tylko własnym. Obie wiedziałyśmy o smutku świata. Ja utraciłam moją rodzinę. Ona utraciła swoją.

Tamten rok, w którym Du Yun znalazła Bułeczkę na szosie, był dziwnym rokiem, rokiem bez powodzi. Przedtem nasza wieś zawsze miała deszczów za dużo i co najmniej jedną powódź na wiosnę. Raptownie rzeki przelewały się przez nasze domy, zmywały z podłogi robactwo i szczury, kaptcie i statki, a potem wymiotowały to wszystko na pola. Ale w roku, w którym zjawiała się Bułeczka, nie było powodzi,

był tylko deszcz, akurat dosyć deszczu dla plonów i żab, dosyć, żeby ludzie w naszej wsi mówili:

– Nie ma powodzi, dlaczego mamy takie szczęście? Może to ta dziewczynka, którą Du Yun znalazła na szosie. Tak, to dzięki niej.

Tylko że w następnym roku deszczu dla nas zabrakło. We wszystkich wsiach okolicznych padał jak zwykle duży deszcz, mały deszcz, długo albo krótko. Jednak w naszej wsi wcale. Ani kropli deszczu na wiosenne uprawy. Ani kropli deszczu na letnie zbiory. Ani kropli deszczu na jesienne zasiewy. Nie było deszczu, nie było plonów. Nie było wody do gotowania ryżu, który zresztą już nie rósł, nie było plew do nakarmienia świń. Pola ryżowe zapiekły się na twardo jak skórka kleiku, żaby leżały na grzbietach, suche jak patyki. Owady wyłaziły ze spękanej ziemi, machały czułkami ku niebu. Raczki się zsychały, a myśmy jedli je, samą ich skórę i kości. Kiedy wpatrywaliśmy się w górskie szczyty, nasze zgłodniałe oczy widziały pieczone słodkie kartofle w pękniętych skórkach. Taki straszny rok, taki straszny. Ludzie w naszej wsi mówili, że to przez Bułeczkę, tę wariatkę.

Pewnego upalnego dnia siedziałyśmy, Bułeczka i ja, w piaszczystym rowie niedaleko domu. Rów był naszą łodzią na niby, która miała nas zabrać do krainy królowych i wrózek. Nagle usłyszałyśmy jęk i szum, a potem drugi jęk i wielki łoskot: Łuup! I natychmiast lunął rześisty deszcz jak ziarenka ryżu. Byłam szczęśliwa i przerażona! Znow błyskało, znow grzmiało. Wreszcie nasza łódź płynie, wykrzyknęłam, a Bułeczka się roześmiała. Po raz pierwszy usłyszałam jej śmiech. Wyciągała ręce do błyskawic na niebie.

Deszcz ciągle gulgotał – gulgu, gulgu, gulgu – lał się z gór, napełniał ich zmarszczki, żyły. Zagłębienia nie nadążały z łykaniem wody. Wkrótce bardzo szybko ten przyjazny rów – nasza łódź – zmienił się w brązową rzekę podcinającą nam nogi. Białymi ogonami woda złapała nas za nadgarstki i kostki, i coraz prędzej koziołkowałyśmy – to nogi naprzód, to ręce – aż wypłuła nas na pole.

Później z szeptanych rozmów dowiedziałam się, co się stało. Kiedy Starsza Mama i Du Yun wyciągnęły nas z wody, obie byłyśmy blade i nieruchome, całe w zielsku jak w dwóch mokrych kokonach, z których nie dobywał się oddech. Wydłubały nam błoto z nosów i ust, wyplątały zielsko z włosów. Ja, chudzina, byłam połamana; ona, krzepka, ani trochę. Ubrały nas w pożegnalne stroje.

Potem poszły na podwórko, umyły dwa koryta już niepotrzebne dla świń, wyłamały siedzenia dwóch ławek i zrobiły wieka. Położyły nas w tych biednych trumienkach, usiadły i płakały.

Przez dwa dni leżałyśmy tak w trumnach. Starsza Mama i Du Yun czekały, aż deszcz przestanie padać, żeby nas zakopać w kamienistej ziemi, gdzie nigdy nic nie rosło. W trzeci poranek zerwał się silny wiatr i przepędził chmury. Słońce wyszło, wtedy otworzyły trumny, bo chciały popatrzeć po raz ostatni na nasze twarze.

Poczułam palce dotykające mojego policzka. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą Du Yun, jej usta szeroko rozciągnięte radością.

– Żyje! – wykrzyknęła. – Ona żyje!

Chwyła mnie za ręce i potarła sobie nimi twarz. A potem Starsza Mama patrzyła na mnie badawczo. Miałam w głowie zamęt.

– Chcę wstać – to były moje pierwsze słowa.

Starsza Mama odskoczyła, Du Yun puściła moje ręce. Usłyszałam, jak obie wyją!

– A bo to możliwe!? To niemożliwe.

Usiadłam.

– Starsza Mamo – zapytałam – o co chodzi?

Wciąż wrzeszczały, okropnie wrzeszczały. W głowie mi huczało ze strachu. Zobaczyłam, jak Starsza Mama podbiega do drugiej trumny. Prędko podniosła wieko. Zobaczyłam siebie, moje biedne połamane ciało! W głowie mi zawirowało, osunęłam się i nie widziałam już nic więcej aż do wieczora.

Kiedy się obudziłam, leżałam na naszym, moim i Bułeczki, łóżku. Starsza Mama i Du Yun stały w drzwiach na drugim końcu izby. Ziewnęłam.

– Starsza Mamo – powiedziałam – miałam koszmarne sen.

Starsza Mama powiedziała:

– Ajaj, patrz, ona mówi.

Usiadłam i zsunęłam się z łóżka. Starsza Mama wykrzyknęła:

– Ajaj, patrz, ona się rusza!

Poskarżyłam się, że jestem głodna i chcę siusiu. Starsza Mama i Du Yun cofnęły się od drzwi.

– Odejdź, bo cię zbiję gałązkami brzoskwini! – krzyknęła Starsza Mama.

– Starsza Mamo – zwróciłam jej uwagę – my nie mamy drzew brzoskwiniowych.

Trzepnęła się ręką po ustach. Ja wtedy nie wiedziałam, że duchy podobno boją się brzoskwiniowych gałązek. Później oczywiście dowiedziałam się, że to tylko przesąd. Od tamtego czasu pytałam wiele duchów i wszystkie śmiały się i mówiły: „Boimy się gałązek brzoskwini? Nic podobnego!”

W każdym razie kiedy tak jej zwróciłam uwagę, pęcherz mi omal nie pękł. Bardzo mi się chciało. Podrygiwałam, wstrzymywałam.

– Starsza Mamo – powiedziałam już grzeczniej. – Chcę odwiedzić świnie.

Przy chlewie miałyśmy nieduży dół przykryty dwiema deskami, na których się przykucalo, żeby załatwić swoją potrzebę jednego i drugiego rodzaju. To było, zanim nasza wieś przeszła reedukację o zbiorowych odpadkach. Potem już nie wystarczyło dawać swój umysł, ciało i krew dla powszechnego dobra – musiało się ofiarowywać swoje kupki także, mniej więcej jak amerykańskie podatki.

Starsza Mama jednak nie powiedziała, że mogę odwiedzić świnie. Podeszła do mnie i plunęła mi w twarz. Jeszcze jeden przesąd: pluć na duchy, zaraz znikną. Ale ja nie zniknęłam. Zmoczyłam majtki, ciepła struga spływała mi po nogach, kałuża ciemniała na podłodze. Byłam pewna, że Starsza Mama mnie zbiję, ale tylko



powiedziała:

– Patrz, ona susia.

A Du Yun wykrzyknęła:

– Jak to możliwe? Duchy nie susiają.

– No, zobacz na własne oczy, ty głupia. Ona susia.

– Jest duchem czy nie jest?

Pokłóciły się o kolor, o zapach i wielkość tej mojej kałuży. Ostatecznie uznały, że trzeba dać mi coś do jedzenia. Bo jeżeli jestem duchem, przyjmę tę łąpówkę i odejdę. Jeżeli jestem żywą dziewczynką, przestanę się uskarżać i pójdę z powrotem spać. No i poszłam z powrotem spać po zjedzeniu kawałka stęchłej kuli z ryżu. Spałam i śniło mi się, że to wszystko, co się stało, jest częścią jednego i tego samego długiego snu.

Kiedy się zbudziłam nazajutrz rano, znów powiedziałam Starszej Mamie, że miałam koszmarne sen.

– Ty wciąż jeszcze śpisz – powiedziała Starsza Mama. – Wstawaj. Zabierzemy cię do kogoś, kto cię z tego snu obudzi.

Poszliśmy do wioski odległej sześć *li* na południe od Changmian. Nazywała się ta wioska Powrót Kaczki. Mieszkała tam niewidoma kobieta, zwana Cioteczną Ciocią. Naprawdę nie była moją ciocią. Nie była niczyją ciocią. Tylko nie wypadało jej nazywać „gadająca z duchami”. No więc mówiło się Cioteczna Ciocia. Kiedy była w średnim wieku, chrześcijański misjonarz ją nawrócił i odtąd nie rozmawiała z żadnymi duchami z wyjątkiem Ducha Świętego. Ale i z Duchem Świętym też przestała rozmawiać, kiedy już była stara i zreformowała ją Ludowa Armia Wyzwolenia. A kiedy była bardzo stara, nie pamiętała, czy jest nawrócona czy zreformowana. Ostatecznie zestarzała się dosyć, żeby zapomnieć w ogóle, jaką jej nakazywano być.

Więc weszliśmy tam do izby. Cioteczna Ciocia siedziała na stołku pośrodku.

Starsza Mama popchnęła mnie naprzód, a Du Yun zapytała żałośnie:

– Co z nią jest nie tak jak trzeba?

Cioteczna Ciocia wzięła moje ręce w swoje szorstkie dłonie. Miała oczy koloru nieba i obłoków. W pokoju było cicho, słyszałam tylko swój oddech. W końcu Cioteczna Ciocia oznajmiła:

– W tej dziewczynie jest duch.

Starsza Mama i Du Yun się zachłysnęły. A ja zaczęłam skakać i wierzgać, żeby się pozbyć owego ducha.

– Co możemy zrobić? – wykrzyknęła Du Yun.

Cioteczna Ciocia odpowiedziała:

– Nic. Tamta, która żyła w tym ciele przedtem, nie chce wrócić. A ta, która żyje w tym ciele teraz, nie może odejść, dopóki tamtej nie znajdzie.

I właśnie wtedy zobaczyłam ją, Bułeczkę, wpatrzoną we mnie z okna na drugim końcu izby. Wskazałam ją i wrzasnęłam:

– Patrzcie! Tam ona jest!

A Bułeczka wskazywała mnie i jej wydęte usta się poruszały, mówiąc te moje słowa, więc rozumiałam, że patrzę na swoje własne odbicie.

W drodze powrotnej do domu Starsza Mama i Du Yun kłóciły się, mówiły rzeczy, jakich mała dziewczynka nigdy nie powinna słyszeć.

– Trzeba ją pochować, pogrzebać w ziemi, gdzie jej miejsce.

To mówiła Starsza Mama.

– Nie, nie – jęczała Du Yun. – Ona wróci, dalej będzie duchem i to rozgniewanym, weźmie ze sobą ciebie i mnie.

Teraz Starsza Mama powiedziała:

– Nie mów, że ona jest duchem! Nie możemy ducha przyprowadzić do domu. Nawet jeżeli jest... Au, co za kłopot... Będziemy musiały być zreformowane.

– Ale kiedy ludzie zobaczą tę dziewczynkę, a usłyszą głos tamtej...

Zanim doszliśmy do Changmian, Starsza Mama i Du Yun zdecydowały się udawać, że ze mną jest wszystko w porządku. Taką postawę ludzie musieli przyjmować w wielu sprawach życia. Co było niesłuszne, musiało być słuszne. Co było w prawo, musiało być w lewo. Więc jeżeli ktoś we wsi powiedział: Au, ta dziewczynka to na pewno duch, Starsza Mama go upominała:

– Towarzyszu, jesteście zmyloni. W duchy wierzą tylko reakcyjniści.

Na pogrzebie Bułeczki wpatrywałam się w moje zwłoki w trumnie. Oplakiwałam moją przyjaciółkę, oplakiwałam siebie. Innym żałobnikom wciąż jeszcze się myliło, która z nas nie żyje. Płakali i mówili moje imię. Kiedy Starsza Mama ich poprawiała, znów płakali i mówili imię Bułeczki. A Du Yun uderzała w lament nieustanny.

Przez wiele tygodni przerażałam każdego, kto słyszał mój głos dobywający się z tych wydętych usteczek. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nikt nie bawił się ze mną. Obserwowali, jak jem. Obserwowali, jak idę uliczką. Obserwowali, jak płacę. Pewnej nocy obudziłam się w ciemnościach i zobaczyłam Du Yun siedzącą przy moim pościeli. Śpiewnie błagała:

– Bułeczko, skarbie, wróć do domu, do swojej mamy.

Uniosła mi dłonie i podsunęła w blask świecy. Kiedy się szarpnęłam, puściła je i zaczęła wymachiwać rękami – och, tak niezdarnie, tak rozpaczliwie, tak smutno jak ptak ze złamanymi skrzydłami. Chyba właśnie wtedy zaczęła uważać się za swoją córkę Bułeczkę. Tak to bywa, kiedy ma się kamień w sercu i nie można go wypłakać, nie można się go pozbyć. Wielu ludzi w naszej wsi połknęło takie kamienie, więc oni rozumieli. Udawali, że ja nie jestem duchem. Udawali, że zawsze byłam tą pulchną dziewczynką, a Bułeczka była tą chudą. Udawali, że nic nie naszło kobiety, która teraz nazywała się Du Lili.

Deszcze znów padały i były powodzie, potem przyszli nowi przywódcy i kazali nam pracować usilniej, żeby zmyć Starą Czwórkę, zbudować Nową Czwórkę. Plony rosły, żaby rechotały, pory roku mijały, jeden dzień powszedni za drugim, aż

wszystko się zmieniło i znów było tak samo jak przedtem.

Pewnego dnia kobieta z innej wioski zapytała Starszą Mamę:

– Hej, dlaczego nazywasz tę grubaskę Naleśnik?

A Starsza Mama spojrzała na mnie próbując sobie przypomnieć.

– Ona kiedyś była chuda – powiedziała – bo nie chciała jeść żab. Teraz je bez pohamowania.

Rozumiesz, wszyscy postanowili nie pamiętać, a później rzeczywiście zapomnieli. Zapomnieli, że był rok bez powodzi. Zapomnieli, że Du Lili nazywała się kiedyś Du Yun. Zapomnieli, która dziewczynka utonęła. Starsza Mama nadal mnie biła, tylko że teraz miałam na sobie więcej tłuszczu, więc jej pięści już mnie tak bardzo nie bolały.

Popatrz na te palce i dłonie. Czasami nawet sama wierzę, że zawsze były moje. A tamto ciało, które miałam za moje, to może kiedyś był sen i pokręcił mi się z życiem na jawie. Ale inny sen pamiętam.

W tym śnie poszłam do Świata Yin. Zobaczyłam tyle różności – stada ptaków, niektóre przylatujące, niektóre odlatujące, i Bułeczkę lecącą ze swoją matką i swoim ojcem, i wszystkie te rozśpiewane żaby, które kiedykolwiek zjadłam, teraz znów całe i w skórkach. Wiedziałam, że umarłam, i niecierpliwiłam się, żeby zobaczyć moją matkę. Ale zanim ją znalazłam, podbiegła do mnie jakaś istota gniewna i zmartwiona.

– Ty musisz wrócić! – krzyczała. – Za siedem lat ja się urodzę. Wszystko jest ustalone. Przyrzekłaś zaczekać. Czy zapomniałaś?

I potrząsała mną, tak potrząsała, że sobie przypomniałam.

Więc przyleciałam z powrotem na świat śmiertelnych. Staralam się wrócić w moje ciało. Wpychałam się i wciskałam. Ale było połamane... Ten mój biedny chudy trupek. A tu deszcz przestał padać, słońce już wychodziło zza chmur, Du Yun i Starsza Mama otwierały wieko trumny. Prędko, prędko, co miałam zrobić?

Więc powiedz mi Libbi-ja, czy ja źle postąpiłam? Nie miałam wyboru. Jak inaczej mogłabym dotrzymać tego, co przyrzekłam tobie?

### Wiosenny kurczak dziesięciorolkowy

Już sobie przypominasz? – pyta Kwan. Wpatruję się w jej pulchne policzki, w fałdkę jej małych ust. To zupełnie tak jakbym patrzyła na hologram; zamknięty pod tą połyskliwą powierzchnią jest trójwymiarowy obraz dziewczynki, topielicy.

– Nie – odpowiadam.

Czy Kwan – to znaczy ta kobieta podająca się za moją siostrę – rzeczywiście w jakimś obłędzie wierzy, że jest Kwan? Czy Kwan z ciała i krwi utonęła, będąc dzieckiem? To by tłumaczyło zasadniczą różnicę pomiędzy fotografią chudego niemowlęcia, którą pokazał nam ojciec, i tą pyzată dziewczyną, którą powitaliśmy na lotnisku. I również to by tłumaczyło, dlaczego Kwan nie jest podobna do mojego ojca ani do moich braci, ani do mnie pod żadnym względem.

W dzieciństwie pragnęłam, żeby Kwan umarła. Czyżby więc pragnienie się spełniło? Prawdziwa Kwan utonęła, a wieś Changmian przysłała nam tę drugą dziewczynę w przekonaniu, że my nie odróżnimy ducha od kogoś, kto uważa się za ducha. No, ale jak może Kwan nie być moją siostrą? Czy wskutek jakiegoś strasznego urazu w dzieciństwie mogłaby uwierzyć, że przebywa w cudzym ciele? Zresztą, nawet jeżeli nie jesteśmy spokrewnione genetycznie, czyż ona nie jest moją siostrą? Jest, oczywiście. A przecież chcę wiedzieć, jakie szczegóły jej opowieści nie są zmyślane.

Kwan uśmiecha się, ściskając mi rękę. Wskazuje ptaki w locie. Niechby powiedziała, że to słońce, jej obłąd przynajmniej byłby konkretny. Kto mi powie prawdę? Du Lili? Na niej nie mogę polegać bardziej niż na Kwan. Starsza Mama nie żyje. A każdy inny w tej wsi dość stary, by tamto pamiętać, mówi wyłącznie

dialektem Chang-mian. I nawet gdyby tu ktoś mówił po mandaryńsku, jak mam zapytać? „Hej, powiedz mi, czy moja siostra jest rzeczywiście moją siostrą? Czy ona jest duchem, czy tylko wariatką?” Ale nie czas teraz zastanawiać się nad tym. Kwan i ja już dochodzimy do domu Starszej Mamy. W środkowej izbie zastajemy Simona i Du Lili. Oboje ożywieni, prowadzą rozmowę we wszechzrozumiałym języku pantomimy; Simon udaje, że spuszcza szybę w oknie samochodu.

– Więc – komentuje po angielsku – wysunąłem głowę i powiedziałem: „No ruszaj, ty ślamazaro!” – Udając, że naciska klakson, porykuje: – Bbrrr-ta ta! Bbrrr-ta ta!

Odgrywa pirata drogowego.

Du Lili dialektem Changmian mówi chyba coś w rodzaju: „Eee tam!”

Udaje, że niesie torby z zakupami – ciężkie torby, o czym mają świadczyć jej ręce rozciągnięte jak ciasto do pierogów. Nagle podnosi wzrok, odskakuje w tył tak, że omal nie depcze Simona po nogach, i upuszcza swe ciężkie torby, kiedy samochód skręca tuż przed jej nosem prosto w tłum ludzi. Czy może to ma być kępa drzew. W każdym razie kończyny czy gałęzie rozlatują się w lewo i w prawo. Żeby zakończyć ten mały dramat, Du Lili podchodzi do kierowcy i pluje mu w twarz, którą w jej scenie jest wiadro stojące tuż przy bucie Simona.

Kwan chwali ją wrzaskliwie. Ja biję brawo. Simon wydyma usta niczym wicemiss w konkursie na Jednodniową Królową. Obrazowo zarzuca Du Lili przesadę – pewnie ten samochód nie jechał szybko jak wąż, tylko wolno jak kulawa krowa.

– *Bu-bu-bu!* – wykrzykuje Du Lili chichocząc i tupie nogą.

Tak, nie ustępuje Simon, i ona pewnie szła z głową w obłokach. Sama spowodowała wypadek.

– *Bu-bu-bu!*

Du Lili pięścią uderza Simona w plecy. Simon kuli się, niby to przestraszony.

– Dobrze, wygrałaś! Wasi kierowcy są gorsi.

Gdyby nie różnica wieku, można by przypuszczać, że to para zakochanych, którzy flirtują ze sobą, przekomarzają się i prowokują, byle tylko mieć pretekst do dotykania się nawzajem. Czuję w sercu ukłucie, chociaż to nie zazdrość, bo przecież wykluczone, żeby ci dwoje... No, czy opowieść Kwan o Du Lili i jej zmarłej córce jest prawdą czy nie jest, Du Lili dla Simona jest o wiele za stara.

Gra w szarady już się skończyła. Du Lili i Kwan wychodzą na podwórze, dyskutują, co zrobić na kolację.

– Skąd raptem temat niedobrych kierowców?

– Próbowałem opowiedzieć Du Lili o wczorajszej jeździe, o tym wypadku.

To ma sens. Powtarzam mu rewelacyjne wyznanie Kwan.

– I co o tym myślisz? – pytam.

– No, po pierwsze, Du Lili nie sprawia na mnie wrażenia wariatki. Ani Kwan. A po drugie, takich samych starych opowieści słuchałaś przecież przez całe życie.

– Ale ta jest inna. Czy nie rozumiesz? Może Kwan rzeczywiście nie jest moją siostrą.

Simon marszczy brwi.

– Jakże ona może nie być twoją siostrą? Nawet jeżeli nie ma więzi krwi, to nadal jest twoją siostrą.

– Tak, ale z tego wynika, że była jakaś inna dziewczynka, która też była moją siostrą.

– A nawet gdyby, co byś zrobiła? Wyparłabyś się Kwan?

– Jasne, że nie! Chodzi tylko o... No, muszę wiedzieć.

Simon wzrusza ramionami.

– Po co? Czy coś by się zmieniło? Ja wiem tylko to, co widzę. Mnie Du Lili wydaje się sympatyczną panią, a Kwan to Kwan. Ta wieś jest wspaniała. I cieszę się, że tu przyjechałem.



– Ale Du Lili? Wierzyć jej, kiedy mówi, że ma pięćdziesiąt lat? Czy wierzyć Kwan, która mówi, że Du Lili...

Simon przerywa:

– Może nie zrozumiałaś Du Lili dokładnie. Sama powiedziałaś, że twoja chińszczyzna wcale nie jest taka świetna.

Już się irytuję.

– Ja tylko powiedziałam, że nie jest taka dobra jak Kwan.

– Może Du Lili użyła jakiegoś wyrażenia, na przykład... no, młoda jak wiosenny kurczak. – Drażni mnie ton Simona, pewnego siebie i swojej męskiej logiki. – Może przyjęłaś dosłownie, że ona uważa się za kurczaka.

– Wcale nie mówiła, że jest kurczakiem!

Skronie mi pulsują.

– Widzisz, nawet mnie bierzesz zbyt dosłownie. Ja tylko podaję ci przykład...

Wybucham.

– Dlaczego zawsze musisz udowadniać, że masz taką cholerną rację?

– Hej! Co to ma znaczyć? Myślałem, że po prostu rozmawiamy. Daleki jestem od...

W tym momencie Kwan woła z podwórza:

– Libbi-ja, Simon! Prędko przyjdźcie! Już gotujemy. Chcesz fotografować, tak?

Jeszcze zirytowana, wbiegam do pokoju Starszej Mamy po aparat. I znowu to: małżeńskie łóżko. Nawet nie myśl o tym, mówię sobie. Patrzę za okno, potem na zegarek. Prawie zmierzch, złociste półgodziny zachodu słońca. Jeżeli kiedykolwiek jest czas i miejsce, żebym w mojej pracy się wyżywała, to właśnie tutaj, teraz w Chinach, gdzie nie mam nad sobą kontroli, gdzie wszystko jest nieobliczalne, wprost obłądne. Biorę moją lejkę, wpycham do kieszeni kurtki dziesięć rolek błony filmowej.

Na podwórzu jedną z rolek umieszczam w aparacie. Po ulewie niebo wysycha

pastelowo-błękitne, za szczytami gór przesuwały się obłoki jak puszkę do pudru. Głęboko nabieram tchu i wdycham zapach dymu z drewna palącego się w pięćdziesięciu trzech domostwach chang-miańskich. Czuję pod tym bukietem mocny odór gnoju.

Ujmuję poszczególne elementy scenerii. Murek wokół podwórza będzie dobrym tłem. Podoba mi się pomarańczowy odcień cegieł, ich szorstkość. Drzewo pośrodku ma anemiczne liście – pomińmy je. Chlew będzie bardziej efektowny – ładnie usytuowany po prawej stronie podwórza, kryty strzechą z drobnych gałązek, pełen sielskiej prostoty jak stajenka w gwiazdkowych przedstawieniach dla dzieci. Ale w tej stajence są trzy świnie ryjące w błocie. I nieopodal łązi pół tuzina kur, jedna bez nogi, inna tylko z kawałkiem dzioba. Soczewka płasa najpierw coraz szerszym, a potem coraz węższym łukiem po moich tematach. Kącikiem oka widzę kubeł z pomyjami, z szarawym ryżem pod rojem much. I dół, z którego strasznie cuchnie, ciemną, wodnistą jamę. Pochyliłam się, miga mi tam futerkowe stworzenie wśród kępek wzdętego ryżu – ten ryż się wiję. To są czerwce.

Życie Changmian teraz wydaje mi się do niczego. Powinnam „wyobrazić sobie” moment godny uchwycenia, tak żeby spontaniczność zbiegła się z materiałem. Ale wyobrażam sobie tylko zasobnych czytelników przerzucających stronie magazynu podróżniczego, który specjalizuje się w sielankowych obrazkach z krajów trzeciego świata. Wiem, co ludzie lubią oglądać. Dlatego moje zdjęcia zwykle mnie nie zadowolają, z góry zredagowane, bezpiecznie nudne. To nie znaczy, że ja chcę robić zdjęcia rozmyślnie niepocholebne. Bo i w jakim celu? Na takie nie ma popytu, a nawet gdyby był, wywołałabym surowym realizmem mylne wrażenie, że całe Chiny są zacofane, brudne, żałośnie biedne. Za nic nie chcę być na tyle Amerykanką, żeby tak Chiny osądzać. Dlaczego my zawsze redagujemy świat? Ze względu na kogo?

Pal licha magazyn! Do diabła z mylnymi czy nie mylnymi wrażeniami! Sprawdzam światło, migawkę. Postaram się uchwycić chwilę, jej sens, tak, jak się

dzieje. I akurat kiedy to myślę, wypatruję Du Lili, która kucając przy pompie studni, napełnia wodą garnek. Obchodzę ją dokoła, zaczynam pstrykać zdjęcia. Ale ona już widzi lejkę, zrywa się, obciąga na sobie starą zieloną kurtkę i przybiera pozę. Koniec, jeśli chodzi o spontaniczność.

– Nie musisz stać nieruchomo – wołam. – Ruszaj się. Tak jakby mnie nie było. Rób swoje.

Du Lili przytakuje i zaczyna chodzić po podwórzu. Usilnie pamiętając, że ma nie pamiętać o obecności aparatu fotograficznego, podziwia stołek, wskazuje koszyki wiszące na drzewie, z zachwytem kręci głową nad zabłoconą siekierą, jak gdyby wystawiała bezcenne skarby narodowe.

– Raz, dwa, trzy – mówię po chińsku, a potem robię kilka upozowanych zdjęć, żeby ją zadowolić. – Dobrze, bardzo dobrze – mówię. – Dziękuję.

Jest zdumiona.

– Źle się pokazałam? – pyta żałośnie dziecięcym głosikiem.

Aha, ona czekała na flesz, pstryknięcie migawki, czego przy fotografowaniu lejką nie ma. Decyduję się na małe kłamstewko.

– Ja teraz nie fotografuję – wyjaśniam. – Tylko patrzę. Dla wprawy.

Uśmiecha się z ulgą i idzie do chlewu. Kiedy otwiera drzwiczki, świnię pokwikują i prychając biegną do niej z ryjami podniesionymi w oczekiwaniu jałmużny. Kilka kwok ostrożnie ją otacza i też czeka, żeby coś im rzuciła.

– Ładny, tłusty kurak – mówi Du Lili. Rozgląda się, którego wybrać.

Skradam się po podwórzu jak złodziej, staram się pozostawać możliwie niewidoczna teraz, kiedy szukam najlepszych ujęć. Słońce osuwa się o jeszcze jeden stopień niżej i prześwieca przez dach z gałązek, rzucając ciepłe światło na łagodną twarz Du Lili. Już rządzi mną instykt. Czuję tę zmianę, tę moc, jaką daje zaniechanie kontroli. Robię zdjęcia między jednym oddechem a drugim. Lejka pozwala mi widzieć moment, który chwytam; plamę ręki Du Lili łapiącej kuraka,

kury w popłochu, świnie zawracające jednocześnie jak paradna orkiestra. I widzę Simona – robię kilka jego zdjęć, kiedy on notuje ewentualne podpisy pod fotografiami. To tak jak w dawnych czasach, w ten sposób pracowaliśmy zestrojeni ze sobą. Tylko że teraz on nie jest w swoim zwykłym zawodowym nastroju. Oczy ma cudownie uważne. Spogląda na mnie i się uśmiecha.

Zwracam aparat w stronę Du Lili, która ze skrzeczącym kurakiem w ręce podchodzi do studni. Nad białą emaliowaną miską, stojącą tam na ławce, trzyma go jedną ręką za szyję. W drugiej ma nożyk. Jak, do diabła, ona zetnie mu łebek takim nożykiem? Patrzę przez wizjer. Du Lili przyciska ostrze do szyi kuraka. Powoli piłuje. Tryska cienka strużka krwi. Jestem tak oszołomiona, jak ten kurak; Du Lili macha nieszczęsnym ptakiem, aż szyja mu zwisa i krew zaczyna spływać do białej miski.

Świnie w tle podnoszą krzyk. Rzeczywiście krzyczą jak ludzie ze strachu. Ktoś kiedyś mi powiedział, że świnie, kiedy się je prowadzi na rzeź, mogą dostać śmiertelnej gorączki, bo są dość mądre, by wiedzieć, co je czeka. Teraz się zastanawiam, czy zdolne są też do współczucia dla konających kur. Czy to jest dowód inteligencji, czy dowód, że mają duszę? Chociaż fotografowałam wszelakie operacje dokonywane na otwartym sercu i transplantacje nerek, zbiera mi się na mdłości. A przecież fotografuję dalej. Simon, jak widzę, już nie notuje pomysłów na podpisy.

Kiedy miska jest na pół pełna krwi, Du Lili upuszcza kuraka. Przez kilka minut udreki patrzymy, jak kurak się zatacza, rżąc. W końcu z zamglonymi oczkami pada. No, jeżeli Du Lili uważa się za Bułeczkę, to jednak zapomniała o wczuwaniu się w ptaki.

Simon podchodzi do mnie.

– Parszywe barbarzyństwo – mówi. – Nie wiem, jak mogłaś fotografować.

Rozdrażnia mnie tym.

– Przestań być taki etnocentryczny. Myślisz, że zabijanie kur w Stanach jest bardziej ludzkie? Zresztą prawdopodobnie ona tak zrobiła, żeby mięso było wolne od toksyn. To jak tradycja, ubój koszerny czy coś takiego.

– Koszerny, akurat! Ubój koszerny polega na zabijaniu zwierzęcia szybko, żeby nie cierpiało. I krew się upuszcza już po śmierci zwierzęcia, a potem się wylewa.

– No, ja myślę, że ona tak zrobiła ze względów zdrowotnych.

Odwracam się do Du Lili i pytam ją po chińsku.

– *Bu-bu-bu*. – Du Lili potrząsa głową ze śmiechem. – Kiedy już dosyć wycieknie krwi, zwykle ścinam im łebki zaraz. Ale dzisiaj dałam mu trochę potaćzyć.

– Dlaczego?

– Dla ciebie! – odpowiada Du Lili radośnie. – Dla twoich fotografii! Ciekawsze w ten sposób, nie przyznasz?

Unosi brwi i czeka na podziękowanie. Zmuszam usta do fałszywego uśmiechu.

– No? – pyta Simon.

– To jest... No, masz rację, to nie koszerne. – I już nie mogę się powstrzymać, widząc jego zadowolenie z siebie. – Nie koszerne w sensie żydowskim – dodaję – to raczej stary obrzęd chiński, duchowe oczyszczenie... dla kur – kończę i całą uwagę skupiam na wizjerze.

Du Lili wrzuca kuraka do garnka z wrzątkiem. Gołymi rękami nurza go we wrzątku, jak gdyby prała sweter. Ma tyle stwardnień na dłoniach, że wyglądają jak w rękawiczkach z azbestu. Z początku można by myśleć, że ona pieści tego martwego kuraka, pociesza go. Ale po każdym pogłaskaniu wylatuje garść piór, aż kurak wyciągnięty z tej kąpieli jest cały łysy, przyszczato różowy.

Idę z Simonem za Du Lili, kiedy przez podwórze niesie kuraka do kuchni. Okap dachu jest tak niski, że musimy się pochylić, żeby nie otrzeć się głowami o strzechę. Z ciemnego kąta w głębi Kwan przynosi wiązkę chrustu i podsyca ogień buzujący na palenisku ceglanego pieca. Nad ogniem stoi kocioł wystarczająco duży, by w nim

ugotować niedźwiedzia. Kwan uśmiecha się do mnie.

– Dobre zdjęcia?

Jak mogłam żywić wątpliwości, czy Kwan jest moją siostrą? To wszystko bajki, mówię sobie. Po prostu ma wariacką wyobraźnię.

Jednym ruchem Kwan patroszy kuraka, po czym odrąbuje łebek, stopy i kuper, i po kawałku wrzuca w kipiący rosół. I jeszcze do tego kilka garści zieleniny.

– Świeże – oznajmia po angielsku. – Wszystko zawsze świeże.

– Byłaś dziś na targu?

– Na jakim targu? Nie ma targu. Tylko w ogródku, samoobsługa.

Simon notuje.

Teraz Du Lili wnosi miskę z kurzą krwią, skrzepłą, mającą kolor i konsystencję truskawkowej galaretki. Kroi tę krew na sześciany i wrzuca, mieszając, do kotła. Kiedy patrzę na te czerwone skręty, przychodzą mi na myśl czarownice z „Makbeta”, ich twarze w blasku ognia, we mgle unoszącej się pary. Przypominam sobie tę strofkę.

„Niech to wszystko się na kupie – deklamuję – warzy w tej piekielnej zupie”.\*

Simon podnosi wzrok.

– Hej, ja właśnie to myślałem.

Pochyliła się, wciąga w nozdrza zapach tej duszonej potrawy.

To jest wspaniały materiał. Kiedy ogień dogasa, tak samo dogasa światło do fotografowania. Chowam lejkę do kieszeni kurtki. Boże! Jestem głodna! Jeżeli nie kurak i krwawy z niego rosół, to co? Nie ma szynki i sera w lodówce; nie ma lodówki. I gdybym chciała szynki, musiałabym przedtem zarżnąć te krzyżące świnię. Ale też nie ma czasu na rozważanie alternatyw. Kwan w przysiadzie chwytła za ucha olbrzymi kocioł. Jak ciężarowiec.

– Można jeść – oznajmia.

Pośrodku podwórza Du Lili rozpałała mały ogień z chrustu, w żelaznej obręczy.

Kwan stawia na nim kocioł. Du Lili podaje miseczki, pałeczki i filiżanki do herbaty. Za jej przykładem siadamy wokół tego zaimprovizowanego stołu.

– Jedzcie, jedzcie – mówi Du Lili, machając swymi pałeczkami do Simona i do mnie.

Usiłuję wypatrzeć w kotle coś, co by mi przypominało paczkowane mięso z supersamu. Ale zanim coś takiego znajduję, Du Lili wyławia nóżkę i z pluśnięciem upuszcza w moją miseczkę.

– Nie, nie, weź to – protestuję po chińsku. – Sama sobie nabiorę.

– Nie certuj się – upomina mnie Du Lili. – Jedz, bo wystygnie.

Simon uśmiecha się głupio. Przekładam ten poczęstunek na jego miseczkę.

\* William Szekspir „Makbet”, akt IV, scena I, przekład Józefa Paszkowskiego.

– Jedz, jedz – mówię z łaskawym uśmiechem i wyławiam dla siebie udko. Simon wpatruje się ponuro w tę nóżkę tak niedawno tańczącą. Niepewnie odgryza kawałek i w zadumie przeżuwa. Po chwili kiwa głową do Du Lili.

– Mniam, mniam – mówi. – Dobrze, bardzo dobre.

Du Lili tak promienieje, jakby wygrała konkurs kucharek-amatorów.

– Ładnie mi mówisz.

– To jest dobre – potwierdza Simon. – Nie mówię tego przez uprzejmość.

Przytykam zęby do udka i odskubuję kawałtka. Przeżuвам, przetaczam na język. Nie ma smaku krwi. To mięso jest zdumiewająco pyszne, aksamitne! Jem więcej i więcej, wszystko aż do kości, popijam rosółem czystym i zarazem jedwabście esencjonalnym, sięgam do kotła i wyławiam skrzydełko. Jem i stwierdzam, że chiński drób smakuje lepiej niż amerykańskie indyki. Czy to dzięki temu, co chińskie kury jadają? Czy może to ta krew w rosoli?

– Ile rolek dzisiaj poszło? – pyta Simon.

– Sześć – odpowiadam.

– Więc nazwijmy tę potrawę wiosennym kurakiem sześciolorolkowym.

– Ale teraz jest jesień.

– Nazywam tak na cześć Du Lili, chociaż nie jest, jak wykazałaś, wiosennym kurczątkiem. – Simon wciela się w Quasimodo, drży i prosi. – Błagam pani, nie bij mnie!

Czynię nad jego głową znak krzyża.

– Dobrze. Jest ci wybaczone, ty bzik.

Du Lili podnosi w ręce butelkę z jakimś bezbarwnym alkoholem.

– Kupiłam to wino – mówi – kiedy Rewolucja Kulturalna się skończyła. Ale przez całe dwadzieścia lat nie miałam powodu do oblewania. Dzisiaj mam trzy... – Przechyla butelkę nad moją filiżanką z przeciągłym westchnieniem „aaach”, jak gdyby raczej folgowała swemu pęcherzowi, niż nalewała nam wino. Kiedy wszystkie filiżanki są napełnione, unosi swoją. – *Gan-bei* – mówi i pije siorbiąc, odchylając głowę w tył stopniowo, dopóki nie wypija do dna.

– Widzisz? – mówi Kwan po angielsku. – Tak trzeba, w tył, w tył, aż nic już nie ma. – Wychyla do dna swoją filiżankę. – Aach.

Lili nalewa jej i sobie ponownie.

No, jeżeli Kwan, ta królowa abstynentów może to pić, najwidoczniej nie jest to bardzo mocne. Simon i ja trącamy się filiżankami, po czym pijemy i zachłystujemy się jak mieszczuchy w szynku kowbojskim. Kwan i Du Lili klepią się po kolanach, chichoczą. Wskazują nasze filiżanki jeszcze na pół pełne.

– Co to jest? – pyta Simon bez tchu. – Chyba mi oderwało migdałki.

– Dobre, prawda? – Kwan dolewa mu, uprzedzając protesty.

– Ma smak złachanych adidasów – mówi Simon.

– Nagrzanych ananasów? – Kwan pije, cmoka i potakuje.

W dwadzieścia minut i trzy kolejki później głowę mam lotną, ale nogi drętwe. Wstaję, próbuję przebierać nogami i wzdrygam się, takie w nich mrowienie. Simon też wstaje z trudem.



– Smakowało jak gówno – stwierdza. – Ale wiecie, czuję się wspaniale.

Kwan tłumaczy Du Lili.

– On mówi niezłe.

– Właściwie co to za trunek? – pyta Simon. – Może powinniśmy zabrać trochę tego do Stanów.

– Ten trunek – zaczyna Kwan i urywa, żeby z wielkim szacunkiem popatrzeć na swoją filiżankę – ...ten trunek nazywa się wino z kiszanej myszy, coś takiego. Bardzo sławny w Guilin. Dobry w smaku i także dobry dla zdrowia. Długo się robi. Dziesięć, może dwadzieścia lat. – Kiwa na Du Lili, żeby pokazała butelkę.

Du Lili pokazuje i stuka palcem w czerwono-białą nalepkę. Podaje butelkę Simonowi i mnie, prawie już pustą.

– Co tu jest na dnie? – pyta Simon.

– Mysz – odpowiada Kwan. – Dlatego my to nazywamy wino z kiszanej myszy.

– Co to jest naprawdę?

– Przyjrzyj się. – Kwan wskazuje dno butelki. – Mysz.

Widzimy coś szarego z ogonkiem. Jakaś głębszą częścią mózgu wiem, że powinnam zwymiotować. Ale patrzę na Simona, Simon patrzy na mnie i oboje wybuchamy śmiechem. Śmiechem niepohamowanym do rozpuku, aż trzymamy się za obolałe brzuchy.

– Z czego się śmiejemy? – Simon dyszy.

– Najwidoczniej jesteśmy pijani.

– Ja wcale się nie czuję pijany. Jestem szczęśliwy, że żyję.

– Ja też. Hej, popatrz na te gwiazdy. Nie wydają ci się większe? Nie tylko jaśniejsze, ale i większe? Czuję się tak, jakbym ja malała, a powiększało się wszystko wokół.

– Widzisz oczami maleńkiej myszy – mówi Kwan.

Simon wskazuje cienie wyniosłych gór w dali, za murkiem podwórza.

– A to – mówi – te szczyty. Są ogromne.

W milczeniu patrzymy na góry. Po chwili szturcham Kwan łokciem.

– Teraz może widzisz smoki... Dwa smoki jeden przy drugim. Tak?

Przymrużam oczy.

Kwan chwyta mnie za ramiona i ustawia.

– Mocno zaciśnij powieki – komenderuje. – Wymieć z głowy amerykańskie pojęcia. Myśl po chińsku. Wmów sobie, że śniesz. Dwa smoki: jeden on, jedna ona, smoczyca.

Otwieram oczy. Jest tak, jakbym widziała przeszłość na pierwszym planie, a teraźniejszość jak dawny sen.

– Górskie szczyty wznoszą się i opadają. – Nakreślam je w powietrzu. – To są ich dwa kręgosłupy, czy tak? Dwa przednie szczyty zwężają się jak szyje tych kręgosłupów, to są dwa łby, dolina jest pomiędzy ich dwoma pyskami.

Kwan klepie mnie po ręce, jakbym była uczennicą dobrze odpowiadającą z geografii.

– Niektórzy – mówi – myślą: „Och, wieś siedzi tuż przy pysku smoka... niedobry *feng shui*, wcale nie ma harmonii". Ale moim zdaniem, to zależy jakiego typu smok. Te dwa smoki bardzo wierne. Dobre *chi*... jak to jest po angielsku: dobry *chi*?

– Dobre wibracje.

– Tak, tak, dobre wibracje – cieszy się Kwan i tłumaczy Du Lili, o czym rozmawiamy.

Du Lili uśmiecha się od ucha do ucha. Trajkocze coś dialektem Changmian i zaczyna nucić:

– *Dee di-da da...*

Kwan jej odpowiada: – *Di da da da* – i zwraca się do nas:

– Dobrze, Simon, Libbi-ja, siadajcie z powrotem. Du Lili mówi, że powinnam wam opowiedzieć miłosną historię smoków.

Teraz jak przedszkolaki siedzimy przy ognisku. Nawet Du Lili, ożywiona, pochyla się ku Kwan.

– Więc to taka historia – zaczyna opowieść Kwan, a Du Lili się uśmiecha, jak gdyby rozumiała angielski. – Dawno temu dwa czarne smoki, mąż i żona, żyły pod ziemią niedaleko Changmian. Co rok na wiosnę budziły się, wstawały z ziemi jak góra. Na oko te dwa smoki wyglądały jak ludzkie osoby, tyle że czarne i bardzo silne. Pewnego dnia wykopały rów naokoło wioski. Woda spłynęła z góry, wlała się w rów. Dobry sposób, żeby kiedy nie ma deszczu, nie szkodziło, że nie ma. I tak było mnóstwo wody, żeby rośliny rosły. Libbi-ja, jak się nazywa takie podlewanie, co płynie samo?

– Irygacja.

– Tak, tak. Jak Libbi-ja mówi, irytacja...

– Irygacja.

– Tak, tak, irytacja dla całej wsi. Więc wszyscy kochali tych dwoje smoków. Co rok robili wielką ucztę na ich cześć. Ale pewnego dnia Bóg Wody, rzeczywiście nisko-poziomowy typ, wściekł się. „Hej, ktoś zabrał wodę z mojej rzeki, bez pozwolenia”.

– Do licha – Simon pstryka palcami – prawo do wody. Zawsze prawo do wody.

– Tak, tak. Więc wielka kłótnia tam i z powrotem. Później Bóg Wody najął dzikusów z innego plemienia, nie z naszej wsi, skądś tam z daleka. Może z Hawajów. – Kwan szturcha łokciem Simona. – Hej, to żart. Ja tylko żartuję! Nie z Hawajów. Nie wiem skąd. Dobrze, więc te dzikusy wzięli strzały, zabili smoka mężczyznę i smoka kobietę, poprzeshywali ich na wylot w każdym miejscu. Wtedy oni, zanim umarli, wczołgali się z powrotem w ziemię i zmienili się w smoki. Widzicie! Te dwa grzbiety teraz wyglądają jak sześć szczytów. I tam, gdzie strzały im się wbiły, zrobiło się dziesięć tysięcy jaskiń, wszystkie skręcone razem prowadzą do jednego serca. Teraz, kiedy deszcz pada, woda płynie przez górę, wlewa się przez

dziury, zupełnie jak łyzy nie może przestać płynąć. Dosięga dna – powódź! Co rok to robi.

Simon marszczy brwi.

– Nie rozumiem. Jeżeli jest powódź co rok, gdzie to dobre *chi*?

– Tst! Ta powódź to niewielka powódź. Zupełnie mała powódź. Akurat dosyć na umycie podłogi. W moim całym życiu jedna jedyna zła powódź, jedna jedyna długa susza. Więc raczej szczęście.

Mogłabym przypomnieć Kwan, że mieszkała w Chang-mian tylko osiemnaście lat przed wyjazdem do Ameryki. Ale po co psuć jej opowieść i naszą zabawę?

– A co z Bogiem Wody? – pytam.

– Aha, ta rzeka... Już nie ma. Powódź zmyła rzekę.

Simon tak bije brawo, że budzi Du Lili z drzemki.

– Szczęśliwe zakończenie. Świetnie!

Du Lili wstaje i przeciąga się, po czym zaczyna sprzątać resztki naszej uczyty. Kiedy chcę jej pomóc, nie daje mi wstać. Kwan podsycza gałązkami ogień.

– Kto ci opowiedział tę historię? – pytam.

– Wszyscy ludzie w Changmian to znają. Od pięciu tysięcy lat każda matka śpiewa o tym swojemu dziecku; taka piosenka, „Dwa smoki”.

– Od pięciu tysięcy lat? Skąd wiesz? To nie mogło być nigdzie zapisane.

– Wiem, bo... No, powiem wam coś, sekret. Pomiędzy dwoma smokami w małej dolinie za tą doliną są dwie jaskinie. Jedna mała prowadzi do drugiej dużej, wprost nie do wiary. A w tej dużej jaskini jest jezioro dość duże, żeby pływać łodzią. Woda piękna, jakiej nigdy nie widzieliście, turkusowa i złota. Głęboka, jarzy się w dodatku... Zapomniało się wziąć lampę, nic, i tak widać całą starożytną wieś nad tym jeziorem.

– Wieś? – włącza się Simon. – Mówisz, prawdziwa wieś?

Chcę mu dać do zrozumienia, że to jeszcze jedna z bajek Kwan, ale nie mogę

napotkać jego wzroku.

Kwan jest zadowolona z jego zainteresowania.

– Tak, tak, prawdziwa wieś. Jaka stara, dokładnie nie wiem. Ale kamienne domy nadal stoją. Nie ma dachów, tylko ściany, małe otwory, żeby wczłgać się do środka. A w środku...

– Zaraz, chwileczkę – przerywa jej Simon. – Byłaś w tej jaskini, widziałaś tę osadę?

– No pewnie. W kamiennych domach mnóstwo rzeczy, kamienne krzesła, kamienne kubły z pałakami, dwa smoki wyrzeźbione na wierzchu. Rozumiecie... dwa smoki! Ta historia taka stara jak ta wieś. Czy chyba starsza, chyba pięć tysięcy lat to za mało. Może więcej niż dziesięć tysięcy. Kto wie, jaka stara?

Ciarki przebiegają mi po krzyżu. Może Kwan mówi o innej jaskini?

– Ile ludzi tam było?

– Ile? Och, nie wiem dokładnej ilości. Domki bardzo małe. Nie za dużo ludzi naraz tam mieszkało.

– Nie, ja pytam, ile ludzi tam chodzi teraz.

– Teraz? Nie chodzą. Zanadto się boją.

– Dlatego, że...

– Och, nie musisz wiedzieć.

– Kwan, powiedz.

– Dobrze, dobrze. Ale jeżeli się przestraszysz, nie moja wina.

Simon opiera się o pompę studni.

– Mów.

Kwan głęboko nabiera tchu.

– Niektórzy ludzie mówią: „Wejdz nie tylko do tej jaskini, ale do każdej jaskini tam w dolinie, a nigdy nie wrócisz”. – Waha się, po czym dodaje: – Chyba że jako duch.

Czeka na naszą reakcję.

Ja się uśmiecham, Simon wlepia w nią oczy.

– Och, rozumiem. – Znów na próżno usiłuję przyciągnąć wzrok Simona. – To jest klątwa Changmian, o której ten człowiek wspominał wczoraj.

Simon zaczyna spacerować po podwórku.

– Boże, jeżeli to prawda...

Kwan pyta z uśmiechem:

– Myślisz o prawdzie, że ja jestem duch?

– Duch? – Simon się śmieje. – Nie, nie! Myślę o samej tej jaskini... jeżeli to jest prawda.

– Oczywiście, prawda. Już wam mówiłam. Ja widziałam.

– Pytam tylko dlatego, że czytałem gdzieś... gdzie to było... Ach, już wiem. W przewodniku coś o jakiejś jaskini z siedzibami ludzkimi z epoki kamiennej. Olivia, czytałaś o tym?

Potrząsam głową. I teraz się zastanawiam, czy nie przyjąłam opowieści Kwan o Nunumu i Yibanie zbyt sceptycznie.

– Myślisz, że to o tej jaskini?

– Nie, to jakaś superatrakcja dla turystów bliżej Gui-lin.

Ale w przewodniku też było, że na tym górzystym obszarze są tysiące jaskiń, których nikt nie widział.

– Może i ta, o której mówi Kwan.

– Czy to takie niewiarygodne? – Simon odwraca się do Kwan. – Myślisz, że nikt inny tam przed tobą nie był?

Kwan marszczy czoło.

– Nie, nie. Tak nie mówię. Mnóstwo ludzi było.

Simon otwiera usta. Przewraca oczami. No cóż...

– Ale już wszyscy nie żyją – dodaje Kwan.

– Stop! – Simon unosi rękę. – Spróbujmy to uporządkować. – Znów spaceruje. – Ty nam mówisz, że o tej jaskini nie wie nikt z żyjących. Z wyjątkiem ciebie oczywiście. – Czeka, żeby Kwan to potwierdziła.

– Nie, nie, ludzie w Changmian wiedzą. Tylko nie wiedzą, gdzie jest.

– Aha! – Simon wolno podchodzi do nas. – Nikt nie wie, gdzie ta jaskinia jest. Ale wszyscy wiedzą, że jest.

– Oczywiście. Wiele opowieści w Changmian o tym. Wiele.

– Na przykład? – Ruchem głowy jak profesor studentkę Simon zachęca Kwan do odpowiedzi. Ona marszczy czoło i nos, jak gdyby przeszukiwała swoją zasobną skarbnicę opowieści o duchach i sekretów, których, mamy przysiąc, nigdy nie wyjawimy.

– Najślynniejsze – mówi po tej przerwie Kwan – zawsze o cudzoziemcach. Kiedy oni umierają, sprawiają mnóstwo kłopotów. – I kiedy Simon potakuje ze współczuciem, zaczyna się opowieść: – Dobrze, więc to idzie tak... To się zdarzyło może sto lat temu, ja nie widziałam, tylko słyszałam, jak ludzie w Changmian mówią. To o czworgu misjonarzach. Przyjechali z Anglii na małych wozach z dużymi parasolami na wierzchu, i tylko dwa muły ciągnęły tych tłuściochów. W upalny dzień, w dodatku. Wskoczyły dwie biblijne panie, jedna młoda i nerwowa, druga stara i rządząca się, a także dwaj mężczyźni, jeden z brodą, drugi, och, taki gruby, że nikt w naszej wsi własnym oczom nie wierzył. Ci cudzoziemcy byli ubrani po chińsku. A jakże! Ale mimo to wyglądali obco. Ten tłuścioch mówił po chińsku troszeczkę, ale trudno do zrozumienia. Coś tak: „Czy możemy piknik tutaj?” Wszyscy powiedzieli: „Proszę bardzo, witajcie”. Więc oni jedli, jedli, jedli, jedli, jedli, jedli... Strasznie dużo jedzenia...

Przerywam Kwan:

– Mówisz o pastorze Amenie?

– Nie, nie. Zupełnie inni ludzie. Jak mówię, nie widziałam, tylko słyszałam. W

każdym razie, kiedy już zjedli, ten tłścioch pyta: „Hej, podobno macie słynną jaskinię ze starożytnym miastem. Pokażecie nam?” Wszyscy zaczęli się wykręcać: „Och, to za daleko”, „Jestem zbyt zajęty”, „Nie ma co pokazywać”. Wtedy stara biblijna podniosła w ręce ołówek: „Kto chce dostać ten ołówek, niech mnie zaprowadzi do jaskini”. W tamtych czasach nasi ludzie jeszcze nigdy nie widzieli ołówka... Pędzelki do pisania, owszem, ale ołówki nie. Oczywiście ołówek wynaleźli prawdopodobnie Chińczycy, tyle rzeczy wynajdujemy... proch, chociaż nie do zabijania, makaron także. Włosi zawsze mówią, że to oni wynaleźli makaron... Nieprawda, tylko wciąż małpują Chińczyków od czasów Marco Polo. Także Chińczycy wynaleźli zero jako cyfrę. Przed zerem ludzie nie mieli nic. Teraz każdy ma zero. – Kwan sama się śmieje ze swojego dowcipu. – O czym to ja mówiłam?

– O biblijnej pani z ołówkiem.

– Aha, tak. W naszej biednej wiosce nikt nie widział ołówka. A tu ta biblijna pokazała, że może nim napisać znak zwyczajnie, bez atramentu. Jeden młody człowiek nazwiskiem Hong... on zawsze marzył, żeby być lepszy od wszystkich... wziął ten ołówek. Jeszcze teraz rodzina trzyma na ołtarzyku ten ołówek, który kosztował jego życie. – Kwan krzyżuje ręce na piersiach, jak gdyby zaznaczając, że słuszną karą za pożądanie ołówka jest śmierć.

Simon podnosi z ziemi gałązkę.

– Zaraz, zaraz. Czegoś nam tutaj brak. Co się stało z tymi misjonarzami?

– Nie wrócili.

– Może odjechali – rozumiem – tylko nikt nie widział ich odjazdu.

– Ten młody też nie wrócił.

– Może zapragnął być chrześcijaninem i przyłączył się do nich.

Kwan patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– A po co? I dlaczego ich wozy u nas zostały i muły? I dlaczego biblijny kościół



później przysyłał najróżniejszych żołnierzy cudzoziemskich, żeby ich szukali? Tyle było z tego kłopotów, stukania do tych drzwi, do tamtych. „Co się stało? Nie powiesz nam, to cię spalimy”. Wkrótce wszyscy wpadli na ten sam pomysł. „Och – mówili – takie to smutne, bandyci, otóż to!” A teraz, dzisiaj, nadal ta historia jest znana. Kiedy ktoś robi z siebie lepszego niż wszyscy, mówi mu się: „Ha! Uważaj, bo możesz się zmienić w ołówkowca”.

– Słyszysz? – szturcham Simona.

Kwan prostuje się i nadstawia ucha w stronę gór.

– Ach, słyszycie?

– Co? – pytamy, Simon i ja jednocześnie.

– Śpiew. Ludzie *yin* śpiewają.

Cichniemy. Po chwili słyszę słaby szmer.

– Mnie się wydaje, że to wiatr.

– Tak! Dla większości to tylko wiatr, Łuu! Łuu!, powiew przez jaskinie. Ale jeżeli się ma wielki smutek, słyszy się, jak ludzie *yin* wołają: „Chodź tu, chodź tu”. Im bardziej się smutnieje, tym głośniejsze śpiewają: „Spiesz się! Spiesz się!”, aż wchodzi się tam do środka, och, i oni wtedy są tam szczęśliwi. Bo się zajmie miejsce kogoś, i ten ktoś będzie mógł wyjść stamtąd. I polecieć do Świata Yin, mieć spokój wreszcie.

– Trochę tak jak zabawa w „ty mnie zastąpisz” – zauważa Simon.

Udaję, że się śmieję, ale jestem zaniepokojona. Dlaczego Kwan tyle opowiada o zamianie miejsc ze zmarłymi?

Kwan odwraca się do mnie.

– Więc teraz wiesz, skąd nazwa tej wsi. *Chang* znaczy śpiewać, *mian* znaczy jedwab, coś, co jest delikatne, ale ciągnie się mocno jak nić. Delikatna pieśń nigdy nie ustająca. Ale niektórzy wymawiają Changmian inaczej: najpierw głośniejsze, potem ciszej: O tak: *Chang!* I wtedy *chang* znaczy długi, a *mian* znaczy spać. Długi sen.

Teraz rozumiesz?

– Czyli śpiew do usypiania – mówi Simon.

– Nie, nie, nie, nie, nie. Długi sen to inna nazwa śmierci. Dlatego wszyscy mówią „Changmiańskie jaskinie, nie chodźcie tam. To drzwi do Świata Yin”.

W głowie czuję mrowienie.

– I ty w to wierzysz?

– Wierzę? Ja już tam byłam. Wiem. Mnóstwo ludzi *yin* tam utknęło i czeka i czeka.

– Więc dlaczego ty mogłaś wrócić? – pytam i natychmiast się poprawiam: – Wiem, nie musisz mi mówić.

Pewnie zaczęłaby na nowo opowiadać o Bułeczce czy o Zengu. Jest późno. Oczy mi się kleją i nie chcę mieć uczucia, że leżę obok osoby, która wstąpiła w ciało zmarłej dziewczynki. Simon przysiadła przy mnie.

– Myślę, że powinniśmy wybrać się do tej jaskini.

– Żartujesz?

– A czemuż by nie?

– Czemuż by nie? Zwariowałeś? Ludzie tam umierają.

– Wierzysz w te bzdury o duchach?

– Oczywiście że nie! Ale musi tam być coś niedobrego. Opary gazu, zapadnięcia, Bóg wie co jeszcze.

– Topiel – mówi Kwan. – Mnóstwo smutnych ludzi tam utonęło, spada się na dno, w dół, w dół, w dół.

– Słyszysz, Simon? Topiel, w dół, w dół, w dół

– Olivia, czy ty nie zdajesz sobie sprawy?... To mogłaby być istna bomba. Jaskinia przedhistoryczna. Domy z epoki kamiennej. Garnki...

– I kości – skwapliwie dodaje Kwan, wyraźnie pełna dobrych chęci.

– I kości! – powtarza Simon. – Jakie kości?

– Przeważnie cudzoziemskie. Oni gubią drogę, gubią rozum. Ale nie chcą umrzeć. Więc leżą nad jeziorem. Długo, aż im ciała kamienieją.

Simon wstaje. Patrzy na górskie szczyty. Mówię:

– Ludzie tam gubią rozum. Kamienieją.

Ale Simon nie słucha. Wiem, że już wkracza myślą do tej jaskini i w świat sławy i fortuny.

– Masz pojęcie, co powiedzą tam w redakcji, kiedy zobaczą nasz reportaż? Cholera! Od rosolu z kury do dużego odkrycia archeologicznego! Albo może zaproponujemy to „National Geographic” czy czemuś takiemu. No bo przecież nie musimy dać prawa „Lądom nieznanym”. I powinniśmy wziąć z tej jaskini jakieś wyroby garncarskie na dowód. Bezwzględnie.

– Ja tam nie pójde – mówię stanowczo.

– Świetnie. Więc pójde sam.

Chcę wrzasnąć: „Zabraniam ci!” Ale jak mogę? Już nie mam wyłączności, jeśli chodzi o jego ciało, umysł czy duszę. Kwan patrzy na mnie i do niej chcę wrzasnąć też: „To twoja wina! Ty i te twoje cholerne historie!”

Patrzy z irytującym siostrzanym zatroskaniem, głaszcze mnie, próbuje uspokoić. Wyrwam się spod jej ręki, a ona odwraca się do Simona.

– Nie sam. Nie możesz tam pójść sam

– Jak to?

– Nie wiesz, gdzie ta jaskinia jest.

– Nie wiem, ale ty dokładnie mi powiesz.

– Nie, nie. Libbi-ja ma rację, zbyt niebezpiecznie.

Simon drapie się w szyję. Przypuszczam, że zbiera argumenty, żeby nas obie przekonać, ale on tylko wzrusza ramionami.

– No, niewykluczone. Może odłożymy rozmowę o tym do jutra, kiedy się prześpimy?

Leżę pośrodku zatłoczonego małżeńskiego łóża, sztywna jak Starsza Mama w trumnie. Ręce i nogi mnie bolą, tak się naprężam, żeby przypadkiem nie dotknąć Simona. Leżymy w jednym łóżku po raz pierwszy od prawie dziesięciu miesięcy. On jest w jedwabnej ocieplanej bieliźnie. Od czasu do czasu czuję na udzie jędrną wypukłość jego łydek albo kość ogonową i ostrożnie się odsuwam, ale wtedy objam się o kolana Kwan, jej sterczące palce podkulonych stóp. Podejrzewam, że ona mnie popycha do Simona..

Dziwne jęki słycać.

– Co to było? – pytam szeptem.

– Nic nie słyszałem – odpowiada Simon.

Więc on też jeszcze nie śpi.

Kwan ziewa.

– Śpiew z jaskini. Już wam mówiłam.

– Teraz to brzmi inaczej, jak gdyby ktoś się uskarżał.

Kwan przewraca się na drugi bok. Po paru minutach chrapie, a po kilku następnych również Simon oddycha głośno i miarowo. A ja samotna, chociaż pomiędzy dwojgiem ludzi, daleka od snu, wpatruję się w ciemność i migają mi przed oczami różne momenty ubiegłej doby. Jazda ciężarówką-lodówką, narciarska kurtka Starszej Mamy, Bułeczka i Kwan w trumnach. Taniec śmierci biednego kuraka. Martwa mysz w winie, misjonarze zmarli w jaskini. Twarz Simona, jego podniecenie, kiedy razem patrzyliśmy na górskie szczyty, które są smokami. To było miłe, szczególne. Przypominało uczucia, jakich kiedyś doznawaliśmy. Czy może to nic nie znaczyło. Może to tylko skutek wina z kiszoną myszą.

Przewracam się na bok, Simon również. Żeby go nie dotknąć, wyciągam się cała, aż jestem prosta jak chińska pałeczka do jedzenia. Taki bezruch jednak nie jest naturalny, chyba że po śmierci. Bardzo bym chciała wtulić się w Simona, pozwolić sobie na tę wygodę. Ale jeśli to zrobię, on pomyśli, że mu wybaczam. Albo że

przyznaję, że jest mi potrzebny. Simon cmoka i prycha – jak zwykle, kiedy głęboko zasypia. I wkrótce już czuję na szyi fale jego ciepłego oddechu.

Zawsze mu zazdrościłam mocnego całonocnego snu. Jego nie obudzi policyjna syrena ani trzęsienie ziemi, ani teraz ten uporczywy chrobot pod łóżkiem. Czy może to jest raczej piłowanie; szczur ostrzy sobie kły, gryząc słupek łóżka przed wspięciem się tutaj?

– Simon – szepczę – słyszysz to? Simon!

Jak w dawnych czasach Simon jedną ręką obejmuje mnie w talii i wtula twarz w moje ramię. Sztywnieję. Czy on śpi? Zrobił to instynktownie? Lekko kręcę biodrem – może nie śpi, wycofa rękę. On jęczy. Może poddaje mnie próbie.

Odrącam jego rękę. Porusza się, mówi sennym głosem:

– Mmm, przepraszam.

Odsuwa się, chrapie i przewraca się na drugi bok. Więc objął mnie przypadkowo przez sen. Niezamierzenie. Gardło mi się ściska, serce boli.

Wspominam: Simon zawsze po kłótni chciał pieścić się i kochać, jak gdyby połączenie cielesne miało scalić wszelkie rozbieżności między nami. Ja odrzucałam łatwiznę supozycji, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. A przecież opierałam się tylko trochę, kiedy mi unosił podbródek. Powstrzymywałam gniew i oddech, kiedy pocałunkami muskał mnie w usta, w nos, w czoło. Im bardziej się denerwowałam, tym dalej posuwał się w tych zalotach: całował w szyję, w piersi, w kolana. A ja mu pozwalałam – nie dlatego, że słabłam i chciałam seksu, tylko dlatego, że byłoby złośliwością nie do odkupienia odebrać nam obojgu nadzieję.

Zamierzałam omówić z nim naszą sytuację później. To, że on uważa przemilczanie za rzecz normalną, a ja w przemilczaniu widzę zagrożenie, to, że już nie umiemy ze sobą rozmawiać, bo chroniąc on swoje, a ja swoje terytorium, tracimy terytorium wspólne. Zanim zrobiło się za późno, zamierzałam mu powiedzieć, że miłość, która nas połączyła, już zubożała, trzeba ją wyposażyć na nowo. Czasami

lękałam się, że nasza miłość nigdy nie była w pełni bogata; była zasobna dostatecznie przez kilka lat, ale nie mogła wystarczyć na całe życie. Inaczej mówiąc, przyjmowaliśmy zadatek jako stałe i pewne dochody. Byliśmy dwojgiem ludzi głodnych bujnej miłości, ale zbyt zmęczonych, żeby to powiedzieć, spętanych ze sobą, dopóki czas nie minie i nie odejdziemy z tego świata, byliśmy niejasnymi nadziejami bez marzeń, po prostu jeszcze jednym przypadkowym połączeniem spermy i jajeczek, pierwiastka męskiego z pierwiastkiem żeńskim – połączeniem już zdezaktualizowanym.

Myślałam o tym wszystkim, kiedy Simon mnie rozbierał, i miałam mu za złe, że dla niego nagość jest intymnością. Pozwalałam, żeby pieścił moje ciało, które poznał lepiej niż moje serce. A on wprawiał mnie w rytm, mówił: „Odpręż się, odpręż się, odpręż się!”, aż uciekałam od wszystkiego, co było nie tak jak trzeba. Poddawałam się swojemu rytmowi, jego rytmowi, naszemu rytmowi, kochałam z przyzwyczajenia, wprawnie, odruchowo.

Po zbliżeniu czułam się lepiej, już nie taka niespokojna. Próbowałam przypomnieć sobie te żale – że nie ma plonów i bujności, że miłość bezowocna, beznadziejna śmierć – ale ich nie czułam; ot, chimery, niemądre, nawet śmieszne.

Teraz, kiedy nasze małżeństwo już się skończyło, wiem, co to jest miłość. To jest oszukiwanie mózgu, praca nadnercza, wydzielającego endorfinę. Zalewa komórki, przekaźniki troski i rozsądku, zatapia je w biochemicznej błogości. A jednak miłość, chociaż tyle można o niej wiedzieć, pozostaje nadal nie do odparcia i tak omamia, jak płynne objęcia długiego snu.

**Luk**

Budzą mnie krzyki młodych dziewcząt – gwałconych czy zabijanych, a może jedno i drugie! Potem głos Du Lili:

– Czekaście, czekaście łakomczuchy! – I kwiki świń jeszcze głośniejsze i jej gruchanie: – Jedzcie, żryjcie i tyjcie.

Zanim dojdę do siebie, następny wstrząs tego przebudzenia. W nocy najwidoczniej moje ciało grawitowało do najbliższego źródła ciepła, którym był Simon. Ściśle mówiąc, leżę teraz wtulona zadkiem w sprężyste gniazdo jego lędźwi, w którym rośnie tak zwany przez nas kiedyś czule „ranny ptaszek”. Jedna trzecia łóżka należąca do Kwan jest pusta, wgłębienie pozostałe po niej chłodne pod dotknięciem. Dawno wstała? Och, tak, wiem, co umyśliła, cwaniaczka. A Simon, czy on rzeczywiście śpi? Czy w duchu się śmieje?

Straszna prawda: jestem podniecona. Wbrew wszystkiemu, co myślałam tej nocy, czuję dolną połowę ciała tętniące, swędzące pragnienie ciepła i dotyku. I całą sobą lgnę do wygody. Klnę siebie; masz cholerny dołek bez mózgu! Współczynnik inteligencji makówki! Wymykam się niebezpieczeństwu, wstaję z łóżka od strony Kwan. Simon się porusza. Marznąc w koszuli nocnej, trzęsąc się, doskakuję do mojego bagażu tam, gdzie rzuciłam go wczoraj, przy nogach łóżka. Temperatura powietrza chyba nie przekracza paru stopni. Szukam ciepłych rzeczy.

Simon ziewa i przeciąga się, odchyła moskitierę.

– Dobrze spałem – mówi dwuznacznie. – A ty?

Wyławiam kurtkę z kapturem i narzucam ją na ramiona. Tak zeszywniała z zimna, że aż trzeszczy. A mnie zęby dzwonią, kiedy pytam:

– Gdzie tutaj się bierze prysznic albo kąpiel?

Simon patrzy na mnie rozbawiony. Czy coś podejrzewa?

– Jest łaźnia publiczna za toaletami – mówi. – Sprawdziłem to wczoraj, kiedy ty fotografowałaś. Ma w sobie urok kąpieliska. Dla płci obojga. Jedno koryto bez czekania. Ale chyba od wieków nikt się w nim nie pluskał. Woda jest raczej ziemista. I jeżeli się chce ciepłą kąpiel, trzeba przynieść wiadro gorącej wody.

Byłam przygotowana na najgorsze, ale przecież nie na niewiarygodne najgorsze.

– Kąpią się w tej samej wodzie przez cały dzień?

– Przez cały tydzień, na to wygląda. Boże, teraz wiem, że my w Stanach jesteśmy marnotrawcami.

– Co cię tak bawi? – pytam.

– Ty. Wiem, jaką masz manię na punkcie czystości.

– Nie mam manii.

– Czyżby? Więc dlaczego zawsze w hotelach przede wszystkim ściągasz kapę z łóżka?

– Bo w hotelach nie dość często zmieniają powleczenie.

– Więc?

– Więc nie lubię leżeć na płatkach cudzej łuszczącej się skóry i na cudzych wyschniętych wydzielinach.

– Aha. Podtrzymuję oskarżenie. Idź zaraz do tej łaźni, wyzywam cię.

Przez chwilę rozważam, co lepsze: wykąpać się teraz we wspólnym rosole, czy tchórzyc przed tym przez dwa tygodnie.

– Oczywiście mogłabyś napełnić miednicę i cała umyć się gąbką tutaj. Mógłbym być twoim kąpielowym.

Udaję, że go nie słyszę. Usiłuję się nie uśmiechnąć, mam nieomal skurcz mięśni w policzkach. Wyciągam dwie pary legginsów. Bawełniane odrzucam, wełniane biorę żałując, że takich nie przywiozłam więcej. Propozycja Simona jest dobra, to



znaczy ta część o gąbce. Kąpielowy, akurat! Potrafię sobie wyobrazić: Simon jako egipski niewolnik w slipkach ze skręconego płótna, z udręką pożądania malującą się na twarzy, w milczeniu polewa mi wodą piersi, brzuch, nogi. A ja bez serca traktuję go jakby był kurkiem kranu: Cieplesza! Zimniejsza! Prędzej!

– Tak na marginesie – Simon przerywa mi napawanie się tą wizją – znowu mówiłaś przez sen.

Unikam jego wzroku. Niektórzy ludzie chrapią. Ja mówię przez sen. Nie mamrocę, tylko mówię pełnymi, wyraźnymi zdaniami. Co noc. Głośno. Czasami nawet sama siebie tym budzę. Simon nieraz słyszał, jak opowiadam słone kawały, zamawiam trzydaniowe desery, krzyczę na Kwan, żeby trzymała swoje duchy z dala ode mnie.

Teraz unosi brew.

– Dziś w nocy wypowiedziałaś się z pewnością rewelacyjnie.

Cholera! Co mi się śniło, do diabła? Zawsze pamiętam moje sny. Dlaczego teraz nie? Czy śnił mi się Simon? Seks?

– Sny nic nie znaczą – ucinam. Wyciągam ciepły podkoszulek i butelkowo-zielone wdzianko. – To tylko płynące szczątki, wyrzucony balast.

– Nie chcesz wiedzieć, co powiedziałaś?

– Doprawdy nie.

– To w związku z czymś, co szalenie lubisz robić!

Rzucam podkoszulek i wdzianko.

– Wcale tego nie lubię tak szalenie, jak myślisz!

Simon mruga dwa razy, parska śmiechem.

– Och tak, lubisz szalenie! Powiedziałaś: „Simon, zaczekaj. Jeszcze za to nie zapłaciłam”. – Daje mi pięć sekund, żebym zareagowała. – Kupowałaś jakieś fatalaszki w sklepie. A tyś myślała, że co?

– Zamknij się. – Twarz mnie pali. Wpycham rękę do walizki i gniewnie

wyciągam wełniane skarpetki. – Odwróć się. Chcę się ubrać.

– Już widziałem cię nagą tysiąc razy.

– No ale nie będzie razu tysiąc pierwszego. Odwróć się.

Odwrócona do niego plecami zrzucam kurtkę, zdejmuję nocną koszulę, jeszcze wściekła na siebie, że tak dałam się nabrać. On mnie zwiódł. Ja idiotka! Powinnam była wiedzieć, że on się ze mnie nabija. I nagle czuję coś jeszcze. Szybko odwracam się do niego.

– Nie musisz wciągać brzucha. – Simon trzyma odchyloną zasłonę z gazy. – Wyglądasz wspaniale. Zawsze tak wyglądałaś. Nigdy nie mam dosyć patrzenia na ciebie.

– Ty gówniarzu!

– Co! Przecież nadal jesteśmy małżeństwem!

Zwijam skarpetkę w kłębek i ciskam w niego. On się uchyła, puszczając z ręki moskitierę, która na pewno ma sto lat, bo uderzenie skarpetki ją rozrywa – puff! – i cienkie klaczki wlatują w powietrze.

Oboje gapimy się na to uszkodzenie. Czuję się jak dzieciak, który futbolówką stłukł sąsiadom szybę w oknie, niegodziwie uradowana.

– Uch-och! – parskam, przykrywając usta.

Simon potrząsa głową.

– Niegrzeczna dziewczyna.

– To przez ciebie.

– Jak to? Tyś rzuciła tę skarpetkę.

– Bo patrzyłeś.

– Nadal patrzę.

I oto ja. Stoję nagusia, zimno, aż mi pupa odmarza. Ciskam w Simona drugą skarpetkę, potem legginsy, to welurowe wdzianko, koszulę nocną. Zdejmuję nocny pantofel, podbiegam do Simona i walę go pantoflem w plecy. On chwyta mnie za

rękę. Oboje padamy na łóżko, tarmosimy się i turlamy, nie szczędzimy sobie klapsów i szturchańców, ostatecznie wdzięczni okolicznościom za pretekst, żeby się dotykać. Potem wyczerpani tą zartobliwą potyczką, patrzymy na siebie w milczeniu, oczy w oczy, bez uśmiechu, nie mając nic do powiedzenia. I ni stąd, ni zowąd oboje jak para wilków, które znów się spotkały, rzucamy się w poszukiwanie tego, co nas określa jako należących do siebie nawzajem: zapachu skóry, smaku języków, gładkości włosów, słonego smaku szyi, falistości stosów pacierzowych, wzniesień i fałd tak dobrze nam znanych, a przecież teraz tak nowych. On jest czuły, ja jestem szalona, szczypię, oboje kołyszymy się, wcale już nie pamiętamy, kim byliśmy przed tą chwilą, bo w tej chwili jesteśmy jednością.

Kiedy wychodzę na podwórze, Kwan wita mnie swym zwykłym niewinnym, ale wszechwiedzącym uśmiechem.

– Libbi-ja, coś taka promienna?

Patrzy na Simona.

– Nie ma deszczu – odpowiadam. Nieważne, Kwan czy Bułeczka, cieszę się, że dzięki niej przyjechaliśmy do Chin.

Przed Kwan na ziemi stoi otwarta walizka, wypchana najróżniejszymi rzeczami. Jak Kwan nam mówiła, Starsza Mama zostawiła te dary w spadku dla Du Lili – wszystko z wyjątkiem drewnianej pozytywki, która odtwarza melodię „Dom rodzinny w górach”. Wyciągam aparat i zaczynam fotografować.

Kwan bierze z walizki pierwszą rzecz. Pochylamy się z Simonem, żeby to zobaczyć. Trutka na karaluchy, Roach Motel.

– W Ameryce – z powagą wyjaśnia Kwan zaintrygowanej Du Lili – nazywają to gospoda dla karaluchów.

Wskazuje etykietkę.

– Au! – wykrzykuje Du Lili. – Amerykanie są tacy bogaci, że robią domki dla owadów! Tst! Tst! – Potrząsa głową, opuszcza kąciki ust z proletariackim

obrzydzeniem. Tłumaczę Simonowi, co powiedziała.

– Tak, i Amerykanie dają im pyszne jedzenie. – Kwan zagląda w drzwiczki motelu. – Takie pyszne, że karaluchy nie chcą z tego wychodzić. Zostają na zawsze.

Du Lili trzepie Kwan po ręce, udaje gniew.

– Niedobra jesteś! Myślisz, że ja nie wiem co to? – I zwraca się do mnie, podniecona: – Chińczycy mają to samo. My używamy kawałków bambusa, otwieramy, o tak, i napełniamy słodkim sokiem z roślin. Twoja starsza siostra i ja robiłyśmy to razem. W naszej wsi były zawody, kto nałapie najwięcej plagi... najwięcej much, najwięcej szczurów, najwięcej karaluchów. Twoją starszą siostrę często wychwalali, bo łapała najwięcej karaluchów. Teraz próbuje łapać mnie na swoje figle.

Kwan odsłania następne skarby i jest oczywiste, że wiele z nich pochodzi ze sklepu sportowego. Najpierw plecak.

– Dosyć mocny, żeby w nim nosić cegły, i tyle tu kieszeni z boków i pod spodem. Tu i tu, widzicie. Otwierają się suwakiem... Au, co w nim jest? – Wyciąga filtr do wody, kuchenkę turystyczną, małą apteczkę, nadymaną poduszkę, torby foliowe do wielokrotnego użytku, jakieś tuleje, koc i... – Au! Dacie wiarę – jeszcze więcej rzeczy z plecaka: nieprzemakalne pudełko zapalek, latarkę elektryczną, scyzoryk z wykałaczką; wszystko bardzo praktyczne.

Jak na promocji kosmetyków objaśnia, co do czego służy. Simon ogląda.

– Zdumiewające. Ale skąd pomysł na taki komplet?

– Z gazet – odpowiada Kwan. – Był artykuł o trzęsieniu ziemi. Jeżeli przyjdzie duże trzęsienie ziemi, to tu jest wszystko, co potrzebne, żeby przetrwać. W Chang-mian, rozumiesz, nawet nie trzeba czekać na trzęsienie ziemi. Już i tak jest bez elektryczności, bez bieżącej wody, bez ogrzewania.

Następnie Kwan wyjmuje z walizki plastikowe pudło, takie, w jakim się chowa zbyt ciężkie ciuchy pod łóżkiem – widzimy ogrodowe rękawice, wkładki do butów

napełnione żelem, legginsy, ręczniki, podkoszulki. Du Lili wykrzykuje, wzdycha, lamentuje, że Starsza Mama nie zdążyła nacieszyć się tymi luksusami. Fotografuję Du Lili wśród jej spuścizny. Du Lili jest w ciemnych goglach i czapce Super Bowl 49 z napisem „champs”, nabitym brylancikami.

Po prostym śniadaniu, złożonym z kleiku ryżowego i marynowanych jarzyn, Kwan wnosi na podwórze stosy fotografii, które dokumentują jej trzydzieści dwa lata życia w Ameryce. Siada przy Du Lili na ławce.

– Patrz tutaj – mówi. – To jest Libbi-ja, dopiero sześćoletnia. Prawda, że śliczna? Widzisz, jaki ma sweterek. Sama go zrobiłam jeszcze w Chinach.

– A te małe cudzoziemki? – pyta Du Lili. – Co to za jedne?

– Jej szkolne koleżanki.

– Za co ukarane?

– Ukarane? Nie są ukarane.

– Więc dlaczego są w wysokich kapeluszach?

– Ach, ha-ha-ha! Tak, tak, wysokie kapelusze za karę dla kontrrewolucjonistów, bardzo podobne! W Ameryce noszą takie na przyjęciach urodzinowych i na Nowy Rok. To jest przyjęcie w urodziny Libbi-ji. Powszechny amerykański obyczaj. Koleżanki i koledzy dają prezenty, nic pożytecznego, po prostu ładne rzeczy. A matka robi słodki tort i jeżeli ona zdmuchnie wszystkie świece od razu, to jej życzenie się spełni. Potem dzieci pałaszują słodki tort, chlepczą słodkie napoje, ssają słodkie cukierki, tyle słodczy ich języki obracają, że już się nie mieści więcej.

Du Lili rozdziawia usta z niedowierzaniem.

– Tst! Tst! Przyjęcie na każde urodziny. Jakiś urok na życzenie urodzinowe. Dlaczego Amerykanie jeszcze życzą sobie tak dużo, kiedy już mają za dużo? Mnie tam nawet przyjęcie niepotrzebne. Jedno życzenie raz na dwadzieścia lat by wystarczyło.

Simon odciąga mnie od nich.

– Chodźmy na spacer.

– Dokąd?

Wyprowadza mnie z podwórza i wskazuje łukowatą bramę pomiędzy górami, wejście do sąsiedniej doliny.

Grozę mu palcem jak przedszkolanka.

– Simon, chyba o tej jaskini już nie myślisz?

Odpowiada mi miną niby to obrażoną.

– *Moi?* Oczywiście że nie. Myślę tylko, że byłoby miło pójść na spacer. Mamy o czym porozmawiać.

– Och, o czym na przykład? – pytam nieśmiało.

– Ty wiesz. – Bierze mnie za rękę.

Wołam za siebie:

– Kwan, idę z Simonem na spacer!

– Dokąd? – odkrzykuje ona.

– Tak po okolicy.

– Kiedy wrócicie?

– Kiedyś.

– To skąd mam wiedzieć, o której godzinie się denerwować?

– Nie denerwuj się! – I przypuszczając, dokąd, być może, się skierujemy, dodaję:

– Jeżeli nie wrócimy za dwie godziny, zadzwoń po policję.

Słyszę, jak Kwan radośnie uskarża się Du Lili po chińsku:

– Ona mówi, że jeżeli zabłądzą, mam zatelefonować po policję. Z jakiego telefonu? A bo tu jest telefon?

Idziemy w milczeniu, trzymając się za ręce. Zastanawiam się, co powinnam powiedzieć. Jestem pewna, że Simon też się zastanawia. Mnie nie uspokoi załatwienie wszystkiego samoczynnie. Chcę, żebyśmy związali się ze sobą ściśle.

Duchowo, nie tylko fizycznie. Tak więc oboje zaprzątnięci swymi jeszcze nie wypowiedzianymi myślami idziemy bez celu, ale mniej więcej w stronę kamiennego muru, który oddziela Changmian od sąsiedniej doliny.

Na naszej trasie prywatne i boczne uliczki kręto przecinają połączone obejścia. Przepraszamy te rodziny, gapiące się na nas z ciekawością, i znów przepraszamy, kiedy oni biegną do swoich drzwi, po czym wybiegają, pokazują nam monety na sprzedaż, zielone zmatowiałe krążki jakoby sprzed co najmniej pięciuset lat. Sporo fotografuję; wymyślam podpis pod tymi fotografiami: „Mieszkańcy Changmian patrzą na intruzów”. Zaglądamy w otwarte furtki podwórek: staruszkowie palą pety papierosów i kaszlą, młode kobiety piastują niemowlęta o tłustych policzkach – jaskraworóżowych, wyszczypanych chłodem. Mijamy staruszkę, która dźwiga na ramionach ogromną wiązkę chrustu. Uśmiechamy się do dzieci. Niejedno ma zajęczą wargę, niejedno jest szpotawe. Może to rezultat rozmnażania się w tej samej grupie. Widzimy to wszystko, Simon i ja, oboje tutaj obcy. A przecież widzimy to inaczej. Ja wzdrygam się na widok takiej niedoli, w jakiej kiedyś żyła Kwan i w jakiej ja mogłam żyć. A Simon mówi:

– Wiesz, poniekąd im się poszczęściło.

– Jak to?

– No wiesz, mała społeczność, rodzinne dzieje splecione od pokoleń, koncentrowanie się na sprawach podstawowych. Potrzebujesz domu? Zwołujesz przyjaciół, żeby ci pomogli dom sklecić z tych kilku cegieł, i nie musisz bzdurami zawracać sobie głowy, ubiegać się o kredyt. Narodziny i śmierć, miłość i dzieciaki, stół i łóżka, ognisko domowe z krajobrazem... Czego więcej do szczęścia potrzeba?

– Centralnego ogrzewania.

– Ja mówię poważnie, Olivia. To tutaj to jest... no, to jest życie.

– Jesteś sentymentalny. To jest dno, to jest tylko egzystowanie.

– Jednak uważam, że oni mają szczęście.

– Nawet jeśli oni tak nie myślą?

Simon zastanawia się, unosi górną wargę jak buldog.

– Tak.

Jego przemądrzały ton aż się prosi o sprzeciw. Ale zaraz się mityguję. Co jest ze mną? Dlaczego ja muszę wszystko sprowadzać na płaszczyznę słuszności i niesłuszności? Tych ludzi tutaj nie obchodzi, co my myślimy. Dajmy temu spokój.

– Chyba rozumiem twój punkt widzenia – mówię. I kiedy Simon się uśmiecha, żar mojej irytacji znów gaśnie.

Droga biegnie pod górę. Wchodzimy na wzgórze i schodzimy w dół z drugiej strony. Na zboczu bawią się w błocie dwie małe dziewczynki i chłopczyk, dzieci pięcio-, sześćoletnie. Może dziesięć jardów za nimi jest wysoki kamienny mur z łukowatą bramą, który zasłania nam dalszy widok. Dzieci ostrożnie, czujnie podnoszą głowy.

– *Ni hau?* – pyta Simon z akcentem amerykańskim. – Jak się macie?

To jedno z bardzo niewielu chińskich zdań, które zna.

Zanim dzieci odpowiadają, wyciągam lejkę i robię pięć zdjęć. Dzieci chichoczą, po czym wracają do zabawy. Chłopczyk uklepuje i wygładza już gotowe wały twierdzy z błota, odciski jego kciuków jeszcze widać na tej budowli. Jedna dziewczynka palcami wyskubuje żdźbła trawy. Druga delikatnie przenosi te zielone paseczki na strzechę miniaturowej chaty. Przy chacie czołga się kilka brązowych koników polnych, uwięzionych mieszkańców tego kunsztownego obejścia.

– Prawda, że mądre dzieci? – pytam. – Robią sobie zabawki z niczego.

– Mądre brudasy – odpowiada Simon. – Żartuję. Są ładne. – Wskazuje mniejszą dziewczynkę. – Ta wygląda trochę jak ty, kiedy miałaś sześć lat, wiesz, na tej fotce z przyjęcia urodzinowego.

Kiedy skręcamy do łuku, dzieci się podrywają:

– Dokąd idziecie? – pyta chłopczyk burkliwie, dziecięco, po mandaryńsku.



– Chcemy zobaczyć, co tam jest – wskazuję łukowatą bramę. – Chcecie pójść z nami?

Dzieci biegną naprzód. Przed łukiem odwracają się i patrzą na nas.

– Wejdźcie – mówię im. – Wy pierwsze. – Stoją i z powagą potrząsają głowami.

– Więc razem wejdziemy. – Wyciągam rękę do mniejszej dziewczynki. Ona się cofa i staje za chłopczykiem.

– Nie możemy – mówi chłopczyk.

Większa dziewczynka dodaje:

– Boimy się.

I wszyscy troje zbici w gromadkę patrzą w łuk ogromnymi oczami.

Tłumaczę to Simonowi.

– To ja wejdę. Jeżeli nie chcą, to nie.

Simon wchodzi, a dzieci z wrzaskiem odwracają się i pędem uciekają.

– O co chodzi? – Głos Simona rozbrzmiewa echem pod sklepieniem.

– Nie wiem. – Patrzę na dzieci, dopóki nie znikają za grzbietem wzgórza. – Może je ostrzegano, żeby nie rozmawiały z obcymi.

– Chodź! – woła Simon. – Na co czekasz?

Patrzę na mur ciągnący się wzdłuż doliny. W odróżnieniu od murów z cegieł w wiosce ten jest zbudowany z dużych, ciosanych kamieni. Wyobrażam sobie, jak robotnicy dawno temu holowali te bloki tutaj. Ilu ich zmarło wskutek wyczerpania? Czy ich ciała użyto do zaprawy murarskiej, tak jak zwłok robotników, którzy budowali Wielki Mur? W istocie, ten mur wygląda jak miniaturowa wersja Wielkiego Muru. Ale dlaczego jest tutaj? Czy także miał być zaporą w czasach panów wojny i mongolskich najeźdźców? Kiedy wchodzę pod łuk, tętno mi skacze, głowę mam pustą. Zatrzymuję się i opieram ręką o ścianę. Pod łukowatym sklepieniem jest jak w grobowcu. Wyobrażam sobie zastępy upiorów, czekające na nas za tą bramą.

Zamiast nich widzę małą, płaską dolinę, rozmokłe od deszczu pastwisko z jednej strony i pola z drugiej. Pośrodku droga jak brązowa wstążka biegnie prosto w dół. Z obu stron wznoszą się góry w kształcie bochenków, o wiele niższe niż dwa górskie szczyty przed nami. Byłoby to doskonałe tło sielankowego romansu, ale nakłada mi się na to obraz przerażonych dzieci. Simon już schodzi w dół.

– Nie sądzisz, że wtargnęliśmy? – mówię. – To znaczy, że jesteśmy na terenie prywatnym?

Ogląda się na mnie.

– W Chinach? Żartujesz? Nie na darmo nazywają się komunistyczne, wiesz. To jest ziemia publiczna.

– Myślę, że już nie. Już pozwolili mieć własne domy i nawet własne przedsiębiorstwa.

– Nie ma sprawy. Jeżeli nawet to teren prywatny, nie zastrzelą nas. Tylko powiedzą, żebyśmy się wynieśli i wtedy się wyniesiemy. Chodź. Chcę zobaczyć, co jest w następnej dolinie.

Wciąż się spodziewam, że wyskoczy na nas jakiś zagniewany rolnik z podniesioną motyką. Ale to bujne pastwisko jest puste, na polu panuje bezruch. Czy dzisiaj nie dzień pracy? Dlaczego nikt tu nie pracuje? I po co ten wysoki kamienny mur, jeśli nie po to, by kogoś nie dopuszczać? Dlaczego tu taka grobowa cisza? Żadnych oznak życia, choćby ćwierkania ptaka.

– Simon – zaczynam – nie wydaje się, żeby... no...

Wiem, to zdumiewające. Raczej jak pola w angielskich włościach, scena prosto z „Howards End”.

W godzinę później mamy za sobą całą dolinę. Wchodzimy na następne wzgórze, bardziej strome i kamieniste niż to pierwsze. Droga, coraz węższa, staje się nierówną, wyboistą serpentyną. Przed nami jeszcze jeden mur, wyżej wapienne szczyty, które wyglądają jak ostre koralowce wypchnięte z dna pradawnego morza.

Ciemne chmury co chwila zasłaniają słońce, robi się zimniej.

– Może powinniśmy zawrócić – proponuję. – Zanosi się na deszcz.

– Najpierw zobaczymy, co jest na tym wzgórzu.

Nie czekając na moją zgodę, Simon idzie pod górę. Na krętym szlaku myślę o misjonarzach z opowieści Kwan, o tym, jak wieśniacy mówili, że ich zabili bandyci. Może była prawda w tym kłamstwie. Przed samym naszym odjazdem z hotelu w Guilin – kiedy to było? zaledwie wczoraj! – przeglądałam „The China Daily”, chińską gazetę angielskojęzyczną. Na pierwszej stronie donoszono, że zbrodnicza przestępczość, kiedyś nie istniejąca w Chinach, ostatnio wzrasta szczególnie na obszarach atrakcyjnych dla turystów, takich jak Guilin. W jednej wsi, gdzie mieszka tylko dwieście siedemdziesiąt pięć osób, dwa dni temu oddział egzekucyjny rozstrzelał pięciu mężczyzn, jednego za gwałt, dwóch za rabunek, dwóch za morderstwo, a wszystkie te zbrodnie popełnione zostały w zeszłym roku. Pięć zbrodni, pięć egzekucji – w jednej maleńkiej wiosce! Chyż ręką sprawiedliwości, proszę bardzo – oskarżenie, stwierdzenie winy i po wszystkim. Orzeczone w tej gazecie, że „fala zbrodni wypływa z zachodniego skażenia i ze zwyrodnień umysłowych Zachodu”. Przed egzekucją jeden z tych chuliganów przyznał, że umysł mu zgnił po obejrzeniu przemyconego amerykańskiego filmu „Pistolet 33 1/3”. Przysięgał jednak, że nie jest winny morderstwa, bo japońską turystkę zabili górscy bandyci, a jego zbrodnia sprowadza się tylko do tego, że kupił zrabowany zegarek Seiko nieboszczki. Pamiętając tę relację, wyceniam zdobycz naszego ewentualnego napastnika. Mój zegarek to tani plastikowy Casio. Chociaż kto wie, może górscy bandyci łakną cyfrowych zegarków z wbudowanym kalkulatorkiem nie większym niż paznokieć. Paszport zostawiłam w domu Starszej Mamy, dzięki Bogu. Słyszałam, że za paszport na czarnym rynku płacą 5000 dolarów. Złodziejom opłaciłoby się zabić.

– Gdzie jest twój paszport? – pytam Simona.

– Tutaj. – Simon klepie się po torebce przy pasku. – A bo co? Myślisz, że natkniemy się na jakiś patrol graniczny?

– O rany, Simon! Nie powinno się nosić paszportu przy sobie.

– Dlaczego?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, i nagle słyszemy szelest w krzakach, a potem klik-klak kopyt o grunt. Już sobie wyobrażam bandytów na koniach. Simon idzie przede mną.

– Simon! Wracaj!

– Zaraz.

Idzie dalej, znika za zakrętem. Po chwili słyszę jego skowyt:

– Hej, no! Prr! Stój... hej, stój!

Niezdarnie zza zakrętu szlaku Simon zbiega ku mnie.

– Olivia, usuń się! – wrzeszczy i wpada na mnie z takim impetem, że się przewracam.

Kiedy leżę na ziemi, mój umysł odrywa się od ciała. Dziwne. Jestem taka przytomna i spokojna. Zmysły mi się wyostają. Badam guz na swojej łydce nad kostką i oglądam wypukłą żyłkę na kolanie. Nie boli. Nic nie boli! Bez cienia wątpliwości czy lęku wiem, że to znak: śmierć jest tam, za tym zakrętem. Czytałam w książkach o umieraniu, że jakoś się wie, chociaż się nie umie wyjaśnić, dlaczego. Chwila się rozciąga. To jest skondensowana w jednej sekundzie retrospekcja ludzi umierających i zdumiewam się, że ta sekunda wciąż jeszcze trwa. Wydaje się, że mam nieskończone mnóstwo czasu na podsumowanie, co było ważne w moim życiu – śmiech, nieprzewidziane radości, Simon... Nawet Simon. Tak. I miłość, przebaczenie, kojący spokój wewnętrzny, świadomość, że nie zostawiam za sobą żadnych dużych zatargów ani większych żalów. Śmieję się. Dzięki Bogu, mam na sobie czystą bieliznę, chociaż dla kogo w Chinach to ważne? Dzięki Bogu, Simon jest ze mną, więc nie zostałam sama w tym strasznym, a przecież cudownym

momencie. Dzięki Bogu, on będzie przy mnie później – jeżeli istnieje jakieś niebo czy Świat Yin, czy nie wiem co. I jeżeli naprawdę istnieje, jak Simon się zachowa jeżeli... jeżeli Elza tam jest? W czyje anielskie ramiona Simon poleci? Już nie myślę tak jasno i kojąco, sekundy już tykają w swoim powszednim tempie. Zrywam się na równe nogi, mówiąc sobie: Pal licha te bzdury!

I właśnie wtedy oni się pojawiają, nasi potencjalni mordercy: krowa i jej cielak tak przestraszeni moim wrzaskiem, że nieruchomieją w pół kroku z poślizgiem na błocie.

– O co chodzi? – pyta Simon.

Krowa szeroko otwiera pysk i ryczy na mnie: muuuu. Gdyby umierało się wskutek upokorzenia, to ja bym umarła. Moje wielkie duchowe objawienie było po prostu żartem. Sama siebie nabrałam. I nawet nie mogę się z tego śmiać. Strasznie mi głupio. Już nie będę ufać swoim zmysłom, swoim sądom. Wiem, jak muszą się czuć schizofrenicy, usiłując doszukać się ładu w chaosie, wynajdując jakąś wątplą logikę, która by umożliwiła sklecenie czegoś, co bez niej będzie dalej się rozłazić. Krowa i cielę odbiegają susami. Ale kiedy wchodzimy z powrotem na szlak, ukazuje się idący ku nam młody człowiek z kijem w ręce. Jest w czarnym swetrze i białej koszuli, nowych niebieskich džinsach i czystych białych adidasach.

– To na pewno pastuch tej krowy – mówi Simon.

Teraz jestem ostrożna w zakładaniu czegokolwiek.

– Równie dobrze mógłby być bandytą, przecież nie wiemy.

Schodzimy mu z drogi. Ale on zatrzymuje się przed nami. Spodziewam się pytań, a on nic. Wyraz twarzy ma łagodny, przypatruje nam się bacznie, prawie krytycznie.

Simon macha do niego ręką, chociaż stoi tuż przed nim.

– *Ni hau!*

A on nadal milczy, ogląda nas od stóp do głów. Zaczynam paplać po chińsku:

– Czy to twoje krowy? Śmiertelnie nas przestraszyły. Może słyszałeś mój krzyk... Mój mąż i ja jesteśmy Amerykanami z San Francisco. Znasz to miasto? Tak? Nie? I jesteśmy tu w odwiedzinach w Changmian u ciotki mojej siostry Li Bin-bin.

Nadal brak odzewu.

– Znasz ją? Właściwie ona nie żyje. Wczoraj, wczoraj umarła, zanim ją poznaliśmy, naprawdę szkoda. Więc teraz chcemy zrobić... zrobić... – Jestem tak spłoszona, że ani rusz nie mogę sobie przypomnieć, jak jest po chińsku pogrzeb. – No, zrobić dla niej przyjęcie, smutne przyjęcie. – Śmieję się nerwowo, wstyd mi mojej chińszczyzny, mojego amerykańskiego akcentu.

Młodzieniec patrzy mi prosto w oczy. Mówię mu w duchu: „Dobrze chłopasiu, skoro tak chcesz się bawić, ja też potrafię patrzeć”.

Ale po dziesięciu sekundach spuszczam wzrok.

– Co jest z tym facetem? – pyta Simon.

Wzruszam ramionami. Ten pastuch wygląda inaczej niż mężczyźni w Changmian z rękami odmrożonymi i zgrzebnie obciętymi włosami. Jest zadbany, paznokcie ma czyste. Wygląda mi na aroganckiego spryciarza. W San Francisco mógłby uchodzić za doktoranta czy poetę-aktywistę. A tutaj pasie krowy, jest pasterzem, któremu się nie podobamy; dlaczego – nie mogę zgłębić. Chcę go więc pozyskać, zmusić, żeby życzliwym uśmiechem przekonał mnie, że nie jestem tak niedorzeczna, jak się czuję.

– Wyszliśmy na spacer – ciągnę po mandaryńsku. – Rozglądamy się. Tutaj jest bardzo ładnie. Chcemy zobaczyć, co jest pomiędzy tymi górami. – Wskazuję łuk w murze na wypadek, gdyby nie zrozumiał.

On ogląda się na łuk, po czym znów odwraca się do nas, naburmuszony. Simon uśmiecha się do niego i mruczy do mnie:

– Przecież widać, że nie wie, o czym mówisz. Chodź, idziemy.

Nie ustępuję z pola.

– Czy możemy tu być? – pytam pastucha. – Czy potrzebne czyjeś pozwolenie? Czy tu jest bezpiecznie? Możesz nam powiedzieć?

Zastanawiam się, jakie to uczucie mieć spryt, ale perspektywy nie dalsze niż pastwisko w Changmian. Może chłopak nam zazdrości.

A on, jak gdyby słyszał moje myśli, uśmiecha się pretensjonalnie.

– Naiwniacy – mówi po angielsku, doskonale to wymawiając.

I odwraca się na pięcie, idzie szlakiem w dół. Przez kilka sekund stoimy oniemiały.

Simon rusza pierwszy.

– To było niesamowite. Coś ty mu powiedziała?

– Nic.

– Przecież ci nie zarzucam, że to było coś niewłaściwego. Więc powiedz, co.

– Tylko to, że jesteśmy na spacerze. W porządku? I zapytałam, czy potrzebujemy pozwolenia na przebywanie tutaj.

Człapiemy znów pod górę, już nie trzymając się za ręce. Dwa dziwne spotkania, najpierw z tymi dziećmi, potem z pasterzem. Staram się nie myśleć o nich, ale zarazem szukam w nich sensu i coraz bardziej się denerwuję. To jest ostrzeżenie. Wyraźne jak brzydki zapach, ostrzeżenie przed czymś martwym, zgniłym.

Simon obejmuje mnie jedną ręką w pól.

– O co chodzi?

– O nic.

Jednak pragnę mu się zwierzyć, sprawić, żeby przynajmniej nasze obawy, jeżeli nie nadzieje, się zsynchronizowały. Zatrzymuję się.

– To zabrzmiało niemądrze, ale ja rzeczywiście zastanawiam się, czy... może w tym są jakieś omeny?

– W czym?

– Te dzieci mówiły, żeby tu nie wchodzić.

– Powiedziały, że one nie mogą. Jest różnica.

– A ten chłopak? Zachichotał diabelsko, jak gdyby wiedział, że nie powinniśmy wejść do następnej doliny, ale nie miał zamiaru tego nam powiedzieć.

– Jego chichot nie był diabelski. Zwyczajny chichot. Ty zupełnie jak Kwan łączysz dwa zbiegi okoliczności i już masz przesąd.

Wybucham.

– Pytałeś mnie, co myślę, więc ci powiedziałam! Nie musisz wciąż mi zaprzeczać i wyśmiewać się ze mnie.

– Hej, hej, wolnego. Przepraszam... Tylko próbowałem cię uspokoić. Chcesz już wracać? Naprawdę jesteś nerwowa.

– Boże, nie cierpię, kiedy tak mówisz.

– Jak? Co ja znów zrobiłem?

– Nerwowa – powtarzam to słowo, rozdrażniona. – Tak się mówi tylko o kobietach i jazgotliwych małych pieskach. To jest protekcyjne.

– Daleki jestem od tego.

– O mężczyznach nigdy tak się nie mówi.

– Dobrze, już dobrze! Winny zgodnie z oskarżeniem. Nie jesteś nerwowa, tylko... rozhisteryzowana! Lepiej? – Simon się uśmiecha. – No, Olivia, rozchmurz się. O co chodzi?

– Ja tylko... no, jestem niespokojna. Bo może weszliśmy tu nielegalnie... Nie chcę być zaliczana do tych paskudnych Amerykanów, wiesz, którzy uważają, że im wszystko wolno.

Simon obejmuje mnie ramieniem.

– Coś ci powiem: jesteśmy już prawie na wzgórzu. Prędko się rozejrzemy i zaraz pójdziemy z powrotem. Zobaczymy kogoś, przeprosimy i odejdziemy. Oczywiście, jeżeli naprawdę się denerwujesz, to znaczy, jesteś niespokojna...

– Nie przestajesz? – Szturcham go łokciem. – Idź. Dogonię cię.



Wzrusza ramionami i szybko idzie naprzód. Ja stoję jeszcze przez chwilę i bicząc się w duchu za to, że nie powiedziałam, co czuję. Ale, do diabła, dlaczego Simon mnie nie rozumie? Nie powinnam była żądać, zrobiłam z siebie straszną babę, a z niego szlachetnego cierpiętka.

Kiedy dochodzę na grzbiet wzgórza, Simon już jest pod drugim łukiem, prawie takim samym jak ten pierwszy, tyle że albo starszym, albo poobijanym. Część muru się zapadła; chyba nie wskutek erozji, wydaje się, że raczej od pocisku czy uderzenia jakiejś maszyny oblężniczej.

– Olivia! – woła Simon już po tamtej stronie. – Chodź! Własnym oczom nie uwierzysz!

Biegnę tam i kiedy wyszedłszy spod łuku patrzę w dół, widzę krajobraz, który mnie urzeka i przejmuje dreszczem, taką baśniową krainę widywałam w koszmarach snach. Jest zupełnie inna niż słonecznie sielska dolina, z której przyszliśmy. Ta jest głębokim, wąskim parowem, wysoko pofałdowanym jak nie zasłane łóżko. Leży na tym szorstki koc mchu z łatami światła, cały w spłowiałych kolorach wiecznego zmierzchu.

Simonowi oczy błyszczą podnieceniem.

– Prawda, że to wspaniałe?

Tu i ówdzie sterczą kamienie spiętrzone na wysokość człowieka. Wyglądają jak nagrobki, jak posągi, jak armia skamieniałych żołnierzy. Czy może to jest chińska wersja żony Lota? Filary ludzkiej słabości, zaskorupiałe szczątki tych, którzy wkroczyli do tego zakazanego parowu i odważyli się obejrzeć za siebie.

Simon wskazuje:

– Patrz, jaskinie! Chyba są ich setki.

Wzdłuż muru od dna parowu na zboczach ciemniej pęknięcia, szczeliny, wgłębienia. Wygląda to jak półki i schowki w ogromnej, przedhistorycznej kostnicy.

– To niewiarygodne! – wykrzykuje Simon.

Wiem, że myśli o jaskini Kwan. Schodzi tam czymś w rodzaju szlaku, raczej wąskim wąwozem niż ścieżką, usypiska kamyków uginają się pod jego ciężarem.

– Simon, jestem zmęczona. Nogi mnie bołą.

Simon się odwraca.

– Więc poczekaj tam. Ja tylko rozejrzę się przez pięć minut. I zaraz wrócimy.

Dobrze?

– Nie dłużej niż pięć minut! – wołam. – I nie wchodź do żadnej jaskini.

Simon dalej schodzi. Co sprawia, że on wcale nie czuje się zagrożony? Prawdopodobnie jedna z tych biologicznych różnic pomiędzy mężczyzną i kobietą. Funkcje mózgu kobiecego są wyższe, bardziej rozwinięte, z czego wynika wrażliwość kobiet, ich humanitarność, ich zmartwienia, podczas gdy mężczyźni polegają na prymitywniejszych funkcjach swoich mózgów. Widzisz skały, poluj. Niebezpieczeństwo wywąchaj, znajdź, a potem wypal cygaro. Oburza mnie beztroska Simona. Ale też i pociąga, muszę przyznać, to jego chłopięce lekceważenie niebezpieczeństwa, ta jego pogoń za uciechą bez konsekwencji. Zastanawiam się, jacy mężczyźni pociągają mnie seksualnie – zawsze tacy, którzy wspinają się na Himalaje, którzy płynąc czołnami penetrują w dżunglach rzeki pełne aligatorów. To nie znaczy, że uważam ich za odważnych. Oni są lekkomyślni, nieobliczalni, okropnie nieodpowiedzialni. Ale jak szalejące fale i spadające gwiazdy oni także przydają blasku życiu. Bez nich byłoby regularne jak przyływ i odpływ, zwykle jak przechodzenie dnia w noc.

Patrzę na zegarek. Pięć minut się przewlekło. I dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. Do diabła, gdzie Simon jest? Nie widzę go, odkąd zszedł w stronę tych piramidek z kamieni czy czegoś tam. Zniknął za krzakiem i potem już nie mogłam go dojrzeć. Na policzek spada mi kropla deszczu. Następna pluska na kurtkę. Jeszcze sekunda i deszcz leje jak z cebra.

– Simon! – wołam. – Simon!

Spodziewam się donośnego echa, ale mój głos zagłusza ulewa. Chronię się pod łuk. Strugi wody z nieba tworzą mglistą kurtynę. Powietrze przesycą metaliczny zapach minerałów splukiwanych ze skał. Szczyty górskie i zbocza wzgórz ciemnieją, połyskują. Ulewa spływa po nich rzeczulkami, spycha kamienie. Potop, co będzie, jeżeli to potop? Klnę Simona, że muszę denerwować się przez niego. Ale w ciągu następnej minuty zdenerwowanie zmienia się w panikę. Trzeba wyjść z tego schronienia i szukać go. Naciągam kaptur kurtki na głowę i wychodzę spod łuku.

Liczę na to, że poprowadzi mnie altruistyczna odwaga. A przecież, kiedy się pochylam nad ciemnym parowem, lęk paraliżuje mi nogi. Z kulą w gardle modłę się głośno:

– Błagam Cię, dobry Boże czy Buddo, kimkolwiek jesteś i mnie słuchasz. Spraw, żeby on zaraz wrócił. Już nie mogę tego znieść. Spraw, żeby wrócił, przyrzekam...

Ukazuje się Simon. Jego włosy, jego puchowa kurtka, dzinsy są przemoczone, ociekają wodą. Oto on, zziąjany jak pies, który jednak chce dalej aportować. Moje uszczęśliwienie w ciągu sekundy zmienia się w gniew.

Biegniemy pod łuk. Simon zdejmuje kurtkę, wyżywa rękawy. To wywołuje małą powódź na ziemi.

– I co teraz? – burczę.

– Będziemy się rozgrzewać, ja ciebie, ty mnie. – Zęby mu dzwonią. Opiera się o ścianę tunelu, przyciąga mnie do siebie tak, że w jego objęciach plecami opieram się o jego piersi. Dłonie ma lodowate. – No odpręż się. – Kołysze mnie lekko. – No już, tak dobrze.

Próbuję sobie przypomnieć poranne zbliżenie, tę niespodziewaną radość, wzruszenie wzbierające w nas obojgu. Ale cała – mięśnie sprężone i drętwe, szczęka, klatka piersiowa, czoło – czuję się skrępowana, zduszona. Zadaję sobie pytanie: jak mogę się odprężyć? Jak mogę machnąć ręką na tamto wszystko, co się stało? Musiałabym mieć całkowite zaufanie.

I nagle niedobra myśl przychodzi mi do głowy. Czy Simon spał z innymi kobietami, odkąd jesteśmy w separacji? Oczywiście, że tak! Simon nie może wytrzymać bez seksu dłużej niż parę dni. Kiedyś – to było kilka lat temu – natrafiliśmy w jakimś kobiecym magazynie na kwestionariusz: „Wewnętrzne życie seksualne twojego kochanka”; coś takiego głupiego. Pierwsze pytanie przeczytałam Simonowi głośno: „Jak często twój kochanek uprawia masturbację”. I w myśli odpowiedziałam: „Nigdy albo rzadko”. Ale Simon odpowiedział: „Trzy, cztery razy na tydzień, to zależy”. „Zależy? – wybuchnęłam. – Od czego? Od słonecznej pogody?” „Od nudy najbardziej” – odpowiedział. A ja pomyślałam: Dwa razy na tydzień ze mną to nuda?

Więc teraz się zastanawiam. Ile kobiet on nudził, odkąd zerwaliśmy ze sobą?

Simon masuje mi kark.

– Boże, ależ ty jesteś spięta. Czujesz?

– Simon, dziś rano, wiesz?

– Hm, było miło.

– Ale nie sądzisz, że powinniśmy byli użyć prezerwatywy?

Mam nadzieję, że on powie: „A po co? Ja strzelam w powietrze. Przecież wiesz o tym”. Ale on wstrzymuje oddech, przestaje ugniatać mi kark. A potem energicznie rozciera mi ramię.

– Hmm. Tak. Zapomniałem.

Patrzmy sobie w oczy. Staram się oddychać spokojnie. Zapytam. I cokolwiek on odpowie, zniosę to. Zresztą sama nie jestem święta. Przespałam się z Puckiem, tym okropnym specem od marketingu – czy raczej macałam się z nim, a prezerwatywa leżąca na szafce nocnej wcale nie była potrzebna. „Wielki junak”, jak ten mój adorator nazywał swój zwiotczały dowód męskości, zastrajkował, co mu „się nigdy nie zdarzało, nigdy!” Oczywiście czułam się wtedy seksualnie upokorzona, zwłaszcza po udawaniu – z dobrze wyliczonymi w czasie

westchnieniami i dreszczem – że jestem podniecona.

Czuję przy uchu usta Simona. Jego oddech przypomina mi szum morza, jaki się słyszy w muszli, echo na zawsze schwyte w tę spiralę.

– Simon, co do prezerwatywy... Mówisz, że spałeś z jakąś inną?

Już nie czuję jego oddychania. Odsunął głowę od mojego ucha.

– No... jeżeli tak, to nie pamiętam. – Przyciska mnie do siebie. – W każdym razie one nie są ważne. Tylko ty. – Głaszcze mnie po włosach.

– One? Ile ich jest?

– Uch... Niech to diabli, nie wiem.

– Dziesięć? Dwanaście?

Simon się śmieje.

– Daj mi spokój.

– Trzy? Cztery?

On milczy. Ja milczę. On wypuszcza z płuc powietrze, lekko zmienia postawę.

– Hm. Może mniej więcej tyle.

– Czyli ile? Trzy czy cztery?

– Olivia, nie mówmy o tym. To cię tylko zdenerwuje.

Odsuwam się od niego.

– Już mnie zdenerwowało. Spałeś z czterema kobietami i nawet nie zadałeś sobie fatygi, żeby pomyśleć o tej cholernej prezerwatywie dziś rano!

Przechodzę pod drugą ścianę łuku i patrzę na Simona tak, jakbym wypatrywała w nim brud.

– Były trzy. – Simon patrzy na swoje buty. – Zachowywałem ostrożność, niczego nie złapałem. Za każdym razem używałem prezerwatywy.

– Za każdym razem! Pudła i pudła prezerwatyw! Ładnie, że myślałeś o mnie.

– Przestań, Olivia. Przestań.

– Co to za kobiety? Czy którąś znam? Powiedz.

I staję mi przed oczami niejaka Verona, plastyczka, której w zeszłym roku zleciliśmy nadzór artystyczny nad jednym projektem. Wszystko ona ma sztuczne: imię, rzęsy, paznokcie, piersi. Kiedyś powiedziałam Simonowi, że jej piersi są zbyt symetryczne, żeby były prawdziwe. Śmiał się. „No – powiedział – z pewnością reagują jak prawdziwe”. Zapytałam, skąd wie; powiedział, że zawsze, kiedy we dwoje patrzą na plany, ona pochyla się zza jego ramienia i przyciska sutki do jego pleców. „Nie mogłeś jakoś zwrócić jej uwagi?” – zapytałam. Powiedział, że to byłoby przyjęciem do wiadomości jej zakusów i że lepiej je ignorować, bo on i tak nie reflektuje.

– Czy jedną z nich była Verona? – Trzymam ręce skrzyżowane mocno, żeby już się nie trząść. Simon otwiera usta i zaraz zamyka, daje za wygraną. – Więc jednak? Przeleciałeś tę dziwkę.

– Ty to mówisz.

Szaleję.

– Więc powiedz, są prawdziwe? Ona rzeczywiście ma reagujące sutki?

– Daj spokój, Olivia. Przestań. Dlaczego, na Boga, to ma dla ciebie takie znaczenie? Nie powinno znaczyć nic a nic.

– Ale znaczy, że ty wcale nie zamierzałeś zejść się ze mną! Znaczy, że nie mogę ci ufać. Nigdy nie mogłam ci ufać! – Wściekam się, tonę, chcę, żeby Simon tonął ze mną. – Nigdy nie byłam dla ciebie ważna! Tylko sama siebie oszukiwałam, że jestem. Kwan ciebie oszukała tym swoim głupim duchem wtedy na seansie. Tak! Pamiętasz? Co Elza powiedziała? Że masz o niej zapomnieć, żyć bez niej swoim życiem. A wiesz? Kwan to wymyśliła. Kłamała. Ja jej kazałam.

Simon parska krótkim, cichym śmiechem.

– Olivia, zupełnie ci odbiło. Rzeczywiście wierzysz, że ja uwierzyłem w te spirytystyczne bzdury? Myślałem, że oboje po prostu chcemy sprawić Kwan przyjemność.

Szlocham.

– Właśnie, beczka śmiechu... Tylko że to nie był żart. Simon, ona tam była! Przysięgam, była. Widziałam ją. I wiesz, co mówiła? Żebyś zapomniał o niej? Do cholery, nie! Ona błagała, żebyś zapomniał o mnie! Żebyś zaczekał...

Simon stuka się dłonią w czoło.

– Nigdy nie zrezygnujesz, prawda?

– Ja mam zrezygnować? To ty nigdy nie zrezygnujesz z niej.

Simon przymruża oczy.

– Chcesz wiedzieć, na czym polega rzeczywisty problem? Zrzucasz na Elzę winę za wszystkie twoje niepewności. Robisz z niej w swoim życiu większą sprawę, niż ona kiedykolwiek była w moim. Nawet jej nie znałaś, a każdą swoją wątpliwość co do siebie przenosisz na nią...

Zatykam uszy. I kiedy Simon dalej zasypuje mnie pseudoanalitycznymi śmieciami, rozpaczliwie szukam innej broni, jakiejś ostatecznej, zabójczej kuli, żeby strzelić mu prosto w serce. I nagle sobie przypominam listy Elzy, które ukradkiem czytałam, pieszczotliwe przezwiska, młodzieńcze obietnice... Odwracam się do niego.

– Myślisz, że mi odbiło? No, może tak, bo widzę ją właśnie teraz! Tak, Elza! Ona stoi tuż przy tobie, właśnie powiedziała: „Co to znaczy, że ja nie byłam dużą sprawą, rogaliku anielski?” – Twarz Simona zastygła. – „Miałeś czekać, mieliśmy razem zasadzić te drzewa, co rok jedno”.

Simon podnosi rękę do ust. Odskakuję od niego.

– Nie widzisz? Ona jest tutaj! Jest w twojej głowie, jest w twoim sercu. Zawsze jest i teraz także ze swoimi głupimi, cholernymi omenami w tym głupim, cholernym miejscu i mówi nam, że jesteśmy skazani! Simon, my jesteśmy skazani!

Wreszcie Simon przerażony! Takiego wyrazu jego twarzy nigdy dotąd nie widziałam. Ogarnia mnie lęk. On się trzęsie. Krople spływają po jego policzkach –

czy to deszcz czy łzy?

– Dlaczego to robisz?

Jego głos brzmi jak wycie.

Odwracam się i wybiegam spod łuku. Pędzę przez dolinę, dysząc, serce omal mi nie pęknie. Kiedy dobiegam do domu Starszej Mamy, deszcz już nie pada. Przechodzę przez podwórze; Kwan patrzy na mnie jak zwykle wszechwiedzące

– Libbi-ja, och, Libbi-ja – jęczy. – Dlaczego płaczesz?



### **Dolina posągów**

Simon jeszcze nie wrócił. Godzina minęła. Wyobrażam sobie, jak on się wścieka. Doskonale; niech tam zmarznie na kość. Dopiero dochodzi południe. Wyciągam jakieś czytało i kładę się na łóżku. Nasza chińska ekspedycja w rozsypce. Simon będzie musiał stąd wyjechać. Samo przez się zrozumiałe. Ostatecznie on wcale nie mówi po chińsku. I to jest wieś Kwan, a Kwan to moja siostra. A co do reportażu, po prostu od dziś będę wszystko notować i po powrocie do Stanów znajdę kogoś, kto zrobi z tych notatek dobry tekst.

Kwan woła, że czas na obiad. Mobilizuję się, gotowa stawić czoło chińskiej inkwizycji. „Gdzie Simon? – ona zapyta. – Ajaj, dlaczego tak dużo się kłócicie?”

Kwan jest w środkowym pokoju. Stawia parującą wazę na stole.

– Widzisz? Ser fasolowy, ucho drzewa, kiszona zielenina. Chcesz sfotografować?

Nie mam chęci ani fotografować, ani jeść. Du Lili krząta się, przynosi garnek z ryżem i trzy miseczki. Zabieram się do jedzenia, a raczej one dwie się zabierają ochoczo, krytycznie.

– Najpierw za mało słońce – narzeka Kwan. – A teraz za bardzo. Czy to jest jakaś aluzja?

W parę minut później Kwan zwraca się do mnie.

– Wcześniej dziś rano wielkie słońce, a teraz patrz, znowu deszcz.

Czy to znów ma być chytra metafora mojej kłótni z Simonem? Ale przez cały czas obiadu nie pada jego imię. Kwan i Du Lili trajkoczą z ożywieniem o ludziach we wsi, o ślubach i chorobach, niespodziewanych tragediach i wesołych zdarzeniach

w ciągu ubiegłych trzydziestu lat, co wcale mnie nie interesuje. Uchem jestem przy furtce, czekam na jej skrzypnięcie i trzaśnięcie, kiedy Simon wróci. Ale słyszę tylko beztreściowe bębnienie deszczu.

Po obiedzie Kwan oznajmia, że idzie z Du Lili do świetlicy, odwiedzić Starszą Mamę. Czy ja chcę pójść z nimi? Już sobie wyobrażam, jak Simon wróci i będzie mnie szukał coraz bardziej niespokojny, zmartwiony może nawet szalenie. Ale to bzdura, on by się nie martwił, martwię się ja.

– Chyba nie pójde – mówię. – Muszę uporządkować filmy, zanotować, co dotychczas sfotografowałam.

– Dobrze, dobrze. To zrobisz później, teraz chodź odwiedzić Starszą Mamę. Ostatnia możliwość, jutro robimy pogrzeb.

Kiedy wreszcie zostaję sama, przeglądam torby z filmami, sprawdzam, czy nie zwilgotniały. Niech diabli porwą tę pogodę! Taka wilgoć, taki chłód, mam na sobie cztery warstwy tekstyliów, a skórę lepłą od zimnego potu, palce nóg zgrabiałe. Że też dałam się ponieść dumie, zamiast przywieźć odpowiednio ciepłe rzeczy.

Przed wyjazdem do Chin Simon i ja omawialiśmy, co powinniśmy wziąć ze sobą. Ja już zapakowałam dużą walizę, worek i torbę ze sprzętem fotograficznym. Simon powiedział, że ma dwie torby, po czym rozdrażnił mnie: „A propos, nie licz na mnie, nie będę taszczył nadwyżki twoich ciuchów”. Odszczeknęłam: „Prosił cię kto o to?” A on się odwzajemnił jeszcze jednym docinkiem: „Ty nigdy nie prosisz, ty wymagasz”. Więc sobie przysięgam, że nie pozwolę, żeby mi pomagał – nawet gdyby bardzo chciał. Jak pionier, któremu woły w zaprzęgu padły, kiedy jeszcze cała pustynia jest do przebycia, długo i surowo rewidowałam mój podróży ekwipunek. Miał się ograniczyć do tego, co sama uniosę, a więc do jednej walizki na kółkach i torby ze sprzętem. Odrzuciłam wszystkie rzeczy niekonieczne. Odpadły: mały magnetofon i kasety, kremy złuszczeniowe, odmładzające i do nóg, suszarka, odżywka do włosów, dwie pary legginsów i odpowiednich tunik, połowa zapasu

bielizny i skarpetek, dwie powieści, które zamierzam przeczytać już od dziesięciu lat, torba suszonych śliwek, dwie z trzech rolek papieru toaletowego, botki ocieplane runem i najsmutniejszy ubytek – purpurowa puchowa kamizelka. Decydując się, co wepchnąć do walizki na kółkach zakładałam, że pogoda będzie tropikalna, miałam nadzieję, że czeka mnie wieczór w chińskiej operze i daleka byłam od wątpliwości, czy wszędzie w Chinach jest elektryczność.

Tak więc wśród rzeczy, które wzięłam i które teraz widzę z niechęcią w mojej maleńkiej garderobie, są dwie jedwabne koszulki bez rękawów, para płóciennych szortów, żelazko turystyczne, para sandałów, kostium kąpielowy i neonoworóżowy jedwabny blezer. Jedyna opera, na jaką mogę się wystroić w ten blezer, to opera mydlana rozgrywająca się na podwórku Starszej Mamy. Ale przynajmniej mam nieprzemakalny kombinezon. Słaba pociecha, wielki żal. Marzę o mojej kamizelce puchowej tak, jak rozbitek na morzu gorączkowo marzy o wodzie. Zimno – co ja bym dała za coś ciepłego! Niech diabli porwą tę pogodę! Niech diabli porwą Simona, tak mu ładnie, ciepłutko w puchowej kurtce.

Ale jego kurtka przemokła – jest do niczego. Kiedy go tam zostawiłam, trząsał się, myślałam, że z gniewu. Teraz się zastanawiam. Boże! Jakie są objawy hipotermii? Coś sobie przypominam, coś w związku z zimnem i gniewem. Kiedy to było? Pięć czy sześć lat temu?

Robiłam zdjęcia w szpitalnej izbie przyjęć, zwykły materiał do dorocznych sprawozdań szpitala. Dwaj sanitariusze wtoczyli na wózku nędznie ubraną kobietę cuchnącą moczem. Bełkotała, skarżyła się, że jest rozpalona, więc musi zdjąć płaszcz z norek, którego nie miała. Myślałam, że jest pijana albo odurzona narkotykiem. A ona raptem dostała konwulsji. „Defibrylator!” – ktoś krzyknął. Później zapytałam jednego z tych sanitariuszy, co mam napisać pod zdjęciem: Atak serca? Alkoholizm? „Niech pani napisze, że ona umarła na styczeń” – odpowiedział gniewnie. Ponieważ nie zrozumiałam, wyjaśnił: „Jest styczeń teraz. Ziab. Umarła na

hipotermię, tak jak sześcioro innych bezdomnych w tym miesiącu".

To się nie stanie Simonowi. On jest zdrowy. Zawsze mu za ciepło. Otwiera okno samochodu, kiedy wszyscy inni marzną, i nawet nie zapyta, czy się zgadzają. Jest nierozważny pod tym względem. I każe na siebie czekać. Nawet nie pomyśli, że ktoś może się denerwować. Simon przyjdzie lada chwila. Przyjdzie z tym swoim irytującym uśmiechem i będę wściekła, że denerwowałam się bez powodu.

Po pięciu minutach takich rozmyślań biegnę do świetlicy do Kwan.

Pod drugim łukiem Kwan i ja znajdujemy zgniecioną kurtkę Simona, leżącą na ziemi jak poturbowany trup. Przestań skomleć – nakazuję sobie. Płacz oznacza, że spodziewasz się najgorszego.

Stoję na parapecie nad szlakiem, który prowadzi do parowu, i patrzę w dół, czy tam się coś nie porusza. Różne ewentualności przelatują mi przez głowę. Simon już oszalały włóczy się bez kurtki w tej głuszy. Kamienie staczają się z góry. Ten młody człowiek bynajmniej nie pasący krów, nowoczesny bandyta, rabuje Simonowi paszport. Wybucham:

– Kwan, natknęliśmy się na jakieś dzieci, które krzyczały na nas. A potem ten z krową i cielakiem nazwał nas naiwniakami... Byłam spięta, trochę zwariowałam. Więc to, co powiedziałam Simonowi... Wcale tak nie myślałam...

Kwan słucha milcząca, smutna. Nic nie mówi, żeby zdjąć ze mnie poczucie winy. Nie reaguje fałszywym optymizmem, zapewnieniem, że wszystko będzie dobrze. Otwiera plecak, który Du Lili wmusiła nam na tę wyprawę. Rozkłada koc na ziemi, nadyma poduszkę, wyciąga kuchenkę turystyczną i kanister z naftą.

– Jeżeli Simon tymczasem wróci do domu Starszej Mamy – rezonu je po chińsku – Du Lili przyśle kogoś po nas. Jeżeli Simon przyjdzie tutaj, ty tu będziesz i pomożesz mu się rozgrzać.

Otwiera parasol.

– Dokąd idziesz?

– Trochę się rozejrzeć.

– A jeżeli ty też przepadniesz?

– *Meiyou wenti* – uspokaja mnie Kwan. – To jest mój dom z dzieciństwa. Każdą skałę, każdy zakręt na tych wzgórzach znam jak starych przyjaciół – mówi i wychodzi spod łuku w mżący deszcz.

Wołam do niej:

– Długo ciebie nie będzie?

– Niedługo. Może godzinę najwyżej.

Patrzę na zegarek. Wpół do piątej. O wpół do szóstej słońce zacznie zachodzić, mrok już teraz mnie przeraża. O szóstej będzie za ciemno, żeby iść.

Po odejściu Kwan spaceruję pod łukiem tam i z powrotem. Wyglądam z jednej strony: nie widać nic, potem wyglądam z drugiej strony. Simon, ty nie umrzesz. Co za fatalistyczna bzdura! Myślę o ludziach, którzy pokonali przeciwności, mając szanse bardzo nikłe. Zabłąkany narciarz w Squaw Valley wykopał sobie w śniegu jamę i dzięki temu przeżył trzy dni, zanim go uratowano. A ten podróżnik uwięziony na lodowej krze, John Muir? Podskakiwał przez całą noc, żeby utrzymać się przy życiu. I oczywiście było opowiadanie Jacka Londona o kimś, kto, kiedy go zaskoczyła zawieja śnieżna, zdołał rozpalić ognisko z mokrych gałązek. Ale przypomina mi się zakończenie: z konara drzewa, pod którym siedział, osunęła się poducha śniegu i zgasła jego nadzieję. Potem przypominają mi się zakończenia innych historii. Eskimos wpadł w dół między drzewami i nazajutrz znaleziono go martwego. Myśliwy na pograniczu włosko-austriackim pewnego dnia usiadł, bo chciał odpocząć, i znaleziono go w czasie wiosennej odwilży w tysiące lat później.

Próbuję medytacji, żeby odpędzić myśli negatywne. Dłonie otwarte, umysł otwarty. Ale mogę myśleć tylko o tym, że palce mam zlodowaciałe. Czy tak samo zimno jest Simonowi?

I oto stoi mi Simon przed oczami, tu, pod tym łukiem, rozgrzany naszą kłótnią, spięty, gotów rzucić się wszędzie tam, gdzie jest niebezpiecznie. Widziałam go już takiego. Wtedy, gdy się dowiedział o śmierci naszego przyjaciela, Erika, w Wietnamie. Wybiegł i włączył się sam, aż zabłądził w eukaliptusowych gajach Presidio. Podobnie było, kiedyśmy odwiedzili pewnych przyjaciół naszych przyjaciół na wsi i jeden z mężczyzn zaczął opowiadać dowcipy nazistowskie – Simon wstał i zanim wyszedł, oświadczył, że ten facet ma głowę przyśrubowaną w niewłaściwą stronę. Wówczas się rozgniewałam: zrobił scenę i zostawił mnie, żebym uporała się ze skutkami.

Deszcz przestał padać. Simon też na pewno to widzi. „Hej – wyobrażam sobie, jak mówi – zbadajmy te skały jeszcze raz”. Wychodzę na parapet i patrzę w dół. Jego by nie przerażała stromość tego zbocza tak jak przeraża mnie. Nie pomyślałby o setkach możliwości roztrzaskania czaszki. Po prostu od razu zacząłby schodzić szlakiem. Więc... schodzę. Czy Simon szedł tędy? Mniej więcej w połowie drogi w dół rozglądam się wokoło. Nie ma innej drogi do parowu, chyba że on skoczył z parapetu z wysokości siedemdziesięciu stóp i spadł na samo dno. Simon nie jest typem samobójcy, mówię sobie. Zresztą takie typy zwykle zapowiadają, że się zabijają. I nagle przypominam sobie notatkę w „Chronicie”. Człowiek zaparkował swego nowego range rovera na moście Golden Gate w godzinie szczytu i rzucił się do wody. Jego przyjaciele byli wstrząśnięci i pełni niedowierzania. „Widziałem go w klubie nie dawniej niż w zeszłym tygodniu – powiedział podobno jeden z nich – mówił mi, że ma dwa tysiące akcji Intel i że kupił je po dwanaście, a teraz sprzedają się po siedemdziesiąt. Bracie, on mówił o przyszłości”.

Niedaleko dna wąwozu podnoszę wzrok na niebo. Ile światła dziennego jeszcze zostało. Ciemne ptaki latają jak ćmy: opadają raptownie i machając skrzydłami wzbijają się w górę. Wydają piskliwe, wysokie dźwięki, krzyki stworzeń przestraszonych. Nietoperze – to na pewno nietoperze! Wyleciały z którejś jaskini,

żeby polatać w godzinie owadów. Widziałam kiedyś nietoperze w Meksyku – *mariposa*, motyle, tak nazywali je kelnerzy, bo nie chcieli straszyć turystów. Ja nie bałam się nietoperzy wtedy i nie boję się ich teraz. To są zwiastuny nadziei tak miłe jak synogarlica, która przyniosła gałązkę z liśćmi Noemu. Zbawienie jest blisko, Simon też jest blisko. Może te nietoperze wyleciały z jaskini, bo on tam wszedł i zbudził je z ich snu do góry nogami.

Idę krętą, nierówną ścieżką, usiłując wypatrzeć, skąd te nietoperze wylatują, dokąd wracają. Noga mi się osuwa, wykręcam kostkę. Kulejąc dochodzę do głazu i siadam.

– Simon!

Spodziewam się, że wołanie rozniesie się, jak w amfiteatrze. Ale mój głos wsysają zakamarki parowu.

Przynajmniej już nie jest mi zimno. Wiatru tu nie ma. Powietrze nieruchome, ciężkie, prawie duszno. To dziwne; czy wiatr nie powinien dmuchać tu mocniej? Jak to było w tej broszurze, którą Simon i ja studiowaliśmy, w tej przestrzegającej przed manhattanizacją... Efekt Bernoulliego: w puszczy wieżowców wytwarzają się tunele wiatru, bo im mniej miejsca, przez które przechodzi powietrze, tym mniejsze ciśnienie, tym większa szybkość... Czy może na odwrót?

Patrzę na chmury, przesuwają się. Z pewnością wiatr tam wieje. Kiedy tak patrzę, grunt pod nogami wydaje się coraz bardziej niepewny, chwiejny jak dno miksera. I teraz te szczyty wokoło, drzewa, skały stają się ogromne, dziesięć razy większe niż były jeszcze minutę temu. Wstaję z głazu, idę dalej, już uważając, gdzie stąпам. Teren jest chyba poziomy, ale idę tak, jakbym wchodziła na strome wzniesienie. Jak gdyby jakaś siła spychała mnie w tył. Może to jedno z tych miejsc na ziemi, gdzie normalne cechy ciężkości i gęstości, masy i szybkości zupełnie się pokręciły. Chwytam się szczelin kopca z kamieni i z wysiłkiem podciągam się pod górę, och, jeszcze trochę, a jakieś naczynie krwionośne w mózgu mi pęknie.

I nagle zachłystuję się. Stoję na grzbiecie stromego wzniesienia, dwadzieścia stóp niżej ogromna rozpadlina, jak gdyby ziemia się zapadła niczym suflet, rozciąga się do gór na drugim końcu parowu, wyboista pustynia naszpikowana widzianymi wcześniej piramidkami, pomnikami czy co tam może to być. Wygląda mi to na skamieniałą puszcę spalonych drzew albo podziemny ogród stalagmitów jakiejś pradawnej jaskini. Czy spadł tutaj meteor? Dolina Cienia Śmierci, nic innego.

Schodzę. Okrążam jedną z tych formacji. Okrążam ją jeszcze raz, okrążam jak pies, usiłując pojąć, co to. Cokolwiek to jest, na pewno nie urosło w taki sposób naturalnie, chyba ktoś rozmyślnie spiętrzył kamienie – bardzo dziwnie, bo pod pewnymi kątami ich układ wydaje się niezrównoważony. Dlaczego te kamienie się nie osuwają? Duże kamienie sterczą na ostrych szpicach mniejszych, inne są przechylone na punktach oparcia nie większych niż dziesięciocentówka, jak gdyby były opiłkami żelaza uczepionymi magnesu. Można by myśleć, że to sztuka nowoczesna, rzeźby wieszaków na kapelusze i lamp, starannie zaprojektowane, żeby wyglądać na dzieło przypadku. Czubek jednej sterty jest jak kula kręgielna, która się znalazła na kręglu. Z bliska widać w niej dziury jak puste oczy i otwarte do krzyku usta jak na obrazie Edvarda Muncha. Wiele tu podobnych formacji. Skąd się wzięły? Kto je wznosił i po co? Zrozumiałe, że Simon chciał zejść tutaj, a potem wrócił, żeby je dokładniej zbadać. Kiedy idę dalej, to osobliwe nagromadzenie kamieni coraz bardziej mi przypomina szerniałe ofiary Pompei, Hiroszimy, Apokalipsy. Otacza mnie armia posągów z wapnia, postaci powstałych ze zwapniałych szczątków pradawnych stworzeń morskich.

Zatęchły odór uderza mnie w nozdrza, panika zaciska gardło. Patrzą, co tu się rozkłada. Taki zapach czułam już kiedyś. Ale gdzie? Kiedy? Wydaje się aż za dobrze znany, węchowe wrażenie *deja vu – deja senti*. Czy może to instynktowne, tak jak zwierzęta wiedzą, że dym pochodzi z ognia, a ogień grozi niebezpieczeństwem? Ten odór, zatrzymany w pamięci, teraz jest emocjonalną pozostałością po jakimś



strasznym lęku i smutku w oderwaniu od ich przyczyny.

Prędko mijam jeszcze jedną stertę kamieni. Ale zaczepiam ramieniem o wystający kant i cały ten kręgiel się przewraca. Wrzeszczę. Zagapiam się na gruzy. Zburzyłam to czy odczarowałam? Bardzo mi nieswojo. Przeze mnie prysnął jakiś urok i te metamorfizmy zaraz zaczną się chwiać, maszerować. Gdzie jest łuk? Teraz wydaje się, że kamiennych stert jest więcej – czy się rozmnożyły? – i muszę wśród nich lawirować. Co by Simon zrobił? Zawsze był głosem rozsądku, kiedy wątpiałam o swoich możliwościach sportowych zapewniał mnie, że mogę przebiec jeszcze pół mili czy dojść do następnego wzgórza, czy dopłynąć do przystani. I nieraz mu wierzyłam, wdzięczna, że on wierzy we mnie.

Więc teraz sobie wyobrażam, jak Simon mnie ponagla: „No, harcerko, ruszaj tyłkiem”. Wypatruję kamiennego muru i łuku dla orientacji. Ale widzę tylko zlewające się dalej cienie. Przypominam sobie momenty, kiedy posłuchałam Simona i jednak źle na tym wyszłam, więc się na niego gniewałam. Wymyślałam mu po niefortunnej próbie jazdy figurowej na wrotkach. Innym razem płakałam, bo plecak miałam za ciężki.

Siadam na ziemi, rozjątrzona, i wprost skowyczę. Niech to diabli porwą! Wezwę taksówkę. Ależ zgłupiałam. Czy rzeczywiście myślę, że mogę podnieść rękę, kiwnąć na taksówkę i wyjechać z tego bałaganu? Czy tylko tyle magazynuję w sekcji pogotowia moich duchowych zasobów – gotowość, żeby zapłacić za kurs taksówki? Dlaczego nie za wynajęcie limuzyny? Wyraźnie tracę rozum!

– Simon! Kwan!

Słyszę w swoim głosie panikę i ogarnia mnie panika jeszcze większa. Ruszam i usiłuję iść szybko, ale czuję swój ciężar, czuję przyciąganie jądra ziemi. Wpadam na jeden z posągów. Kamień przechyla się, ociera mi się boleśnie o ramię. To wystarczy – strach już nie daje się zdławić. Szlocham jak dziecko. Nie mogę iść. Nie mogę myśleć. Osuwam się na ziemię, kurczowo obejmuję się rękami. Zabłądziłam. Oni

zabłądzili. Wszyscy troje jesteśmy w pułapce tej strasznej krainy. Umrzemy tutaj, zgnijemy, rozpadniemy się, a potem skamieniejemy i będziemy jeszcze trzema posągami bez twarzy! Moim głośnym szlochom akompaniuje piskliwy śpiew. Jaskinie śpiewają pieśni smutku, pieśni żalu.

Zasłaniam uszy, zamykam oczy przed wariactwem świata, mojego umysłu, jednego i drugiego. Mogę wytrzymać, mówię sobie. Wysiłam się, żeby w to wierzyć, aż czuję, jak jakiś sznurek w moim mózgu napręża się i rozrywa, a ja ulatuję, uwolniona od ciała i śmiertelnych lęków, coraz lżejsza, coraz bardziej płocha. Więc to tak bywa, kiedy ludzie popadają w psychozę. Po prostu wypuszczają wszelkie stery z ręki. Widzę swoją osobę jak w nudnym szwedzkim filmie, zbyt otępiła, żeby reagować na dotkliwie oczywistą ironię. Wyję jak wariatka, bo tak śmiesznie wyglądam, bo tak głupio jest umierać w takim miejscu. I Simon nigdy nie będzie wiedział, jaka stałam się „nerwowa”. On ma rację. Jestem histeryczką!

Czyjeś ręce chwytają mnie za ramiona. Wrzeszczę.

To Kwan z twarzą bardzo zatroskaną.

– Co się dzieje? Do kogo mówisz?

– O Boże! – Podrywam się. – Zabłądziłam. Myślałam, że ty też. – Pociągam nosem, belkoczę, oddycham urywanie. – To znaczy, czy tak? Czy zabłądziłyśmy?

– Nie, nie, nie – odpowiada Kwan. Dźwiga jakąś drewnianą skrzynkę opartą o biodro. Wygląda to jak staroświeckie pudło na srebrne sztućce.

– Co to jest?

– Szkatułka.

Wolną ręką Kwan pomaga mi stanąć na nogach, które są jak z waty.

– No, tyle wiem.

– Tędy.

Prowadzi mnie, podtrzymuje. Nic nie mówi o Simonie. Jest dziwnie uroczysta, niezwykle małomówna. Boję się, że ma złą wiadomość dla mnie, sercu w piersi robi

się za ciasno.

– Czy widziałaś... – zaczynam, a ona mi przerywa potrząśnięciem głowy. Czuję ulgę i od razu rozczarowanie. Już nie wiem, co powinnam czuć. Ostrożnie wymijamy cudaczne posągi. – Skąd masz tę szkatułkę?

– Znalazłam.

Już nie mogę nawet być rozradowana.

– Naprawdę!?! – prychnam. – Myślałam, że kupiłaś ją u Macy'ego.

– To moja szkatułka, którą ukryłam dawno temu. Już ci o tym opowiadałam. Zawsze chciałam ci ją pokazać.

– Przepraszam. Jestem po prostu wykończona. Co w niej jest?

– Wejdziemy na górę, otworzymy, zobaczysz.

Idziemy milcząc. Kiedy lęk mnie opuszcza, krajobraz wydaje się łagodniejszy. Wiatr wieje mi w twarz. Spociłam się, a teraz coraz mi chłodniej. Ścieżka jest nadal nierówna i zdradliwa, ale już nie czuję tego dziwnego przyciągania. Karcę siebie: dziewczyno, jedyne wariactwo tutaj to twoja głowa. Dostałaś ataku strachu, nie było nic groźniejszego. Kamienie, bałaś się kamieni.

– Co to jest, Kwan? Te rzeczy?

Kwan się zatrzymuje i obraca wokoło.

– Jakie rzeczy?

Wskazuję jedną z tych stert.

– Kamienie.

Rusza dalej.

– Ja wiem, że kamienie. Ale skąd się tu wzięły, czym one mają być? Czy coś oznaczają?

Kwan znów się zatrzymuje, rozgląda się po parowie.

– To ten sekret.

Włos mi się jeży na karku. Ale przybieram ton niedbale obcesowy:

– No, Kwan. Czy to są jakieś nagrobki? Czy idziemy przez cmentarz czy coś?

Możesz mi powiedzieć.

Kwan otwiera usta, chce powiedzieć. Zaraz jednak widzę upór na jej twarzy.

– Później ci powiem. Nie teraz.

– Kwan!

– Kiedy już wrócimy. – Wskazuje niebo. – Ściemnia się. Nie marnuj czasu na gadanie. – I dodaje łagodniej: – Może Simon już wrócił.

Kwan wie coś, czego ja nie wiem. Na pewno wie. Koncentruję się na tym przeświadczeniu, idąc z nią kręto pod górę, obchodząc kilka głazów w jakimś wąwozie, mijając szczeliny w wysokiej ścianie. Wkrótce potem jesteśmy na wąskim szlaku, który prowadzi prosto do łuku. Już widzę łuk i mur.

Z sercem łomoczącym gramolę się przed Kwan. Jestem przekonana, że Simon tam jest. Wierzę, że siły chaosu i niepewności dadzą mi jeszcze jedną szansę, żeby wszystko naprawić. Na górze płuca mi nieomal pękają. Kręci mi się w głowie z radości, płaczę pełna ulgi, bo czuję jasność spokoju, prostotę zaufania, czystość miłości.

A pod łukiem plecak, kuchenka, mokra kurtka, tak jak je zostawiłam – i nic więcej. Sercem szarpie lęk, ale czepiam się wszechmocnej wiary i miłości. Przechodzę pod łukiem do drugiego wylotu, wiedząc, że Simon tam będzie, musi być.

Na tym drugim parapecie pusto, tylko wiatr wieje. Wchodzę z powrotem pod łuk, opieram się o ścianę, siadam, obejmując rękami kolana. Podnoszę wzrok na Kwan.

– Ja się stąd nie ruszę – mówię – dopóki nie odnajdę Simona.

– Wiem.

Kwan siada na szkatułce, otwiera plecak, wyciąga słoik z chińską herbatą i dwie puszki. W jednej są palone orzechy, w drugiej smażona fasola. Otwiera puszkę z orzechami, częstuje mnie.

Potrząsam głową.

– Ty nie musisz tu zostawać, Kwan. Rozumiem, że trzeba przygotować wszystko na jutro, do pogrzebu Starszej Mamy. Mnie tu będzie dobrze. I on chyba wkrótce się pokaże.

– Zostanę z tobą. Starsza Mama już mi kazała odłożyć pogrzeb na dwa, trzy dni, to jeszcze w porządku. W każdym razie więcej czasu na gotowanie jedzenia.

Mam pomysł.

– Kwan! Zapytaj Starszą Mamę, gdzie jest Simon.

Ledwie to mówię, zdaję sobie sprawę, w jakiej jestem desperacji. Przecież tak właśnie reagują rodzice zmarłych dzieci. Zwracają się do spirytystów i czarowników Nowej Ery, próbują wszystkiego, dopóki jest jakaś nitka możliwości na tym świecie czy na tamym.

Czułe spojrzenie Kwan powściąga mnie: zbyt wygórowane mam oczekiwania.

– Starsza Mama nie wie – mówi Kwan cicho po chińsku. Zdejmuje z kuchenki pokrywkę-kubek i zapala palnik. Niebieskie płomyki strzelają przez maleńkie otworki z miarowym sykiem. – Ludzie *yin* – teraz mówi po angielsku – nie widzą wszystkiego, nie tak, jak ty myślisz. Czasami się gubią, nie wiedzą, gdzie mają iść. To dlatego niektórzy wracają tak często. Zawsze patrzą, pytają. Gdzie ja znajdę siebie? Gdzie ja idę?

Jestem rada, że Kwan nie może zobaczyć mojego przygnębienia. Kuchenka rzuca niewiele światła, widać tylko nasze cienie.

– Chcesz – mówi Kwan łagodnie – to poproszę Starszą Mamę, żeby nam pomogła szukać. Spiszemy się jak FBI. Dobrze, Libbi-ja?

Wzrusza mnie jej gotowość do pomocy. Tutaj to wszystko ma sens.

– Tak czy siak, pogrzeb jutro się nie odbędzie, więc Starsza Mama nie ma nic innego do roboty. – Kwan przelewa zimną herbatę ze słoika do tego metalowego kubka i stawia go na kuchence. – Oczywiście, nie mogę Starszej Mamy prosić dzisiaj

– mówi znów po chińsku. – Są ciemności... duchy, ona dalej śmiertelnie się ich boi, chociaż sama już jest duchem...

Pustym wzrokiem patrzę na niebieskie i pomarańczowe płomyczki pełgające spod metalowego kubka.

Kwan unosi nad kuchenką dłonie.

– Kiedy ktoś bał się duchów, trudno się od tego złego nawyku oduczyć. Ja mam szczęście, nigdy to nie był mój nawyk. Widzę duchy, rozmawiamy jak przyjaciele.

Straszna możliwość przychodzi mi na myśl.

– Kwan, gdybyś zobaczyła Simona, to znaczy, jego *yin*, powiedziałaabyś mi, prawda? Nie udawałabyś, że...

– Ja go nie widzę – odpowiada Kwan natychmiast. Głaszcze mnie po ramieniu. – Mówię ci, nie kłamię.

Pozwalam sobie wierzyć, że ona by nie skłamała, więc Simon nie jest na tamtym świecie. Wtulam głowę w splecione ręce. Co powinnyśmy robić, jaki rozsądny, dobry plan mieć na jutro rano? I na później, jeżeli, powiedzmy, do południa Simon jeszcze się nie odnajdzie. Co wtedy? Czy któraś z nas nie powinna wezwać policji? Ale jak? Nie ma telefonów ani samochodu. Może mogłabym pojechać autostopem prosto do amerykańskiego konsulatu. Czy jest filia konsulatu w Guilin? Może biuro American Express? Jeżeli jest, skłamię tam, że mam platynową kartę. Niech policzą, ile trzeba za poszukiwania i ratunek, za pogotowie lotnicze.

Słyszę chrobot, więc podnoszę głowę. Kwan majstruje ostrzem scyzoryka przy dziurce od klucza na przodzie szkatułki.

– Co ty robisz? – pytam.

– Zgubiłam kluczyk. – Kwan ogląda scyzoryk i wśród przymocowanych dodatków szuka lepszego narzędzia. Wybiera plastikową wykałaczkę. – Dawno temu włożyłam do niej wiele rzeczy. – Wsuwa wykałaczkę w dziurkę. – Libbi-ja, latarka w torbie, podaj mi, dobrze?

W świetle latarki widzę, że szkatułka jest z ciemnego czerwono-brązowego drewna, ozdobiona zaśnieżonym mosiądzem. Na wieku płaskorzeźba: gęste drzewa, wyglądający na Bawarczyka myśliwy z martwym jeleniem przewieszonym przez ramię i podskakujący przed nim wyżeł.

– Co w niej jest?

Pstryknięcie. Kwan prostuje się i uśmiecha. Wskazuje szkatułkę.

– Otwórz, sama zobacz.

Pociągam mały mosiężny uchwyt i powoli podnoszę wieko. Słysząc brzdąkanie. Przerażona opuszczam wieko. Cisza. To pozytywka.

Kwan chichocze.

– Ha, i co myślisz? Że siedzi w niej diabeł?

Teraz ona podnosi wieczko. Mechaniczne dźwięki jakiejś melodii rozbrzmiewają drażniąco wesoło. Zawadiacki marsz wojskowy dla paradnych koni i ludzi w jaskrawych kostiumach. Kwan nuci, najwyraźniej dobrze go znając. Oświetlam latarką wewnątrz szkatułki. W jednym rogu pod szklaną płytką jest mechanizm tej muzyki: metalowy grzebyk ociera się o zęby obracającego się walca.

– To nie bardzo chińskie – zauważam.

– Nie chińskie. Wyrób niemiecki. Prawda, że ładna muzyka?

– Przyjemna.

A więc z tego źródła ona zaczerpnęła swoją opowieść o muzycznej szkatułce. Z ulgą stwierdzam, że przynajmniej jest jakaś podstawa jej urojeń. Nucę razem z nią tę melodię.

– Ach, ty znasz to?

Potrząsam głową.

– Dałam ci muzyczną szkatułkę na ślubny prezent, pamiętasz?

Nagle muzyka się urywa; melodia wisi w powietrzu jeszcze przez parę sekund, zanim przebrzmiewa; słysząc tylko straszny syk kuchenki, przypomnienie, że

deszcz i że zimno, i że Simon jest w niebezpieczeństwie. Kwan otwiera drewnianą klapę w szkatułce. Wyjmuje spod niej kluczyk, wsuwa w otwór, nakręca mechanizm. Muzyka brzmi znowu i jestem zadowolona z tej sztucznej pociechy. Zaglądam do otwartej teraz przegródki w szkatułce. Jest szufladka na drobiazgi, w niej kilka guzików, postrzępiona wstążka, pusta fiolka, i są inne rzeczy, kiedyś tkliwie przechowywane, teraz zapomniane, albo kiedyś przeznaczone do naprawy, potem odłożone na czas zbyt długi. Muzyka znów się urywa; sama już nakręcam mechanizm. Kwan ogląda giemzową rękawiczkę z palcami zbitymi w zeszywniały pęczek. Przykłada rękawiczkę do nosa i wacha.

Biorę niedużą książkę o wystrzępionych brzegach. „Odwiedziny w Indiach, Chinach i Japonii” Bayarda Taylora. Wsunęta między dwie stronic zamiast zakładki oderwana klapka koperty. Zdanie na jednej z tych stronic podkreślone: *Ich kosę oczy są typowe dla ich kosej moralności.* Do jakiegoż bigota czy bigotki należała ta książka? Odwracam klapkę koperty. Brązowym atramentem wypisany adres nadawcy: *Russell i Spółka. Aeropilis Road, Route 2, Cold Spring, New York.*

– Czy to była książka jakiegoś Russella? – pytam.

– Ach. – Kwan szeroko otwiera oczy. – Russo. Ty pamiętasz?

– Nie. – Kieruję promień latarki na klapkę koperty. – Tu jest: Russell i Spółka.

Widzisz?

Kwan wydaje się zawiedziona.

– W tamtych czasach nie znałam angielskiego – mówi po chińsku. – Nie umiałam tego przeczytać.

– Więc tę szkatułkę miał kiedyś niejaki pan Russell?

– *Bu-bu.* – Kwan bierze klapkę koperty i wpatruje się w adres. – Ach, Russell. Ja myślałam, że Russo czy Rusja. Ojciec pracował w firmie Russell. On się nazywał... – patrzy mi w oczy – Banner.

Śmieję się.



– Och, dobrze. Banner, czyli Wstęga. Jak panna Wstęga. Oczywiście. Jej ojciec był kupcem-żeglarzem, czymś takim.

– Statek z opium.

– Tak, już sobie przypominam... – I nagle ze zdumieniem pojmuję, że my nie rozmawiamy o jakiejś opowieści o duchach do poduszki. Oto jest ta szkatułka, oto rzeczy, które zapewne należały do tamtych ludzi. Prawie bez tchu pytam:

– To muzyczna szkatułka panny Wstęgi?

Kwan przytakuje.

– Ona miała na imię... ajaj!... Wyleciało mi z głowy. – Sięga do szufladki i wyjmuje małą puszkę. – Tst! Jej imię... – mamrocze pod nosem. – Jak mogłam zapomnieć?

Wyjmuje z puszek czarną cegiełkę. Przypuszczam, że to jakieś czernidło. Ale ona odskubuje kawałek i wrzuca do herbaty już gotującej się na kuchence.

– Co to jest?

– Ziele – znów przechodzi na angielski – ze specjalnego drzewa, tylko nowe liście, bardzo lepkie. Sama robiłam dla panny Wstęgi. Dobre do picia, do wachania. Także rozluźnia głowę. Sprawia, że czuje się spokój. Może da mi pamięć z powrotem.

– Czy to z tego uświęconego drzewa?

– Ach! Ty pamiętasz!

– Nie. Pamiętam, co mi opowiadałaś.

Ręce mi się trzęsą. Bardzo chcę zapalić papierosa. Co się dzieje, do diabła? Może stałam się taka jak Kwan, tak samo stuknięta. Może woda w Changmian jest zanieczyszczona jakimś halucynogenem. Może uządlił mnie chiński moskit, który zaraża mózg obłędem. Może Simon nie zaginął. I ja nie trzymam na kolanach rzeczy jakiejś kobiety z dziecięcych snów.

Unosi się mgła pary i ostry aromat herbaty. Pochylam się nad kubkiem, para

nawilża mi twarz. Zamykam oczy i wdycham tę wonność. To uspokaja. Może śpię. To jest sen. A jeżeli to sen, mogę się wyrwać...

– Libbi-ja, patrz.

Kwan podaje mi ręcznie zszyty album. Okładka jest z cienkiej irchy w kolorze sepii. Na okładce wytłoczony gotyckimi literami tytuł: *NASZ POKARM*; ślady pozłotki błyszczą w każdej literze. Odwracam okładkę, kawałek białej kartki przylepionej do spodu odkruszają się i widzę, że ta okładka, teraz spłowiała, była kiedyś ciemno-purpurowa. Ten kolor przypomina mi oglądany w dzieciństwie obrazek w Biblii. Dziko wyglądający Mojżesz stoi na gładzie na tle purpurowego nieba i rozbija tablice przed tłumem pogan w turbanach.

Otwieram albumik. Na odwrocie jednej stronicy jest zapis drukowanymi literami, linijki nierówne i zagęszczone: *Ufaj, że Bóg uwalnia nas od pokus diabła. Jeżeli pełno w tobie ducha, jest to największa osiągalna pełnia.* Na następnej stronicy słowa *Kącik na Amen*, a pod tym nabazgrany atramentem z zaciekami i kleksami osobliwy spis: *Zjelczała fasola, sparciałe rzodkiewki, listek opium, świńskie ziele, lasznik, artemizja, zgniła kapusta, suszone nasiona, włókniste strąki i bambus jak drewno. Podawane na zimno albo pływające w ponurym morzu oleju rycynowego. Boże zmiłuj się!* Na następnych stronicach podobne zestawienia. Chrześcijańska inspiracja w dążności do zbawienia i zaspokajania duszy, po czym w *Kąciku na Amen* jadłospisy, które dla prowadzącego ten dziennik wyraźnie były okropnością, ale też i źródłem heretyckiego dowcipu. Simon się uraduje, czytając to. Mógłby to wykorzystać w naszym reportażu.

– Posłuchaj – mówię do Kwan i czytam na głos: – „Kotlety z psa, potrawka z ptaka, duszona strzygwa, robaki i węże. Uczta dla czcigodnych gości. Na przyszłość postaram się stanowczo nie być czcigodna”. – Odkładam dziennik. – Nie wiem, co to jest strzygwa.

– Nelly.

Podnoszę wzrok.

– Strzygwa znaczy Nelly?

Kwan śmieje się, daje mi lekkiego klapsa w rękę.

– Nie, nie, nie! Panna Banner, jej imię Nelly. Ale ja zawsze nazywam ją panna Wstęga. To dlatego nie pamiętam, jak się w pełni nazywa. Ha. Taka zła pamięć! Nelly Banner. – Chichocze pod nosem.

Zaciskam palce na dzienniku. W uszach mi dzwoni.

– Kiedy poznałaś pannę Banner?

Kwan kręci głową.

– Dokładna data, niech pomyślę...

– *Yi ba Hu si*. – Przypominam sobie słowa z którejś z nocnych opowieści. – Utrać nadzieję, usuń się w śmierć! Tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty.

– Tak, tak. Twoja pamięć dobra. To kiedy Niebiański Król utracił Niebiańskie Królestwo Wielkiego Pokoju.

Niebiański Król... Tę część również pamiętam. Czy rzeczywiście był ktoś zwany Niebiańskim Królem? Żałuję, że nie znam lepiej historii Chin. Pocieram dłonią miękką okładkę dziennika. Dlaczego już nie robią takich albumików ciepłych, miłych pod dotknięciem? Znowu przewracam stronicę i czytam zapis: *Odgryzienie główek diabelskich zapalek (udręka), połknięcie złocistego liścia (niedorzeczność), połknięcie chlorku magnezu (paskudztwo), zjedzenie opium (bezbolesne), wypicie niegotowanej wody (mój pomysł). I dalej co do samobójstwa, Panna Mu mnie poinformowała, że jest surowo zabronione zwolennikom Tai ping, chyba że składają siebie w ofierze w bitwie za Boga.*

*Tai ping*. *Tai* znaczy wielki. *Ping* znaczy pokój. *Tai ping*, Wielki Pokój. To było... kiedy? kiedyś w połowie dziewiętnastego wieku. Moja pamięć, pobudzona, pracuje, a ja stawiam opór, ale z trudem. Dawniej zachowywałam dosyć sceptycyzmu, żeby w razie konieczności mieć odtrutkę na opowieści Kwan. Ale

teraz widzę wyblakły atrament na pożółkłym papierze, zmatowiały medalionik, zwitek rękawiczki, gotyckie litery. I słyszę tę muzykę, żywą staroświecką melodię. Oglądam szkatułkę – może jest jakiś ślad daty. No, a w dzienniku? Na odwrocie strony tytułowej jest wydrukowane: *Wydawnictwo Radosne Wieści MDCCCLIX*. Po łacinie, niech to licho! Przekładałam te litery na cyfry: 1859. Otwieram książkę Bayarda Taylora: *Wyd. G.P. Putman 1855 rok*. Czego dowodzą te daty? Z tego nie wynika, że Kwan знаła niejaką pannę Banner w czasie Rewolucji Tajpingów. To tylko zbieg okoliczności – ta opowieść, ta szkatułka, daty wydania.

Ale mimo całej mojej logiki i wątpliwości nie mogę nie wziąć pod uwagę czegoś ogólniejszego, co wiem o Kwan. Kłamstwo nie leży w jej naturze. Kwan cokolwiek mówi, wierzy, że to jest prawda. Powiedziała o Simonie, że nie widziała go jako ducha, czyli Simon na pewno żyje. Wierzę jej. Muszę wierzyć. I znów, jeżeli wierzę jej słowom, czy to znaczy, że już wierzę, że ona ma oczy *yin*? Czy wierzę w to, że rozmawia ze Starszą Mamą? W to, że gdzieś jest rzeczywiście jaskinia z osadą z Epoki Kamiennej? W to, że panna Wstęga, generał Peleryna i pół-Johnson byli ludźmi z krwi i kości? W to, że Kwan była Nunumu? I jeżeli to wszystko prawda, te historie, które opowiadała mi przez lata... No, musiała mieć jakiś powód, żeby je opowiadać.

Znam ten powód. Właściwie znałam już w dzieciństwie. Dawno temu zagrzebałam ten powód w bezpiecznym miejscu, akurat tak, jak ona to zrobiła w swoją muzyczną szkatułkę. W poczuciu winy słuchałam jej opowieści, wciąż trzymając się mojego sceptycyzmu, trzeźwości sądu. Raz po raz odmawiałam jej tego, czego chciała najbardziej. Pytała: „Libbi-ja, pamiętasz?” A ja zawsze potrząsałam głową widząc, że ona z nadzieją czeka, bym odpowiedziała: „Tak, Kwan, oczywiście pamiętam. Ja byłam panną Wstęgą...”

– Libbi-ja – słyszę, jak Kwan pyta teraz – co myślisz?

Wargi mam drętwe.

– Och, wiesz, Simon. Wciąż myślę o nim i chyba jest coraz gorzej.

Kwan się podsuwa. Siedząc przy mnie, masuje mi zgrabiałe palce. Ciepło natychmiast zaczyna mi krążyć w żyłach.

– Może rozmawiajmy? Nie ma o czym, więc tak o niczym. Dobrze? O filmach, które widziałyśmy. O książkach, które czytałaś. Albo o pogodzie... nie, nie, nie o tej, bo znowu się zdenerwujesz. Dobrze, mówmy o politycznych rzeczach, na co ty głosujesz, na co ja głosuję, może się pokłócimy. Wtedy nie będziesz myśleć za dużo.

Mam w głowie zamęt. Uśmiecham się do niej półgębkiem.

– Ach! Dobrze! Ty nie mów, ja będę. Tak, ty tylko słuchaj. Zaraz, o czym by tu...? Ach, już wiem. Opowiem ci o pannie Wstędze, jak się zdecydowała dać mi muzyczną szkatułkę.

Wstrzymuję oddech.

– Dobrze. Oczywiście.

Kwan przechodzi na język chiński.

– To muszę opowiedzieć po mandaryńsku. Łatwiej mi wspominać w ten sposób, bo wtedy, gdy to się działo, wcale nie mówiłam po angielsku. Oczywiście po mandaryńsku też nie, mówiłam tylko Hakka i trochę po kantońsku. Ta dobra mandaryńska chińszczyzna sprawia, że myślę jak Chinka. Oczywiście, jeżeli nie zrozumiesz jakiego słowa tu i ówdzie, zapytaj. Postaram się wykombinować, jak to jest po angielsku. Zaraz, od czego mam zacząć?

No, już wiesz o pannie Wstędze, że ona nie była taka jak inni cudzoziemcy, których znałam. Ona potrafiła otworzyć swój umysł na różne zdania. Ale czasami myślę, że to jej plątało w głowie. Może ty wiesz, jak to jest. Wierzy się w jedno. Na drugi dzień wierzy się w coś przeciwnego. I wszczyna się kłótnie z ludźmi, a potem ze sobą. Libbi-ja, czy ty tak się kłócisz?

Kwan milknie i wypatruje w moich oczach odpowiedzi. Wzruszam ramionami, to jej wystarcza.

– Może za dużo zdań to amerykański obyczaj. Myślę, że Chińczycy nie lubią mieć różnych zdań o jednej i tej samej rzeczy. My jak w coś wierzymy, trzymamy się tego przez sto lat, przez pięćset lat. W ten sposób mniej zamętu. Oczywiście ja nie mówię, że Chińczycy nigdy nie zmieniają zdania, tak to nie. Możemy zmienić, jeżeli jest słuszny powód. Ja tylko mówię, że my nie zmieniamy zdania tam i z powrotem, w prawo i w lewo do woli tylko po to, żeby wydawać się ciekawsi. Chociaż może teraz Chińczycy zmieniają zdanie za bardzo, w każdą stronę, z której wieje pieniędzmi, tam gonią.

Kwan trąca mnie łokciem.

– Libbi-ja, nie uważasz, że to prawda? W Chinach teraz ludzie hodują więcej pojęć kapitalistycznych niż świń. Nie pamiętają, że kapitalizm był wrogiem numer jeden. Krótka pamięć, wielkie zyski.

Reaguję grzecznym śmiechem.

– Amerykanie też mają krótką pamięć, tak myślę. Bez szacunku dla historii, szanują tylko to, co popularne. Ale panna Wstęga... Ona miała dobrą pamięć, bardzo niezwykłą. Dlatego nauczyła się naszego języka tak szybko. Mogła coś usłyszeć tylko raz i już to powtarzała nazajutrz. Libbi-ja, ach, ty masz taką właśnie pamięć... prawda? Ale w oczach, nie w uszach. Jak się nazywa taka pamięć po angielsku?... Libbi-ja, śpisz? Słyszałaś, że cię pytam?

– Pamięć fotograficzna – odpowiadam.

Kwan naciska już wszystkie guziki. Tym razem nie da mi się wymknąć.

– Fotograficzna, tak. Panna Wstęga nie miała aparatu fotograficznego, więc nie była fotograficzna, ale rzeczywiście pamiętała, co ludzie mówią, zawsze pamiętała, zupełnie jak magnetofon. Co mówili przy kolacji i że mówili zupełnie coś innego w następnym tygodniu. Pamiętała rzeczy, które jej doskwierały, i nie mogła ich usunąć z pamięci. Pamiętała, o co ludzie się modlą i co dostają zamiast tego. Bardzo dobrze też pamiętała przyrzeczenia. Kiedy się jej coś przyrzekło, och, nie pozwalała o tym

zapomnieć. Taką miała specjalność pamięci. I pamiętała swoje własne przyrzeczenia. Dla niektórych przyrzeczenie to jedna sprawa, a dotrzymanie przyrzeczeń to zupełnie inna. Ona przyrzekała, żeby dotrzymać, przyrzekała na wieczność, nie na jedno tylko życie. Jak to, co przyrzekała, kiedy dała mi tę muzyczną szkatułkę, a już śmierć maszerowała do nas... Libbi-ja, dokąd idziesz?

– Na świeże powietrze.

Wychodzę spod łuku, usiłując uwolnić umysł od wywodów Kwan. Ręce mi drżą i wiem, że nie z zimna. To przyrzeczenie, o którym Kwan zawsze mówiła, to, o którym nigdy nie chciałam słyszeć, bo bałam się. Czy ona musi opowiadać mi o tym właśnie tutaj i teraz?

Ale po chwili myślę: Czego ja się boję? Tego, że mogłabym uwierzyć, przyjąć do wiadomości, że naprawdę coś przyrzekałam i przyrzeczenia dotrzymałam, i że życie się powtarza, nasze nadzieje trwają i dana jest nam jeszcze jedna szansa? Co w tym straszego?

Patrzę na nocne niebo, czyste, bez deszczowych chmur. Przypominam sobie inną noc – z Simonem, kiedy o nocnym niebie powiedziałam głupio, że to te same gwiazdy, które widzieli pierwsi kochankowie na ziemi. Miałam wtedy nadzieję, że Simon kiedyś będzie mnie kochał ponad wszystkich, ponad wszystko inne. Ale już zaraz ta nadzieja wydała się zbyt ogromna, jak niebiosy, i łatwiej mi było bać się i zakazać sobie tak zawrotnego wzlotu. Teraz znów patrzę na niebo. Jest to samo, które Simon teraz widzi, które widywaliśmy przez całe życie razem i osobno. To samo niebo, które Kwan widzi, które widziały jej wszystkie duchy i panna Wstęga. Już niebo dla mnie nie jest próżnią, gdzie giną nadzieje, nie jest tłem lęków. Widzę to, co proste i oczywiste. Niebo podtrzymuje gwiazdy, planety, księżyc, wszechcałość życia – wiecznie. Mogę zawsze je znaleźć i zawsze ono znajdzie mnie. Jest takie jasne w ciemności, ciemne w jasności. Nie obiecuje nic poza tym, że będzie nadal trwać – tajemnicze, przerażające i cudowne. I jeżeli tylko będę

pamiętać, żeby popatrzeć w górę i zastanowić się nad tym, stanie się moim kompasem. Mogę znaleźć drogę przez chaos, cokolwiek by się działo. Mogę całym sercem mieć nadzieję, a niebo zawsze tam będzie ku mojemu uniesieniu.

– Libbi-ja, ty znowu za dużo myślisz. Mówić dalej?

– Tak tylko się zamyśliłam.

– O czym?

Jeszcze stoję tyłem do Kwan, wodzę wzrokiem po niebie, znajduję drogę z gwiazdy na gwiazdę. Ich migotliwe blaski przelatują milion lat świetlnych. I widzę tylko ich odległe wspomnienia, ale bardziej rozwibrowane niż może być życie.

– Ty i panna Wstęga... Patrzyłyście na niebo w taką noc?

– Och, wiele razy. – Kwan wstaje i podchodzi do mnie. – Wtedy nie miałyśmy telewizora, oczywiście, wieczorem nic do roboty tylko oglądanie gwiazd.

– Ja pytam, czy ty i panna Wstęga patrzyłyście na niebo w taką noc jak ta, kiedy obie bałyście się i nie wiedziałyście, co was czeka?

– Ach tak... Tak było. Ona bała się umrzeć i bała się, że utraciła kogoś, mężczyznę, którego kochała.

– Yibana.

Kwan przytakuje.

– Ja też się bałam... – Urywa, a potem dodaje ochryłym szeptem: – Przeze mnie jego tam nie było.

– Jak to? Bo co się stało?

– To, co się stało... Ach, może ty nie potrzebujesz wiedzieć.

– Czy to... czy to smutne?

– Smutne, tak, radosne też. Zależy, jak się wspomina.

– Więc ja chcę wspominać.

Kwan ma oczy pełne łez.

– Och, Libbi-ja, wiedziałam, że kiedyś będziesz wspominać. Ze mną. Zawsze



chciałam ci pokazać, że naprawdę byłam twoją wierną przyjaciółką. – Odwraca się, ściska mi rękę, uśmiecha się. – Dobrze, dobrze. To jest sekret. Nie mów nikomu. Przyrzeknij, Libbi-ja... Ach tak, pamiętam niebo ciemne, ukrywało nas. Ale pomiędzy tymi dwiema górami, tam, było coraz jaśniej i jaśniej. Wielki pomarańczowy ogień się palił...

A ja słucham i już nie boję się sekretów Kwan. Ujmuję chętnie jej wyciągniętą do mnie rękę. Razem lecimy w Świat Yin.

### Gdy się paliło niebo

Przedtem byłam z Yibanem w jaskini, tej z rozjarzonym jeziorem i kamienną wioską. A kiedy tam byłam, Libbi-ja, zrobiłam straszną rzecz, która prowadziła do następnej strasznej. Z mojego ostatniego dnia na ziemi uczyniłam dzień kłamstwa.

Najpierw nie dotrzymałam tego, co przyrzekłam panie Wstędze. Nie dotrzymałam słowa z życzliwości. Powiedziałam Yibanowi prawdę:

– Panna Wstęga tylko udawała z Peleryną. Chciała cię uchronić, żebyś na pewno był bezpieczny. I proszę, jesteś.

Trzeba ci było widzieć jego twarz: ulga, radość, wściekłość, niepokój – twarz jak liść zmieniający kolory, wszystkie pory roku razem.

– Co mi z tego, że żyję, kiedy jej nie ma przy mnie? – wykrzyknął. – Zabiję tego bękarta Pelerynę! – I zerwał się.

– Au! Dokąd idziesz?

– Po nią, przyprowadzę ją tutaj.

– Nie, nie, nie możesz! – I wtedy mu powiedziałam moje pierwsze kłamstwo tego dnia: – Ona wie, jak tu trafić. Przychodziłam tu z nią wiele razy.

W duchu martwiłam się o pannę Wstęgę, bo oczywiście to nie była prawda. Więc powiedziałam moje drugie kłamstwo. Że przepraszam, ale potrzebuję panieńskiego odosobnienia, niby jakiegoś ciemnego miejsca, żeby się wysiusiać. Wzięłam latarnię, bo wiedziałam, że jeżeli wezmę, Yiban nie będzie mógł trafić do wyjścia z jaskini. I pobiegłam tym krętym tunelem, przysięgając sobie, że sprowadzę pannę Wstęgę.

Kiedy wyszłam z łona góry, poczułam się jak jeszcze raz świeżo urodzona na ten

świat. Już nastał dzień, ale niebo było białe, wyprane, nie niebieskie, słońce otaczał pierścień z wielu bladych kolorów. Czy świat się zmienił? Co tam jest za wzgórzami – życie czy śmierć?

Spod drugiego łuku, tego bliżej Changmian, zobaczyłam w dole wieś, tłok ludzi, plac targowy jak zwykle. Żyj! Wszyscy żyją! To mi dało nadzieję co do panny Wstęgi i rozplakałam się. Jak na skrzydłach pobiegłam szlakiem w dół i nagle wpadłam na człowieka idącego z bawołem. Powiedziałam mu co wiem i żeby ostrzegł swoją rodzinę i sąsiadów.

– Usuńcie wszystkie ślady Dobrej Nowiny Boga i Jezusa. Mówcie cicho. Inaczej żołnierze zobaczą, co my robimy. Wtedy nieszczęście przyjdzie dzisiaj, zamiast jutro.

Pobiegłam do innych ludzi, im też to powiedziałam. Zaczęłam walić w bramę dawnego aresztu, gdzie mieszkało dziesięć rodzin Hakka pod jednym dachem. Chodziłam szybko od domu do domu. Ha! Myślałam, że jestem tak mądra, ostrzegam wieś z takim spokojem i tak składnie. Ale nagle usłyszałam, jak ktoś wrzeszczy:

– Śmierć już idzie do ciebie ty gównojadzie, ty robaku!

I jak wrzeszczy jego sąsiad:

– Naskarżysz na mnie? To ja powiem Manchu, że jesteś bękarcim bratem Niebiańskiego Króla!

I w tej samej chwili – kik, kak! – dały się słyszeć trzaski jak gdyby suchego drewna. Wszyscy ucichli. A potem jeszcze jeden trzask, taki, jakby pękło wysokie, grube drzewo.

W pobliżu ktoś ryknął:

– Karabiny! To żołnierze są tutaj!

Od razu ludzie wylegli z domów, biegli chwytając się za rękawy tych, którzy uciekali prędeżej.

- Kto nadchodzi?
- Co!? Wyrok śmierci dla wszystkich Hakka?
- Puszczaj! Puszczaj! Znajdź swoich braci. My uciekamy.

Ostrzeżenia zmieniły się w wołania, wołania w krzyki, najgłośniejsze rozlegały się piskliwe lamenty matek wzywających swoje dzieci. Stałam pośrodku uliczki i raz po raz potrącaли mnie ci, którzy uciekali to w tę stronę, to w tamtą. No i co ja zrobiłam? Teraz wszystkich z całej wsi może zabić jedna salwa karabinu. Ludzie biegli w góry, pełno ich było jak gwiazd na niebie.

Popędziłam do Domu Ducha Kupca. Wtedy usłyszałam jeszcze jeden wystrzał i wiedziałam, że to za tym murem. Zanim dobiegłam do tylnej furtki znowu huknął wystrzał, aż echo się obilo po uliczkach. Wbiegłam na tylny dziedziniec i stanęłam nieruchomo. Oddychałam i nasłuchiwałam, ale słyszałam już tylko swój oddech. Przebiegłam do kuchni, przycisnęłam ucho do drzwi jadalni. Było zupełnie cicho. Więc weszłam do jadalni, podkradłam się do okna wychodzącego na frontowy dziedziniec. Z okna zobaczyłam paru żołnierzy przy bramie. Co za szczęście, oni śpią. Ale potem spojrzałam tam znowu. Ręka jednego żołnierza skrzycona, noga drugiego wygięta. Aj! Oni nie żyją! Kto to zrobił? Czy rozgniewali czymś Pelerynę? Czy to Peleryna teraz zabija wszystkich? I gdzie panna Wstęga?

Pomyślałam, że może jest w swoim pokoju. Kiedy tam szłam korytarzem, zobaczyłam zwłoki nagiego mężczyzny, który leżał na brzuchu twarzą do podłogi. Muchy ucztowały w świeżej tykwie jego mózgu. Ajaj! Kto był tym nieszczęśnikiem? Doktor Za Późno? Pastor Amen? Przesunęłam się obok zwłok ukradkiem, jak gdyby on mógł się obudzić. Kilka kroków dalej zobaczyłam wczorajszą kolację, tę nogę, teraz brązową od krwi i lepiących się włosów. Musiał to zrobić generał Peleryna. Kogo jeszcze zabił? Zanim zdążyłam trochę się zastanowić, usłyszałam muzykę z Domu Boga. Grała muzyczna szkatułka i pastor Amen śpiewał, jak gdyby był Siódmy Dzień, taki jak każdy co tydzień. Ruszyłam przez

dziedziniec do Domu Boga. Nagle śpiew pastora zmienił się w szlochanie, a potem w zwierzęcy ryk. I doleciał głos panny Wstęgi – więc ona żyje – taki karcący, jakby mówiła do niegrzecznego dziecka. Ale po chwili zaczęła płakać.

– Nie, nie, nie, nie!

I uciszyło ją straszne huknięcie.

Wbiegłam do Domu Boga. To, co zobaczyłam sprawiło, że cała zmieniłam się w kamień. A potem w piasek. Przy ołtarzu, krzywo wygięta, leżała panna Wstęga w swojej żółtej sukni i leżeli Czyciele Jezusa w wyświechtanych niedzielnych strojach – jak motyl i cztery żuki zdeptane na kamiennej podłodze. Au! Umarli tak prędko – jeszcze echo ich jęków brzmiało w tych ścianach. Wsłuchiwałam się uważnie. To nie echo, tylko...

– Panno Wstęgo?! – zawołałam.

Ona uniosła głowę. Włosy miała rozpuszczone, usta jak niema, ciemna dziura, na sukni krew. Aj, chyba rzeczywiście zabita.

– Panno Wstęgo, jesteś duchem?

Jęknęła jak duch, ale potrząsnęła głową. Wyciągnęła rękę.

– Pomóż mi, panno Mu. Mam złamaną nogę.

Kiedy szłam do ołtarza, myślałam, że tamci cudzoziemcy też się podniosą. Ale pozostali nieruchomi; trzymali się za ręce we śnie na zawsze, w kałużach jaskrawej krwi. Przykucnęłam przy niej.

– Panno Wstęgo – szepnęłam, rozglądając się po kątach. – Gdzie jest Peleryna?

– Nie żyje – odpowiedziała.

– Nie żyje! Więc kto zabił...

– Ponad moje siły mówić o tym teraz.

Głos jej drżał okropnie, co oczywiście dało mi do myślenia... Ale nie, nie mogłabym sobie wyobrazić, że panna Wstęga kogokolwiek zabiła.

– Yiban? – zapytała po chwili z przerażeniem. – Powiedz mi prędko, gdzie jest

Yiban?

Powiedziałam, że jest bezpieczny w jaskini i wtedy pełna ulgi, z twarzą aż zmiękła, rozszłochała się niepohamowanie.

– Wkrótce znów będziecie razem. Do tej jaskini niedaleko.

– Nie zrobię ani kroku. Moja noga...

Podciągnęła spódnicę i zobaczyłam jej prawą nogę spuchniętą, sterczący kawałek kości. Więc teraz skłamałam po raz trzeci.

– To nic strasznego. Kiedy byłam prawie dorosła, jeden człowiek z nogą tak złamaną mógł jeszcze chodzić wszędzie po górze, żaden kłopot. Pewnie, że ty, cudzoziemka, panno Wstęgo, nie jesteś taka silna, ale tylko znajdę jakiś sposób, żeby ci tę nogę owiązać i uciekniemy stąd.

Uśmiechnęła się. Pomyślałam: dobrze wiedzieć, że zakochani wierzą we wszystko, byleby to im dawało nadzieję.

– Poczekaj tu – powiedziałam.

Pobiegłam do jej pokoju, przeszukałam szufladę z osobistymi damskimi rzeczami. Wzięłam sztywną sznurówkę, którą ona ścisnęła się w pasie i podpierała piersi, i wzięłam pończochy z dziurami na piętach. Przybiegłam do niej z powrotem i tymi rzeczami usztywniłam jej nogę, jakby to były łąki. Potem pomogłam jej wstać, pokuśtykać do ławki na tyłach Domu Boga. Dopiero tam z dala od tych świeżych zmarłych mogła mi powiedzieć, jak i dlaczego ponieśli śmierć.

Zacząła opowiadanie od momentu, kiedy Lao Lu stracił głowę, a ja upadłam bez zmysłów na ziemię. Czciciele Jezusa, powiedziała, wzięli się za ręce i zaśpiewali tę pieśń z muzycznej szkatułki, „Gdy śmierć spotkamy, będzie z nami Bóg”.

– Przestańcie śpiewać! – rozkazał im Peleryna.

A panna Mysz – wiesz, jaka zawsze była lękliwa – krzyknęła do generała:

– Nie boję się ciebie ani śmierci, boję się tylko Boga! Bo kiedy umrę, pójdę do niebios tak jak ten biedak, którego zabiłeś. A ty, bękarcie diabła, będziesz się smażył

w piekle!

Wyobrażasz sobie, panna Mysz taka harda? Gdybym wtedy nie leżała nieprzytomna, biłabym jej brawo.

Ale jej słowa nie przstraszyły Peleryny.

– Będę się smażył? – zapytał. – Ja wam pokażę, co diabeł lubi smażyć! – Zawołał swoich żołnierzy i rozkazał: – Utnijcie nogę tego trupa i na ogień.

Żołnierze się roześmieli, myśleli, że to żart. Peleryna musiał szczeknąć ten rozkaz jeszcze raz, żeby rzucili się wykonać. Cudzoziemcy krzyczeli i chcieli odejść. Jak mogliby patrzeć na coś tak niegodziwego? Peleryna warknął, że jeżeli nie będą patrzeć i śmiać się, to prawa ręka każdego też zaraz zacznie się pichcić na ogniu. Więc cudzoziemcy zostali i patrzyli. Śmieli się i wymiotowali jednocześnie. Wszyscy śmiertelnie bali się Peleryny, wszyscy oprócz Lao Lu, ponieważ on już nie żył. I kiedy zobaczył swoją nogę obracającą się na rożnie... No ile duch może wytrzymać, zanim się zabierze do zemsty?

Wczesnym rankiem przed wschodem słońca panna Wstęga usłyszała pukanie do swoich drzwi. Wstała i zostawiła Pelerynę śpiącego smacznie w jej łóżku. Zza drzwi usłyszała jakiś gniewny głos. Wydawał się znajomy, a jednak nie. Bo ów mężczyzna wołał po kantońsku jak robotnicy, hultaje:

– Generale Bujdo! Generale Bujdo! Wstawaj, ty leniwy psie. Przyjdź i zobacz! Brat Jezus przybył, żeby zawlec twoje ścierwo do piekła.

Au! Kto to może być? Na pewno żaden z tych żołnierzy. Ale kto inny mówi jak ordynarny *kuli*?

Peleryna już się obudził i zaczął kłąć.

– Niech cię ziemia pochłonie, człowieku. Zabiję cię za to, że nie dajesz mi spać!

Ten chiński głos odwrzasnął:

– Za późno, bękaracie kundla! Ja już nie żyję!

Peleryna wyskoczył z łóżka i chwycił pistolet. Ale kiedy otworzył drzwi,

wybuchnął śmiechem. Tam stał pastor Amen, ten wariat. Trzymał na ramieniu nogę z wczorajszej kolacji i klął jak *kuli* od pięciu pokoleń. Panna Wstęga pomyślała sobie: Jakie to dziwne, że pastor nagle zna język tubylców tak dobrze. Podbiegła do drzwi, chciała ratować tego szaleńca. Peleryna odwrócił się, żeby ją odepchnąć, a pastor wtedy jak się zamachnie tą nogą... Rozwalił generałowi Bujdzie czaszkę. Walnął go jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, i z takim rozmachem, że uderzył przy tym pannę Wstęgę w łydkę. Potem rzucił tę kość na ziemię i wrzasnął do swojego wroga, martwego już po pierwszym walnięciu:

– Moją pozostałą nogą dam ci kopniaka, kiedy się spotkamy na tamtym świecie!

Właśnie wtedy panna Wstęga zaczęła podejrzewać, że to duch Lao Lu wskoczył w pusty umysł pastora. Patrzyła, jak ten człowiek, który zarówno żył, jak i nie żył, bierze pistolet Peleryny i pędzi przez dziedziniec do żołnierzy na warcie przy bramie.

Leżąc ze złamaną nogą, usłyszała jeden huk. Po chwili drugi. A potem usłyszała, jak pastor krzyczy już po cudzoziemsku, w swoim języku:

– Boże święty! Co ja zrobiłem?!

To te hukurywały go z mgieł jego snu.

Panna Wstęga mi powiedziała, że kiedy znów zobaczyła pastora, wyglądał jak żywy upiór. Chwiejnie szedł do swojego pokoju, ale natknął się na zwłoki generała, a potem na pannę Wstęgę ze złamaną nogą. Ona się skuliła, jak gdyby miał ją znowu uderzyć.

Przez wiele godzin pastor i inni Czciciele Jezusa omawiali to, co się stało i co powinni zrobić. Panna Wstęga przysłuchiwała się tej rozmowie o nieuchronnej zgubie. Jeżeli Manchu zobaczą, co pastor uczynił, mówiła panna Mysz, będą ich wszystkich torturować. Kto z nich ma dość siły, żeby wynieść zakopać zwłoki? Nikt. Czy powinni uciekać? Dokąd? Nie znają miejsca, gdzie mogliby się ukryć. Potem doktor Za Późno zaproponował, żeby położyli kres swoim cierpieniom, zabijając się



sami. Ale pani Amen się sprzeciwiła.

– Odebranie sobie życia byłoby ciężkim grzechem, takim samym jak zamordowanie kogoś.

– Ja was wyprawię na wieczny odpoczynek – powiedział pastor. – Już i tak czeka mnie piekło za zabicie trzech ludzi. Przynajmniej pozwólcie mi być tym, który was wyśle tam, gdzie pokój wiekuisty.

Tylko panna Wstęga próbowała odwieść ich od tego pomysłu.

– Zawsze jest jakaś nadzieja – powiedziała.

A oni jej powiedzieli, że wszelka nadzieja jest za grobem. Więc patrzyła w Domu Boga, jak modlą się, jak jedzą stęchły chleb komunijny pani Amen, jak piją wodę, a udają, że piją wino. I jak połykają pigułki doktora Za Późno, żeby zapomnieć o swoich bólach.

Co się stało potem, już wiesz.

Panna Wstęga i ja nie miałyśmy siły pogrzebać Czcieli Jezusa. A przecież nie mogłyśmy ich zostawić na łatwy żer dla głodnych much. Poszłam do ogrodu, ściągnęłam ze sznura uprane poprzedniego dnia białe płótna. Myślałam o tych wszystkich strasznych rzeczach, które się działy, kiedy to mokre pranie wysychało. Ale wyschło, więc mogłam owinać naszych przyjaciół w te naprędce znalezione całuny. Panna Wstęga tymczasem pakuowała do ich pokoi, żeby wyszukać jakieś pamiątki po nich i zachować je w swojej muzycznej szkatułce. Ponieważ Peleryna już ukradł ich skarby, zostały tylko żałosne resztki. Pamiątką po doktorze Za Późno była mała buteleczka, w której kiedyś miał opium. Po panie Myszy skórzana rękawiczka, którą ona zawsze gniotła w ręce, jeżeli czegoś się bała. Po pani Amen guziki, które odrywały się jej od bluzki, kiedy śpiewała na cały głos. Po pastorze Amenie książka podróżnicza. Po Lao Lu puszka z liśćmi z uświęconego drzewa. Te wszystkie rzeczy panna Wstęga włożyła do szkatułki, razem z albumikiem, w którym zapisywała swoje myśli.

Potem zapaliliśmy świece na ołtarzu, chociaż z tych świec zostały już tylko ogarki. Wyjęłam z kieszeni kluczyk – panna Wstęga mi go dała poprzedniego wieczoru. Nakręciłam muzykę w szkatułce. Muzyka grała, a panna Wstęga śpiewała nad cudzoziemcami ich ukochane słowa.

Po pieśni pomodliliśmy się do ich Boga. Tym razem nie udawałam. Skłoniłam głowę. Zamknęłam oczy, powiedziałam głośno:

– Mieszkałam z nimi przez sześć lat. Byli jak moja rodzina, chociaż nie znałam ich zbyt dobrze. Ale uczciwie mówię, że oni byli wiernymi przyjaciółmi Twojego Syna, a także naszymi. Proszę, powitaj ich w swoim Domu. Pastora także.

Ile czasu miałyśmy przed wkroczeniem Manchu? Wtedy nie wiedziałam, ale teraz mogę ci powiedzieć: za mało.

Oderwałam spódnicę codziennej sukni panny Wstęgi i zrobiłam temblak do niesienia muzycznej szkatułki. Zarzuciłam temblak ze szkatułką na lewe ramię. Panna Wstęga oparła się na moim prawym ramieniu i we dwie pokuśtykałyśmy jak jedna. Ale przedtem, kiedy wychodziłyśmy z Domu Boga, nagle wiatr dmuchnął. Odwróciłam się i zobaczyłam, że całuny Czcicieli Jezusa pienia się, jak gdyby ich ciała na nowo zaczęły oddychać. Wiatr rozrzucił stosy „Dobrej Nowiny” i te papiery poleciały na palące się świece, buchnęły płomienie. Już po chwili czułam zapach Ducha Kupca, chili i czosnku, bardzo mocny, taki, jakby przygotowywano ucztę dla gości. I może to sprawiła wyobraźnia, która hula, kiedy się jest w za dużym strachu, ale ja go zobaczyłam – panna Wstęga nie – jego długą szatę i dwie jego nowe stopy w butach na grubych podeszwach. Szedł i kiwał głową, wreszcie z powrotem w swoim pechowym domu.

Kuśtyk, kuśtyk – panna Wstęga i ja poszłyśmy w góry. Nieraz ona się potykała i musiała stanąć na tej złamanej nodze. Płakała wtedy:

– Zostaw mnie tutaj, nie mogę iść dalej.

– Dość tych głupstw – karciałam ją za każdym razem. – Yiban czeka, a przez ciebie już się spóźniamy.

To wystarczało, żeby znów starała się iść dzielnie. Pod pierwszym łukiem odwróciłam się i spojrzałam na pustą wieś. Połowa Domu Ducha Kupca stała w płomieniach. Wielka czarna chmura powiększała się nad nami, jakby wzywała Manchu: Śpieszcie się do Changmian!

Kiedy weszłyśmy pod drugi łuk, usłyszałyśmy huk. Nie sposób było przyśpieszyć. Nie mogłyśmy iść prędzej, chociaż żołądki się w nas przewracały. Ściemniało się, wiatr ustał. Odzież miałyśmy przepoconą, z takim wysiłkiem przywędrowałyśmy tak daleko. Teraz miałyśmy przejść po kolistym zboczu, gdzie każdy niebaczny krok groził stoczeniem się do parowu.

– Chodź, panno Wstęgo – nalegałam – już prawie jesteśmy na miejscu.

A ona patrzyła na swoją złamaną nogę, spuchniętą, dwa razy grubszą niż normalnie.

Zaświtał mi pomysł.

– Czekał tu. Pobiegnę do jaskini, w której jest Yiban. Wrócę z nim i we dwoje cię tam zaniemiemy.

Chwyliła mnie za rękę. Widziałam w jej oczach, że boi się zostać sama.

– Weź szkatułkę – poprosiła. – Schowaj ją w bezpiecznym miejscu.

– Ja wrócę – powiedziałam. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak, tak, oczywiście. Tylko proszę, weź ją teraz, żeby później mieć mniej do dźwigania.

Z każdej jaskini czy szczeliny, którą mijałam, słyszałam głosy:

– Już zajęta! Nie ma miejsca!

Bo to tam ludzie z wioski się ukryli. Te jaskinie były pozatykane ich łękami, sto ust wstrzymywało oddech. Pięłam się pod górę, potem schodziłam w dół, szukałam jaskini ukrytej za głazem. Znowu huk! Zaczęłam kląć jak Lao Lu, tak żałowałam

każdej zmarnowanej chwili. Aż nagle – wreszcie! – znalazłam ten głąz, ten otwór i wcisnęłam się do środka. Latarnia, którą tam zostawiłam, jeszcze tam była, dobry znak, że inni nie weszli i że Yiban nie wyszedł. Postawiłam szkatułkę, zapaliłam lampę i macając, ruszyłam powoli w kręte wnętrza jaskini, z nadzieją, że mój wyczerpany umysł nie skieruje mnie w niewłaściwą stronę. Aż zobaczyłam łunę przed sobą, jak brzask w jakimś beztroskim świecie. Wbiegłam tam nad rozjarzone jezioro, wołając:

– Yiban! Yiban! Wróciłam! Prędko chodź pomóc panie Wstędze! Ona czeka na zewnątrz pomiędzy bezpieczeństwem i śmiercią.

Żadnej odpowiedzi. Więc wołałam znowu głośniej. Obeszłam jezioro. Kilkanaście lęków szczypało mnie w ręce. Czy Yiban próbował wyjść i zabłądził? Czy wpadł do jeziora i utonął? Rozglądałam się po kamiennej wiosce w pobliżu. Co to jest? Kawał jednej ściany się odłupał, bloki kamienne się spiętrzyły. Podnosząc wzrok zobaczyłam, gdzie można się przytrzymać i wspięłam się po nich wysoko aż do szczeliny, dość dużej, żeby mężczyzna się przecisnął. Zrozumiałam, że przez tę dziurę wszystkie nasze nadzieje uleciały.

Panna Wstęga, kiedy do niej wróciłam, wychyliła się spod łuku i zawołała:

– Yiban, jesteś! – Zobaczyła, że jestem sama. – Ajaj! – wykrzyknęła – Zabili go?

Potrząsnęłam głową i powiedziałam jej, że nie dotrzymałam przyrzeczenia.

– Więc wyszedł, żeby cię znaleźć – powiedziałam ze smutkiem. – To moja wina.

Myślałam że ona powie: Gdyby Yiban jeszcze był tam w jaskini, wszyscy troje moglibyśmy się uratować. Ale bez słowa odwróciła się, pokuśtykała pod łukiem do drugiego wylotu i zaczęła wypatrywać Yibana w ciemnościach. Z rozbitym sercem stanęłam za nią. Niebo było pomarańczowe, znowu dmuchał wiatr i miał smak popiołu. I teraz widziałyśmy w dolinie poniżej ruchome kropki światła, latarnie, żołnierzy, drgające jak świetliki. Śmierć nadchodziła; wiedziałam to i strasznie było czekać. Ale panna Wstęga nie płakała.

– Panno Mu – zapytała – dokąd ty pójdziesz? Do jakiego miejsca po śmierci? Do twoich niebios czy do moich?

Co za osobliwe pytanie. Jak gdybym ja mogła decydować. Czyż bogowie nie wybierają za nas? Ale nie chciałam się o to sprzeczać naszego ostatniego dnia. Więc po prostu odpowiedziałam:

– Tam, dokąd Zeng i Lao Lu poszli.

– Więc do twoich niebios.

Milczałyśmy przez długą chwilę.

– Czy tam, dokąd pójdziesz, panno Mu, trzeba być Chinką? Czy tam przyjmą mnie?

To pytanie było jeszcze dziwniejsze niż poprzednie.

– Nie wiem. Nigdy nie rozmawiałam z nikim, kto tam był i wrócił. Ale myślę, że skoro mówisz po chińsku, może to wystarczy. Tak, na pewno.

– A Yiban, on jest pół na pół, dokąd pójdzie? Jeżeli my pójdziemy do przeciwnego...

Ach, teraz pojęłam wszystkie jej pytania. Chciałam ją pocieszyć. Więc jej powiedziałam to ostatnie kłamstwo:

– No, panno Wstęgo. Pójdź ze mną. Yiban już mi powiedział: Jeżeli umrze, spotka się z tobą znowu w Świecie Yin.

Uwierzyła, bo byłam jej wierną przyjaciółką.

– Proszę, trzymaj mnie za rękę, panno Mu – powiedziała. – Nie puszczaj, dopóki tam nie przybędziemy.

I razem czekałyśmy, obie szczęśliwe i śmiertelnie przerażone, aż zabrała nas śmierć.

### Gdy jasność równoważy się z ciemnością

Kwan kończy opowiadać. Gwiazdy, maleńkie jak łebki szpilek, są prawie niewidoczne na ciemniejącym niebie. Stoję przed łukiem, wypatruję wśród cieni krzaków w dole jakiegokolwiek ruchu.

– Pamiętasz, jak umarłyśmy? – pyta Kwan, stając za mną.

Potrząsam głową, ale potem przypominam sobie to, co zawsze uważałam za sen: włócznie błyskające w blasku ognia, żyłkowane kamienie muru. Jeszcze raz widzę to i odczuwam, i w mojej piersi wzbiera groza. Słyszę parskanie koni, niecierpliwie przebierających kopytami, kiedy szorstki sznur spada mi na ramiona, parzy kark. Połykam powietrze, żyła szyi tętni. Ktoś ściska mi rękę – Kwan, zdumiewająco młodsza i z opaską na oku. Chcę jej powiedzieć: „Nie puszczaj”, ale słowa ulatują, nagle wyszarpięte z ust. Czuję szarpnięcie, moje lęki spadają na ziemię, a ja wzbijam się w przestworza. Nie ma bólu! Jakież cudowne uwolnienie! A przecież nie całkowite. Bo Kwan jeszcze mocno trzyma mnie za rękę.

– Pamiętasz?

– Myślę, że nas powiesili. – Wargi poruszają mi się niemrawo w porannym chłodzie.

Kwan marszczy brwi.

– Powiesili? Chyba nie. W tamtych czasach żołnierze Manchu nie wieszali ludzi. Za dużo fatygi. I drzew nie ma.

Jestem dziwnie rozczarowana, kiedy mi się mówi, że nie mam racji.

– Więc jak się to stało?

Kwan wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Dlatego pytam ciebie.

– Co? Ty nie pamiętasz, jak umarliśmy?

– Działo się tak prędko! W jednej minucie stoisz tu, w drugiej budzisz się tam. Długi czas już przeszedł. Kiedy sobie zdałam sprawę, już nie żyłam. Tak jak wtedy w szpitalu ten elektryczny wstrząs. Budzę się: Hej, gdzie ja jestem? Kto wie, w poprzednim życiu może spadł piorun i prędko mnie przeniósł na tamten świat. Duch Kupca myśli, że umarł od pioruna. *Pao!* Zniknął! Tylko dwie stopy zostały.

Śmieję się.

– Ee tam! Nie wierzę, że opowiedziałaś mi tę całą historię nie znając zakończenia.

Kwan mruga.

– Zakończenia? Umrzesz, to nie koniec. To tylko znaczy, że będzie dalszy ciąg... Hej, patrz! Słońce prawie wschodzi. – Przeciąga się. – Już pójdziemy szukać Simona. Weź latarkę, koc także.

Idzie przede mną, wyraźnie pewna, którądy iść. Wiem dokąd – do tej jaskini, w której Yiban miał czekać i do której – oby! – Simon może poszedł.

Wędrujemy po osuwających się kamieniach, ostrożnie sprawdzając grunt przed każdym nowym stąpieniem. Policzki mnie pieką w ciepłej łunie słońca. Wreszcie zobaczę tę cholerną jaskinię, która jest zarówno klątwą, jak nadzieją. I co my tam zastaniemy? Simona trzęsącego się, ale żywego? Czy Yibana wiecznie czekającego na pannę Wstęgę? Myśląc o tym, potykam się o ruchomą stertę kamyków i padam na siedzenie.

– Uważaj! – krzyczy Kwan.

– Dlaczego ludzie mówią: uważaj, kiedy już na to za późno? – pytam podnosząc się.

– Nie za późno. Może nie upadniesz następnym razem. No, pomogę ci.

– Nic mi nie jest. – Zginam nogę. – Widzisz, kości nie złamane.

Idziemy dalej. Kwan odwraca do mnie głowę co kilka sekund. Wkrótce natrafiamy na jakąś jaskinię. Zaglądamy tam, szukamy śladów życia przedhistorycznego czy może nie tak dawnego.

– Kwan, co się stało z Yibanem i z ludźmi z Chang-mian?

– Ja już nie żyłam – odpowiada Kwan po chińsku – więc nie wiem na pewno. Wiem tylko to, co słyszałam w obecnym życiu. Więc nie wiadomo, jak było naprawdę. Ludzie z innych wsi zawsze dodawali trochę swojej przesady i te pogłoski sączyły się z góry jak deszcz przez dziury w dachu. Na dole wszystkie plotki zmieniały się w jedną opowieść o duchach i stamtąd rozniosło się po całej prowincji, że Changmian to wieś przeklęta.

– A... jaka była ta opowieść?

– Och, poczekaj, niech odsapnę. – Kwan, zdyszana, siada na płaskim głazie. – Opowieść jest taka. Kiedy żołnierze Manchu przyszli i usłyszeli, jak ludzie płaczą w jaskiniach, rozkazali: „Wyjdźcie!” Nikt nie wyszedł... Ty byś wyszła? Więc żołnierze nazbierali suchych gałęzi i martwych krzaków w stosy przy wejściach do jaskiń. Rozpalili ogniska i wtedy w jaskiniach rozległy się krzyki. Wszystkie naraz ziały wielkim jękiem, a potem zwymiotowały czarną rzeką nietoperzy. Niebo było gęste od tych latających stworzeń, tak jakby nad parowem otworzył się ciemny parasol. Nietoperze skrzydła rozdmuchały ogień, aż cała dolina stanęła w płomieniach. Łuk, wzgórze – wszystko otaczała płonąca ściana. Kilku żołnierzy na koniach uciekło, ale reszta nie mogła. W tydzień później inny oddział przyszedł do Changmian i nie zastał nikogo ani żywego, ani martwego. We wsi było pusto i tak samo w Domu Ducha Kupca, żadnych zwłok. I w parowie, gdzie przedtem weszli tamci żołnierze, nie było nic, tylko popioły i setki grobów ze stertami kamieni. – Kwan wstaje. – Chodźmy.

Spieszę za nią.

– Ludzie z Changmian umarli?



– Może tak, może nie. W miesiąc później przez Changmian przejeżdżał jeden podróżny z Jintian. Zastał wieś pełną życia, krzątanie w dzień targowy. Psy leżały w rynsztokach, ludzie się kłócili, dzieci dreptały za matkami, jak gdyby życie Changmian spokojnie płynęło bez żadnej przerwy.

„Hej – zapytał ten podróżny jednego ze starszyzny wioskowej – co się działo, kiedy żołnierze wmaszerowali do Changmian?” Starzec zmarszczył twarz i powiedział: „Żołnierze? Nie pamiętam, żeby żołnierze tu przyszli”. Więc podróżny zapytał: „A ten dwór tam? Przecież jest szerniały po pożarze”. Wieśniacy powiedzieli: „Ach to. W zeszłym miesiącu Duch Kupca wrócił i wyprawił nam ucztę. Któryś z duchów kuraków piekących się na piecu podleciał pod dach i wtedy okapy zajęły się od niego ogniem”.

Kiedy ten podróżny już wrócił do Jintian, wszyscy ludzie przy szlaku od wierzchołka góry aż do podnóża mówili, że Changmian to wieś duchów. Co? Z czego się śmiejesz?

– Myślę, że Changmian to wieś kłamczuchów. Oni chcą, by wierzono, że są duchami. Mniej kłopotu niż ukrywać się w jaskiniach w czasie wojen.

Kwan klaszcze w ręce.

– Jaka mądra! Masz rację. Starsza Mama opowiadała mi kiedyś, jak ktoś obcy zapytał tutejszego chłopaka: „Hej, czy ty jesteś duchem?” Chłopak ściągnął brwi i wskazał mu kamienisty ugór. „Powiedz mi, czy duch mógłby uprawiać taki świetny plon ryżu?” Ten obcy powinien był pojąć, że chłopak go nabiera. Bo prawdziwy duch nie chwaliłby się ryżem. Kłamałby o brzoskwiniach, nie o ryżu. Prawda?

Kwan czeka, żeby potwierdziła logikę tego argumentu.

– To ma dla mnie sens – kłamię w myśl najlepszej changmiańskiej tradycji.

Kwan mówi dalej:

– Po jakimś czasie ludzi we wsi chyba zmęczyło to branie ich za duchy. Nikt obcy nie chciał załatwiać interesów w Changmian. Nikt obcy nie chciał związku

przez małżeństwo syna czy córki z rodzinami changmiańskimi. Więc później już mówili: „Nie, nie jesteśmy duchami, oczywiście że nie. Ale jest jeden pustelnik, który mieszka w jaskini o dwa wzgórza stąd. On to może duch albo nieśmiertelny. Ma długie włosy i długą brodę jak właśnie taki. Ja go nigdy nie widziałem. Ale słyszałem, że zobaczyć go można o świcie i o zmierzchu, gdy jasność równoważy się z ciemnością. Chodzi wśród grobów i szuka pewnej zmarłej kobiety. A że nie wie, który grób jest jej, więc dba o wszystkie groby”.

Wstrzymuję oddech.

– Mówili o... Yibanie?

Kwan potakuje.

– Wtedy może Yiban jeszcze żył, czekał na pannę Wstęgę. Ale kiedy miałam sześć lat... wkrótce po tym jak utonęłam, zobaczyłam go wśród grobów moimi oczami *yin*, więc już naprawdę był duchem. Zbierałam w tym parowie chrust na opał. Ledwie zaczęła się półgodzina zachodzenia słońca, słyszę, dwaj mężczyźni się kłócą. Przeszłam wśród grobów i zobaczyłam, że ustawiają kamienie. „Starzy wujowie – zapytałam grzecznie – co robicie?” Ten łysy był w bardzo złym humorze. „A gówno – powiedział. – Masz teraz dwie gały, to patrz dwiema. Jak ci się zdaje, co robimy?” Długowłosy był uprzejmiejszy. „Spójrz, dziewczynko – powiedział i podniósł kamień w kształcie ostrza siekiery. – Pomiedzy życiem i śmiercią jest miejsce, gdzie można zrównoważyć to, czego równowaga nie jest możliwa. Szukamy takiego miejsca”. Położył kamień na innym kamieniu, ale oba upadły i uderzyły tego łysiego w stopę. „Niech to szlag! – zaklął. – Omal nie odrąbałeś mi nogi. Zwolnij!! Takie miejsce nie jest w twoich rękach. Całym sobą, ciałem i głową wysił się, żeby takie miejsce znaleźć!”

– To był Lao Lu?

Kwan uśmiecha się od ucha do ucha.

– Zmarły ponad sto lat temu, a jeszcze klnie! Dowiedziałam się, że Lao Lu i

Yiban utknęli, nie mogli przejść na tamten świat, bo mieli za dużo przyszłych żalów.

– Jak można mieć przyszły żal? To zupełnie bez sensu.

– Nie. Pomyśl sama. Jeżeli ja robię coś, wtedy to coś się dzieje. A potem będę żałować, bo nie powinnam była tego robić. No i utknęłam. Jak Lao Lu. On żałował tego, że zmusił pastora do zabicia Peleryny i tych żołnierzy. Żeby sobie dać nauczkę, zdecydował się być w przyszłym życiu żoną pastora. Ale kiedy tylko pomyślał o swojej przyszłości... że ma słuchać Amen to i Amen tamto w każdą niedzielę... zaczynał znowu przeklinać. Więc jak może być żoną pastora, kiedy jego paskudny nawyk jest nadal paskudny. Dlatego Lao Lu utknął.

– A Yiban?

– Kiedy nie mógł znaleźć panny Wstęgi, pomyślał, że umarła. Posmutniał. Potem się zastanowił, czy nie wróciła do Peleryny. Posmutniał jeszcze bardziej. Kiedy umarł, poleciał do niebios, żeby znaleźć pannę Wstęgę, a ponieważ jej tam nie było, uwierzył, że ona jest z Peleryną w piekle.

– Nie przyszło mu na myśl, że ona może być w Świecie Yin?

– Zrozum! Tak właśnie jest, kiedy się utknie. Czy dobre rzeczy przychodzą wtedy na myśl? Hmm, hmm. A złe rzeczy? Mnóstwo.

– Więc utknął beznadziejnie?

– Och nie, nie, nie, nie, nie! Ja mu powiedziałam o tobie.

– Ty mu powiedziałaś? O czym?

– Gdzie jesteś. Kiedy się urodzisz. I teraz on czeka na ciebie znowu. Gdzieś tutaj.

– Simon?

Kwan się rozpromienia. Wskazuje duży głaz i za głazem ledwie widoczny wąski otwór.

– To jest ta jaskinia z jeziorem? – pytam.

– Ta sama.

Wsuwam tam głowę i wołam:

– Simon! Simon! Jesteś tam? Nic ci się nie stało?

Kwan chwyta mnie za ramię i delikatnie odciąga.

– Ja wchodzę, przyprowadzę go – mówi po angielsku. – Gdzie masz latarkę?

Wyławiam latarkę z plecaka i zapalam.

– Do licha, musiała palić się przez całą noc. Bateria wysiadła.

– Pokaż. – Kwan bierze latarkę, która natychmiast się zapala. – Widzisz? Nie wysiadła. Dobrze! – Wciska się w otwór. Ja za nią.

– Nie, nie, Libbi-ja! Ty zostań!

– Dlaczego?

– Na wypadek, jeżeli...

– Co jeżeli...

– Po prostu jeżeli. Nie sprzeciwiaj się. – Ściska mi rękę tak, że aż boli. –  
Przyrzekasz?

– Dobrze. Przyrzekam.

Uśmiecha się. Ale już po chwili twarz ma zmiętą i łzy spływają jej po policzkach.

– Kwan! O co chodzi?

Znów ściska mi rękę.

– Och, Libbi-ja, tak się cieszę – bełkocze po angielsku. – W końcu mogę ci odplacić. Teraz już znasz cały ten sekret. Podaruj mi spokój.

Obejmuje mnie wpeł. Jestem poruszona. Zawsze czułam się niezręcznie wobec wylewności Kwan.

– Odplacić za co? No, Kwan, przecież nic ode mnie nie miałaś.

– Miałam, miałam. Ty moja wierna przyjaciółko! – Kwan pociąga nosem. – Dla mnie poszłaś do Świata Yin, bo ci mówiłam, że na pewno, na pewno Yiban przyjdzie tam, żeby być z tobą. Ale nie! On poszedł do niebios, ciebie tam nie było... Więc rozumiesz, przeze mnie wyście się utracili. Dlatego taka moja radość, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Simona. Wtedy wiedziałam, ach, wreszcie...

Cofam się. W głowie mi szumi.

– Kwan, tamtego wieczoru, kiedy poznałaś Simona, pamiętasz, rozmawiałaś z jego dziewczyna Elzą?

Kwan ociera oczy rękawem.

– Z Elzą?... Tak, tak! Elsie. Pamiętam. Miła dziewczyna. Polska Żydówka. Utonęła po obiedzie.

– Co ona powiedziała? Że Simon powinien o niej zapomnieć? Czy ty to wymyśliłaś? Powiedziała coś innego?

Kwan marszczy brwi.

– O niej zapomnieć? Tak powiedziała?

– Tyś powiedziała, że ona to mówi.

– Ach, już mi się przypomina. „Zapomnieć”. Nie o niej. Jej. Chciała, żeby jej zapomniał to, że przez nią musiał czuć się winny. On myślał, że z jego winy umarła. Więc powiedziała: „Wcale nie z mojej, żaden problem, nie gryź się”. Coś takiego.

– Nie żeby czekał na nią? Że ona wróci?

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo ja ją widziałam, widziałam ją tymi tajemnymi zmysłami. Błagała Simona, żeby ją zobaczył, żeby wiedział, co ona czuje. Widziałam...

– Tst! Tst! – Kwan kładzie mi rękę na ramieniu. – Lib-bi-ja, Libbi-ja! To nie jest tajemny zmysł. To tylko twój zmysł wątpliwości. Zmysł zmartwień. To bzdura! Widziałas, jak twój własny duch błaga Simona: „Proszę, usłysz mnie, zobacz mnie, kochaj mnie”... Elsie tego nie mówiła. Dwa życia temu byłaś jej córką. Dlaczego miałyby chcieć dla ciebie nieszczęśliwego życia? Nie! Ona ci pomogła...

Słucham oszołomiona. Elza była moją matką? Czy to prawda czy nie, nagle lekko mi na sercu, zawrotnie w głowie, niepotrzebny ciężar urazy został zdjęty, a z nim sterta śmieci – lęków i wątpliwości.

– Przez cały czas myślałaś, że ona cię goni? Mhmm. A to tyś siebie goniła. Simon

też wie o tym. – Kwan całuje mnie w policzek. – Już pójde go znaleźć. Niech sam ci powie.

Patrzę, jak wciska się do jaskini.

– Kwan?

Odwraca się.

– Przyrzeknij, że nie zabłądzisz. Że wrócisz.

– Tak, przyrzekam, przyrzekam. No pewnie. – Opuszcza się niżej, w następne zagłębienie. – Nie obawiaj się. – Jej głos dolatuje głęboki i dźwięczny. – Znajdę Simona, wrócę niedługo. Czekać na nas.

Narzucam koc na siebie, siedzę oparta o gład zasłaniający wejście do jaskini.

Nadzieja, nic w tym złego.

Wodzę wzrokiem po niebie. Jeszcze szaro. Czy znowu będzie deszcz? Na myśl o tej jednej smętnej możliwości robi mi się ponuro, dopuszczam do głosu zdrowy rozsądek. Czy popadłam w jakiś stan hipnotyczny, kiedy słuchałam Kwan? Czy jestem tak podatna na urojenia jak ona? Jak mogłam puścić moją siostrę do tej jaskini samą? Gramolę się, wsuwam głowę za gład i wołam:

– Kwan! Wracaj! – Wczołguję się w ten ciemny otwór. – Kwan! Kwan! Do licha! Kwan, odezwij się.

Odważam się posuwać dalej, próbuję iść, uderzam głową o niski strop, klnę, znów wołam. Po kilku krokach coraz mniej światła i za następnym zakrętem zupełnie czarno. Jak gdyby mi gruby pled rzucono na oczy. Wpadam w panikę. Pół życia przepracowałam w ciemni, ale tutaj nie znam granic ciemności. Ta czerń mnie wciąga, jest jak magnes kiedy zawracam, żeby wyjść z jaskini, już straciłam orientację, poczucie kierunku, nie wiem, którądy weszłam. Wołam Kwan. Chrypnę i brak mi tchu. Czy całe powietrze zostało z jaskini wysane?

– Olivia?

Zdławiam skowyt.

– Źle się czujesz?

– O Boże! Simon! To naprawdę ty?... – Szlocham. – Ty żyjesz?

– Czy mówiłbym do ciebie, gdybym nie żył?

Płaczę i śmieję się jednocześnie.

– Nie wiadomo.

– Wyciągnij rękę.

Trafiam w powietrze i trafiam, aż w końcu dotykam jego dobrze znanych rąk. On mnie przyciąga do siebie, zarzucam mu ręce na szyję. Opieram się o jego pierś, namacuję stos pacierzowy, upewniając się, że to on z krwi i kości.

– Boże, Simon, co się stało wczoraj... Mnie odbiło. A później, kiedy nie wracałeś... Czy Kwan ci powiedziała, jak się niepokoiłam?

– Nie. Jeszcze nie byłem w domu.

Drętwieję.

– Boże!

– O co chodzi?

– Gdzie jest Kwan? Nie idzie za tobą?

– Nie wiem, gdzie ona jest.

– Ale... weszła tu, żeby ciebie szukać. Weszła do tej jaskini! Wołałam ją! Boże! To niemożliwe. Przyrzekła mi, że nie zabłądzi. Przyrzekła, że wróci... – biadam, kiedy Simon mnie prowadzi do wyjścia.

Potykając się, wychodzimy na otwartą przestrzeń. Światło jest ostre, nic nie widzę. Na oślep głaszczę Simona po twarzy i się spodziewam, że kiedy zobaczę świat znowu, on będzie Yibanem, a ja będę w żółtej sukni poplamionej krwią.

## Część czwarta



## Pogrzeb

Kwan zniknęła dwa miesiące temu. Nie mówię „umarła”, bo nie pozwalam sobie myśleć, że tak się stało.

Siedzę w mojej kuchni, jem granola, patrzę na zdjęcia zaginionych dzieci na odwrocie kartonu z mlekiem, czytam słowa: *Nagroda za każdą informację*. Wiem, co czują matki tych dzieci. Dopóki nie zostanie udowodnione, że dziecka już nie ma, trzeba wierzyć, że ono gdzieś jest. Trzeba je zobaczyć jeszcze raz, zanim przyjdzie czas pożegnania. Nie można dopuścić, żeby ktoś, kogo się kocha, odszedł z tego świata nie przyrzekając, że będzie czekał. Więc muszę wierzyć, że nie jest za późno na to, by powiedzieć Kwan: Ja byłam panną Wstęgą, a ty byłaś Nunumu i po wieki wieków ty będziesz wierna i ja też.

Dwa miesiące temu, kiedy ostatni raz ją widziałam, czekałam przy jaskini, pewna, że jeżeli wierzę w jej opowieść, ona wróci. Siedziałam na szkatułce, Simon siedział przy mnie. Usiłował udawać, że jest dobrej myśli, a przecież ani przez chwilę nie żartował, więc wiedziałam, że jest zaniepokojony.

– Wróci – uspokajał mnie. – Tylko szkoda mi ciebie, najpierw martwiłaś się o mnie, teraz martwisz się o Kwan.

Jak się okazało, Simon przez cały ten czas był bezpieczny. Po naszej kłótni on też wyszedł spod łuku. Człapał z powrotem do domu Starszej Mamy, kiedy natknął się na tego pastucha krów, który nas nazwał naiwniakami. Tylko że ten facet nie był pastuchem – był absolwentem Bostonu imieniem Andy, amerykańskim siostrzeńcem kobiety mieszkającej w jednej z wiosek niżej w górach. Obaj poszli do domu jego ciotki, gdzie wyłopali tyle *maotai*, że języki i mózgi im zdrętwiały.

Simon, gdyby się nie upił, byłby w jak najlepszej formie, co z przykrością przyznał. Miał przy sobie wełnianą czapkę, którą włożył, kiedy ja odbiegłam. A potem wściekły rzucał kamienie do parowu i aż się spocił.

– Nie miałaś o co się martwić.

A ja powiedziałam:

– To lepsze niż dowiedzieć się, że miałam o co.

Rozumowałam, że skoro szczęśliwie Simonowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, takie samo szczęście pozwoli mi odetchnąć z ulgą lada chwila, kiedy wróci Kwan. „Przepraszam, przepraszam Libbi-ja – wyobrażałam sobie jak ona powie. – W złą stronę skręciłam w jaskini, zablądziłam. Cały poranek mi zeszedł, żeby wrócić. Nie miałaś o co się martwić”. Później wprowadziłam poprawki do mojej nadziei, biorąc pod uwagę mijający czas. „Libbi-ja, gdzie moja głowa? Widziałam jezioro, nie mogłam przestać marzyć. Myślałam, że upływa tylko jedna godzina. Nie wiedziałam, że dziesięć!”

Zostaliśmy przy jaskini przez noc. Du Lili przyniosła nam jedzenie, koce i brezent. Odepchnęliśmy głaz tarasujący wejście do jaskini, weszliśmy tam i skuliliśmy się w płytkim wgłębieniu. Patrzyłam na niebo, sito podziurkowane gwiazdami, i chciałam powiedzieć Simonowi, co Kwan opowiadała o pannie Wstędze, Nunumu i Yibanie. Ale ogarnął mnie strach. Uznałam tę opowieść za talizman nadziei. Gdyby Simon czy ktokolwiek inny nie dał wiary choćby jej części, ta możliwość gdzieś we wszechświecie, której potrzebowałam, mogłaby się rozwiązać.

W drugi poranek po zniknięciu Kwan rozpoczęli poszukiwania ludzie ze wsi, zwerbowani przez Du Lili i Andy'ego. Starsi za bardzo bali się wejść do tych jaskiń, więc zgłosili się przeważnie młodzi. Przynieśli lampy naftowe i zwoje lin. Usiłowałam sobie przypomnieć drogę do jaskini z jeziorem. Jak Zeng mówił? Idź za wodą, zawsze niżej, tam, gdzie płytko, a nie tam, gdzie szeroko. Czy może tam, gdzie wąsko, a nie głęboko? Nie musiałam prosić Simona, żeby nie wchodził do

jaskini. Wciąż był przy mnie i razem ponuro patrzyliśmy, jak jeden z mężczyzn obwiązuje się w pasie liną i wciska się w ciemną jamę, podczas gdy drugi stoi na zewnątrz, trzymając koniec liny coraz bardziej się naprężającej.

Trzeciego dnia poszukiwacze już spenetrowali labirynt, który prowadził ich do dziesiątek innych jaskiń. Ale wciąż jeszcze nie było ani śladu Kwan. Du Lili pojechała do Guilin zawiadomić władze. Stamtąd wysłała mój oględny telegram do George'a. Po południu cztery ciężarówki przywiozły żołnierzy w zielonych mundurach i urzędników w czarnych garniturach. Nazajutrz rano podjechała szosą dobrze znana limuzyna i wysiadł z niej Rocky oraz jakiś posępny stary uczonec. Rocky wyjaśnił mi poufnie, że profesor Po jest prawą ręką paleontologa, który odkrył Człowieka z Pekinu. Ten to profesor wkroczył w zawły labirynt jaskiń, teraz dający się badać łatwiej wobec posiadania lin ratowniczych i lamp. Kiedy wynurzył się z głębin po wielu godzinach, oznajmił, że ileś tam dynastii temu miejscowa ludność drążyła w dziesiątkach jaskiń, żeby były w nich ślepe zaułki i skomplikowane, łączące je tunele. Być może, wywodził, ludność Changmian stworzyła sobie w ten sposób schronienie przed Mongołami i innymi wojującymi plemionami. Najeźdźcy, którzy wchodzili do tego labiryntu, błądzili i biegali jak szczury w zabójczej pułapce.

Sprowadzono zespół geologów. W podnieceniu, jakie zapanowało, prawie wszyscy zapomnieli o Kwan. Zamiast niej ci geolodzy znaleźli słoje na ziarno i dzbany. Wtargnęli do sypialń nietoperzy, których mnóstwo wylatywało z piskiem w oślepiający blask słońca. Dokonali ważnego naukowego odkrycia, znajdując ludzki kał sprzed co najmniej trzech tysięcy lat!

Piątego dnia przybyli George i Virgie z San Francisco. Dostali wszystkie moje telegramy z coraz straszniejszymi wiadomościami. George był pewny, że Kwan w rzeczywistości nie zaginęła i tylko swoją kiepską chińszczyzną spowodowała, że chwilowo się rozłączyliśmy. Wieczorem jednak zupełnie się rozkleił. Wziął sweter

Kwan, ukrył w nim twarz i płakał; nie obchodziło go, kto to widzi.

Siódmego dnia zespoły poszukujące zlokalizowały rozjarzone jezioro i starożytną osadę. Nadal jednak nie było ani śladu Kwan. We wsi roilo się od urzędników niższych i wyższych i dojechało jeszcze kilkanaście zespołów naukowych, które usiłowały ustalić, dlaczego woda w jaskini się jarzy.

Co dzień przez te siedem dni musiałam składać zeznanie coraz to innemu biurokracie przydzielonemu do zbadania, co się stało z Kwan. Data jej urodzenia? Kiedy wyemigrowała z Chin? Dlaczego teraz tu przyjechała? Czy była chora? Doszło do kłótni? Nie z nią, tylko z pani mężem? Czy pani mąż pogniewał się także na nią? Czy dlatego ona uciekła? Czy ma pani jej fotografię? Sama pani zrobiła to zdjęcie? Jakim aparatem? Pani fotografuje zawodowo? Naprawdę? Dużo pieniędzy płacą za zrobienie takiego zdjęcia? Naprawdę? Aż tyle? Czy może pani sfotografować mnie?

Nocą tuliliśmy się do siebie, Simon i ja w małżeńskim łóżu. Kochaliśmy się, ale nie z pożądania. Kiedy tak byliśmy ze sobą, mogliśmy mieć nadzieję, mogliśmy wierzyć, że miłość nas uchroni przed ponownym rozstaniem. Dni mijały, a ja nadziei nie traciłam. Podsycałam ją w sobie. Wspominałam opowieści Kwan. Wspominałam, jak opatrywała moje skaleczenia, jak uczyła mnie jeździć na rowerze, jak przykładła ręce do mojego rozgorączkowanego sześciolatniego czoła i szeptała: „Zaśnij, Libbi-ja, zaśnij”, aż zasypiałam.

Tymczasem wieś Changmian stała się cyrkiem. Ten przedsiębiorczy facet, który usiłował sprzedać Simonowi i mnie tak zwane starożytne monety, pobierał od przyjezdnych żadnych sensacji po dziesięć juanów za przejście pod pierwszym łukiem. Jego brat pobierał dwadzieścia za przejście pod drugim. Liczni turyści łazili po parowie, a mieszkańcy Changmian sprzedawali kamienie z tych grobów na pamiątkę. Kłótnie między starszyzną Changmian i urzędnikami rozgorzały o to, czyją własnością są te jaskinie i kto może brać z nich znaleźiska. Wtedy dwa

tygodnie już minęły i my oboje już nic więcej nie mogliśmy znieść. Zdecydowaliśmy się polecieć do kraju tego dnia, na który mieliśmy bilety powrotne.

Przed naszym wyjazdem Starsza Mama w końcu miała swój pogrzeb. Odprowadziło ją do grobu w tamten dżdżysty poranek jedenaście osób – dwóch grabarzy, kilkoro starszych wieśniaków oraz George, Virgie, Du Lili, Simon i ja. Grabarze załadowali trumnę na wóz z mułem. Du Lili do wieka trumny przywiązała protestującego przeraźliwie koguta. Kiedy mieliśmy przejść przez mostek nad stawem, zatrzymała nas ekipa dziennika telewizyjnego.

– Zabierajcie stąd wasze tyłki – wrzasnęła Du Lili. – Nie widzicie? Kondukt pogrzebowy musi przejść tędy!

Dziennikarze podeszli do niej i poprosili, żeby miała na względzie prawo obywateli do informacji o cudownym odkryciu w Changmian.

– Cudowne łajno! – powiedziała Du Lili. – Rujnujcie naszą wieś. Zejdźcie nam z drogi!

Szykowna kobieta w dobrze skrojonych dżinsach wzięła Du Lili na bok. Zobaczyłam, że daje pieniądze, a Du Lili gniewnie je odtrąca. Serce mi wezbrało podziwem. Ta w dżinsach wyciągnęła większą sumę. Du Lili wskazała ekipę telewizyjną, a potem trumnę i znów lamentowała na cały głos. Ukazał się jeszcze grubszy zwitek banknotów. Du Lili wzruszyła ramionami.

– Dobrze – powiedziała, wsuwając pieniądze do kieszeni – przynajmniej nieboszczce to się przyda, żeby kupiła sobie lepsze życie na tamtym świecie.

Wzlot mego serca mienił się w korkociąg. Simon surowo zacisnął szczęki. Kondukt ruszył w długą drogę okrężną wąskimi uliczkami, którymi wreszcie dotarliśmy na wioskowy cmentarz u zachodniego podnóża góry.

Du Lili płakała przy grobie i głaskała pergaminową twarz Starszej Mamy. Zwłoki były zdumiewająco dobrze zachowane po dwutygodniowym czekaniu na

pogrzeb.

– Aj, Li Bin-bin – gruchała Du Lili – za młoda jesteś, żeby umrzeć. Ja powinnam była odejść przed tobą.

Przetłumaczyłam to Simonowi. Spojrzał na Du Lili.

– Ona mówi, że jest starsza od Starszej Mamy?

– Nie wiem. Już nie chcę wiedzieć, co znaczy co.

Kiedy grabarze zamykali trumnę, poczułam się tak, jakby ostatecznie miały w niej być zamknięte odpowiedzi na bardzo dużo pytań: Gdzie jest Kwan? Jak rzeczywiście nazywał się mój ojciec? Czy Kwan i ta dziewczynka zwana Bułeczką naprawdę utonęły?

– Czekajcie – wykrzyknęła Du Lili do grabarzy. – Omal nie zapomniałam.

Sięgnęła do kieszeni po zwitek banknotów. Wetknęła w sztywną rękę Starszej Mamy te telewizyjną łapówkę. Rozplakałam się – przywróciła mi wiarę. Następnie sięgnęła do wewnętrznej kieszeni swojej watowanej kurtki i wyciągnęła jeszcze coś. Zakonserwowane kacze jajo. Włożyła je w drugą dłoń Starszej Mamy.

– Twój ulubiony przysmak – powiedziała – na wypadek, gdyby ci się chciało jeść po drodze.

Kacze jajka! „Zrobiłam ich tak dużo – usłyszałam głos Kwan – może jeszcze trochę zostało”.

Odwróciłam się do Simona.

– Muszę stąd iść. – Chwyciłam się za brzuch i zrobiłam grymas udając, że mi coś dolega.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą?

Potrząsnęłam głową i podeszłam do Du Lili.

– Niedobry żołądek – powiedziałam.

Popatrzyła na mnie ze zrozumieniem. Kiedy tylko odeszłam dość daleko, by mnie nie widzieli, ruszyłam biegiem. Nie powściągałam się wcale w swoim

oczekiwaniu. Podałam się całkowicie nadziei. Wprost upojnie wiedziałam, że to, w co wierzę, znajdę.

Wstąpiłam do domu Starszej Mamy i wzięłam zardzewiałą motykę. A potem popędziłam do świetlicy. Na dziedzińcu zwolniłam kroku, szukając dobrze znanych śladów. Tam! Dolne cegły fundamentu – czarne, ospowate, na pewno ze spalonych ruin Domu Ducha Kupca. Przebiegłam przez pustą świetlicę, rada, że wszyscy poszli do parowu, żeby pogapić się na trzytysiącletnie gówno. Za budynkiem świetlicy nie było ogrodu, falujących alejek ani pawilonu. Wszystko zostało zrównane pod boisko. Ale tak jak się spodziewałam, kamienie muru, który je otaczał, były też szerniałe i z pęcherzykami. Poszłam do północno-zachodniego rogu i wyliczyłam kroki. Dziesięć słołów w rzędzie na dziesięć kroków długim. Zaczęłam kopać w błocie motyką. Śmiałam się głośno. Gdyby ktoś mnie teraz widział, czy nie myślałby, że jestem stuknięta jak Kwan?!

Wykopałam rów długości pięciu stóp i głębokości dwóch, prawie wystarczająco duży, żeby pomieścić zwłoki. I nagle poczułam, że motyka uderza o coś, co nie jest ani ziemią, ani kamieniem. Uklękłam, gorączkowo gołymi rękami odrzuciłam ciemną, wilgotną glebę. Zobaczyłam to: jaśniejszą glinę, twardą i gładką, krągłą jak ramię. Niecierpliwie trzonkiem motyki roztlukłam ten słoł.

Wyciągnęłam szerniałe jajko, jedno i drugie, i trzecie. Przytuliłam je do piersi, rozkruszyły się – wszystkie te szczątki naszej przeszłości rozpadły się w szarą krede. Ale ja byłam za granicą zmartwienia. Wiedziałam, że już znam smak tego, co zostało.

### Nie kończące się pieśni

George i Virgie pojechali w podróż poślubną do Chang-mian i teraz właśnie wrócili. Mówią, że nie poznałabym tej wsi.

– Co krok pułapka na turystów! – opowiada George. – Cała wieś się wzbogaciła. Sprzedają morskie stworzenia z plastiku, takie fosforyzujące. To jezioro błyszczało od pradawnych roślin i ryb. Były tam głęboko w wodzie. Ale teraz już ich nie ma. Za dużo ludzi wypowiada tam życzenia i wrzuca monety na szczęście. I gdzie wszystkie te stworzenia? Zatrute. Wypływały brzuchami do góry, martwe. Więc zarząd wsi zainstalował światła pod wodą, zielone i żółte, bardzo ładne. Sam widziałem. Dobry pokaz.

Myślę, że George i Virgie, wybierając Changmian na swój miodowy miesiąc, chcieli niejako przeprosić Kwan. George, żeby się ożenić, musiał załatwić uznanie Kwan za zmarłą. Wciąż jeszcze co do tego mam mieszane uczucia. Przecież sama Kwan, tak sobie wyobrażam, umyśliła im małżeństwo. Musiała wiedzieć, że nie wróci do domu. A w żadnym razie by nie dopuściła do tego, by George szedł przez życie odżywiając się byle jak. Myślę też, że teraz by się śmiała i mówiła: „Aj, źle, Virgie nie lepsza kucharka”.

Minęły już prawie dwa lata. Szmata czasu na rozmyślania o Kwan: dlaczego w moim życiu się zjawiała, dlaczego zniknęła. Co znaczyły jej słowa o przeznaczeniu mającym się spełnić. Dwa lata to czas dostatecznie długi, ja wiem, żeby ułożyć warstwami wspomnienia tego, co było, i to, co mogłoby być. I bardzo dobrze, bo teraz wierzę, że prawda leży nie w logice, lecz w nadziei zarówno dawnej, jak przyszłej. I wierzę, że nadzieja bywa zaskakująca. Może przetrwać, choćby nie było



szans, może pokonać różnorakie przeciwności i na pewno zbić wszelkie sceptyczne racje oparte na dowodach faktycznych.

Czyż inaczej mogę wytłumaczyć, dlaczego mam czternastomiesięczną córeczkę? Jak wszyscy inni, byłam zdumiona, kiedy doktor mi powiedział, że jestem w trzecim miesiącu ciąży. Urodziłam w dziewięć miesięcy po pojednaniu z Simonem w tym małżeńskim łóżu w Changmian, w dziewięć miesięcy po zniknięciu Kwan. Zapewne niektórzy podejrzewali, że ojcem jest jakiś jednonocny kochanek. Ale my oboje, Simon i ja, wiemy: to dziecko jest nasze. Oczywiście było racjonalne wytłumaczenie. Poszliśmy znów do tego specjalisty od płodności i on znów przeprowadził testy. No, coś podobnego! Wyniki tamtych testów wcześniejszych niezgodne z prawdą. W laboratorium najwidoczniej pomyłono wykresy, bo bezpłodność, powiedział doktor, to stan nieodwracalny. I oznajmił, że Simon nie jest bezpłodny.

Zapytałam:

– Więc dlaczego, zdaniem pana doktora, przedtem ani razu nie zaszłam?

– Prawdopodobnie starała się pani zbyt usilnie – odpowiedział. – Wiele kobiet zachodzi w ciążę, kiedy już ma adoptowane dzieci.

Wiem tylko to, w co chcę wierzyć. Dostałam prezent od Kwan, dziecko, dziewczynkę z dołeczkami w pyzatych policzkach. I nie, nie nazwałam jej Kwan ani Nelly. Nie jestem taka czułościowa. Nazywam ją Samatha, czasem Sammy. Samatha Li. Przybrałam dla siebie i dla niej nazwisko Kwan. Bo i czemuż by nie? Czym jest nazwisko, jeżeli nie potwierdzeniem związku na przyszłość z kimś z przeszłości.

Sammy mówi mi „mama”. Jej ulubioną zabawką jest „ba”, szkatułka z pozytywką, prezent ślubny od Kwan. I jeszcze jedno słowo zna Sammy – „ta” mówi do Simona. „Ta”, czyli tata, chociaż Simon nie mieszka z nami stale. Nadal wypracowujemy wspólną drogę, decydując, co jest ważne, co ma znaczenie, jak

wytrzymać ze sobą dłużej niż osiem godzin z rzędu bez kłótni, który program nastawić w radiu. Co piątek Simon przyjeżdża na cały weekend. Przytulamy się do siebie w łóżku, Simon i ja, Sammy i Bubba. Wprawiamy się w byciu rodziną i cieszymy się z każdej chwili spędzonej razem. Pomniejsze sprzeczki, docinki i spięcia wciąż się zdarzają. Ale już nam łatwiej pamiętać, jak bardzo, chociaż są takie błahe, marszczą serce i umniejszają życie.

Chyba Kwan zamierzała mi pokazać, że świat to nie jest miejsce, bo świat to jest ogrom duszy. A dusza to po prostu miłość, bezgraniczna, nie kończąca się miłość i wszystko, co nas prowadzi do rozpoznania prawdy. Kiedyś myślałam, że miłość ma być tylko błogością. Teraz wiem, że to również troska i zgryzota, nadzieja i ufność. A wiara w duchy jest wiarą w to, że miłość nigdy nie umiera. Jeżeli ludzie, których kochamy, odchodzą, umierają utraceni tylko dla naszych zwykłych zmysłów. Jeżeli pamiętamy o nich, możemy ich znaleźć w każdej chwili naszymi stoma tajemnymi zmysłami.

„To jest sekret – słyszę szeptanie Kwan. – Nie mów nikomu. Przyrzeknij, Libbi-ja”.

Moje dziecko mnie woła. Gaworzy i wyciąga rączkę w stronę kominka, do czego tam, nie wiem. Upiera się.

– O co chodzi, Sammy? Co ty tam widzisz?

Serce mi łomocze, może to jest Kwan.

– Ba – gaworzy Sammy z rączką nadal wyciągniętą.

Teraz rozumiem, czego chce. Podchodzę do kominka i biorę z parapetu szkatułkę. Nakręcam pozytywkę. Podnoszę moje dziecko w objęciach. I tańczymy, ze smutku przelewa się radość.